

LEGENDY

TOM III

Margaret Weis i Tracy Hickman

PRÓBA BLIŹNIAKÓW

Przełożyła Dorota Żywno

DRAGONLANCE™ LEGENDS

Volume Three

Tytuł oryginału TEST OF THE TWINS

Mojemu bratu Gerry'emu Hickmanowi, który nauczył mnie, co to znaczy być bratem.

Tracy Hickman

Dla Tracy'ego z serdecznymi podziękowaniami za zaproszenie mnie do jego świata.

Margaret Weis

Księga pierwsza

Młot bogów

Przenikliwy sygnał trąbki niczym ostra stal przeszył jesienne przestworza, gdy armie krasnoludów z Thorbardinu wyjechały na równiny Dergoth na spotkanie nieprzyjaciela - swych rodaków. Wieki nienawiści i nieporozumień między krasnoludami podgóorskimi i ich górskimi kuzynami zalały tego dnia równinę czerwienią. Zwycięstwo przestało mieć znaczenie - nikt już go nie pragnął. Pomszczenie krzywd wyrządzonych w zamierzchłych czasach przez dawno nieżyjących przodków było celem obu stron. Zabijanie, zabijanie i jeszcze raz zabijanie - tak krótko można streścić wojnę Bramy Krasnoludów.

Wierny danemu przez siebie słowu bohater krasnoludów Kharas walczył dla swego króla pod górą. Poświęciwszy swą broń z powodu hańby, którą ściągnął na siebie w walce z pobratymcami, gładko ogolony Kharas stał w pierwszych szeregach armii, zabijając ze łzami w oczach. Podczas walki jednakże nagle zrozumiał, że słowo zwycięstwo zostało przekręcone tak, aby znaczyło unicestwienie. Widział, jak padają sztandary obu wojsk i leżą zdeptane i zapomniane na zalanej krwią równinie, gdy szła zemsta ogarnęła obie armie. A kiedy Kharas ujrzał, że bez względu na to, kto wygra, nie będzie zwycięzcy, rzucił na ziemię swój młot - młot wykuty z pomocą Reorxa, boga krasnoludów - i opuścił pole walki.

Liczne były głosy, które zakrzyknęły „tchórz”. Jeśli Kharas je słyszał, nie zważał na nie. W głębi serca wiedział, ile jest wart, i wiedział o tym lepiej niż kto inny. Kharas wytarł gorzkie łzy i zmywszy z rąk krew pobratymców, szu - kał wśród poległych tak długo, aż znalazł zwłoki dwóch ukochanych synów króla Duncana. Zarzuciwszy porąbane i okaleczone trupy młodych krasnoludów na grzbiet konia, Kharas opuścił równiny Dergoth i powrócił ze swym brzemieniem do Thorbardinu.

Kharas odjechał daleko, lecz nie dość daleko, by nie docierały doń chrapliwe krzyki żądające zemsty, brzęk stali i wrzaski konających. Nie oglądał się za siebie. Miał wrażenie, że będzie słyszał te dźwięki do końca swych dni.

Bohater krasnoludów właśnie wjechał między pierwsze wzniesienia u podnóża gór Kharolis, gdy usłyszał, jak coś zaczyna dziwnie grzmieć. Jego koń podskoczył nerwowo. Krasnolud zatrzymał się, by uspokoić zwierzę. Jednocześnie rozejrzał się niespokojnie. Co to było? Nie był to odgłos wojny, ani też odgłos przyrody.

Kharas odwrócił się. Dźwięk dobiegał zza jego pleców, z okolicy, którą właśnie opuścił, kraju, gdzie jego rodacy wciąż wyrzynali się nawzajem w imię sprawiedliwości. Dźwięk narastał, przeradzając się w niskie, głuche dudnienie, które brzmiało coraz głośniej.

Kharas niemal odnosił wrażenie, że widzi przybliżanie się owego odgłosu. Bohater krasnoludów wzdrygnął się i spuścił głowę, gdy okropny ryk nadciągnął, przetaczając się z grzmiotem przez równinę.

To Reorx, pomyślał z żalem i zgrozą. To głos rozgniewanego boga. Jesteśmy zgubieni.

Dźwięk dotarł do Kharasa wraz z falą uderzeniową podmuchem żaru i palącego, cuchnącego wiatru, który prawie zdmuchnął go z siodła. Spowiły go obłoki piachu, kurzu i popiołu, które zmieniły dzień w odrażającą noc. Otaczające go drzewa ugięły się i wykrzywiły, konie zarżały ze strachu i omal nie poniosły. Przez chwilę Kharas ledwo mógł utrzymać ogarnięte paniką zwierzęta.

Oślepiiony chmurą kurzu kłującego w oczy, duszący się i kaszlący Kharas zasłonił usta i próbował - najlepiej jak mógł w tej dziwnej ciemności - zasłonić również oczy koniom. Jak długo stał w tych kłębach piachu, kurzu i gorącego wichru, nie pamiętał. Jednak wiatr ucichł równie nagle, jak się zerwał.

Piasek i kurz opadły. Drzewa wyprostowały się. Konie odzyskały spokój. Chmura oddaliła się w łagodniejszych podmuchach jesiennego wiatru, pozostawiając po sobie ciszę straszniejszą od grzmiącego huku.

Przepełniony złymi przecuciami Kharas popędził swe zmęczone konie najszybciej, jak było to możliwe i wjechał na wzgórza w rozpaczliwej próbie znalezienia jakiegoś miejsca do rozejrzenia się. Wreszcie je znalazł - skaliste wzniesienie. Przywiązał do drzewa juczne zwierzęta z ich pożałowania godnym ciężarem, wjechał konno na skałę i spojrzał na równinę Dergoth. Zatrzymawszy się, skierował w dół zatrwożony wzrok.

Nie poruszało się tam nic żywego. Prawdę mówiąc, nie było tam zupełnie niczego; niczego prócz szerniałego, spalonego piachu i skał.

Obie armie zostały zupełnie starte z powierzchni ziemi. Tak straszliwa była ta eksplozja, że na pokrytej popiołem równinie nie widać było nawet trupów. Zmieniło się także samo oblicze krainy. Pełne zgrozy spojrzenie Kharasa padło na miejsce, gdzie niegdyś wznosiła się magiczna forteca Zhaman, której wysokie, wdzięczne wieżyczki królowały nad równiną. Ona również została zniszczona - lecz nie całkowicie. Forteca zawałiła się pod własnym ciężarem i teraz - co najpotworniejsze - jej ruiny przypominały ludzką czaszkę, która spoczywała na jałowej równinie Dergoth, szczerząc zęby.

- Reorxie, Ojczy, Kowalu, wybacz nam - szepnął Kharas, któremu łyzy mąciły wzrok. Potem, spuściwszy głowę z żalu, krasnoludzki bohater opuścił tę okolicę, wracając do Thorbardinu.

Krasnoludowie będą wierzyć - bo tak doniesie im sam Kharas - że unicestwienie obu wojsk na równinie Dergoth było dziełem Reorxa, że bóg w swym gniewie cisnął młotem w ziemię, miażdżąc swe dzieci.

Jednakże Kroniki Astinusa odnotowują, co naprawdę wydarzyło się tego dnia na równinie Dergoth:

Będący obecnie u szczytu swych magicznych mocy arcymag Raistlin, znany także jako Fistandantilus, oraz czcząca Paladine 'a kapłanka Białych Szat, Crysania, zapragnęli przekroczyć próg portalu wiodącego do Otchłani, aby tam wezwać do walki Królową Ciemności.

Mroczne zbrodnie popełnił ów arcymag, by dotrzeć do tego punktu - szczytu swych ambicji. Czarne Szaty, jakie nosił, splamione były krwią, z której część należała do niego samego. Niemniej jednak mężczyzna ten znał ludzkie serca. Wiedział, jak targać nimi, manipulować i sprawiać, że ci, którzy powinni byli gardzić nim i odtrącać go, w zamian podziwiali go. Taką osobą była pani Crysania z rodu Tariniusów. W duszy owej wielbnej córki kościoła była jedna zgubna skaza. Tę skazę Raistlin znalazł i poszerzył tak, aby pęknięcie objęło całą jej osobę i dotarło wreszcie do serca...

Crysania udała się wraz z nim do straszliwego portalu. Tam wezwała swego boga i odpowiedział jej, gdyż zaprawdę była jego wybranką. Raistlin użył swej magii i odniósł sukces, nie było bowiem jeszcze tak potężnego czarodzieja, jak ten młodzieniec.

Portal otworzył się.

Raistlin zaczął wchodzić, lecz magiczne urządzenie do podróży w czasie, uruchomione przez Caramona, bliźniaczego brata maga, oraz kendera, Tasslehoffa Burrfoota, zakłóciło potężne zaklęcie arcymaga. Czarodziejskie połą zostało rozproszone...

...powodując katastrofalne i nieprzewidziane konsekwencje.

Rozdział I

- Ups - powiedział Tasslehoff Burfoot.

Caramon zmierzył kendera srogim wzrokiem.

- To nie moja wina! Naprawdę, Caramonie! - zaprotestował Tas.

Mówiąc to, kender ogarnął wzrokiem okolice, potem podniósł oczy na Caramona, a później znów spojrzął na otoczenie. Zaczęła mu drżeć dolna warga, więc sięgnął po chusteczkę na wypadek, gdyby poczuł, że musi wytrzeć nos. Jednak chusteczki nie było, jak również jego sakiewek. Tas westchnął. W podnieceniu zapomniał o tym -- wszystko zostało w lochach Thorbardinu.

A był to rzeczywiście podniecający moment. W jednej chwili wraz z Caramonem stał w magicznej fortecy Zhaman, uruchamiając czarodziejskie urządzenie do podróży w czasie, w następnej chwili Raistlin zaczął rzucać swoje czary i zanim Tas się obejrzał, zrobiło się straszne zamieszanie - kamienie śpiewały, skały pękały, a on doznał okropnego uczucia rozciągania w sześciu różnych kierunkach jednocześnie, a potem - siup - i byli już tutaj.

Gdziekolwiek to było. A gdziekolwiek było, z pewnością nie sprawiało wrażenia tego, gdzie miało być.

On i Caramon znajdowali się na górskiej ścieżce w pobliżu wielkiego głazu i stali po kostki w oślizgłym, szarym jak popiół błocie, które całkowicie pokrywało ziemię tak daleko, jak Tas sięgał wzrokiem. Tu i tam z miękkiej okrywy popiołów sterczały ostre końce spękanych skał. Nie było żadnych śladów życia. Nic nie mogło żyć na takim pustkowiu. Nie ostały się żadne rosnące drzewa; z gęstego błota wystawały jedynie osmalone pniaki. Jak okiem sięgnąć, aż do samego horyzontu w każdym kierunku nie było niczego prócz totalnych spustoszeń.

Niebo nad ich głowami było szare i puste. Na zachodzie jednakże miało dziwną, fioletową barwę i widać było na nim kłębiące się niesamowite, świetliste obłoki przesywane jaskrawobłękitnymi błyskawicami. Poza odległym hukim gromów nie było słycać żadnego dźwięku... nie było widać żadnego ruchu... niczego.

Caramon zaczerpnął głęboko tchu i przetarł dłonią twarz. Panował straszny upał i choć stali w tym miejscu zaledwie od kilku minut, jego spocona skóra już pokryła się delikatną warstewką szarego popiołu.

- Gdzie jesteśmy? - spytał opanowanym, wyważonym tonem.

- Ja-ja jestem pewien, że nie mam zielonego pojęcia, Caramonie - oświadczył Tas. Po chwili dodał: - A ty masz?

- Ja zrobiłem wszystko tak, jak mi kazałeś - odparł Caramon niepokojąco spokojnym głosem. - Powiedziałeś, że Gnimsh twierdził, że jedyne co musimy zrobić, to pomyśleć, gdzie chcemy się udać i tam się znajdziemy. Ja wiem, że myślałem o Solące...

- Ja też! - krzyknął Tas. Potem, widząc wściekłe spoj - rzenie Caramona, kender zająknął się. - Przynajmniej myślałem o tym przez większość czasu...

- Większość czasu? - spytał Caramon przerażająco spokojnym tonem.

- Cóż... - Tas przełknął ślinę. - Zda-zdarzyło mi się rzeczywiście raz pomyśleć, ale tylko przez chwileczkę, o tym, jak... hmm... jak wesoło i ciekawie i, cóż, niezwykle, byłoby... ee... zwiedzić... hmm... eem...

- Eem co? - nalegał Caramon.

- A... kkkkkkk...

- A co?

- Kkkkkkkkkk... - wymamrotał Tas. Caramon wciągnął powietrze.

- Księżyc! - wypalił szybko Tas.

- Księżyc! - powtórzył z niedowierzaniem Caramon. - Który księżyc? - spytał po chwili, rozglądając się wokół.

- Och - Tas wzruszył ramionami - którykolwiek z tych trzech. Myślę, że jeden wart drugiego. Podejrzewam, że wszystkie są dość podobne. Oczywiście pominąwszy fakt, że Solinari miałyby wszędzie dookoła błyszczące srebrne skały, Lunitari jaskrawoczerwone, i jak sądzę, ten ostatni byłby cały czarny, choć nie mogę być pewny, bo nigdy nie widziałem...

W tym momencie Caramon warknął i Tas doszedł do wniosku, że lepiej będzie trzymać język za zębami. Czynił tak przez jakieś trzy minuty, podczas których Caramon nadal przyglądał się okolicy z poważnym wyrazem twarzy. Trzeba by jednak silniejszej woli, niż tej, jaką posiadał kender (albo ostrego noża), żeby dłużej powstrzymać go od mówienia.

- Caramonie - wypalił Tas - czy... czy sądzisz, że my rzeczywiście zrobiliśmy to? No wiesz, poleciliśmy na... ee... księżyc? To znaczy, to miejsce z pewnością nie przypomina żadnego innego, w którym byłem przedtem, a te kamienie nie są srebrne, ani czerwone, ani nawet czarne. Są raczej koloru kamiennego, ale...

- Nie zdziwiłbym się wcale - stwierdził posępnie Caramon. - W korlcu zaprowadziłeś nas kiedyś do morskiego portu, który znajdował się w samym środku pustyni...

- To też nie była moja wina! - wykrzyknął urażony Tas. - Nawet Tanis powiedział...

- Aczkolwiek... - Caramon zmarszczył czoło ze zdziwienia - ta okolica rzeczywiście wygląda dziwnie, choć wydaje się w jakiś sposób znajoma.

- Masz rację - stwierdził po chwili Tas, znów przyglądając się posępnemu,

przysypanemu popiołem krajobrazowi. - Skoro już o tym mowa, rzeczywiście coś mi przypomina. Tylko, że... - kender zadygotał - nie przypominam sobie, żebym kiedyś był w tak okropnym miejscu... z wyjątkiem Otchłani - dodał, lecz powiedział to pod nosem.

Podczas ich rozmowy kłębiące się chmury podpływały bliżej, rzucając cień na jałową ziemię. Zerwał się gorący wiatr i zaczął padać drobny deszcz, mieszając się z popiołem unoszącym w powietrzu. Tas miał właśnie zamiar skomentować oślizgłość owego deszczu, gdy nagle, bez ostrzeżenia, świat eksplodował.

Przynajmniej takie było pierwsze wrażenie Tasa. Jaskrawe, oślepiające światło, skwierczenie, trzask, huk, który wstrząsnął ziemią... Po chwili Tas stwierdził, że siedzi w szarym błocie, gapiąc się głupio w dziurę wypaloną w skale nie dalej niż trzydzieści metrów od niego.

- W imię bogów! - jęknął Caramon. Nachylił się i postawił Tasa na nogi. - Nic ci nie jest?

- Chy-chyba nie -- stwierdził Tas, odrobinę wstrząśnięty. Kiedy przyglądał się skale, z chmury znów strzeliła ku ziemi błyskawica, wyrzucając w powietrze kamienie i popiół. - Ojej! To naprawdę było interesujące przeżycie. Choć nie takie, jakie miałbym ochotę natychmiast powtórzyć - dodał pośpiesznie, obawiając się, że niebo, które ciemniało z każdą minutą, mogłoby zechcieć poczęstować go ponownie tym interesującym przeżyciem.

- Bez względu na to, gdzie jesteśmy, lepiej zejdźmy z tych wysokości - mruknął Caramon. - Przynajmniej jest ścieżka. Musi dokądś prowadzić.

Kiedy Tas zerknął w dół zalanego błotem szlaku, a potem na równie zalaną błotem dolinę, przebiegło mu przez głowę, że Gdzie Indziej będzie dokładnie tak samo szaro i paskudnie, jak Tutaj, lecz po jednym spojrzeniu na zaciętą twarz Caramona kender szybko postanowił zatrzymać swoje zdanie dla siebie.

Podczas uciążliwej wędrówki szlakiem przez gęste błoto gorący wiatr wiał jeszcze silniej, wbijając im w ciało drobinki osmolonego drewna, węgielków i popiołu. Pioruny tańczyły wśród drzew, sprawiając wrażenie, że wybuchają jak kule jaskrawozielonych lub niebieskich płomieni. Ziemia dygotała od wstrząsającego ryku grzmotów. A na horyzoncie wciąż gromadziły się chmury. Caramon przyśpieszył kroku.

Schodząc z wysiłkiem ze wzgórza, znaleźli się w miejscu, które, jak wyobrażał sobie Tas, kiedyś musiało być przepiękną doliną. Niegdyś, jak się domyślał, drzewa musiały płonąć jesiennym pomaranczem i złotem, albo mglistą zielenią na wiosnę.

Tu i tam widział wznoszące się spirale dymu, które natychmiast porywał silny wiatr. Z pewnością to od kolejnych uderzeń pioruna, pomyślał. Niemniej jednak, w jakiś dziwny

sposób, to również coś mu przywodziło na myśl. Podobnie jak Caramon, coraz bardziej był przekonany, że zna to miejsce.

Brnąc w błocie i starając się nie zważać na to, co lepkie paskudztwo robiło z jego zielonymi trzewikami i jaskrawoniebieskimi nogawicami, Tas postanowił skorzystać ze starej kenderskiej sztuczki na Okazje, Kiedy Się Zgubisz. Zamknąwszy oczy i opróżniwszy głowę ze wszystkich innych myśli, nakazał swemu umysłowi dostarczyć sobie wizerunku krajobrazu widniejącego przed nim. Kryjąca się za tym dość osobliwa kenderska logika twierdziła, że skoro istniało prawdopodobieństwo, iż jakiś kender w rodzinie Tasslehoffa bez wątplenia był w tej okolicy, wspomnienie zostało jakoś przekazane jego potomkom. O ile nie zostało to nigdy naukowo dowiedzione (gnomowie pracują właśnie nad tym, przekazawszy problem komisji), niewątpliwą prawdą jest, że - do dnia dzisiejszego - nie było doniesienia o zablądzeniu kendera na Krynnie.

W każdym razie Tas, który stał do połowy łydek w błocie, zamknął oczy i postarał się przywołać na myśl obraz otaczającego go krajobrazu. Wizerunek pojawił się tak wyraźny i żywy, że kender poczuł się nieco zaskoczony - bez wątplenia żadna z psychicznych map jego przodków nie była tak doskonała. Były w nim drzewa - gigantyczne drzewa - i góry na horyzoncie oraz jezioro...

Po otwarciu oczu Tas jęknął. Rzeczywiście tu było jezioro! Nie zauważył go wcześniej, pewno dlatego, że miało taki sam szary kolor żużlu, jak przykryty popiołem ląd. Czy była w nim jeszcze woda? A może było wypełnione błotem?

Ciekawe, zastanawiał się Tas, czy wuj Trapspringer był kiedyś na księżycu. Jeśli tak, tłumaczyłoby to, dlaczego poznają tę okolicę. Z pewnością jednak powiedziałyby komuś... Może zrobiłby tak, gdyby gobliny nie zjadły go, zanim miał ku temu okazję. Skoro mowa o jedzeniu, przypomina mi się...

- Caramonie - Tas próbował przekrzyknąć wzmagający się szum wiatru i huk piorunów. - Czy zabrałeś ze sobą wodę? Bo ja nie. Ani jedzenia. Nie spodziewałem się, że będziemy go potrzebować, bo mieliśmy wracać do domu i w ogóle... Ale...

Tas nagle ujrzał coś, co sprawiło, że natychmiast zapomniał o jedzeniu, wodzie i wuju Trapspringerze.

- Och, Caramonie! - Tas chwycił się kurczowo ogromnego wojownika i wskazał na coś. - Spójrz, czy myślisz, że to słońce?

- A cóż innego mogłoby to być? - burknął opryskliwie Caramon, spoglądając na wodnisty, zielonkawożółty krąg, który pojawił się między ciemnymi chmurami. - A wracając do rozmowy, informuję cię, że nie zabrałem wody. Więc lepiej nie wspominaj o tym, co?

- No wiesz, mógłbyś być uprz... - zaczął Tas. Potem zauważył minę Caramona i zamilkł. Ślizgając się w błocie, zatrzymali się w połowie drogi prowadzącej w dół. Gorący wiatr dał dookoła, wydymając pelerynę Caramona i rozwijając kitkę włosów Tasa za jego głową niczym proporzec. Ogromny wojownik spoglądał na jezioro - to samo jezioro, które zauważył Tas. Caramon był blady na twarzy, a oczy miał smutne. Po chwili znów ruszył, brnąc zawzięcie ścieżką. Tas westchnąwszy podążył za nim przez mlaszczące błocko. Podjął decyzję.

- Caramonie - powiedział - chodźmy stąd. Opuścimy to miejsce. Nawet jeśli to jest księżyc, który wuj Trapspringer zapewne odwiedził, zanim zjadły go gobliny, to nie jest przyjemnie. To znaczy na księżycu, a nie kiedy jest się zjadanym przez gobliny, co jak przypuszczam, też nie jest takie miłe, jeśli już się nad tym zastanowić. Prawdę powiedziawszy, ten księżyc jest mniej więcej tak samo nudny, co Otchłań, i bez wątpienia cuchnie równie paskudnie. Poza tym, tam nie chciało mi się pić... Co nie znaczy, że chce mi się teraz - dodał spieszenie, za późno przypomniawszy sobie, że miał o tym nie mówić - ale język tak jakby stanął mi kołkiem, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć, przez co trudno mi mówić. Mamy magiczne urządzenie. - Podniósł do góry wysadzany klejnotami, podobny do berła przedmiot na wypadek, gdyby Caramon zapomniał w ciągu ostatniej pół godziny, jak on wygląda. - I obiecuję... składam solenną przysięgę, że tym razem będę myślał o Solące całym mózgiem. Caramonie?

- Szs, Tas - uciszył go Caramon.

Zeszli na dno doliny, gdzie błoto sięgało Caramonowi do kostek, co dla Tasa znaczyło mniej więcej do pół łydki. Caramon zaczął znów utykać, odnowiła się rana po upadku, w którym skręcił sobie kolano w magicznej fortecy Zhaman. Teraz oprócz zmartwienia na jego twarzy malowało się również cierpienie.

A także coś jeszcze. Coś, co sprawiło, że Tasa przeszły ciarki - wyraz prawdziwego strachu. Spłoszony Tas obejrzał się szybko, zastanawiając się, co takiego zobaczył Caramon. Wydawało mu się, że na dole jest prawie tak samo, jak na górze - szaro, oślizgłe i ohydnie. Nic się nie zmie - niło, poza tym, że robiło się ciemno. Ku uldze Tasa burzowe chmury znów zakryły słońce - chorobliwie wyglądające słońce, od którego szary, ponury krajobraz sprawiał jeszcze gorsze wrażenie. W miarę zbliżania się czarnych chmur padał coraz silniejszy deszcz. Gdyby to pominąć, absolutnie nic nie wskazywało na obecność czegoś przerażającego.

Kender robił, co mógł, żeby milczeć, lecz słowa poniekąd same wyskoczyły mu z ust, zanim zdołał je zatrzymać.

- Co się stało, Caramonie? Niczego nie widzę. Czy dokucza ci kolano? Ja...

- Zamilcz, Tas! - rozkazał Caramon pełnym napięcia głosem. Rozglądał się wokół szeroko rozwartymi oczyma, zaciskając i otwierając nerwowo pięści.

Tas westchnął i zasłoniwszy sobie usta dłonią, by zdusić słowa, postanowił milczeć, choćby miało go to zabić. Kiedy ucichł, nagle dotarło do niego, że wszędzie w okolicy jest tak bardzo cicho. Kiedy huczały grzmoty, niczego nie było słychać, nawet zwykłych dźwięków, które przywykł słyszeć podczas deszczu - wody spływającej z liści i kapiącej na ziemię, wiatru szeleszczącego w gałęziach, ptaków śpiewających deszczowe piosenki i narzekających na mokre piórka...

Tas poczuł dziwne drżenie w środku. Przyjrzał się uważniej osmalonym pniakom drzew. Nawet po spaleniu były ogromne; z pewnością były to największe drzewa, jakie widział w swym życiu, z wyjątkiem...

Tasa ścisnęło w gardle. Liście, jesienne barwy, dym kuchennych palenisk wznoszący się znad doliny, jezioro niebieskie i gładkie jak kryształ...

Mrugnął powiekami i przetarł oczy, by oczyścić je z lepkiej warstewki błota oraz deszczu. Powiódł wzrokiem dokoła, obejrzał się na ścieżkę, na ten ogromny głaz... Spojrzał na jezioro, które widać było całkiem wyraźnie między kikutami spalonych drzew. Popatrzył na góry o ostrych, zębatych szczytach.

To nie wuj Trapspringer był tu przedtem...

- Och, Caramonie! - szepnął, zdjęty zgrozą.

Rozdział II

Co tam? - Caramon odwrócił się i popatrzył na Tasa tak dziwnie, że kender poczuł ciarki przechodzące go od stóp do głów. Na rękach dostał gęsiej skórki.

- N-nic - wyjąkał Tas. - To tylko moja wyobraźnia. Caramonie - dodał z naciskiem. - Chodźmy stąd! Możemy cofnąć się do chwili, gdy byliśmy wszyscy razem, kiedy byliśmy szczęśliwi! Możemy wrócić do czasów, gdy żył Flint i Sturm, kiedy Raistlin wciąż nosił czerwone szaty, a Tika...

- Zamknij się, Tas - warknął ostrzegawczo Caramon, a jego słowem towarzyszył błysk pioruna, od którego nawet kender drgnął.

Wzmógł się wiatr i świszczwał w kikutach martwych drzew, wydając niesamowity dźwięk, jakby ktoś rozdygotany wciągał oddech przez zaciśnięte zęby. Ciepły, oślizgły deszcz przestał padać. Obłoki nad ich głowami oddaliły się, odsłaniając blade słońce jaśniejące na szarym nieboskłonie. Mimo to na horyzoncie chmury nadal się gromadziły i stawały co - raz czarniejsze. Wśród nich migotały wielobarwne błyskawice, obdarzając je odległym, groźnym pięknem.

Caramon zaczął iść błotnistą dróżką, zaciskając zęby z bólu, który przeszywał jego zranioną nogę. Jednakże Tas po spojrzeniu w dół ścieżki, którą teraz znał tak dobrze mimo jej przerażającej odmienności - sięgnął wzrokiem aż do miejsca, w którym zakręcała. Wiedział, co znajduje się za tym zakrętem, więc nie ruszył się z miejsca, stając zdecydowanie pośrodku drogi i wbijając wzrok w plecy Caramona.

Po kilku chwilach niecodziennej ciszy Caramon zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku i obejrzał się. Zatrzymał się. Ból i zmęczenie dawały o sobie znać.

- No chodźże, Tas! - powiedział z irytacją. Okręcając kitkę włosów wokół palca, Tas pokręcił przecząco głową.

Caramon utkwiał w nim wściekły wzrok.

Tas wreszcie wybuchnął: - Caramonie, to są drzewa vallen!

Surowe oblicze ogromnego wojownika złagodniało. Wiem, Tas - stwierdził ze znużeniem mężczyzna. - To jest Solące.

- Nie, nieprawda! - wykrzyknął Tas. - To-to tylko jakaś inna okolica, gdzie rosną valleny! Musi być wiele miejsc, gdzie rosną drzewa vallen...!

- I jest wiele miejsc, gdzie jest jezioro Crystalmir albo góry Kharolis, albo ten głąz na górze, gdzie obaj widzieliśmy siedzącego i rzeźbiącego w drewnie Flinta, albo ta droga, która prowadzi do...

- Nie możesz o tym wiedzieć! - wrzasnął rozgniewany Tas. - To niemożliwe! - Nagle rzucił się biegiem przed siebie, albo raczej próbował, ciągnąc za sobą nogi w grząskim, lepkiem błocie najszybciej, jak było to możliwe. Zderzywszy się z Caramonem, chwycił go za rękę i szarpnął za nią. - Chodźmy! Chodźmy stąd! - Znow uniósł w górę urządzenie do podróży w czasie. - Możemy... możemy wrócić do Tarsis! Tam, gdzie smoki zawały na mnie budynek! To były fajne czasy, bardzo ciekawe. Pamiętasz? Jego wysoki głos dźwięczał piskliwie wśród wypalonych drzew.

Caramon nachylił się i z zaciętą miną wyrwał magiczny przedmiot z ręki kendera. Nie zważając na rozpaczliwe protesty Tasa, wziął urządzenie i zaczął obracać klejnoty, stopniowo zmieniając błyszczące berło w prosty, nie wyróżniający się niczym wisior. Tas obserwował go z żalną miną.

- Dlaczego nie pójdziemy stąd, Caramonie? Tu jest okropnie. Nie mamy jedzenia ani wody, a z tego, co widziałem, istnieje niewielka szansa, że znajdziemy jedno czy drugie. Oprócz tego, jeśli trafi nas któryś z tych piorunów, pewno zostanie po nas tylko mokra plama. Burza zbliża się coraz bardziej, a ty wiesz przecież, że to nie jest Solące...

- Nie wiem, Tas - powiedział cicho Caramon ale zamierzam się dowiedzieć. Co się stało? Nie jesteś ciekaw? Od kiedy to kender odtrąca okazję przeżycia przygody? - Znow zaczął kuśtykać w dół ścieżki.

- Jestem równie wścibski jak każdy inny kender wymamrotał Tas, spuszczać głowę i człapiąc za Caramonem. - Jednak co innego być ciekawym miejsca, którego nigdy przedtem się nie widziało, a co innego być ciekawym własnego domu. Nie powinno się być ciekawym domu! Dom nie powinien się zmieniać. Po prostu jest i czeka, aż wrócisz. Dom to miejsce, gdzie mówisz: „Ojej, wygląda zupełnie tak samo, jak wtedy, gdy odchodziłem!”, a nie: „Ojej, wygląda, jakby przeleciało tędy sześć milionów smoków!” Dom nie jest miejscem na przygody, Caramonie!

Tas zerknął na Caramona, żeby zobaczyć, czy jego argumentacja odniosła jakiś skutek. Jeśli tak, nie było tego widać. Na cierpiącej twarzy mężczyzny malowała się surowa stanowczość, która raczej zaskoczyła Tasa; zaskoczyła go i wystraszyła.

Caramon zmienił się, uświadomił sobie nagle Tas. I to nie tylko z powodu rzucaenia krasnoludzkiej gorzałki. Jest ja - kiś inny - poważniejszy i... cóż, chyba sprawia wrażenie odpowiedzialnego. Jest w nim jednak coś jeszcze. Tas zamyślił się głęboko. Duma, doszedł do wniosku po chwili poważnego zastanowienia. Duma z siebie, duma i zawziętość.

To nie jest Caramon, który łatwo się podda, pomyślał Tas niewesoło. To nie jest Caramon, który potrzebuje kendera strzegącego go przed nieszczęściami i karczmami. Tas

westchnął żałośnie. Brakowało mu tego starego Caramona.

Dotarli do zakrętu drogi. Obaj poznali go, choć żaden nic nie powiedział - Caramon, ponieważ nie było nic do powiedzenia, a Tas, ponieważ zaciekle odmawiał przyznania się, że go rozpoznał. Obydwu jednakże ciężko było uczynić następny krok.

Niegdyś podróżni wyłaniający się zza tego zakrętu widzieliby rozświetloną gospodę Ostatni Dom. Poczuliby zapach korzennych ziemniaków Otika, słyszeliby śmiech i pieśni dobiegające zza drzwi za każdym razem, gdy otwierały się, by wpuścić wędrowca albo stałego bywalca z Solące. Choć nie zawarli żadnej umowy, zarówno Caramon, jak i Tas zatrzymali się przed tym zakrętem.

Wciąż nic nie mówiąc, każdy z nich rozejrzał się po pustkowiu, wypalonych i strzaskanych kikutach drzew, przysypanej popiołem ziemi i poczerniałych skałach. W uszach rozbrzmiewała im cisza głośniejsza i bardziej przerażająca od dudniących gromów. Obaj bowiem wiedzieli, że powinni byli usłyszeć Solące, nawet jeśli jeszcze go nie widzieli. Powinni byli usłyszeć odgłosy miasteczka - hałas kuźni i dnia targowego, głosy obnośnych sprzedawców, dzieci i przekupniów, zgiełk dochodzący z gospody.

Nie było jednakże słyhać niczego prócz ciszy i głuchego, złowieszczonego pomruku grzmotów.

Wreszcie Caramon westchnął. - Chodźmy - rzekł i pokuśtykał naprzód.

Tas ruszył za nim wolniej, bowiem trzewiki miał tak oblepione błotem, że ciążyły mu jak podkute żelazem krasnoludzkie buciory. Jego buty jednakże nawet w połowie nie były tak ciężkie, jak ciężko mu było na duszy. Cały czas mrucał pod nosem: - To nie jest Solące, to nie jest Solące, to nie jest Solące - aż zaczęło to brzmieć jak jedno z magicznych zaklęć Raistlina.

Po wyjściu zza zakrętu Tas bojaźliwie podniósł oczy.....i odetchnął głęboko z ulgą.

- A co, nie mówiłem, Caramonie? - krzyknął wśród wycia wichru. - Patrz, tu nic nie ma, zupełnie nic. - Wcisnął swą małą rączkę w olbrzymią dłoń Caramona i spróbował pociągnąć go do tyłu. - Chodźmy już. Mam pomysł. Możemy wrócić do czasów, kiedy Fizban wyczarował z nieba złote przęsło...

Jednak Caramon, odtrąciwszy kendera, pokuśtykał naprzód z zaciętą miną. Zatrzymał się i wbił wzrok w ziemię. - W takim razie, co to jest, Tas? - spytał przerażonym głosem.

Żując nerwowo koniec swej kitki, kender podszedł do Caramona.

- Co to jest? - pytał uparcie Caramon, wskazując na ziemię.

Tas prychnął. - No więc, to rzeczywiście wielka, oczyszczona powierzchnia gruntu. Zgoda, może coś tu kiedyś było. Może stał tu jakiś duży budynek, ale teraz już go nie ma,

więc o co to całe zamieszanie? Wiesz - och, Caramonie!

Zranione kolano wielkiego mężczyzny nagle nie wytrzymało dłużej. Caramon zachwiał się i upadłby, gdyby nie podtrzymał go Tas. Z pomocą kendera wojownik dotarł do pniaka, który kiedyś był wyjątkowo dużym drzewem vallen. Oparłszy się o pień, mężczyzna rozcierał bolące miejsce. Jego oblicze było blade i ociekało potem.

- Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? - spytał przejęty Tas, załamując ręce. - Wiem! Znajdę ci kulę! Tu musi leżeć mnóstwo ułamanych gałęzi. Pójdę poszukać.

Caramon nic nie powiedział, tylko pokiwał głową ze znużenia.

Tas oddalił się biegiem, bystrym wzrokiem przeszukując szary, oślizgły grunt, zadowolony, że ma coś do roboty i nie musi odpowiadać na pytania dotyczące głupich pustych przestrzeni. Wkrótce kender znalazł to, czego szukał - koniec sterczącej z mułu gałęzi. Złapał ją i szarpnął. Ręce ześlizgły mu się z mokrego patyka, skutkiem czego przewrócił się na plecy. Wstał i żałośnie przyjrzał się szlamowi na swych niebieskich nogawicach, bezskutecznie próbując go zetrzeć. Potem westchnął i znów zawzięcie chwycił gałąź. Tym razem poczuł, że się trochę obluźowała.

- Prawie już ją mam, Caramonie! - zameldował. Już...

Przez wycie wichru przedarł się całkowicie niekenderski wrzask. Zaniepokojony Caramon podniósł głowę i zobaczył, jak kitka Tasa znika w olbrzymim zapadlisku, które najwyraźniej otworzyło się pod jego stopami.

- Już idę, Tas! - zawołał Caramon, brnąc naprzód. Trzymaj się...

Jednakże zatrzymał się na widok Tasa wyczołgującego się z dziury. Takiej miny, jaką miał kender, Caramon jeszcze nie widział. Tas był biały jak ściana, wargi miał poblądłe, a oczy wytrzeszczone i nieruchome.

- Nie zbliżaj się, Caramonie - wyszeptał Tas, zatrzymując go wyciągniętą przed siebie ubłoconą rączką. Proszę, nie podchodź!

Było już jednak za późno. Caramon doszedł do brzegu jamy i zajrzał do środka. Tas, skulony obok niego na ziemi, zaczął się trząść i szlochać. - Oni wszyscy nie żyją - wyszeptał. - Wszyscy nie żyją. - Wtuliwszy głowę w ramiona, zaczął się kołysać w przód i w tył, gorzko płacząc.

Na dnie wyłożonej kamieniami dziury, którą przykryła gruba warstwa błota, leżały trupy, sterty trupów, trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Niektóre zakonserwowane przez muł zwłoki wciąż były żałośnie rozpoznawalne - a przynajmniej tak wydawało się rozgorączkowanemu Caramonowi. Na myśl mu przyszedł ostatni masowy grób, jaki widział - zadżumiona osada, którą znalazła Crysania. Przypomniał sobie rozgniewaną, pełną żalości

twarz brata. Przypomniawszy sobie, jak Raistlin przywołał błyskawice i spalił wszystko, spalił wioskę na popiół.

Caramon zacisnął zęby i zdobył się na to, by zajrzeć do grobu - by poszukać masy rudych loków...

Odwrócił się z pełnym drżenia szlochaniem ulgi, a później popędził w stronę gospody, rozglądając się dziko. - Tika! - wrzasnął.

Tas podniósł głowę i zerwał się z niepokojem. - Caramonie! - zawołał, po czym poślizgnął się w błocie i upadł.

- Tika! - wrzeszczał ochryple Caramon wśród wycia wiatru i odległych grzmotów. Najwyraźniej zapomniawszy o bólu zranionej nogi, chwiejnym krokiem wyszedł na rozległy, pusty obszar, na którym nie było pniaków drzew na drogę wiodącą obok gospody, odnotował umysł Tasa, choć kender nie pomyślał o tym jasno. Kender podniósł się i pobiegł za Caramonem, lecz brodzący w błocie olbrzymi mężczyzna szybko posuwał się naprzód, trwoga bowiem i nadzieja dodawały mu sił.

Tas wkrótce stracił go z oczu, Caramon zniknął wśród zwęglonych kikutów drzew, lecz kender wciąż jeszcze słyszał, jak Caramon woła Tikę. Teraz już wiedział, dokąd idzie zwalisty mężczyzna. Zwolnił kroku. Głowa bolała go od upału i cuchnących wyziewów, a serce krajało mu się od widoku tego, co przed chwilą zobaczył. Kender sunął przed siebie, powłócząc nogami w ciężkich, ubłoconych butach, zdjęty lękiem na myśl o tym, co zastanie na miejscu.

Zgodnie z oczekiwaniami, zobaczył tam Caramona stojącego na pustej przestrzeni przy kolejnym pniaku drzewa vallen. Mężczyzna trzymał coś w ręku i patrzył na to z miną osoby wreszcie pokonanej.

Umorowany błotem, żalony i nieszczęśliwy kender podszedł i stanął obok niego. - Co to? - spytał drżącym głosem, wskazując na przedmiot w dłoni wielkiego mężczyzny.

- Młotek - wydusił z siebie Caramon. - Mój młotek.

Tas przyjrzał mu się. Rzeczywiście, to był młotek. A przynajmniej na to wyglądało. Drewniany trzonek spalił się do trzech czwartych długości. Został jedynie kawałek nadpalonego drewna i osmalony od płomienia metalowy bijak.

- Skąd-skąd możesz być pewien? - zająknął się kender, wciąż walcząc ze sobą, wciąż nie chcąc uwierzyć.

- Jestem pewny - rzekł z goryczą Caramon. - Spójrz na to. - Trzonek był rozklekotany, a bijak zakotłosał się pod dotknięciem. - Zrobiłem go, kiedy... kiedy jeszcze piłem. - Wytarł oczy dłonią. - Nie jest zrobiony najlepiej. Bijak co chwilę odpadał. Ale w końcu - zaszlochał -

nigdy i tak dużo nim nie zrobiłem.

Caramon był zmęczony biegiem i nagle jego zraniona noga odmówiła posłuszeństwa. Tym razem wojownik nawet nie próbował przytrzymać się, tylko osunął się w błoto. Siedząc na skrawku gołej ziemi, która kiedyś była jego domem, ścisnął młotek w rękę i zaczął płakać.

Tas odwrócił głowę. Żal ogromnego mężczyzny był świętością, czymś zbyt osobistym nawet dla jego oczu. Nie zważając na własne łyzy, Tas rozejrzał się w przygnębieniu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bezradny, tak zagubiony i samotny. Co się stało? Co złego się wydarzyło? Przecież musi istnieć jakaś wskazówka, jakaś odpowiedź.

- Pójdę-pójdę się rozejrzeć - wymamrotał do Caramona, który go nie słyszał.

Westchnąwszy, Tas ruszył się z trudem. Oczywiście wiedział już, gdzie jest. Nie mógł dłużej temu zaprzeczać. Dom Caramona stał w pobliżu środka miasteczka, niedaleko gospody. Tas poszedł dalej wzdłuż niegdyś ulicy biegnącej pomiędzy rzędami domów. Choć nic się nie uchowało - ani domy, ani ulica, ani drzewa vallen, które podtrzymywały domy - doskonale wiedział, gdzie się znajduje. Żałował, że nie jest inaczej. Tu i tam zauważył gałęzie ster - czące ze szlamu i zadrżał... nie było bowiem niczego więcej. Niczego, z wyjątkiem...

- Caramonie! - krzyknął Tas wdzięczny, że znalazł coś, co może zbadać. Miał również nadzieję, że dzięki temu Caramon zapomni o żalu. - Caramonie, wydaje mi się, że powinieneś to zobaczyć!

Olbrzymi mężczyzna nadal go jednak ignorował, więc Tas sam poszedł przyjrzeć się obiektowi. Na samym końcu ulicy, gdzie kiedyś znajdował się mały park, stał kamienny obelisk. Tas pamiętał park, ale nie pamiętał obelisku. Podczas oględzin uświadomił sobie, że kiedy ostatni raz odwiedzał Solące, nie było go tam.

Pomnik był wysoki i topornie ociosany, niemniej przetrzymał szalejące wiatry, burze i pożary. Jego powierzchnia była osmalona i nadpalona, lecz po zbliżeniu się Tas spostrzegł wykute w nim litery. Wydawało mu się, że kiedy oczyści je z błota, zdoła je odczytać.

Tas stał sadzę i warstewkę mułu pokrywającą kamień, przyglądał mu się dłuższą chwilę, po czym zawołał cicho: - Caramonie!

Osobliwa nuta w głosie kendera przedarła się przez mgłę smutku Caramona. Wojownik podniósł głowę. Widząc dziwny obelisk i niewzruszająco poważną minę Tasa, wielki mężczyzna z bólem podniósł się i utykając, podszedł do niego.

- Co to jest? - spytał.

Tas nie umiał odpowiedzieć. Pokręcił jedynie głową i wskazał.

Caramon podszedł do pomnika i stanął, czytając w milczeniu topornie wyryte litery i

nie dokończony napis.

Bohaterka Lancy

Tika Waylan Majere

Rok śmierci 358

Drzewo twego życia padło zbyt wcześnie.

Boję się, aby siekiery nie znaleziono w mych rakach.

- Tak-tak mi przykro, Caramonie - wymamrotał Tas, wsuwając dłoń pomiędzy bezwładne, nieczułe palce zwałistego mężczyzny.

Caramon zwiesił głowę. Położywszy dłoń na obelisku, pogłaskał jego zimną, mokną powierzchnię. Wokół nich świszczął wiatr. Kilka kropel deszczu rozprysnęło się na kamieniu.

- Umarła samotnie - powiedział. Zacisnąwszy pięść, uderzył nią w skałę, rozcinając sobie dłoń o ostre krawędzie. - Zostawiłem ją samą! Powinienem być być tutaj! Do licha, powinienem być być tutaj!

Barki zaczęły mu dygotać od szlochu. Tas spojrzął na burzowe chmury i uświadomiwszy sobie, że znów zbliżają się, ścisnął mocno dłoń Caramona.

- Nie sądzę, Caramonie, abyś mógł cokolwiek poradzić na to, gdybyś tu był... - zaczął szczerze kender.

Nagle zamilkł, niemal przygryzając sobie przy okazji język. Wypuściwszy dłoń Caramona - wielki mężczyzna nawet tego nie zauważył - kender usiadł w mule. Jego bystre oczy dostrzegły coś błyszczącego w chorobliwych promieniach bladego słońca. Wyciągnąwszy drżącą rękę, Tas spiesznie odgarniał błoto.

- W imię bogów - rzekł z lękiem, przykucając na piętach. - Caramonie, ty byłeś tutaj!

- Co takiego? - warknął wojownik. Tas wskazał.

Unosząc głowę, Caramon odwrócił się i popatrzył w dół. Tam, u jego stóp leżały jego własne zwłoki.

Rozdział III

Przynajmniej wyglądały jak zwłoki Caramona. Trup był ubrany w zbroję, którą Caramon zdobył w Solamnii - zbroję, którą nosił podczas wojny Bramy Krasnoludów, którą miał na sobie, gdy wraz z Tasem opuszczali Zhaman, zbroję, w którą teraz był ubrany...

Jednakże poza tym nie było niczego szczególnego, co mogłoby identyfikować ciało. W odróżnieniu od ciał odkrytych przez Tasa, które zakonserwowały się pod warstwą błota, te zwłoki leżały stosunkowo blisko powierzchni i uległy rozkładowi. Został jedynie szkielet najwyraźniej potężnego mężczyzny leżącego u stóp obelisku. Jedna ręka ściskająca dłuto spoczywała bezpośrednio pod kamiennym pomnikiem, jakby ostatnim czynem mężczyzny było wykucie tego końcowego, straszliwego zdania.

Nie było śladu tego, co go zabiło.

- Co tu się dzieje, Caramonie? - spytał drżącym głosem Tas. - Jeśli to ty, i nie żyjesz, to jak możesz być jednocześnie tutaj? - Nagle coś mu przyszło do głowy. - Och, nie! A jeśli ciebie tu nie ma! - Złapał się za włosy i zaczął je skręcać. - Jeśli ciebie tu nie ma, w takim razie wymyśliłem cię. Ojej! - jęknął Tas. - Nigdy nie sądziłem, że mam taką bujną wyobraźnię. Ty rzeczywiście wyglądasz prawdziwie. - Wyciągnął drżącą rękę i dotknął Caramona. - Jesteś prawdziwy w dotyku i nie obraź się, ale nawet śmierdzisz prawdziwie! - Tas załamał rączki.

- Caramonie! Tracę rozum - krzyknął niczym opętany.

- Jak jeden z tych czarnych krasnoludów w Thorbardinie!

- Nie, Tas - mruknął Caramon. - To wszystko jest prawdziwe. Aż zbyt prawdziwe. - Spojrzał na trupa, a potem na pomnik, który ledwie teraz było widać w szybko zapadającym zmroku. - I zaczyna mieć sens. Gdybym tylko mógł... - przerwał, wbijając uważnie wzrok w obelisk.

- Właśnie! Tas, spójrz na datę wyrytą na pomniku!

Tas z westchnieniem uniósł głowę. - Trzysta pięćdziesiąt osiem - przeczytał zobojętniałym głosem. Wtem rozwarł szeroko oczy. - Trzysta pięćdziesiąt osiem? - powtórzył. - Caramonie, przecież był rok trzysta pięćdziesiąty szósty, kiedy opuszczaliśmy Solące!

- Zaszliśmy zbyt daleko, Tas - szepnął zdjęty lękiem Caramon. - Znaleźliśmy się w przyszłości.

Kłębiące się chmury, których gromadzeniu się na horyzoncie przyglądali się jak wojskom zbierającym siły do ostatniego ataku, ruszyły tuż przed zapadnięciem zmroku,

litościwie unicestwiając ostatnie nieliczne chwile istnienia ginącego słońca.

Burza rozszalała się szybko i z niewiarygodną wściekłością. Podmuch gorącego wichru ściał Tasa z nóg i cisnął Caramona plecami o obelisk. Potem lunął deszcz, zasypując ich kroplami przypominającymi stopiony ołów. Grad bił ich po głowach, kalecząc i siniacząc ciało.

Bardziej przerażające jednakże od wiatru i deszczu były wielobarwne błyskawice, które strzelały z chmur w ziemię, trafiając w kikuty drzew, roztrzaskując je i zmieniając w ku - 33 ^ _____ le jaskrawego ognia widocznego z odległości kilometrów. Głuche dudnienie grzmotów rozlegało się bezustannie, wstrząsało ziemią, wprawiało zmysły w odrętwienie.

W rozpaczliwej próbie znalezienia schronienia przed gwałtowną burzą Tas i Caramon przykucnęli pod zwalonym vallenem i skulili się w jamie, jaką Caramon wygrzebał w szarym, grząskim błocie. Zza tej skąpej osłony przyglądali się z niedowierzaniem, jak nawałnica dokonuje kolejnych zniszczeń na już martwej ziemi. Ogień lizał zbocza gór; czuli swąd spalonego drewna. W pobliżu uderzył piorun, rozłupując drzewa i wyrzucając w powietrze olbrzymie grudy ziemi. Wstrząsający huk gromu uderzył ich w uszy.

Jedynym błogosławieństwem burzy była deszczówka. Caramon wystawił na zewnątrz hełm, odwrócił go i niemal natychmiast zebrał dość wody, by się napić. Miała jednakże ohydny smak - jakby zgniłych jaj, wykrzyknął Tas, trzymając się za nos podczas picia - i niewiele przyczyniła się do ugaszenia ich pragnienia.

Żaden nie wspomniał, chociaż obaj pomyśleli o tym, że zupełnie nie mieli jak zgromadzić wody, ani że nie mieli nic do jedzenia.

Tasslehoff, który wrócił już do siebie (wiedział już, gdzie jest, chociaż jeszcze niezupełnie dlaczego i jak tu się znalazł), cieszył się z burzy przez mniej więcej pierwszą godzinę.

- Nigdy nie widziałem błyskawicy w takim kolorze krzyknął przez donośny łoskot gromu i przyglądał jej się z niezmiernym zainteresowaniem. - To równie dobre, jak pokaz ulicznego iluzjonisty! - Niemniej wkrótce widowisko znudziło mu się.

- W końcu - wrzasnął - nawet przyglądanie się wysadzaniu drzew w powietrze traci nieco za pięćdziesiątym razem! Jeśli nie będziesz czuł się samotny, Caramonie dodał, ziewając tak, że mu omal szczęki nie wypadły z zawiasów - to myślę, że się troszeczkę zdrzemnę. Nie masz nic przeciwko zostaniu na warcie, prawda?

Caramon pokręcił głową, chcąc odpowiedzieć, gdy przeraźliwy huk sprawił, że wojownik podskoczył. Kikut drzewa w odległości nie większej, niż trzydzieści metrów od

nich, zniknął w kuli niebieskozielonych płomieni.

To mogliśmy być my, pomyślał Caramon, spoglądając na dymiące popioły i marszcząc nos, czując woń siarki. Możemy być następni! Ogarnęła go dzika chęć ucieczki, pragnienie tak przemożne, że mięśnie zaczęły mu drżeć i musiał zmusić się do pozostania w miejscu.

Tam czeka pewna śmierć. Przynajmniej tu, w tej dziurze jesteśmy poniżej poziomu gruntu. Mimo to na jego oczach piorun zrobił gigantyczną jamę w ziemi i Caramon uśmiechnął się gorzko. Nie, nigdzie nie jest bezpiecznie. Będziemy musieli przeczekać burzę i ufać bogom.

Zerknął na Tasa, gotów powiedzieć kenderowi coś pocieszającego. Słowa zamarły mu na wargach. Westchnął i potrząsnął głową. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają - wśród nich kenderzy. Całkowicie nieświadom szalejącej wokół niego grozy Tas zwinął się w kłębek i spał mocno.

Caramon wcisnął się głębiej w jamę, nie spuszczać oczu ze skłębionych, przesytych błyskawicami chmur nad jego głową. Aby zapomnieć o strachu, zaczął próbować zrozumieć, co się stało, jak znaleźli się w tym położeniu. Zamknawszy oczy z powodu oślepiających piorunów, ujrzał - raz jeszcze - swego bliźniaka stojącego przed straszliwym portalem. Słyszał głos Raistlina, wzywający pięć smoczycich głów, które strzegły portalu, aby otworzyły go i pozwoliły mu wejść do Otchłani. Ujrzał Crysanię, kapłankę Paladine'a, modlącą się do swego boga, pogrążoną w ekstazie wiary, zaślepioną na zło jego brata.

Caramon wzdrygnął się, słysząc słowa Raistlina tak wyraźnie, jakby arcymag stał obok niego.

Ona wejdzie ze mną do Otchłani. Bądźcie iść przede mną i toczyć za mnie boje. Czekają ją kapłani ciemności, czarodzieje mroku, duchy zmarłych skazanych na wędrowanie po tej przeklętej krainie, a także niewyobrażalne katusze, jakie potrafi wymyślić moja Królowa. Wszystko to porani jej ciało, pożre jej umysł i rozszarpie duszę. Wreszcie kiedy nie będzie już mogła znieść więcej, padnie na ziemię u mych stóp... brocząca krwią, żałosna, konająca.

Ostatkiem sił wyciągnie do mnie raka po pociechę. Nie poprosi mnie, bym ją ratował. Na to jest zbyt silna. Odda swe życie za mnie chętnie i z radością. Jedyne o co mnie poprosi, to o to, bym został przy niej do śmierci.

Ale ja wyminą ją, Caramonie. Przejdą obok niej bez jednego spojrzenia, bez słowa. Dlaczego? Bo nie bada już jej potrzebował...

Po usłyszeniu tych słów Caramon pojął wreszcie, że jego brata nie można już ocalić.

Tak więc opuścił go.

Niech idzie do Otchłani, myślał z goryczą Caramon. Niech rzuca wyzwanie Królowej Ciemności. Niech zostanie bogiem. Mnie to nie obchodzi. Nie dbam już o to, co się z nim stanie. Wreszcie się od niego uwolniłem - tak jak i on ode mnie.

Caramon i Tas uruchomili czarodziejski przedmiot, recytując wiersz, jaki Par-Salian nauczył ogromnego mężczyznę. Usłyszał śpiew kamieni, tak jak słyszał je podczas dwóch poprzednich razy, gdy był obecny przy rzucaniu zaklęcia podróży w czasie.

Wtedy jednakże coś się wydarzyło. Coś odmiennego. Teraz, kiedy miał czas pomyśleć, przypomniał sobie, jak zdjęty nagłą paniką zastanawiał się, czy przypadkiem nie stało się coś złego, ale nie potrafił zgadnąć, co.

Zresztą nic bym na to i tak nie mógł poradzić, pomyślał z goryczą. Nigdy nie rozumiałem magii - nigdy jej nie ufałem, jeśli już o to chodzi.

Kolejne bliskie uderzenie pioruna wyrwało go ze skupienia i nawet sprawiło, że Tas podskoczył przez sen. Mrucząc z irytacji, kender zasłonił oczy dłońmi i spał dalej, wyglądając jak suseł zwinięty w kłębek w swej norce.

Caramon z westchnieniem oderwał uwagę od burzy i Ta - są, powracając znów do tych ostatnich kilku chwil, gdy zadziałało czarodziejskie zaklęcie.

Pamiętam uczucie rozciągania, uświadomił sobie niespodziewanie, zniekształcającego rozciągania, jakby jakaś siła próbowała ciągnąć mnie w jedną stronę, podczas gdy druga szarpała w przeciwnym kierunku. Co wtedy robił Raistlin? Caramon z wysiłkiem starał się to sobie przypomnieć. Przed oczami stanął mu niewyraźny obraz brata. Zobaczył Raistlina, który zszokowany i z twarzą wykrzywioną przerażeniem patrzył na portal. Widział Crysanie, która stała w portalu, lecz nie modliła się już do swego boga. Wydawało się, że jej ciałem szarpie ból, oczy miała rozszerzone z przerażenia.

Caramon zadrżał i oblizał wargi. Gorzkie kropelki wody zostawiły po sobie jakąś otoczkę, od której w ustach miał taki smak, jakby żuł zardzewiałe gwoździe. Splunął, wytarł wargi dłonią i ciężko oparł się o drzewo. Kolejny wybuch wywołał u niego dreszcze. Taki sam był skutek odpowiedzi.

Jego brat doznał porażki.

Raistlinowi przydarzyło się to samo, co Fistantilusowi. Stracił panowanie nad magią. Magiczne pole urządzenia do podróży w czasie bez wątpienia zakłóciło czar, jaki rzucał. Było to jedyne wyjaśnienie...

Caramon zmarszczył brwi. Nie, z pewnością Raistlin musiał przewidzieć możliwość zaistnienia takiego wypadku. Skoro tak, powstrzymałby nas przed użyciem urządzenia,

zabiłby ich tak samo, jak zabił przyjaciela Tasa, tego gнома.

Potrząsając głową, by mu się w niej przejaśniło, Caramon zaczął od początku, mozoląc się nad tym problemem zupełnie jak niegdyś nad znieawidzonymi rachunkami, których uczyła go w dzieciństwie matka. Magiczne pole zostało naruszone, to nie ulegało wątpliwości. Rzuciło go wraz z kenderem za daleko w przód, w przyszłość.

Co oznacza, jak sądzę, że wystarczy, bym uruchomił to urządzenie, a zabierze nas z powrotem do teraźniejszości, z powrotem do Tiki, do Solące...

Otworzył oczy i rozejrzał się. Czy po powrocie będzie ich jednak czekać taka sama przyszłość?

Caramon zadygotał. Był przemoczony do suchej nitki. Noc robiła się chłodna, ale to nie zimno mu dokuczało. Wiedział, co to znaczy żyć ze świadomością tego, co się wydarzy w przyszłości. Wiedział, co to znaczy żyć bez nadziei. Jakże mógł wrócić i spojrzeć w twarz Tice i przyjaciółom, wiedząc, że czeka ich taki los? Pomyślał o nieboszczyku leżącym pod pomnikiem. Jak mogę wrócić, wiedząc, co mnie czeka?

Jeśli to był on. Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z bratem. Tas zmienił bieg czasu - tak powiedział Raistlin. A ponieważ kenderzy, krasnoludowie i gnomowie byli rasami stworzonymi przez przypadek, a nie zaplanowanymi, nie znajdowali się w nurcie czasu, jak rasy ludzi, elfów i ogrów. Tak więc kenderom zabroniono podróży w przeszłość, ponieważ mieli moc jej zmienienia.

Tas jednak został wysłany przez przypadek, kiedy wskoczył w magiczne pole w chwili, gdy Par-Salian, przełożony Wieży Najwyższej Magii, rzucał zaklęcie, by wysłać w przeszłość Caramona i Crysanię. Tas zmienił czas. W związku z tym Raistlin wiedział, że nie jest skazany na los Fistantilusa. Był w stanie zmienić zakończenie. Mimo iż Fistantilus zginął, Raistlin mógł przeżyć.

Caramon zgarbił się. Nagle poczuł mdłości i zawrót głowy. Co to mogło znaczyć? Co on tu robi? Jak może być martwy i żywy jednocześnie? Czy chociaż były to jego zwłoki? Tas odmienił bieg czasu, a więc mógł to być ktoś inny. Ale - co najważniejsze - co się stało z Solące?

- Czy to dzieło Raistlina? - mruknął do siebie Caramon, tylko po to, by usłyszeć dźwięk swego głosu wśród błysków światła i wstrząsających huków. - Czy to ma coś z nim wspólnego? Czy to się stało, ponieważ poniósł klęskę, czy...

Caramon wstrzymał oddech. Tas obok niego poruszył się we śnie, jęknął i krzyknął głośno. Caramon poklepał go z roztargnieniem. - Zły sen - rzekł, czując, jak ciało kendera drży pod jego ręką. - To zły sen, Tas. Śpij spokojnie.

Tas przewrócił się na drugi bok, przyciskając swe małe ciało do Caramona, rękoma wciąż zasłaniając oczy. Wojownik poklepywał go uspokajająco.

Zły sen. Chciałby, aby to wszystko okazało się tylko snem. Wręcz rozpaczliwie pragnął obudzić się w swoim łóżku, nawet z bólem głowy od wypicia za dużo. Chciał usłyszeć Tikę, która trzaska talerzami w kuchni i wyzywa go od leniwych, pijanych nierobów, jednocześnie szykując mu jego ulubione śniadanie. Chciałby móc kontynuować tę żalną, zamroczoną alkoholem egzystencję, wtedy bowiem umarłby, umarłby w nieświadomości...

Och, proszę, niech to okaże się snem!, modlił się Caramon, spuszczać głowę na kolana i czując, jak gorzkie łzy napływają mu pod zamknięte powieki.

Siedział tak, nie zwracając już uwagi na burzę, przytłoczony ciężarem nagłego zrozumienia. Tas westchnął i zadrżał, lecz wciąż spał cicho. Caramon nie drgnął. Nie usnął. Nie mógł. Sen, w którym błdził, był snem na jawie, rzeczywistym koszmarem. Potrzebował tylko jednego, by potwierdzić to, co w głębi serca czuł.

Nawałnica cichła powoli, oddalając się na południe. Caramon dosłownie czuł, jak burza odchodzi, jak grzmoty przemierzają ziemię niczym kroki olbrzyma. Kiedy wszystko się skończyło, cisza dzwoniła mu w uszach głośniejszą niż ogłuszający piorun. Wiedział, że teraz niebo będzie czyste. Czyste aż do następnej burzy. Zobaczy księżycy i gwiazdy...

Gwiazdy...

Musiał jedynie podnieść głowę i spojrzeć w niebo, to czyste niebo, by dowiedzieć się...

Przez następną chwilę siedział, pragnąc poczuć zapach przyprawionych korzeniami ziemniaków Otika, przywołać śmiech Tiki dla rozproszenia ciszy, a pijacki ból głowy do zastąpienia tej straszliwej męki serca.

Nie było jednakże niczego. Tylko cisza martwej, jałowej ziemi, przerywana przez odległe, ledwo słyszalne grzmienie.

Westchnąwszy cichutko, ledwo słyszalnie nawet dla samego siebie, Caramon uniósł głowę i spojrzął w niebo.

Przełknął gorzką ślinę w ustach, niemal krztusząc się. Łzy szczypały go w oczy, zamrugał, żeby widzieć wyraźnie.

Oto potwierdzenie jego obaw, przypiecztowanie jego zguby.

Nowy gwiazdozbiór na niebie.

Klepsydra.

- Co to oznacza? - spytał Tas, przecierając oczy i gapiąc się półprzytomnie na gwiazdy, ledwie w połowie obudzony.

- To oznacza, że Raistlinowi się powiodło - odparł Caramon z dziwną mieszanką strachu, smutku i dumy w głosie. - To znaczy, że wkroczył do Otchłani, wyzwiał do walki Królową Ciemności i... pokonał ją!

- Nie pokonał jej, Caramonie - stwierdził Tas, przyglądając się uważnie nieboskłonowi i wskazując coś. - To jej gwiazdozbiór, ale jest w niewłaściwym położeniu. Jest tam, podczas gdy powinien być tu. A tam jest Paladine. - Westchnął. - Biedny Fizban. Ciekawe, czy musiał walczyć z Raistlinem. Nie sądzę, żeby był z tego zadowolony. Zawsze miałem wrażenie, że rozumiał Raistlina, być może lepiej niż my.

- Może więc bitwa trwa nadal - snuł przypuszczenia Caramon. - Być może to jest przyczyną tych burz. - Milczał przez chwilę, wpatrując się w błyszczący zarys klepsydry. W myślach widział oczy brata w chwili, gdy wyszedł - tak dawno temu - ze straszliwej próby w Wieży Najwyższej Magii - źrenice jego oczu przybrały wtedy kształt klepsydr.

- Dzięki temu, Raistlinie, będziesz widział czas zmieniający wszystko - powiedział mu Par-Salian. - Dzięki temu, miejmy nadzieję, nabierzesz współczucia dla tych, którzy cię otaczają.

Jednakże to nie poskutkowało.

- Raistlin wygrał - stwierdził Caramon z cichym westchnieniem. - Jest tym, kim zawsze chciał być - bogiem. A teraz włada martwym światem.

- Martwym światem? - spytał zaniepokojny Tas. Czy-czy chcesz powiedzieć, że cały świat tak wygląda? Wszystko na Krynnie - Palanthas i Haven, i Qualinesti? K-kenderówek? Wszystko?

- Rozejrzyj się - rzekł posepnie Caramon. - Co o tym myślisz? Czy widziałeś jakąś żywą istotę od chwili, gdy tu się znaleźliśmy? - Machnął ręką, którą ledwie było widać w bladym świetle Solinari lśniącego jak nieruchome oko na niebie, widoczne teraz, gdy chmury się rozproszyły. - Widziałeś, jak ogień omiół górskie zbocze. Widzę teraz błyskawice na horyzoncie. - Wskazał na wschód. - A tam nadchodzącą kolejną burzę. Nie, Tas. Nic nie może tego przeżyć. Sami wkrótce zginiemy - albo zostaniemy rozerwani na strzępy, albo...

- Albo... albo coś innego... - żałośnie stwierdził Tas.

- Wiesz, coś nie czuję się najlepiej, Caramonie. To albo od wody, albo znowu zachorowałem na zarazę. - Z twarzą skrzywioną bólem przycisnął dłoń do brzucha. - Zaczynam mieć jakieś dziwne uczucie w środku, jakbym połknął węża.

- To woda - stwierdził Caramon, wykrzywając twarz.

- Ja też to czuję. Pewnie jakaś trucizna z tych chmur.

- Czy-czy my więc tu po prostu umrzemy, Caramonie?

- spytał Tas po chwili głębokiego zamyślenia. - Bo jeśli tak, to naprawdę chciałbym pójść położyć się koło Tiki, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Dzięki temu poczułbym się bardziej w domu. Dopóki nie natrafię na Flinta i jego drzewo. - Westchnął i oparł głowę na mocarnym ramieniu Caramona. - Będę miał z pewnością mnóstwo rzeczy do opowiedzenia Flintowi, prawda, Caramonie? O Kataklizmie i ognistej górze i o tym, jak uratowałem ci życie, a Raistlin został bogiem. Założę się, że w to nie uwierzy. Ale może ty będziesz już tam ze mną i powiesz mu, że ja naprawdę nie, no wiesz... ee... nie przesadzam.

- Umrzeć z pewnością byłoby łatwo - szepnął Caramon, spoglądając tęsknie w kierunku obeliska.

Wstawał właśnie Lunitari, którego krwawoczerwony blask mieszał się z trupioblady światłem Solinari i zalewał niesamowitą, fioletową poświatą ziemię przysypaną popiołem. Kamienny obelisk, mokry od deszczu, połyskiwał w blasku księżyca, a prymitywnie wyryte na nim czarne litery wyraźnie odcinały się od bladej powierzchni.

- Łatwo byłoby umrzeć - powtórzył Caramon, bardziej do siebie, niż do Tasa. - Łatwo byłoby położyć się i pozwolić pochłonąć ciemności. - Potem zacisnął zęby i wstał z wysiłkiem. - To zabawne - dodał, wyciągając miecz i odrąbując gałąź zwałonego drzewa vallen, które służyło im za schronienie - Raist zapytał mnie kiedyś o to. Powiedział: „Czy poszedłbyś za mną w ciemność?” - Co robisz? - spytał Tas, przyglądając się Caramonowi z zaciekawieniem.

Caramon jednak nie odpowiadał. Wciąż rąbał gałąź.

- Robisz kulę! - stwierdził Tas, a potem zerwał się na nogi, zdjęty nagłym strachem. - Caramonie! Ty chyba nie myślisz o tym! To-to jest szaleństwo! Pamiętam, kiedy Raistlin zadał ci to pytanie i pamiętam jego odpowiedź, kiedy powiedziałeś mu „tak”! Rzekł, że oznaczałoby to twoją śmierć, Caramonie! Mimo że jesteś silny, to by cię zabiło!

Caramon wciąż nie odpowiadał. Piłował gałąź, aż leciały mokre wióry. Co jakiś czas oglądał się za siebie na burzowe chmury, które znów nadciągały, powoli zacierając konstelacje i skradając się ku księżycom.

- Caramonie! - Tas złapał potężnego mężczyznę za ramię. - Nawet gdybyś poszedł... tam... - kender stwierdził, że nie jest w stanie wypowiedzieć tej nazwy - to co zrobisz?

- Coś, co powinienem był zrobić dawno temu - odparł stanowczo Caramon.

Rozdział IV

Zamierzasz pójść jego śladem, prawda? - krzyknął Tas, wyczołgując się z dziury, dzięki czemu znalazł się mniej więcej na równym poziomie z Caramonem, który wciąż rąbał gałąź. - To szaleństwo, po prostu szaleństwo! Jak tam się dostaniesz? - Nagle coś mu przyszło do głowy. - A gdzie jest w ogóle tam? Nawet nie wiesz, dokąd się wybierasz! Nie wiesz, gdzie on jest!

- Mam sposób, żeby tam się dostać - powiedział chłodno Caramon, chowając z powrotem miecz do pochwy. Złapał gałąź w silne ręce, zgiał ją, skręcił i wreszcie zdołał ją odłamać. - Pożycz mi swój nóż - mruknął do Tasa.

- Mam magiczne urządzenie. A co do tego, gdzie jest tam - zmierzył Tasa srogim spojrzeniem - ty dobrze wiesz!

- O-Otchłań? - zająknął się Tas.

Głuchy huk grzmotu skłonił ich obu do obejrzenia się z lękiem na nadciągającą burzę. Potem Caramon wrócił do swego zajęcia ze zdwojonym zapałem, podczas gdy Tas znów wytaczał argumenty. - Dzięki magicznemu urządzeniu Gnimsh i ja wydostaliśmy się stamtąd, Caramonie, ale je - stem pewien, że nie dostaniesz się tam dzięki niemu. I tak nie chciałbyś tam się znaleźć - dodał rezolutnie kender. - To nie jest miłe miejsce.

- Może nie dostanę się tam - zaczął Caramon, a potem gestem wezwał Tasa do siebie. - Zanim rozszałe się kolejna burza, zobaczmy, czy ta kula, którą zrobiłem, jest odpowiednia. Podejźmy do Tiki... do obelisku.

Odciąwszy mieczem część ubłoconej, mokrej peleryny, wojownik owinął nią koniec gałęzi, wsunął ją pod pachę i na próbę wsparł się na niej całym ciężarem. Prymitywna kula zapadła się w szlamie na kilkanaście centymetrów. Caramon próbował przesunąć ją trochę do przodu i odciążyć zranione kolano. Tas zbliżył się, żeby mu pomóc, i tak kuśtykając pomalutku, sunęli przed siebie po mokrej, oślizgłej ziemi.

Dokąd idziemy, miał ochotę spytać Tas, lecz bał się usłyszeć odpowiedź. Chociaż raz nietrudno mu było milczeć. Na nieszczęście Caramon zdawał się słyszeć jego myśli, odpowiedział bowiem na jego nieme pytanie.

- Może urządzenie nie zaniesie mnie do Otchłani powtórzył Caramon, sapiąc ciężko - ale znam kogoś, kto to potrafi. Urządzenie zabierze nas do niego.

- Kto to? - spytał z powątpiewaniem kender.

- Par-Salian. On będzie wiedział, co się stało. Będzie umiał posłać mnie... gdziekolwiek będę musiał pójść.

- Par-Salian? - Tas wyglądał na równie wystraszonego, jakby Caramon wymienił imię samej Królowej Ciemności. - To jeszcze większe szaleństwo! - Zamierzał to powiedzieć, lecz zamiast tego gwałtownie zwymiotował. Caramon czekał na niego, sam wyglądając blado i niezdrowo w blasku księżyca.

Przekonany, że wyrzucił z siebie wszystko, Tas poczuł się trochę lepiej. Skinął głową na Caramona, zbyt jeszcze zmęczony, żeby mówić i ruszył dalej chwiejnym krokiem.

Przez szlam i błoto dotarli wreszcie do obelisku. Obaj osunęli się na ziemię i oparli o pomnik, wycieńczeni wysiłkiem, jaki ich kosztowała ta krótka podróż składająca się zaledwie z jakichś dwudziestu kroków. Znowu zerwał się gorący wiatr, zbliżał się także dźwięk grzmotów. Tas zdołał uśmiechnąć się do Caramona z wyrazem, jak miał nadzieję, niewinnej prośby.

- My na spotkanie z Par-Salianem? - rzucił od niechcienia, wycierając twarz kitką włosów. - Och, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie jesteś w stanie iść taki kawał drogi. Nie mamy wody ani jedzenia...

- Nie zamierzam iść pieszo. - Caramon wyjął wisior z kieszeni i rozpoczął proces transformacji, który zmieni tę ozdobę w przepiękne, wysadzone klejnotami berło.

Widząc to i czując lekki ucisk w gardle, Tas szybciej dokończył przemowę.

- Jestem pewien, że Par-Salian jest... hmm... jest... zajęty. Zajęty! Tak właśnie! - Wykrzywił się w upiornym uśmiechu. - Stanowczo zbyt zajęty, żeby się z nami widzieć. Pewno ma na głowie mnóstwo spraw, wiesz, z powodu tego chaosu naokoło. Zapomnijmy więc lepiej o tym i wróćmy do jakiegoś punktu w czasie, gdzie dobrze się bawiliśmy. Może by tak do czasów, kiedy Raistlin rzucił urok na Bupu i ona zakochała się w nim? To było naprawdę śmieszne! Ta odrażająca krasnoludka żlebowa łąziła za nim...

Caramon nie odpowiedział. Tas okręcał koniec kitki wokół palca.

- Nie żyje - stwierdził niespodziewanie, wzdychając żałośnie. - Biedny Par-Salian. Pewnie już jest zimnym trupem. W końcu - zauważył wesoło kender - był już stary, kiedy widzieliśmy go wtedy w trzysta pięćdziesiątym szóstym. Wtedy też wcale nie wyglądał zdrowo. To musiał być dla niego prawdziwy wstrząs... Raistlin został bogiem i cała ta reszta... Pewno serce mu nie wytrzymało. Bum - pewno przewrócił się tak, jak stał.

Tas zerknął na Caramona. Na wargach ogromnego mężczyzny czaił się uśmieszek, lecz wojownik nic nie powiedział, tylko wciąż obracał i przekręcał fragmenty wisiora. Jaskrawy rozbłysk pioruna sprawił, że Caramon drgnął. Ujrzał nadciągającą burzę i jego uśmiech znikł.

- Mogę się założyć, że Wieża Najwyższej Magii nawet już nie istnieje! - krzyknął

zdesperowany Tas. - Jeśli to co mówisz, jest prawdą i cały świat wygląda... wygląda tak - machnął rączką w chwili, gdy zaczął padać cuchnący deszcz - w takim razie Wieża musiała być jednym z pierwszych miejsc, które zostały zniszczone! Trafiona piorunem! Łubudu! W końcu Wieża jest znacznie wyższa od większości drzew, jakie widziałem...

- Zastaniemy tam Wieżę - rzekł zawzięcie Caramon, dokonując ostatnich poprawek przy czarodziejskim urządzeniu. Podniósł je. Jego klejnoty odbiły promienie Solinari i przez chwilę jaśniały jego blaskiem. Potem ciemne chmury przesłoniły księżyc i go pożarły. Panowała teraz nieprzenikniona ciemność przecinana jedynie jaskrawymi, przepięknymi i zabójczymi błyskawicami.

Zgrzytając zębami z bólu, Carmon ścisnął swą kulę i wstał z trudem. Tas poszedł w jego ślady, lecz podnosił się znacznie wolniej, patrząc żałośnie na Caramona.

- Widzisz, Tas, wreszcie poznałem Raistlina - ciągnął Caramon, nie zwracając uwagi na żalną minę kendera.

- Może za późno, ale teraz już go znam. Nienawidził Wieży, tak samo, jak nienawidził tych magów za to, co mu tam zrobili. Tym niemniej, mimo iż jej nienawidzi, jednocześnie ją kocha - ponieważ jest częścią jego sztuki, Tas. A jego sztuka, jego magia, znaczy dla niego więcej, niż samo życie. Nie, Wieża będzie tam stała.

Unosząc urządzenie w dłoniach, Caramon zaczął wypowiadać zaklęcie: - „Twój czas należy do ciebie. Przez jego przestwór podróżujesz...” Jednakże nie dano mu dokończyć.

- Och, Caramonie! - zawodził Tas, chwytając się go kurczowo. - Nie zabieraj mnie do Par-Saliana! On mi zrobi coś okropnego! Wiem o tym! Może zamienić mnie w... w nietoperza! - Tas przerwał. - O ile przypuszczam, że bycie nietoperzem może być ciekawe, nie jestem wcale pewny, czy mógłbym się przyzwyczaić do spania głową w dół, uczepiony czegoś nogami. Poza tym, gdyby się nad tym zastanowić, jestem raczej zadowolony z bycia kenderem i...

- O czym ty mówisz? - Caramon popatrzył na niego ze złością, a następnie obejrzał się na burzowe chmury. Deszcz siekał z coraz większą furją, pioruny strzelały coraz bliżej.

- Par-Salian! - krzyknął rozpaczliwie Tas. - Ja-ja popsułem mu zaklęcie podróży w czasie! Poszedłem tam, gdzie nie powinienem był iść! A potem ukrad... uee... znalazłem magiczny pierścień, który ktoś zostawił na wierzchu i zmieniłem się przez niego w mysz! Z pewnością Par-Salian jest z tego powodu rozzłoszczony! A potem... popsułem magiczne urządzenie! Pamiętasz? Wiesz, tak naprawdę to nie była całkiem moja wina, bo popsułem je przez Raistlina! Ale wściekły Par-Salian mógłby zająć niefortunne stanowisko, że gdybym zostawił je w spokoju - a wiedziałem, że tak powinienem być zrobić - wtedy nic by się nie

stało. A on sprawia wrażenie okropnie srogiej osoby, nie sądzisz? Poza tym, ja kazałem Gnimshowi je naprawić, wiesz, ale on nie naprawił go całkiem tak jak trzeba...

- Tasslehoffie - rzekł Caramon zmęczonym głosem - zamknij się.

- Tak, Caramonie - powiedział potulnie Tas i pociągnął nosem.

Caramon popatrzył na małą, strapioną figurkę widoczną w jaskrawym świetle błyskawicy i westchnął. - Posłuchaj, Tas, nie pozwolę, żeby Par-Salian cokolwiek ci zrobił. Obiecuję. Wpierw musiałby mnie zmienić w nietoperza.

- Naprawdę? - spytał z przejęciem Tas.

- Daję słowo - rzekł Caramon, patrząc z przerażeniem na burzę. - A teraz daj mi rękę i wynieśmy się stąd.

- Jasne - powiedział wesoło Tas, biorąc dużą dłoń Caramona w swoją małą rączkę.

- Tas...

- Tak, Caramonie?

- Tym razem myśl o Wieży Najwyższej Magii w Wayreth! Żadnych księżyców!

- Tak, Caramonie - odparł Tas, głęboko wzdychając. Potem znów się uśmiechnął. - Wiesz co - rzekł do siebie, gdy Caramon ponownie zaczął recytować zaklęcie mógłbym się założyć, że z Caramona byłby strasznie ogromniasty nietoperz...

Stwierdzili, że stoją na obrzeżu lasu.

- To nie moja wina, Caramonie! - oświadczył szybko Tas. - Myślałem o Wieży całym sercem i duszą. Jestem przekonany, że ani razu nie pomyślałem o lesie.

Caramon przyglądał się uważnie puszczy. Wciąż była noc, lecz niebo było czyste, choć na horyzoncie wciąż widniały ciężkie chmury. Lunitari jarzył się stłumioną, ledwo żarzącą się czerwienią. Solinari zniżał się ku burzy. A nad ich głowami widoczna była gwiezdna klepsydra.

- Cóż, znajdujemy się we właściwym przedziale czasu. Tylko, na bogów, gdzie my jesteśmy? - mruknął Caramon, wspierając się na kuli i przyglądając się z irytacją magicznemu urządzeniu. Jego spojrzenie znów powędrowało ku okrytym cieniem drzewom, których pnie były widoczne w rażącym blasku księżyców. Nagle twarz mu się wygładziła. - Wszystko w porządku, Tas - stwierdził z ulgą. - Nie poznajesz? To las Wayreth. Magiczny las, który stoi na straży Wieży Najwyższej Magii!

- Jesteś pewny? - spytał z powątpiewaniem Tas. Wcale nie wygląda tak, jak wtedy, gdy ostatni raz go widziałem. Wtedy był okropnie brzydki i czaiły się w nim martwe drzewa, które gapiły się na mnie, a kiedy chciałem wejść, nie pozwalał mi, i kiedy próbowałem wyjść, nie pozwalał mi i...

- No właśnie - szepnął Caramon, znów przywracając berłu postać nieciekawego wisiora.

- W takim razie, co mu się stało?

- To samo, co stało się z resztą świata, Tas - odparł Caramon, starannie chowając wisior do skózanego woreczka.

Tas wrócił myślami do czasów, gdy ostatni raz widział zaczarowany las Wayreth. Ten las, który postawiono, by strzegł Wieży Najwyższej Magii przed niechcianymi intruzami, był dziwnym i niesamowitym miejscem. Choćby dlatego, że nie można było znaleźć tej zaczarowanej puszczy ona znajdowała ciebie. A pierwszy raz znalazła Tasa i Caramona tuż po tym, jak lord Soth rzucił zaklęcie śmierci na panią Crysanię. Tas zbudził się z głębokiego snu i odkrył las stojący tam, gdzie poprzedniej nocy nie było żadnego lasu!

Wtedy drzewa sprawiały wrażenie martwych. Ich konary były nagie i powykęcane, a spomiędzy pni wyływała zimna mgła. Wewnątrz czały się mroczne i niewyraźne kształty. Drzewa jednakże nie były nieżywe. Prawdę powiedziawszy, miały niepokojący zwyczaj chodzenia za osobą. Tas przypominał sobie, jak próbował oddalić się od lasu i stale stwierdzał - bez względu na to, w którą stronę szedł - że idzie w jego kierunku.

Już to było wystarczająco upiorne, lecz kiedy Caramon zagłębił się w las, gąszcz gwałtownie się zmienił. Martwe drzewa ożyły, zmieniając się w valleny! Las przeistoczył się z ciemnej i odstraszałającej puszczy pełnej śmierci w przepiękny, złoty i zielony las życia. Ptaki słodko śpiewały w gałęziach drzew vallen, zapraszając ich do środka.

A teraz gąszcz znów był inny. Tas przyglądał mu się ze zdumieniem. Drzewa wyglądały na martwe, a ich wykrzywione gałęzie były obnażone i puste. Aczkolwiek kiedy im się przyjrzał, wydało mu się, że poruszyły się w sposób, który sugerował, iż są żywe! Wyciągały gałęzie, jakby chcąc coś pochwycić...

Odwróciwszy się plecami od niesamowitego lasu Wayreth, Tas rozejrzał się po otoczeniu. Wszystko pozostałe wyglądało dokładnie tak samo, jak Solące. Nie było innych drzew - żywych czy martwych. Otaczały go jedynie osmolone, połamane kikuty. Ziemię pokrywał ten sam oślizgły, szary muł. Jak okiem sięgnąć, doprawdy nie było niczego, prócz pustkowiecia i śmierci...

- Caramonie! - krzyknął nagle Tas, wskazując coś ręką.

Caramon obejrzał się. Przy jednym z pniaków leżała skulona postać.

- Jakaś osoba! - wrzasnął w dzikim podnieceniu Tas. - Ktoś jeszcze tu jest!

- Tas! - zawołał ostrzegawczo Caramon, lecz zanim zdołał go zatrzymać, kender już biegł.

- Hej! - krzyknął. - Cześć! Śpisz? Obudź się. Schyliwszy się, potrząsnął osobą, która jednakże, gdy tylko jej dotknął, przewróciła się na plecy, lecz nadal leżała sztywno wyprężona. - Och! - Tas cofnął się o krok, a potem zatrzymał. - Och, Caramonie - powiedział cicho. - To Bupu!

Niegdyś, dawno temu, Raistlin zaprzyjaźnił się z krasnoludką żlebową. Teraz wytrzeszczała w rozgwieżdżone niebo ślepe, puste oczy. Jej odziane w brudne łachmany ciało było żałośnie wychudzone, umorusana twarz wynędzniała i zapadnięta. Krasnoludka miała na szyi rzemień. Na końcu tego rzemyka była przywiązana sztywna, zdechła jaszczurka. W jednej dłoni krasnoludka ścisnęła nieżywego szczura, w drugiej wyschniętą kurzą łapkę. Kiedy zbliżyła się śmierć, Bupu wezwała całą magię, jaką posiadała, pomyślał ze smutkiem Tas, ale to nie pomogło.

- Nie żyje od niedawna - stwierdził Caramon. Podszedł, utykając i z bólem przykląkł przy wynędzniałym trupku. - Wygląda na to, że umarła z głodu. - Wyciągnął rękę i delikatnie zamknął wytrzeszczone oczy. Potem potrząsnął głową. - Ciekawe, jakim cudem przeżyła tak długo! Zwłoki, które widzieliśmy w Solące, musiały leżeć co najmniej kilka miesięcy.

- Może Raistlin ją chronił - palnął Tas, zanim pomyślał.

Caramon spojrzał wściekle. - Akurat! To tylko zbieg okoliczności, nic więcej - rzekł szorstko. - Znasz krasnoludów żlebowych, Tas. Potrafią wyżywić się byle czym. Przypuszczam, że byli ostatnimi istotami, które utrzymały się przy życiu. Bupu, która była najbystrzejszą z nich, po prostu zdołała przeżyć dłużej od reszty. Mimo to w końcu nawet krasnolud żlebowy skona w tej przeklętej przez bogów krainie. - Wzruszył ramionami. - Chodź, pomóż mi wstać.

- Co-co my z nią zrobimy, Caramonie? - spytał posepnie Tas. - Czy-czy zostawimy ją tak po prostu?

- A co innego możemy zrobić? - mruknął opryskliwie Caramon. Widok krasnoludki żlebowej i bliskość lasu przywołała bolesne wspomnienia. - Czy chciałbyś zostać pochowany w błocie? - Zadrżał i rozejrzał się wokół. Już widział strzelające ku ziemi błyskawice i słyszał ryk grzmotów. - Poza tym nie mamy zbyt wiele czasu, sądząc po tym, jak zbliżają się te kłęby chmur. - Tas nadal przyglądał mu się z żalosną miną. - I tak nie żyje już nic, co mogłoby zakłócić jej spokój - warknął poirytowany. Potem, widząc zasmuconą minę kendera, Caramon powoli zdjął własny płaszcz i ostrożnie nakrył nim wychudzone zwłoki. - Lepiej chodźmy już stąd - powiedział.

- Zegnaj, Bupu - rzekł cicho Tas. Poklepawszy sztywną rączkę, która wciąż kurczowo ścisnęła zdechłego szczura, już chciał zasłonić ją połą peleryny, gdy dostrzegł coś

błyszczącego w świetle Lunitari. Tas wstrzymał oddech, sądząc, że poznaje przedmiot. Ostrożnie rozgiął sztywne palce krasnoludki źlebowej. Martwy szczur spadł na ziemię - a wraz z nim - szmaragd.

Tas podniósł klejnot. Myślami wrócił do... gdzie to było? Xak Tsaroth?

Znajdowali się w rurze ściekowej, ukrywając się przed wojskami smokowców. Raistlin dostał napadu kaszlu...

Bupu popatrzyła na niego z zatroskaniem, a potem wsunęła rączką do swojej torby, pogrzebała w niej przez kilka chwil i wydobyla z niej jakiś przedmiot, który przysunęła do światła. Zmrużyła oczy, a potem westchnęła i potrząsnęła głową. - To nie to, czego chciałam - mruknęła.

Tasslehoff, zauważywszy jaskrawy, barwny błysk, podszedł bliżej. - Co to jest? - zapytał, chociaż znał już odpowiedź. Raistlin również wpatrywał się w przedmiot błyszczącymi, rozszerzonymi oczyma.

Bupu wzruszyła ramionami. - Ładny kamyk - powiedziała obojętnie, znów przeszukując torbę.

- Szmaragd! - wychrypiał Raistlin.

Bupu spojrzała na niego. - Podoba ci się? - spytała Raistlina.

- Bardzo - westchnął czarodziej.

- To masz. - Bupu położyła klejnot na dłoni czarodzieja. Potem, z okrzykiem triumfu, wyciągnęła to, czego szukała. Tas, który nachylał się, żeby zobaczyć nowe чудо, cofnął się z odrazą. Była to martwa jaszczurka. Do sztywnego ogona jaszczurki przywiązany był kawałek przeżutego rzemienia. Bupu podsunęła ją Raistlinowi. - Noś to na szyi - powiedziała. - Leczy kaszel.

- Więc Raistlin był tutaj - szepnął Tas. - Dał jej to, musiał jej to dać! Ale dlaczego? Amulet... podarunek?... Potrząsnąwszy głową, kender westchnął i wstał. - Caramonie... - zaczął, i wtedy zobaczył, że zwałisty mężczyzna stoi i spogląda na las Wayreth. Spostrzegł blade oblicze Caramona i odgadł, o czym on musi myśleć i co wspominać.

Tasslehoff wsunął szmaragd do kieszeni.

Las Wayreth wydawał się równie martwy i spustoszony, co reszta otaczającego ich świata. Niemniej jednak dla Caramona był on żywy od wspomnień. Mężczyzna nerwowo przyglądał się osobliwym drzewom, których wilgotne pnie i gnijące konary wydawały się połyskiwać od krwi w blasku Lunitari.

- Byłem przerażony, kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy - powiedział do siebie Caramon, trzymając dłoń na rękojęści miecza. - Wcale nie wszedłbym, gdyby nie Raistlin.

Jeszcze bardziej byłem przestraszony za drugim razem, kiedy przynieśliśmy tu panią Crysanię, żeby jej pomóc. Wtedy nie wszedłbym za nic, gdyby te ptaki nie zwabiły mnie swym słodkim śpiewem. - Uśmiechnął się ponuro. „Spokojny jest las, spokojne jego posiadłości doskonałe, gdzie wznosimy i już nie umieramy” - śpiewały. Sądziłem, że obiecywały pomoc. Teraz jednak wiem, co znaczyła ta pieśń. Śmierć to jedyna doskonała posiadłość, jedyna siedziba, gdzie rośniemy i już nie umieramy!

Wbijając wzrok w puszcze, Caramon zadygotał pomimo dokuczliwego upału nocnego powietrza. - Tym razem boję się jeszcze bardziej niż poprzednio - mruknął. - Coś tam jest nie tak. - Olśniewająca błyskawica rozświetliła niebo i ziemię jasnością dnia, a po niej nadszedł głuchy huk i fala deszczu w policzek. - Przynajmniej stoi - stwierdził. - Jego magia musi być silna, skoro przetrwał burzę.

- Caramon doznał bolesnego skurczu żołądka. Przypomniawszy sobie o pragnieniu, oblizwał wyschnięte wargi. „Spokojny jest las” - wymamrotał.

- Co powiedziałeś? - spytał Tas, podchodząc do niego. - Powiedziałem, że każda śmierć jest taka sama - odparł Caramon, wzruszając ramionami.

- Wiesz, ja umarłem trzy razy - stwierdził z całą powagą Tas. - Pierwszy raz w Tarsis, gdzie smoki zawały na mnie budynek. Drugi raz w Nerace, gdzie zatrąłem się jadem i Raistlin mnie ocalił. A ostatni raz wtedy, gdy bogowie zrzucili na mnie ognistą górę. Zebrawszy wszystko razem - zamyślił się na chwilę - wydaje mi się, że naprawdę można powiedzieć, że każda śmierć jest prawie taka sama. Bo widzisz, śmierć od trucizny była bardzo bolesna, ale wszystko skończyło się dość szybko. Z kolei budynek...

- Daj spokój - Caramon wyszczerzył zęby w pełnym zmęczenia uśmiechu - zostaw to dla Flinta. - Wyciągnął miecz. - Gotów?

- Gotów - odpowiedział dziarsko Tas. - Zawsze zostawiaj najlepsze na koniec, jak zwykł mawiać mój ojciec. Chociaż - tu kender przerwał - wydaje mi się, że mówił to w odniesieniu do obiadu, a nie do umierania. Może to jednak ma takie samo znaczenie.

Wyciągnąwszy swój nożyk, Tas wkroczył za Caramonem do zaczarowanego lasu Wayreth.

Rozdział V

Ciemność wchłonęła ich. Ani światło księżyca, ani gwiazd nie mogło przeniknąć mroku nocy lasu Wayreth. Nawet rozbłyski morderczych, magicznych piorunów nie były tu widoczne. Choć dudnienie gromów dawało się słyszeć, zdawało się niczym więcej, jak odległym echem samego siebie. Za swymi plecami Caramon słyszał również bębnienie ulewy i stukot gradu. W lesie było sucho. Deszcz sięgał tylko drzew rosnących na brzegach.

- Co za ulga! - stwierdził radośnie Tas. - Teraz, gdybyśmy mieli jeszcze trochę światła, to...

Urwał i jego głos zakończył się zdławionym gulgotem. Caramon usłyszał łomot, skrzypienie drewna i odgłos jakby ciągnięcia czegoś po ziemi.

- Tas? - zawołał.

- Caramonie! - krzyknął Tas. - To drzewo! Złapało mnie drzewo! Na pomoc, Caramonie! Na pomoc!

- Czy to ma być żart, Tas? - spytał surowo Caramon. - Bo wcale nie jest śmieszny...

- Nie! - wrzasnął Tas. - Złapało mnie i ciągnie gdzieś'!

- Co... gdzie? - krzyczał Caramon. - Nic nie widzę w tej przeklętej ciemności! Tas?

- Tutaj! Tutaj! - Tas darł się jak opętany. - Chwyciło mnie za nogę i stara się mnie rozerwać na pół!

- Nie przestawaj krzyczeć, Tas! - zawołał Caramon, błądząc po omacku w ciemnościach. - Wydaje mi się, że jestem blisko...

Ogromny konar uderzył Caramona w pierś, przewracając go na ziemię, aż mu zabrakło tchu. Mężczyzna leżał, usiłując zaczerpnąć powietrza, gdy usłyszał jakieś skrzypienie z prawej strony. Ciął na oślep mieczem i poturlał się na bok. Coś ciężkiego uderzyło dokładnie tam, gdzie znajdował się jeszcze przed chwilą. Stanął z wysiłkiem na nogach, lecz kolejna gałąź uderzyła go poniżej łopatek, aż upadł twarzą w nagie podłoże lasu Wayreth.

Cios w plecy trafił Caramona w nerki, wywołując bolesne sieknięcie. Wojownik zawzięcie próbował podnieść się, lecz kolano pulsowało mu boleśnie i miał zawroty głowy. Nie słyszał już Tasa. Nie słyszał niczego, prócz skrzypienia i szelestu zbliżających się drzew. Coś szorstkiego otarło się o jego ramię. Caramon drgnął i odczołgał się z dala od tego jedynie po to, by poczuć, jak coś łapie go za stopę. W przypiływie rozpaczony ciął mieczem. Lecące drzazgi ukłuły go w nogę, lecz najwyraźniej nie uczyniły krzywdy napastnikowi.

Siła stuleci kryła się w masywnych konarach drzewa. Magia obdarzyła je rozumem i

celnym uderzeniem. Caramon wdarł się jak intruz na ziemię, której strzegło, na teren zamknięty przed nieproszonymi gośćmi. Wiedział, że las zamierza go zabić.

Kolejny konar złapał grube udo Caramona. Gałęzie czepiały się jego rąk, szukając lepszego chwytu. Za kilka sekund rozedrą go na sztuki... Usłyszał, jak Tas krzyczy z bólu...

Podnosząc głos, Caramon zawołał rozpaczliwie: - Jestem Caramon Majere, brat Raistlina Majere! Muszę naty - chmiast rozmawiać z Par-Salianem albo tym, kto teraz jest mistrzem Wieży!

Zapadła chwila ciszy, moment wahania. Caramon poczuł, że wola drzew słabnie, a gałęzie leciutko rozluźniają swój uścisk.

- Par-Salianie, jesteś tam? Par-Salianie, znasz mnie! Jestem jego bliźniaczym bratem! Jestem twoją jedyną nadzieją!

- Caramon? - rozległ się drżący głos. - Cicho, Tas! - syknął Caramon.

Cisza była równie nieprzenikniona jak ciemność. Wtedy Caramon poczuł, jak gałęzie powoli wypuszczają go. Usłyszał znów skrzypienie i szeleszczenie, jednakże tym razem odgłosy pomału oddalały się od niego. Przerażony, cierpiący z powodu rozwijającej się w nim choroby Caramon odetchnął z ulgą i położył głowę na ramieniu, próbując złapać oddech.

- Tas, nic ci nie jest? - zdołał zawołać.

- Nie, Caramonie - rozległ się obok niego głos kendera. Wyciągnawszy rękę, Caramon chwycił kendera i przyciągnął go blisko do siebie.

Choć słyszał odgłosy poruszania się w mroku i wiedział, że drzewa się wycofują, miał jednak wrażenie, że obserwują każdy jego ruch i przysłuchują się każdemu jego słowu. Powoli i ostrożnie schował miecz do pochwy.

- Jestem doprawdy wdzięczny, że powiedziałeś Par-Salianowi, kim jesteś - oświadczył Tas, sapiąc. - Właśnie wyobrażałem sobie, jak wyjaśnię Flintowi, że zostałem zamordowany przez drzewo. Nie jestem pewien, czy wolno się śmiać w zaświatach, ale jestem przekonany, że pękałby...

- Szszsz... - szepnął słabym głosem Caramon.

Tas przerwał, a potem szepnął: - Nic ci się nie stało?

- Nie, tylko pozwól mi odsapnąć. Zgubiłem kulę.

- Jest tutaj. Potknąłem się o nią. - Tas odczołgał się i wrócił po chwili, ciągnąc obwiązaną szmatą gałąź. - Proszę. - Pomógł Caramonowi, który z trudem stanął na nogi.

- Caramonie - spytał po chwili - jak myślisz, ile cza - su zajmie nam dojście do Wieży? Strasznie chce mi się pić, i o ile moje wnętrzności czują się trochę lepiej po tym, jak zwymiotowałem przed chwilą, wciąż od czasu do czasu dostaję takich dziwnych skurczy w

żołądku.

- Nie wiem, Tas. - Caramon westchnął. - Kompletnie nic nie widzę w tym przeklętym mroku. Nie wiem, dokąd idziemy, czy podążamy właściwą drogą, ani jak zdołamy iść tak, żeby nie rozbić sobie nosów, wpadając na coś...

Nagle znów dało się słyszeć szelest, jakby porywisty wiatr potrząsnął gałęziami drzew. Caramon sprężył się i nawet Tas zeszytniał z niepokoju, gdy posłyszeli ponownie otaczające ich drzewa. Tas i Caramon stali bezradnie w mroku, a drzewa podchodziły coraz bliżej. Gałęzie dotknęły ich skóry, a uschnięte liście musnęły ich włosy, szepcząc im do uszu dziwne słowa. Drżąca dłoń Caramona zacisnęła się na rękojeści miecza, choć wojownik wiedział, że na nic mu się to nie zda. Jednakże w chwili, gdy drzewa ciasno otoczyły ich zewsząd, szmery ucichły i zapanował bezruch. Drzewa znów milczały.

Wyciągnawszy rękę, Caramon dotknął solidnych pni po swej prawej i lewej stronie. Wyczuwał ich natłok za sobą. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Zapuścił rękę w głąb ciemności i pomacał przed sobą. Droga wolna.

- Trzymaj się blisko mnie, Tas - rozkazał i po raz pierwszy w swym życiu kender nie oponował. Razem ruszyli naprzód w przestrzeń, którą wskazywały im drzewa.

Początkowo posuwali się ostrożnie, obawiając się przewrócenia o korzeń albo leżącą gałąź, czy zaplątania się w zarośla, bądź wpadnięcia do jakiejś jamy. Stopniowo jednakże zaczęli zdawać sobie sprawę, że leśne podłoże jest gładkie i suche, oczyszczone z wszelkich przeszkód, pozbawione poszycia. Nie mieli pojęcia, dokąd idą. Szli w absolutnej ciemności, trzymając się jakiejś nie pozwalającej zawrócić dróżki jedynie dzięki drzewom, które rozstępowały się przed nimi i zamykały za ich plecami. Każde zejście z wytyczonej przez las drogi kończyło się zderzeniem ze ścianą pni, splecionych gałęzi i martwych, szumiących liści.

Panował nieznośny upał. Nie wiał wiatr, nie padał deszcz. Pragnienie, o którym zapomnieli w strachu, znów im dokuczało. Wycierając pot z twarzy, Caramon zastanawiał się, skąd pochodzi ten dziwny, dokuczliwy żar, tu bowiem był znacznie silniejszy niż poza lasem. Wydawało się, że wytwarza go sama puszcza. Podczas poprzednich dwóch pobytów nie zauważył, żeby las był tak żywy, jak teraz. Z pewnością był żywszy, niż świat na zewnątrz. Wśród szmeru drzew słyszał - lub sądził, że słyszy - ruchy zwierząt albo łopot ptasich skrzydeł, a czasami dostrzegał błysk oczu świecących w ciemności. Jednakże ponowne znalezienie się wśród żywych istot nie przyniosło Caramonowi pociechy. Wyczuwał ich nienawiść i gniew, lecz jednocześnie uświadomił sobie, że nie była ona wymierzona przeciw niemu. Była wymierzona przeciw sobie samej.

Wtedy znów posłyszał śpiew ptaków, jak wtedy, gdy ostatnim razem znalazł się w

tym niesamowitym miejscu. Rozległ się śpiew skowronka, wysoki, słodki i czysty, wznoszący się ponad śmierć, mrok i klęskę. Caramon zatrzymał się, by posłuchać. Piękno pieśni sprawiło, że łzy zapiekły mu pod powiekami, a ból serca zelżał.

*Blask na wschodzie nieba
Jest wciąż i zawsze poranny,
Zmienia odnawiające się. przestworza
W wiarę i tęsknotą.*

*A skowronki wzbijają się jak anioły,
Jak anioły skowronki się wznoszą
Z rozświetlonej słońcem trawy jasnej niczym klejnoty
W tulący je wiatr.*

Jednakże w chwili, gdy śpiew skowronka przeszył jego serce swą słodyczą, chrapliwe krakanie zmusiło go do wtulenia głowy w ramiona. Czarne skrzydła załopotwały wokół niego i jego duszę wypełniły cienie.

*Pospolity blask na wschodzie
Wyczarowuje z ciemności
Maszynę dnia,
Umniejszoną pieśń skowronka.*

*Kruki przemierzają noc
I ciemność na zachodzie,
A skrzydlaty lopot ich serc
Wypełnia pogrzebane gniazdo.*

- Co to znaczy, Caramonie? - spytał zalekniony Tas w trakcie dalszego przedzierania się po omacku przez las pod nieprzerwanym przewodnictwem rozgniewanych drzew.

Odpowiedzi na to pytanie udzielił nie Caramon, lecz inne głosy, łagodne, głębokie i smutne prastarą mądrością sowy.

*Przez noc pory roku odchodzą w ciemność
Lata poddają się zmiennej światel mocy,
Oddech pustoszeje o zmierzchu czy świcie
Pomiędzy abstrakcją dni i nocy.
Zawsze bowiem są biedne ogniki na polach
I plomyki nad rzeźnią tańczące
A w samo południe cieniste valleny
Na czubkach koron jaśniejące.*

- To znaczy, że magia wyrwała się spod kontroli rzekł cicho Caramon. - Jakakolwiek siła woli trzyma ten las w ryzach, ledwie sama się trzyma. - Zadrzał. - Ciekawe, co znajdziemy po przyjsciu do Wieży.

- Jeśli dojdziemy do Wieży - mruknął Tas. - Skąd wiemy, że te okropne, stare drzewa nie prowadzą nas gdzieś na skraj przepaści?

Caramon zatrzymał się, sapiąc. Panował potworny upał. Prymitywna kula uwierała go boleśnie w pachę. Po odciążeniu kolano zaczęło mu sztywnieć. Nogę miał zaczerwienioną i spuchniętą, toteż wiedział, że długo już nie wytrzy - ma. On również zwymiotował, oczyszczając organizm z trucizny, więc teraz czuł się nieco lepiej. Pragnienie było jednak nie do zniesienia. A na dodatek nie miał pojęcia, dokąd wiodą ich te drzewa.

Caramon podniósł głos i z wyschniętego gardła wydobył ochryply krzyk: - Par-Salianie! Odpowiedz mi, albo dalej nie pójdę! Odpowiedz mi!

Drzewa podniosły wrzawę, potrząsając i kołyszac gałęziami jakby zerwał się porywisty wiatr, choć żaden podmuch nie ochłodził gorącej skóry Caramona. Głosy ptaków zabrzmiały straszliwą kakofonią, mieszając się ze sobą, nakładając i splatając śpiewy w przerażające melodie, które przepelniały umysł lękiem i złymi przeczuciami.

Nawet Tas trochę się tego wystraszył i podkrał do Caramona (na wypadek, gdyby potężny mężczyzna potrzebował pociechy), lecz Caramon stał nieporuszony, wbijając wzrok w ciemność nocy i ignorując zamęt wokół niego.

- Par-Salianie! - zawołał znów.

Wtedy posłyszał odpowiedź - słaby, lecz wysoki wrzask.

Caramona przeszły ciarki od tego przerażającego dźwięku. Krzyk przebił się przez mrok i upał. Wzniósł się ponad osobliwy śpiew ptaków i zagłuszył trzaski drzew. Caramon miał wrażenie, jakby cała zgroza i żal konającego świata zostały zassane i wreszcie uwolnione w tym zatrzważającym krzyku.

- W imię bogów! - westchnął zalękniony Tas, łapiąc Caramona za rękę (na wypadek, gdyby zwalisty mężczyzna wystraszył się). - Co się dzieje?

Caramon nie odpowiedział. Wyczuwał narastający gniew lasu, który teraz mieszał się z przytłaczającą trwogą i smutkiem. Drzewa zdawały się poganiać ich naprzód, pędząc ich i depcząc im po piętach. Wrzask trwał tak długo, jak człowiekowi może wystarczyć tchu, potem ucichł na czas potrzebny na zaczerpnięcie powietrza do płuc, a następnie znów się zaczął. Caramon poczuł, że oblewa go zimny pot.

Szedł dalej z Tasem u boku. Posuwali się naprzód pomału, a sytuację pogarszał fakt, że nie wiedzieli, czy w ogóle posuwają się naprzód, nie widzieli bowiem celu podróży, ani nawet nie wiedzieli, czy zmierzają we właściwym kierunku. Jedynym przewodnikiem w drodze do Wieży było to przenikliwe, nieludzkie wycie.

Szli przed siebie chwiejnym krokiem i choć Tas pomagał z wszystkich sił, każdy krok był dla Caramona męką. Ból ran zawładnął nim i wkrótce mężczyzna stracił wszelkie poczucie czasu. Zapomniał, po co przybyli, ani nawet nie wiedział już, dokąd idą. Jediną myślą Caramona stało się brnięcie naprzód krok za krokiem przez ciemność, która stała się ciemnością umysłu i duszy.

Nieustannie szedł...

I szedł...

I szedł...

Jeden krok, jeden krok, jeden krok...

I przez cały ten czas świdrował mu w uszach ten straszny, nie kończący się wrzask...

- Caramonie!

Głos przeniknął do wnętrza jego znużonego, otępiałego z bólu umysłu. Miał wrażenie, że słyszy go ponad krzykiem już od jakiegoś czasu, lecz - jeśli tak - dotychczas nie przebił się przez tę mgłę czerni, która go spowijała.

- Co tam? - wymamrotał i uświadomił sobie wtedy, że chwytają go i potrzęsają nim czyjeś ręce. Podniósł głowę i rozejrzał się. - Co tam? - spytał znów, starając się z wysiłkiem odzyskać poczucie rzeczywistości. - Tas?

- Spójrz, Caramonie! - Głos kendera przebijał się do niego przez mgłę, więc wojownik potrzęsnał rozpaczliwie głową, by mu się w niej przejaśniło.

Wtedy zdał sobie sprawę, że widzi. To było światło! Światło księżyca! Mrużąc oczy, rozejrzał się dookoła. Las? - zapytał.

- Za nami - szepnął Tas, jakby mówienie o nim mogło sprowadzić go znowu. - Przynajmniej zaprowadził nas dokądś. Nie jestem tylko pewien, dokąd. Rozejrzyj się.

Pamiętasz coś z tego?

Caramon popatrzył. Mrok lasu znikł. Mężczyzna stał na polanie wraz z Tasem. Rozejrzał się spieszenie, w popłochu.

U jego stóp ziała ciemna przepaść.

Za nimi był las. Caramon nie musiał się odwracać, żeby go widzieć. Wiedział, że tam jest, tak samo, jak wiedział, że jeśli wejdą do niego drugi raz, nie wyjdą stamtąd żywi. Zaprowadził ich tak daleko i tu ich zostawił. Ale gdzie jest to tutaj? Drzewa stały za nimi, lecz przed nimi nie było niczego - jedynie olbrzymia, ciemna próżnia. Równie dobrze mogli stać na samym brzegu urwiska, jak mówił Tas.

Horyzont był zaciągnięty ciemnymi chmurami, lecz tymczasem - żadna z nich nie wydawała się blisko. Wysoko nad głową widział księżycy i gwiazdy na niebie. Lunitari płonął ognistą czerwieńią, a srebrny blask Solinari przesycony był promienną jasnością, jakiej Caramon przedtem nigdy nie widział. Tym razem - być może z powodu ostrego kontrastu między mrokiem i światłem, dostrzegł Nuitari - czarny księżyc, który przedtem widziały jedynie oczy jego brata. Gwiazdy płonęły jasno wokół księżyców, a żadne jaśniej od tych w dziwnej konstelacji klepsydry.

Jedynymi dźwiękami, jakie słyszał, były nieprzychylnie pomruki lasu dobiegające zza jego pleców i to przenikliwie, okropne wycie z przeciwnego kierunku.

Znużony Caramon pomyślał, że nie mają wyboru. Nie ma powrotu. Las na to nie pozwoli. W końcu czymże jest śmierć, jeśli nie końcem tej męki, tego pragnienia, tego gorzkiego bólu serca.

- Zostań tu, Tas - zaczął, starając się uwolnić z uścisku małej dłoni kendera i przygotować się do zrobienia kroku w tę ciemność. - Zamierzam pójść trochę naprzód na zwiady...

- Och, nie! - krzyknął Tas. - Nigdzie nie pójdziesz beze mnie! - Rączka kendera zacisnęła się na jego dłoni jeszcze mocniej. - Przypomnij sobie tylko wszystkie tarapaty, w jakie się wpakowałeś podczas krasnoludzkich wojen! - dodał, starając się pozbyć denerwującego dławienia w gardle. - A kiedy ja tam się znalazłem, musiałem ocalić ci życie. - Tas popatrzył w dół, w ciemność, która rozciągała się u ich stóp, po czym zacisnął dzielnie zęby i podniósł wzrok, by spojrzeć ogromnemu mężczyźnie w oczy.

- Wiesz, myślę, że bez ciebie czułbym się strasznie samotnie w zaświatach, a poza tym już słyszę Flinta: „No, głąbie, gdzie tym razem poszedłeś i co zmagistrowałeś? Udało ci się zgubić tę wielgachną, niezgrabną górę łoju, co? Na to wygląda. Teraz, jak przypuszczam, będę musiał zostawić swoje mięciutki, wygodne miejsce pod tym drzewem i pójść poszukać

tego idioty o przerośniętych mięśniach. Nigdy nie wiedział, kiedy schować się przed deszczem...” - Zgoda, Tas - Caramon przerwał mu z uśmiechem, widząc oczami wyobraźni gderliwego, starego krasnoluda.

- Lepiej nie zakłócać spokoju Flintowi. Zamęczyłby mnie potem zrzędzeniem.

- Poza tym - ciągnął Tas, któremu już zrobiło się weselej - dlaczego mieliby nas tak daleko prowadzić, żeby zrzucić do przepaści?

- Właśnie, dlaczego? - rzekł Caramon, zastanawiając się. Chwyciwszy kulę i poczuwszy się pewniej, postąpił krok w stronę ciemności, a Tas tuż za nim.

- Chyba że - dodał kender z jękiem - Par-Salian jest wciąż na mnie wściekły.

Rozdział VI

Wieża Najwyższej Magii wzośliła się przed nimi - ciemny gmach wyraźnie widoczny na tle światła księżyca i gwiazd, który wyglądał tak, jakby stworzono go z samej nocy. Stał tam od wieków, będąc bastionem magii, składnicą gromadzonych od wieków ksiąg i wytworów sztuki czarnoksięskiej.

Tutaj przybyli magowie, gdy z Wieży Najwyższej Magii w Palanthas wypędził ich król-kapłan, tutaj przynieśli ze sobą najcenniejsze przedmioty ocalone przed nacierającym motłochem. Tutaj mieszkali w spokoju, strzeżeni przez las Wayreth. Młodzi adepci sztuk czarnoksięskich tu właśnie odbywali swą próbę, tę straszliwą próbę, która oznaczała śmierć dla tych, którzy jej nie przeszli pomyślnie.

Tu Raistlin przybył i stracił duszę dla Fistantilusa. Tu Caramon był zmuszony patrzeć, jak Raistlin zamordował iluzoryczną postać swego bliźniaczego brata.

Tutaj Carmon i Tas powrócili z krasnoludka żlebową, Bupu, niosąc pogrążoną w śpiączce panią Crysanię. Tutaj wzięli udział w konklawe trzech Szat - Czarnych, Czerwonych i Białych. Tu dowiedzieli się o ambicjach Raistlina, który chciał zmierzyć się z Królową Ciemności. Tu spotkali jego ucznia i szpiega konklawe - Dalamara. Tutaj wielki arcymag, Par-Salian, rzucił czar podróży w czasie na Caramona i panią Crysanię, odsyłając ich w przeszłość do Istar przed upadkiem góry.

Tutaj Tasslehoff niechcący zakłócił zaklęcie, wskakując do środka, by wyruszyć z Caramonem. Tak oto obecność kendera - zakazana przez wszelkie prawa magii - sprawiła, że zmiana biegu czasu stała się możliwa.

Teraz Caramon wraz z Tasem wrócili - i co zastaną?

Caramon spojrzał na Wieżę z sercem ciężkim od złych przeczuć i obawy. Zabrakło mu odwagi. Nie potrafił wejść do środka, słysząc dźwięczący mu echem w uszach ten żalony, uporczywy wrzask. Może lepiej zawrócić, i spotkać szybką śmierć w lesie? Poza tym, zapomnieli o wrotach. Wykonana ze srebra i złota brama wciąż stała, zawzięcie zagradzając im drogę do Wieży. Zdawała się delikatna jak pajęczna sieć, sprawiała wrażenie czarnych smug namalowanych na rozgwieżdżonym niebie. Mogłaby się otworzyć pod dotykiem dłoni kendera. Spowijały ją jednakże magiczne zaklęcia tak potężne, że te słabe z pozoru wrota mogłaby bezskutecznie szturmować armia ogrów.

Nadal rozlegało się wycie, teraz coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Byli już tak blisko, że prawdę powiedziawszy, mogło ono dobiegać z...

Caramon zrobił kolejny krok naprzód, marszcząc ponuro czoło. Kiedy to uczynił,

wrota znalazły się wyraźnie w jego polu widzenia.

I ujawniły źródło owego wrzasku...

Brama nie była zatrzaśnięta, ani też zamknięta na klucz. Jedna część wierzei stała mocno, jakby wciąż zaklęta, lecz druga pękła i kołysała się teraz na jednym zawiasie w tę i z powrotem, w tę i z powrotem w gorącym, nieprzerwanym wietrze. Poruszane powoli podmuchem wiatru drzwi wydawały ten przenikliwy, wysoki dźwięk.

- Nie są zamknięte - stwierdził Tas z rozczarowaniem. Małą rączką już sięgał po wytrychy.

- Nie - rzekł Caramon, spoglądając na skrzypiący zawias. - A to głos, który słyszeliśmy, głos zardzewiałego metalu. - Przypuszczał, że powinien odczuć ulgę, jednak wrażenie tajemnicy jedynie pogłębiło się. - Jeśli to nie Par-Salian ani nikt inny tam na górze - jego wzrok powędrował ku czarnej i najwyraźniej opustoszałej Wieży, która wznosiła się przed nimi - przeprowadził nas przez las, to w takim razie kto?

- Może nikt - powiedział z nadzieją w głosie Tas.

- Jeśli tam nie ma nikogo, Caramonie, możemy stąd pójść?

- Ktoś musi być - mruknął Caramon. - Coś kazało tym drzewom nas przepuścić.

Tas westchnął i spuścił głowę. Caramon widział w blasku księżyca jego bladą, ubłoconą twarzyczkę. Miał ciemne kręgi pod oczami, drżała mu dolna warga, a wzdłuż małego nosa spływała jedna łza.

Caramon poklepał go po ramieniu. - Jeszcze chwilkę - powiedział łagodnie. - Wytrzymaj jeszcze troszeczkę, dobrze, Tas?

Szybko podnosząc głowę i połykając zdradziecką łzę i jej partnerkę, która właśnie spłynęła mu do ust, Tas pokazał zęby w wesołym uśmiechu. - Jasne, Caramonie - rzekł. Nawet fakt, że gardło miał zbolące i wyschnięte nie mógł go powstrzymać od stwierdzenia: - Znasz mnie, jestem zawsze gotów na przygody. Tam w środku musi być mnóstwo magicznych, cudownych rzeczy, nie sądzisz? - dodał, zerkając na milczącą wieżę. - Rzeczy, których nikomu nie będzie brakowało. Oczywiście żadnych magicznych pierścieni. Skończyłem z magicznymi pierścieniami. Najpierw jeden wysłał mnie do zamku czarnoksiężnika, gdzie spotkałem naprawdę paskudnego demona, a potem kolejny zmienia mnie w mysz...

Pozwalając Tasowi paplać dalej, zadowolony, że kender najwyraźniej wrócił do siebie, Caramon pokuśtykał naprzód i dotknął kołyszących się wierzei z zamiarem odepchnięcia ich na bok. Ku jego zdumieniu drzwi odpadły - osłabiony zawias nie wytrzymał. Wrota zwały się na szary bruk z łoskotem, od którego zarówno Tas, jak i Caramon wtulili

głowy w ramiona. Echo odbiło się od czarnych, wypolerowanych murów Wieży, rozchodząc się w upalnej nocy i niweczając ciszę.

- Cóż, teraz już wiemy, że tu jesteśmy - rzekł Tas. Caramon znów chwycił za rękojeść miecza, lecz nie obnażył go. Echo ucichło. Zapadła cisza. Nic się nie stało. Nikt nie przyszedł. Nie odezwał się żaden głos.

Tas odwrócił się, by pomóc iść kulejącemu Caramonowi. - Przynajmniej nie musimy już słuchać tego okropnego dźwięku - stwierdził, przechodząc przez połamane wrota. - Teraz już mogę się przyznać, że ten wrzask zaczynał działać mi na nerwy. Z całą pewnością brzmiał bardzo nie-drzwiowo, jeśli wiesz, co mam na myśli. Brzmiał zupełnie jak... zupełnie jak...

- Jak to - szepnął Caramon.

Wrzask przeszył powietrze i rozświetlony księżycem mrok, lecz tym razem brzmiał odmiennie. W tym wrzasku były słowa - słowa, które można było usłyszeć, jeśli nie zdefiniować.

Odwrociwszy odruchowo głowę, Caramon obejrzał się na bramę, chociaż wiedział, co ujrzy. Drzwi leżały na bruku, nieruchome.

- Caramonie - rzekł Tas i przełknął ślinę - on... dochodzi stamtąd... z Wieży...

- Skończ już! - wył Par-Salian. - Połóż kres moim cierpieniom! Nie każ mi ich więcej znosić!

Już nie pamiętasz, jak ty kazałeś mi je znosić, Dostojny Mistrzu Białych Szat? - Rozległ się cichy, szyderczy głos w umyśle Par-Saliana. Czarodziej wiał się w katuszach, lecz głos był nieustępliwy, nieubłagany i smagał jego duszę niczym batem. Sprowadziłeś mnie tu i oddałeś mnie jemu - Fistantilusowi! Siedziałeś i przyglądałeś się, jak wysłał ze mnie siłą życiową, aby móc żyć na tej płaszczyźnie.

- To ty zawarłeś umowę - krzyknął Par-Salian, a jego starczy głos niósł się echem po pustych korytarzach Wieży. - Mogłeś mu odmówić...

/ co? Umrzeć z godnością? Głos wybuchnął śmiechem. A cóż to za wybór? Chciałem żyć! Rozwijać się w swej sztuce! I przeżyłem. A ty, w swym rozgoryczeniu dałeś mi te klepsydrowe oczy - oczy, które widzają jedynie śmierć i rozkład wokół mnie. Teraz ty popatrz sobie, Par-Salianie! Co widzisz dokoła? Jedynie śmierć... Śmierć i rozkład... Jesteśmy wciąż kwita.

Par-Salian jęknął. Głos ciągnął nieprzejeźdnie i bezlitośnie.

Tak, kwita. A teraz zamienię cię w proch. Bowiem w swych ostatnich chwilach męki, Par-Salianie, będziesz świadkiem mojego zwycięstwa. Mój gwiazdozbiór już świeci na niebie. Królowa maleje. Wkrótce zgaśnie i zniknie na zawsze. Teraz oczekuje mnie mój

ostatni wróg, Paladine. Widzę, jak się zbliża. On jednakże nie stanowi wyzwania to zgarbiony starzec o zasmuconej twarzy pełnej żalu, który stanie się przyczyną jego zguby. Jest słaby, słaby i ranny, tak jak Crysania, jego biedna kapłanka, która umarła na zmiennych płaszczyznach Otchłani. Będziesz przyglądał się, jak go zabijam, Par-Salianie, a kiedy bitwa się skończy, kiedy konstelacja Platynowego Smoka spadnie z niebios, kiedy zgaśnie blask Solinari, kiedy ujrzysz Czarny Księżyc, uznasz jego moc i złożysz hołd nowemu i jedyne mu bogu - mnie - wtedy zostaniesz uwolniony, Par-Salianie, abyś mógł poszukać otuchy w śmierci!

Astinus z Palanthas odnotował te słowa, podobnie jak wrzask Par-Saliana, powoli i bez pośpiechu kaligrafując wyraźne, czarne, grube litery. Siedział przed wielkim portalem w Wieży Najwyższej Magii, zaglądając w jego mroczną głębię i widząc w tej czeluści postać czarniejszą jeszcze niż ciemność, która ją otaczała. Widać było jedynie parę złotych oczu o źrenicach w kształcie klepsydr, które przyglądały się jemu i uwięzionemu obok niego czarodziejowi w białych szatach.

Par-Salian był więźniem w swej własnej Wieży. Od pasa w górę był żywym człowiekiem o siwych włosach spływających na ramiona, wynędzniałym i chudym ciele przykrytym białymi szatami i ciemnych oczach utkwionych w portalu. Rzeczy, które widział, były potworne i już dawno temu niemal pozbawiły go zdrowych zmysłów. Nie potrafił jednakże oderwać od nich wzroku. Od pasa w górę Par-Salian był żywym człowiekiem. Od pasa w dół - marmurowym słupem. Przeklęty przez Raistlina Par-Salian zmuszony był stać w najwyższej komnacie swej Wieży i patrzeć - doznając straszliwych męczarni - na koniec świata.

Przy nim siedział Astinus, Historyk Świata i Kronikarz, zapisując ostatni rozdział krótkiej, promiennej historii Krynny. Piękne Palanthas, gdzie mieszkał Astinus i gdzie niegdyś stała wielka biblioteka, było teraz jedynie kupą zgliszcz i zwęglonych trupów. Astinus przybył tu, do tego ostatniego miejsca, jakie zachowało się na Krynnie, by być świadkiem i opisać ostatnie, przerażające godziny świata. Kiedy wszystko się skończy, zabierze zamkniętą księgę i położy ją na ołtarzu Gileana, boga Neutralności. I to będzie koniec.

Wyczuwszy, że odziana na czarno postać wewnątrz portalu spogląda na niego, Astinus po zakończeniu zdania podniósł wzrok, by popatrzeć w jej złote oczy.

Jak byleśpierwszym, Astinusię, rzekła, tak będziesz ostatnim. Kiedy odnotujesz moje największe zwycięstwo, księga zostanie zamknięta. Będę rządził niepodzielnie.

- To prawda, będziesz rządził niepodzielnie. Będziesz rządził martwym światem.

Światem, który zniszczyła twoja magia. Będziesz rządził samotnie. I będziesz samotny, samotny w bezpostaciowej, nieskończonej próżni - odparł z całym spokojem Astinus, nie przerywając pisania. W jego pobliżu Par-Salian jęczał i targał swe białe włosy.

Nagle Astinus dostrzegł, jak dłonie postaci w czarnej szacie - cię zacisnęły się. To kłamstwo, stary przyjacielu! Bada tworzył! Nowe światy staną się moją własnością. Stworze, nowe ludy - nowe rasy, które bada mnie czciły!

- Zło nie potrafi tworzyć - zauważył Astinus - potrafi tylko niszczyć. Obraca się przeciwko sobie samemu, wgryza się w siebie samego. Już czujesz, jak cię kąsa. Już czujesz, jak twa dusza umiera. Spójrz w twarz Paladine'owi, Raistlinie. Spójrz w nią jak niegdyś, jak wtedy na równinach Dergoth, gdy konałeś od rany zadanej mieczem krasnoluda, a pani Crysania dotknęła ją swymi uzdrawiającymi dłońmi. Wtedy widziałeś żal i smutek boga tak jak widzisz go dzisiaj, Raistlinie. Wiedziałeś też wtedy, tak samo jak wiesz to teraz, lecz usilnie temu zaprzeczasz, że Paladine uważa się nie nad sobą, lecz nad tobą.

Nam łatwo będzie wślizgnąć się z powrotem w pozbawiony marzeń sen. Ciebie, Raistlinie, sen nie będzie czekał. Tylko nie kończąca się jawa, nie kończące się nasłuchiwanie dźwięków, które nigdy się nie rozlegną, nie kończące się wpatrywanie w pustkę, która nie zawiera światła ni ciemności, nie kończące się wykrzykiwanie słów, których nikt nie usłyszy i na które nikt nie odpowie, tudzież nie kończące się intrygi i spiski, które nie wydadzą owoców, podczas gdy ty będziesz kręcił się bez końca w kółko. Wreszcie, w przypiływie obłądzenia i rozpacz, pochwycisz ogon swej egzystencji niczym zgłodniały wąż, pożresz się sam w próbie znalezienia pokarmu dla swej duszy.

Nie znajdziesz jednakże niczego prócz pustki. I będziesz wciąż istniał bez końca w tej pustce - małe punkciki nicości, zasysający wszystko dookoła, by nasycić swój wieczny głód...

Portal zamigotał. Astinus szybko podniósł wzrok znad książki, czując jak słabnie wola skryta za tymi złotymi oczyma. Zajrzawszy pod ich lustrzaną powierzchnię, do wnętrza ich głębi, ujrzał - przez mgnienie oka - te właśnie męki i katusze, jakie opisał. Ujrzał duszę - przerażoną, samotną, tkwiącą we własnych sidłach, szukającą ucieczki. Po raz pierwszy za swego życia Astinus mu współczuł. Zaznaczywszy dłonią miejsce w księdze, na wpół wstał z krzesła i drugą rękę wyciągnął do portalu...

Wtedy rozległ się śmiech... upiorny, szyderczy, gorzki śmiech - śmiech nie z niego, lecz z tego, który się śmiał.

Odziana na czarno postać we wnętrzu portalu znikła.

Astinus z westchnieniem wrócił na miejsce i niemal w tej samej chwili w głębi portalu

zaślniła magiczna błyskawica. Odpowiedział jej rozbłysk białego światła - było to ostateczne spotkanie Paladine'a z młodzieńcem, który pokonał Królową Ciemności i zajął jej miejsce.

Na zewnątrz również błysnął piorun, kłując oślepiającym blaskiem w oczy przyglądających się dwóch mężczyzn. Trzasnął grom, zadrżały kamienie wieży, zadygotały jej fundamenty. Zawył wichur, a jego wycie zagłuszyło jęki Par-Saliana.

Uniósłszy zapadniętą, wymęczoną twarz, sędziwy czarodziej wykręcił głowę, by spojrzeć przez okna z wyrazem zgrozy. - To koniec - wyszeptał, bezsilnie wymachując w powietrzu wyschniętymi, sękatymi rękoma. - Koniec wszystkiego.

- Tak - rzekł Astinus - marszcząc z rozdrażnienia czoło, gdy nagły przechył Wieży sprawił, że zrobił błąd. Złapał mocniej księgę i nie spuszczać portalu z oczu notował, zapisując na bieżąco przebieg ostatniej bitwy.

W przeciągu kilku minut nastąpił koniec. Białe światło zamigotało przez chwilę, krótko i pięknie. A potem zgasło. Wewnątrz portalu zapadła ciemność.

Par-Salian rozplakał się. Jego łzy spływały na kamienną posadzkę i pod ich dotykiem Wieża drżała niczym żywa istota, jakby i ona przewidziała swą zgubę i dygotała z trwogi.

Nie zważając na spadające kamienie i kołysanie skał, Astinus z całym spokojem napisał ostatnie słowa.

Dnia czwartego, piątego miesiąca, roku 358, nastąpił koniec świata.

Z westchnieniem zaczął zamykać księgę.

Nagle czyjaś dłoń uderzyła z impetem w stronicę.

- Nie - rzekł ktoś stanowczym głosem - nie nastąpi tutaj.

Astinusowi zadrżały ręce, a z pióra spłynęła na papier kropla atramentu, zamazując ostatnie słowa.

- Caramon... CaramonMajere! - krzyknął Par-Salian, żałośnie wyciągając do mężczyzny wątle ramiona. - To ciebie usłyszałem w lesie!

- Zwątpiłeś we mnie? - warknął Caramon. Choć widok wynędzniałego czarodzieja i jego męki wstrząsnął nim i zdjął zgrozę, Caramonowi trudno było współczuć arcymagowi. Patrząc na Par-Saliana i widząc, że od połowy został zamieniony w marmur, Caramon przypomniał sobie aż zbyt wyraźnie cierpienia bliźniaczego brata w Wieży i swe własne cierpienia, gdy został wysłany z powrotem do Istar z Crysanią.

- Nie, nie zwątpiłem w ciebie! - Par-Salian załamywał ręce. - Nie wierzę raczej swym własnym zmysłom! Czy nie możesz zrozumieć? Jak możesz tu być? Jak mogłeś przeżyć magiczne boje, które unicestwiły świat?

- Nie przeżył - oświadczył srogo Astinus. Odzyskawszy panowanie nad sobą, odłożył

księgę na podłodze u swych stóp i wstał. Zmierzył Caramona wściekłym wzrokiem i oskarżycielskim gestem wymierzył w niego palec.

- Cóż to za sztuczka? Ty umarłeś! Co to ma znaczyć... Bez jednego słowa Caramon wyciągnął Tasslehoffa zza swych pleców. Głęboko przejęty powagą i podniosłością sytuacji Tas tulił się do Caramona, wlepiając w Par-Saliana błagalne spojrzenie szeroko rozwartych oczu.

- Czy-czy chcesz, żebym wszystko wyjaśnił, Caramonie? - spytał Tas cichym, uprzejmym głosem, który ledwo było słyszeć wśród gromów. - Naprawdę sędzę, że powinienem powiedzieć, dlaczego zakłóciłem zakłęcie podróży w czasie, no i o tym, jak Raistlin dał mi niewłaściwą instrukcję, przez co popsułem magiczne urządzenie, chociaż przypuszczam, że było w tym trochę mojej winy, i jak znalazłem się w Otchłani, gdzie spotkałem biednego Gnimsha. - Łzy stanęły Tasowi w oczach. - I jak Raistlin zabił go... - To wszystko wiem - przerwał Astinus. - Tak więc zdołałeś tu przybyć dzięki kenderowi. Mamy niewiele czasu. Co zamierzasz, Caramonie Majere?

Ogromny mężczyzna przeniósł wzrok na Par-Saliana. Nie darzę cię sympatią, czarodzieju. Pod tym względem jesteśmy z mym bliźniaczym bratem jednego zdania. Może miałeś swoje powody do tego, co uczyniłeś mnie i pani Crysanii tam w Istar. Jeśli tak - Caramon podniósł rękę, by przerwać Par-Salianowi, który chciał coś powiedzieć - jeśli tak, to ty z nimi żyjesz, nie ja. Wiedz bowiem teraz, że jest w mojej mocy odmienić bieg czasu. Tak jak powiedział mi sam Raistlin, dzięki kenderowi możemy zmienić to, co już się stało. Mam magiczne urządzenie. Mogę cofnąć się do dowolnego punktu w czasie. Powiedz mi, kiedy i co się stało, co doprowadziło do tej zagłady, a podejmę się zapobiec jej, jeśli zdołam.

Spojrzenie Caramona powędrowało od Par-Saliana do Astinusa. Historyk pokręcił głową. - Nie oglądaj się na mnie, Caramonie Majere. Ja zajmuję neutralne stanowisko w tej sprawie, jak i we wszystkich innych. Nie mogę ci pomóc. Mogę jedynie udzielić ci ostrzeżenia: Możesz wrócić, lecz może się okazać, że niczego nie zmienisz. Możesz okazać się tylko kamykiem w rwącej rzece.

Caramon pokiwał głową. - Jeśli to wszystko, w takim razie umrę z świadomością, że chociaż próbowałem... Ostatnio poniosłem porażkę...

Astinus posłał Caramonowi bystre, przenikliwe spojrzenie. - O jakiej porażce mówisz, wojowniku? Ryzykowałeś życie, idąc za bratem. Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, starałeś się przekonać go, że ścieżka ciemności, którą podąża, zaprowadzi go wyłącznie do zguby. - Astinus wskazał portal. - Słyszałeś, jak z nim rozmawiałem? Wiesz, co go czeka?

Caramon znów skinął głową bez słowa. Jego oblicze było blade i cierpiące.

- Więc powiedz mi - rzekł oziębłe Astinus. Wieża zadrżała. Wicher łomotał w ściany, a pioruny zmieniły odchodzącą noc świata w oślepiająco jasny dzień. Niewielka, pusta komnata wieży, w której stali, dygotała i trzęsa się. Choć znajdowali się w niej sami, Caramonowi wydawało się, że słyszy płacz i powoli uświadomił sobie, że ten dźwięk wydają kamienie Wieży. Rozejrzył się dookoła niespokojnie.

- Masz czas - oświadczył Astinus. Zasiadając ponownie na stołku, podniósł księgę. Nie zamknął jej jednak. Może nie aż tyle, ale wciąż masz czas. W którym miejscu odniosłeś niepowodzenie?

Caramon zaczerpnął z drzeniem tchu. Potem ściągnął brwi. Z grymasem gniewu na twarzy spojrzął na Par-Saliana. To był podstęp, nieprawdaż, czarodzieju? Podstęp, by zmusić mnie do zrobienia tego, czego wy, magowie, nie potrafiliście - do powstrzymania potwornej ambicji Raistlina. Nie udało się wam jednak. Posłaliście Crysanię na śmierć w przeszłość, bo się jej baliście. Mimo to jej miłość okazała się silniejsza, niż przypuszczaliście. Przeżyła i zaślepiona miłością i swą własną ambicją, poszła w ślad za Raistlinem do Otchłani. - Oblicze Caramona wykrzywił wściekły grymas. - Nie rozumiem, co chciał osiągnąć Paladine, odpowiadając na jej modlitwy, dając jej moc, by mogła tam wejść...

- Nie tobie oceniać wyroki bogów, Caramonie Majere - przerwał chłodno Astinus. - Kimże jesteś, by ich osądzać? Być może oni również czasami odnoszą niepowodzenia. A może decydują się wystawić na niebezpieczeństwo to, co mają najlepszego, w nadziei, iż stanie się jeszcze lepsze.

- Niech sobie będzie, jak chce - ciągnął Caramon z twarzą posępną i pełną obaw - magowie cofnęli Crysanię w czasie i tym sposobem dali memu bratu jeden z kluczy potrzebnych mu do otworzenia portalu. Ponieśli klęskę. Bogowie zawiedli. I ja zawiodłem. - Caramon przeczesał włosy drżącą dłonią.

Sądziłem, że samymi słowami zdołam przekonać Raistlina, by zawrócił z tej niebezpiecznej ścieżki, jaką kroczył. Powinienem był wiedzieć, że to nie ma sensu. - Ogromny mężczyzna zaśmiał się gorzko. - Czy kiedykolwiek moje żałosne słowa odniosły jakiś skutek? Kiedy stał przed portalem, szykując się do wkroczenia do Otchłani i mówiąc mi, co zamierza, ja go porzuciłem. To było takie łatwe. Po prostu odwróciłem się plecami i odszedłem.

- Ba! - zachnął się Astinus. - A co mogłeś zrobić? On był wtedy potężny, silniejszy, niż potrafimy sobie to wyobrazić. Utrzymywał magiczne pole wyłącznie siłą swej woli. Nie mógłbyś go zabić...

- Nie - powiedział Caramon, odwracając oczy od zgromadzonych w pokoju i

spoglądając na burzę, która rozszalała się jeszcze straszliwiej - ale mogłem pójść za nim, pójść w mrok, choćby miało to oznaczać śmierć. Pokazałbym mu, że gotów jestem poświęcić dla miłości to, co on był gotów poświęcić dla swej magii i ambicji. - Caramon spojrzał na zebranych w komnacie. - Wtedy szanowałby mnie. Wtedy może posłuchałby mnie. Toteż wróć. Wejdę do Otchłani - zignorował pełen zgrozy okrzyk Tasslehoffa - i tam zrobię to, co musi zostać zrobione.

- Co musi zostać zrobione - powtórzył rozgorączkowany Par-Salian. - Ty nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza! Dalamar...

Olśniewający, oślepiający piorun eksplodował w pomieszczeniu, odrzucając wszystkich obecnych pod kamienne ściany. Nikt niczego nie słyszał ani nie widział, gdy huknął nad nimi grom. Potem przez huk grzmotów przedarł się udręczony krzyk.

Wstrząśnięty tym zdławionym, pełnym bólu wrzaskiem Caramon otworzył oczy i natychmiast pomyślał, że lepiej byłoby mieć oczy na wieki zamknięte, niż ujrzeć tak makabryczny widok.

Par-Salian zmienił się ze słupa marmuru w słup ognia! Uwięziony zaklęciem Raistlina czarodziej był bezradny. Mógł tylko krzyczeć w miarę, jak płomienie powoli pełzły w górę po jego ciele.

Wytracony z równowagi Tas zasłonił twarz dłońmi i szlochał skulony w kącie. Astinus wstał z podłogi, na którą został ciśnięty i natychmiast wziął do rąk księgę. Zaczął pisać, lecz ręka zwisała mu bezwładnie, a pióro wysunęło się z palców. Znow zaczął zamykać okładkę...

- Nie! - krzyknął Caramon. Wyciągnął ręce i położył dłonie na stronicach.

Astinus popatrzył na niego i Caramon zawahał się, widząc spojrzenie tych nie znających śmierci oczu. Ręce mu się trzęsły, lecz wciąż były mocno przyciśnięte do białego pergaminu oprawionego w skórę woluminu. Konający czarodziej wył w straszliwych mękach.

Astinus wypuścił otwartą księgę.

- Trzymaj to - polecił Caramon, zamykając bezcenny tom i wtykając go lasowi w dłonie. Skinąwszy głową w odrętwieniu, kender wtulił w ramiona księgę, która była prawie tak wielka jak on sam i pozostał skulony w kącie, rozglądając się ze zgrozą, podczas gdy Caramon pobiegł przez pokój ku umierającemu czarodziejowi.

- Nie! - wrzasnął Par-Salian. - Nie zbliżaj się do mnie! - Jego siwe, rozpuszczone włosy i długa broda trzaskały, skóra pokrywała się bąblami i skwierczała, a przerażająca, mdląca woń palącego się ciała mieszała się z zapachem siarki.

- Powiedz mi! - krzyczał Caramon, zasłaniając się przed żarem podniesionym

ramieniem i podchodząc najbliżej maga, jak tylko mógł. - Powiedz mi, Par-Salianie! Co muszę zrobić? Jak mogę temu zapobiec?

Oczy czarodzieja topiły się. Jego usta były ziejącym otworem w czarnej, bezkształtnej masie, jaką stała się jego twarz. Niemniej słowa konającego maga uderzyły w Caramona jak kolejna błyskawica i utrwaliły mu się w umyśle na zawsze.

Nie wolno dopuścić, by Raistlin wyszedł z Otchłani!

Księga druga

Rycerz Czarnej Róży

Lord Soth zasiadał na rozsypującym się, poczerniałym od pożaru tronie w wypalonych, opustoszałych ruinach twierdzy Dargaard. Jego pomarańczowe oczy jarzyły się w niewidzialnych orbitach, stanowiąc jedyny widzialny znak przeklętego życia, jakie płonęło we wnętrzu zwęglonej zbroi rycerza solamnijskiego.

Soth siedział sam.

Upiorny rycerz odesłał swych towarzyszy - byłych rycerzy, jakim był i on sam, którzy zostali mu wierni za życia, tak więc zostali przeklęci, by dochować mu wierności również po śmierci. Odesłał również banshee, elfie kobiety, które przyczyniły się do jego upadku i które skazane zostały teraz na spędzenie żywota na usługiwaniu mu. Od setek lat, od chwili tej straszliwej nocy swej śmierci, lord Soth rozkazywał tym nieszczęsnym kobietom przeżywać tę zagładę wraz z nim. Każdej nocy, zasiadłszy na swym zniszczonym tronie, zmuszał je do wyśpiewywania mu pieśni, która opowiadała historię hańby jego i ich samych.

Ta pieśń sprawiała Sothowi dotkliwy ból, lecz przyjmował ten ból z radością. Był dziesięć razy lepszy od nicości, która przepelniała jego przeklęte życie-w-śmierci o każdej innej porze. Tej nocy jednakże nie słuchał pieśni. Zamiast tego przysłuchiwał się mówiącej o nim opowieści, która świszczała jak przenikliwy nocny wiatr pod sklepieniem rozpadającej się twierdzy.

- Kiedyś, dawno temu, byłem dostojnym rycerzem solamnijskim. Miałem wtedy wszystko: urodę, wdzięk, odwagę i za żonę kobietę zamożną, nawet jeśli nie piękną. Moi rycerze byli mi oddani. Tak, ludzie mi zazdrościli, mi, lordowi Sothowi z twierdzy Dargaard.

Wiosną przed Katakлизmem opuściłem Dargaard i pojechałem z drużyną do Palanthis. Odbywała się tam rada rycerstwa i moja obecność była wymagana. Mało obchodziły mnie posiedzenia rady - wlokłyby się z powodu nie kończących się sporów o pozbawione znaczenia reguły. Byłoby jednak również picie, zabawa w towarzystwie kolegów, opowieści o bitwach i przygodach. I dlatego właśnie tam pojechałem.

Jechaliśmy konno powoli, nie śpiesząc się, a nasze dni wypełniały pieśni i żarty. Kiedy tylko mogliśmy, na noc zatrzymywaliśmy się w oberżach, a spaliśmy pod gwiazdami, gdy nie było to możliwe. Pogoda była piękna, a wiosna łagodna. Słońce nas grzało, wieczorny wietrzyk ochładzał. Miałem tamtej wiosny trzydzieści dwa lata. Wszystko w moim życiu układało się pomyślnie. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek był szczęśliwszy.

I wtedy, pewnej nocy - niech przeklęty będzie srebrny księżyc, który ją rozświetlał -

rozbiliśmy obozowisko na pustkowiu. Ze snu wyrwał nas krzyk, który przeszył ciemność. Był to krzyk kobiety, a potem usłyszeliśmy wiele kobiecych głosów mieszających się z ochrypłymi pokrzykiwaniami ogrów.

Chwyciliśmy za broń i ruszyliśmy do boju. Odnieśliśmy łatwe zwycięstwo; wrogiem była zaledwie wędrowna banda rozbójników. Większość uciekła na nasz widok, lecz ich herszt, który był śmielszy, albo bardziej pijany od pozostałych, nie chciał porzucić łupu. Osobiście nie winię go za to. Pojmał bowiem prześliczną elfią panienkę. Jej uroda jaśniała w blasku księżyca, a trwoga jedynie podkreśliła jej kruche piękno. Sam wyzwalam go na pojedynek. Walczyliśmy i ja zwyciężyłem. A moją nagrodą - ach, cóż za gorzko-słodką nagrodą - było odnieść na rękach zemdloną elfią pannę jej towarzyszkom.

Wciąż widzę jej delikatne, złote włosy błyszczące w świetle księżyca. Widzę jej wzrok, gdy zbudziła się, patrząc mi w oczy - i jeszcze teraz widzę - tak jak wtedy - jak świta w nich miłość do mnie. A ona ujrzała - w mych oczach - podziw, jakiego nie umiałem ukryć. Myśl o żonie, honorze, zamku - wszystko znikło w chwili, gdy spojrzałem na jej piękne lica.

Podziękowała mi; jakże nieśmiało przemawiała. Oddałem ją z powrotem elfim kobietom - była to grupa kapłanek udających się na pielgrzymkę do Palanthis, a stamtąd do Istar. Ona była zaledwie nowicjuską. Podczas tej właśnie podróży miała zostać wielebną córką Paladine'a. Zostawiłem ją z tamtymi kobietami i wróciłem ze swymi ludźmi do obozu. Próbowałem usnąć, lecz wciąż czułem to gibkie, młode ciało w mych ramionach. Nigdy jeszcze nie płonęła we mnie taka namiętność do kobiety.

Kiedy usnąłem, moje sny były słodką torturą. Kiedy zbudziłem się, myśl o rozstaniu była jak nóż wbity w me serce. Wstałem wcześniej i wróciłem do obozu elfek. Wymyśliwszy historię o bandach goblinów grasujących pomiędzy tym miejscem a Palanthis, z łatwością przekonałem je, że potrzebują mojej ochrony. Moi ludzie też nie mieli nic przeciw tak miłemu towarzystwu, więc dalej podróżowaliśmy razem. To jednakże nie ukoilo mych cierpień. Wręcz je nasiliło. Dzień po dniu przyglądałem się jej, gdy jechała konno obok mnie - lecz nie dość blisko. Noc po nocy spałem sam - czując zamęt w głowie.

Pożądałem jej, pożądałem bardziej, niż czegokolwiek innego na świecie. Niemniej jednak byłem rycerzem zobowiązanym najsurowszymi przysięgami do przestrzegania nakazów kodeksu i reguły, zobowiązany świętą przysięgą do dochowania wierności mej żonie, zobowiązany przysięgą dowódcy do prowadzenia mych wojowników ku honorowi. Długo zmagalem się ze sobą i wreszcie sądziłem, że odniosłem zwycięstwo. Jutro odjadę, powiedziałem sobie, czując ogarniający mnie spokój.

Szczerze zamierzałem odjechać i tak by się stało. Jednakże, przeklęte niech będą

wyroki losu, wybrałem się na łowy do puszczy i tam, z dala od obozu, spotkałem ją. Wysłano ją na zbieranie ziół.

Była sama. I ja byłem sam. Nasi towarzysze zostali daleko. Miłość, którą ujrzałem pierwszego dnia w jej oczach, nadal w nich lśniła. Kobieta rozpuściła włosy, które opadły do jej stóp niczym złoty obłok. Mój honor i moje postanowienie zginęły w tej chwili, spalone płomieniem żądz, jaka mnie ogarnęła. Łatwo było ją uwieść, to biedactwo. Jeden pocałunek, potem następny... Pociągnąłem ją na świeżą trawę obok siebie, pieszcząc dłońmi, ustami powstrzymując jej protesty, a potem... kiedy już uczyniłem ją swoją... pocałunkami starłem jej łzy.

Tej nocy znów przysła do mnie, do mojego namiotu. Pograżyłem się w rozkoszy. Obiecałem jej oczywiście małżeństwo. Co innego miałem zrobić? Początkowo nie mówiłem tego szczerze. Jakże mógłbym? Miałem żonę, bogatą żonę. Potrzebowałem jej pieniędzy. Moje wydatki były znaczne. Wtedy jednak, pewnej nocy, gdy trzymałem w ramionach elfią pannę, zrozumiałem, że nie potrafiłbym się nigdy jej wyrzec. Poczyniłem pewne kroki, by moją żonę usunąć na stałe...

Kontynuowaliśmy podróż. Elfki zaczęły coś podejrzewać. Jakżeby nie miały? Trudno nam było ukrywać tajne uśmiešky za dnia, trudno unikać każdej okazji, by być razem.

Z konieczności zostaliśmy rozdzieleni po przyjeździe do Palanthas. Elfie kobiety zamieszkały w jednym z pięknych domów, z których korzystał król-kapłan podczas pobytu w mieście. Ja i moi ludzie udaliśmy się do naszych kwater. Byłem jednak pewny, że elfka mimo to znajdzie sposób, by przyjść do mnie, skoro ja nie mogłem przyjść do niej. Pierwsza noc minęła i nie martwiłem się zbytnio. Potem jednakże druga i trzecia i ani słowa.

Wreszcie stukanie do drzwi. Jednak to nie była ona. Był to przełożony rycerzy solamnijskich w towarzystwie przełożonych każdego z trzech zakonów rycerskich. Kiedy ich ujrzałem, wiedziałem już, co musiało się stać. Elfka poznała prawdę i mnie wydała.

Tak się składało, że to nie ona mnie zdradziła, lecz tamte elfie kobiety. Moja kochanka zachorowała i kiedy przyszły ją wyleczyć, odkryły, że nosi w swym łonie moje dziecko. Nikomu o tym nie mówiła, nawet mnie. Powiedziały jej, że jestem żonaty, a co gorsza, w tym czasie przybyła do Palanthas wiadomość o „tajemniczym” zaginięciu mojej żony.

Zostałem aresztowany. Publicznie upokorzony wleczeniem po ulicach Palanthas, stałem się obiektem niewyszukanych żartów i wyzwisk gminu. Nic ich tak nie cieszyło, jak ujrzanie rycerza, który zniżył się do ich poziomu. Tego dnia poprzysięgłem sobie, że któregoś dnia zemszczę się na nich i ich pięknym mieście. To jednakże wydawało się niemożliwe do zrealizowania. Szybko mnie osądzono. Zostałem skazany na śmierć - jako zdrajca rycerstwa.

Pozbawiony ziemi i tytułu, miałem zostać stracony przez podcięcie gardła własnym mieczem. Pogodziłem się ze śmiercią. Nawet czekałem jej z utęsknieniem, wciąż myśląc, że elfka mnie odtrąciła.

Jednakże w noc przed egzekucją moi wierni ludzie uwolnili mnie z więzienia. Wśród nich była ona. Powiedziała mi wszystko, powiedziała mi, że nosi moje dziecko.

Powiedziała, że elfie kobiety jej wybaczyły i choć teraz nigdy już nie może zostać wielebną córką Paladine'a, nadal może żyć wśród swego ludu - choć hańba będzie jej towarzyszyć do końca jej dni. Niemniej nie mogła znieść myśli o odejściu bez pożegnania się ze mną. Kochała mnie, to nie ulegało wątpliwości. Mimo to wiedziałem, że historie, jakie usłyszała, zmartwiły ją.

Wymyśliłem jakieś kłamstwo dotyczące mojej żony, w które uwierzyła. Uwierzyłyby, że czarne to białe, gdybym tak jej powiedział. Kiedy jej obawy zostały rozwiane, zgodziła się ze mną uciec. Wiedziałem teraz, że dlatego w ogóle przyszła. Uciekliśmy do twierdzy Dargaard wraz z moimi wojownikami.

To była ciężka podróż, podczas której bezustannie ścigali nas inni rycerze, lecz wreszcie dotarliśmy na miejsce i zabarykadowaliśmy się w zamku. Stanowił pozycję łatwą do obrony, wznosił się bowiem wysoko na stromych skałach nad urwiskiem. Mieliśmy spore zapasy prowiantu i z łatwością mogliśmy przetrzymać szybko nadchodzącą zimę.

Powinienem być zadowolony z siebie, z życia, z mojej nowej oblubienicy - jakąż kpina była ta ceremonia małżeństwa! Dręczyło mnie jednak poczucie winy, a także, co gorsza, utrata honoru. Zdałem sobie sprawę, że zbiegłem z jednego więzienia, by znaleźć się w następnym - które sam sobie wybrałem. Uciekłem śmierci tylko po to, by wieść posępne i żalotne życie. Stałem się ponury i markotny. Zawsze łatwo wpadałem w gniew, łatwo podnosiłem rękę, a teraz było jeszcze gorzej. Służba uciekła po tym, jak kilku z nich pobiłem. Moja drużyna zaczęła mnie unikać. Potem, pewnego wieczoru, uderzyłem ją - ją, jedyną osobę na świecie, która mogła dać mi choćby odrobinę pociechy.

Spojrzawszy w jej pełne łez oczy, ujrzałem potwora, jakim się stałem. Wziąłem ją w ramiona i błagałem o wybaczenie. Jej cudne włosy otoczyły mnie. Czułem, jak moje dziecko kopie w jej łonie. Uklękliśmy wtedy razem i pomodliliśmy się do Paladine'a. Powiedziałem bogu, że zrobię wszystko, by odzyskać honor. Poprosiłem tylko o to, by mój syn, czy córka, dorastając, nie znał mojej hańby.

I Paladine mnie wysłuchał. Powiedział mi o królu-kapłanie i o tym, jakie aroganckie żądania ów szalony człowiek zamierzał skierować do bogów. Powiedział mi, że cały świat odczuje boski gniew, chyba że - jak Huma uczynił to przede mną - jeden człowiek zechce

poświęcić się dla dobra niewinnych.

Światło Paladine'a jaśniało dookoła mnie. Moją udręczoną duszę wypełnił spokój. Jakimż niewielkim poświęceniem wydawało mi się oddać życie, aby moje dziecko wzrastało w honorze, a świat ocalał. Pojechałem do Istar ze szczerym zamiarem powstrzymania króla-kapłana, wiedząc, iż Paladine jest przy mnie.

Ktoś jeszcze był jednak ze mną w czasie tej podróży Królowa Ciemności. W taki oto sposób toczy stale wojnę o dusze, których trzymaniem w niewoli się rozkoszuje. Kogo użyła, by mnie pokonać? Tych samych elfich kobiet - kapłanek boga, z którego misją jechałem.

Owe kobiety dawno już zapomniały imienia Paladine'a. Podobnie jak król-kapłan spowite były w swą zacność i niczego nie widziały przez swe welony dobrotliwości. Przekonany o własnej prawości powiadomiłem je o swych zamiarach. Padł na nie blady strach. Nie wierzyły, iż bogowie ukarzą świat. Widziały już dzień, w którym jedynie dobrzy (czyli elfy) będą żyli na Krynnie.

Musiały mnie powstrzymać. I powiodło im się.

Królowa jest mądra. Zna mroczne zakamarki serca mężczyzny. Stratowałbym armię, gdyby stanęła mi na drodze, lecz słodkie słówka tych elfek zatruiły mą krew niczym jad. Jakże sprytnie udało się tej elfiej pannie pozbyć mnie tak łatwo, mówiły. Teraz miała mój zamek i moje bogactwo tylko dla siebie, bez niewygody posiadania człowieka za męża. Czy byłem chociaż pewien, że dziecko jest moje? Widywano ją w towarzystwie jednego z mych młodych żołnierzy. Gdzie chodziła po opuszczeniu mego namiotu w nocy?

Ani razu nie skłamały. Ani razu nie rzekły niczego bezpośrednio przeciw niej. Mimo to ich pytania gryzły mnie, wgrzyzały się w w mą duszę. Przypomniałem sobie słowa, przypadki, spojrzenia. Byłem pewny, że zostałem zdradzony. Przyłapię ich razem! Zabiję go! Sprawię, że będzie cierpiała!

Zawróciłem z drogi do Istar.

Przybywszy do domu, wyważyłem wrota do mego zamku. Zaniepokojona żona wybiegła mi na spotkanie, trzymając niemowlę na rękach. Na jej obliczu malowała się rozpacz, którą wzięłem za przyznanie się do winy. Przekląłem ją i przekląłem jej dziecko. I w tym momencie ognista góra spadła na Ansalon.

Gwiazdy spadły z nieba. Ziemia zatrzęsa się i rozstała.

Z sufitu urwał się kandelabr, na którym płonął sto świec. W jednej chwili moja żona stanęła w płomieniach. Wiedziała, że umiera, lecz wyciągnęła do mnie ręce z niemowlęciem, abym ocalił je przed ogniem, który ją trawił. Zawahałem się, a potem z sercem wciąż przepełnionym szalem zazdrości, odwróciłem.

Ostatnim tchem elfka ściągnęła na mnie gniew bogów. „Zginiesz tej nocy w pożarze”, krzyknęła „tak jak ja i mój syn giniemy. Jednakże ty żyć będziesz na wieki w ciemności. Będiesz żył jeden żywot za każde życie, któremu twoja głupota położyła kres dzisiejszej nocy!” I umarła.

Ogień rozprzestrzenił się. Płomienie zajęły wkrótce mój zamek. Nic, czego próbowaliśmy, nie mogło ugasić tego dziwnego pożaru. Trawił nawet skałę. Moi ludzie próbowali uciekać. Jednakże na moich oczach oni również stawali w ogniu. Oprócz mnie nikt, zupełnie nikt na owej górze nie został przy życiu. Stałem w wielkiej sali sam, otoczony zewsząd ogniem, który jeszcze mnie nie dotknął. Mimo to widziałem już, jak zbliża się do mnie, podchodzi coraz bliżej... bliżej...

Konałem powoli, w straszliwych mękach. Kiedy wreszcie nadeszła śmierć, nie przyniosła ulgi. Zamknąłem oczy tylko po to, by je znów otworzyć na świat pustki, ponurej rozpacz i nie kończącej się udręki. Noc w noc, od niezliczonych lat siedzę na tym tronie i słucham elfek wyśpiewujących moją historię.

To jednakże skończyło się, skończyło się wraz z tobą, Kitiaro...

Kiedy Królowa Ciemności wezwała mnie, bym pomógł jej w wojnie, powiedziałem jej, że będę służył pierwszemu smoczemu władcy, który będzie miał dość odwagi, by spędzić noc w twierdzy Daargard. Znalazł się tylko jeden taki - ty, moja piękności. Ty, Kitiaro. Podziwiałem cię za to, podziwiałem cię za twą dzielność, sprawność, stanowczość. W tobie widzę siebie samego. Widzę, kim mogłem się stać.

Pomogłem ci zamordować innych smoczych władców, kiedy uciekliśmy z Neraki w zamęcie powstałym po klęsce Królowej, pomogłem ci dotrzeć do Sanction i tam pomogłem ci odzyskać władzę na obszarze tego kontynentu. Udzieliłem ci pomocy, gdy próbowałaś pokrzyżować swemu bratu, Raistlinowi, plany zmierzenia się z Królową Ciemności. Nie, nie byłem zaskoczony, że cię przechytrzył. Ze wszystkich żyjących, jakich spotkałem, tylko jego się obawiam.

Nawet bawiły mnie twoje romanse, moja Kitiaro. My, martwi, nie możemy odczuwać pożądania. To namiętność krwi, a krew nie płynie w tych lodowatych członkach. Przyglądałem się, jak unicestwiesz tego mięczaka, Tanisa Półelfa, i sprawiło mi to taką samą przyjemność jak tobie.

Teraz jednakże Kitiaro, kimże się stałaś? Pani stała się niewolnicą. I to dla kogo - elfa! Och, widziałem, jak twe oczy goreją, gdy wypowiadasz jego imię. Widziałem, jak ręce ci drżą, gdy trzymasz listy od niego. Myślisz o nim, kiedy powinnaś planować wojnę. Nawet twoi generałowie nie potrafią już dłużej przyciągnąć twej uwagi.

Nie, my martwi nie możemy odczuwać pożądania. Możemy jednak nienawidzić, możemy zazdrościć, czuć zawiść i żądzę posiadania.

Mógłbym zabić Dalamara - ten elfi uczeń jest dobry, lecz nie może się ze mną równać. Jego mistrz? Raistlin? Ach, to byłaby już zupełnie inna historia.

Moja Królowo w swej mrocznej Otchłani - strzeż się Raistlina! Z jego strony możesz spodziewać się największego wyzwania, a musisz - ostatecznie - stawić mu czoło samotnie. Ja nie mogę wesprzeć cię na tamtej płaszczyźnie, Mroczny Majestacie, lecz być może pomogę ci na tej.

Tak, Dalamarze, mógłbym cię zabić. Niemniej jednak wiem, co to znaczy umrzeć. Śmierć jest żalonym drobiazgiem. Jej ból jest dotkliwy, lecz szybko mija. Większą męką jest nieskończone przedłużanie pobytu w świecie żywych, kiedy czuje się zapach ich ciepłej krwi, widzi ich miękkie ciało i wie, że nigdy, przenigdy już go się nie odzyska. Ty jednakże poznasz to kiedyś aż za dobrze, czarny elfie...

A co do ciebie, Kitiaro, wiedz jedno - wolałbym raczej znosić te męki i przeżyć kolejne stulecie pełnego bólu istnienia, niż znów ujrzeć cię w ramionach żywego mężczyzny!

Upiorny rycerz snuł knowania w zamyśleniu, a jego myśli krążyły zawile niczym cierniste gałązki czarnych róż, które porosły jego zamczysko. Szkieletowi wojownicy kroczyli po zrujnowanych murach, a każdy kręcił się wokół miejsca, w którym spotkała go śmierć. Elfie kobiety załamywały bezcielesne ręce i lamentowały w gorzkim żalu nad swym losem.

Soth nie słyszał niczego i nic do niego nie docierało. Siedział na nadpalonym tronie i wbijał niewidzący wzrok w czarną plamę sadzy na kamiennej posadzce - plamę, którą od lat usiłował usunąć całą swą magiczną mocą - a która mimo to wciąż trwała, plamę w kształcie kobiety...

Wtedy wreszcie niewidzialne wargi uśmiechnęły się, a płomień pomarańczowych oczu zapłonął jasno w nie kończącej się dla nich nocy.

- Ty, Kitiaro - ty będziesz moja - na zawsze...

Rozdział I

Powóz zatrzymał się z turkotem. Konie parsknęły i otrząsnęły się, podzwaniając uprząż, stukając kopytami o gładki bruk, jakby spieszo im było skończyć tę podróż i wrócić do wygodnej stajni.

W oknie karocy pojawiła się głowa.

- Dzień dobry, dostojny panie. Witamy w Palanthas. Proszę podać imię i cel podróży.
- Zostało to wygłoszone rześkim, oficjalnym tonem przez rześkiego, oficjalnego młodzieńca, który najwyraźniej dopiero co stawiał się na służbie. Zajrzawszy do wnętrza, strażnik zmrużył oczy, próbując przystosować je do gęstego mroku panującego w karocy. Późnowiosenne słońce tryskało takim samym blaskiem, co twarz młodzieńca, prawdopodobnie dlatego, że ono również dopiero co zjawiło się na służbie.

- Nazywam się Tanis Półelf - powiedział mężczyzna siedzący w powozie - i przybyłem tu na zaproszenie, by zobaczyć się z wielmożnym synem Elistanem. Mam ze sobą list. Gdybyś zechciał poczekać chwilę...

- Lord Tanis! - Twarz we framudze okna powozu zrobiła się równie purpurowa, co komicznie przystrojony szamerunkiem i epoletami mundur, jaki strażnik miał na sobie. - Błagam o wybaczenie, wielmożny panie. Nie poznałem... to znaczy, nie dostrzegłem, bo inaczej z pewnością bym poznał...

- Do licha, człowieku - odparł z irytacją Tanis nie przepraszaj za wykonywanie swoich obowiązków. Tu jest list...

- Nie będę, wielmożny panie. Znaczy tak, wielmożny panie. To znaczy, przepraszam. Strasznie mi przykro, wielmożny panie. List? To nie będzie konieczne, wielmożny panie.

Jąkając się, strażnik zaszutował, uderzył się przy tym solidnie głową w górną część okna karocy, przytrzasnął sobie w drzwiach koronkowy mankiet i wreszcie wrócił chwiejnym krokiem na swój posterunek, wyglądając, jakby przed chwilą zakończył bój z hobgoblinami.

Uśmiechnąwszy się do siebie, choć był to żalony uśmiech, Tanis odchylił się do tyłu, gdy kareta ruszyła ponownie w drogę przez bramę w murach Starego Miasta. Ten wartownik to jego pomysł. Trzeba było dużej siły perswazji i argumentacji, zanim Tanisowi udało się przekonać lorda Amothusa z Palanthas, że w istocie bramy miasta powinny być nie tylko zamknięte, ale i strzeżone.

- Ależ ludzie mogą uznać, że nie są tu mile widziani. Mogą się poczuć obrażeni - zaprotestował nieśmiało Amothus. - W końcu wojna się skończyła.

Tanis znów westchnął. Kiedy oni się nauczą? Nigdy, pomyślał, spoglądając smutno

przez okno na miasto, które w większym stopniu, niż każde inne na Ansalonie ucieleśniało samozadowolenie, w jakim pograżył się świat od czasu wojny lancy dwa lata temu.

To skłoniło Tanisa do kolejnego westchnienia. Do licha! Zapomniał o tym! Dzień Zakończenia Wojny! Kiedy to będzie? Za dwa tygodnie? Trzy? Będzie musiał ubrać się w ten głupi kostium - ceremonialny pancerz rycerza solamnij - skiego, elfie odznaczenia i krasnoludzkie ordery. Potem będą ciężkostrawne kolacje, po których nie mógł usnąć przez pół nocy, przemowy, które zanudzały go, a Laurana...

Tanis jęknął. Laurana! Ona pamiętała! Oczywiście! Jak mógł okazać się tak ciężko myślący? Kilka tygodni temu właśnie wrócili do domu w Solanthus po wzięciu udziału w uroczystościach pogrzebowych Solostarana w Qualinesti - i po jego powrocie z nieudanej podróży powrotnej do Solące w poszukiwaniu pani Crysanii - Laurana otrzymała list napisany płynnym elfim pismem: „Prosimy o niezwłoczne przybycie do Silvanesti!” - Kochanie, wróć za cztery tygodnie - powiedziała, całując go czule. Mimo to w jej oczach, w tych ślicznych oczach krył się śmiech!

Zostawiła go! Zostawiła, żeby uczestniczył w tych przeklętych uroczystościach! Ona wróci do elfiej ojczyzny, która choć wciąż z trudem starała się przeciwstawić potwornościom, jakie zesłał na nie koszmar Loraca, wciąż była nieskończenie lepsza od wieczoru z lordem Amothusem...

Nagle Tanis zdał sobie sprawę z tego, o czym myśli. Przed oczami stanął mu obraz Silvanesti, gdzie potwornie umęczone drzewa płakały krwią, a wykrzywione udreńką oblicza dawno zmarłych elfich wojowników wyglądały z cieni. Dla porównania przyszło mu na myśl wspomnienie jednego z proszonych obiadów lorda Amothusa...

Tanis zaczął się śmiać. Wolałby mieć do czynienia z żywymi wojownikami!

A co do Laurany, cóż, nie mógł jej winić. Te ceremonie jemu samemu mocno dawały się we znaki - lecz Laurana była pupilkiem Palanthas, ich Złotym Generałem, tą, która ocaliła ich piękne miasto przed pożogą wojenną. Nie było takiej rzeczy, której by dla niej nie zrobili, z wyjątkiem zostawienia jej trochę czasu dla siebie. Po ostatnich obchodach Dnia Zakończenia Wojny Tanis zaniósł żonę do domu na rękach, bardziej wycieńczoną niż po trzech dniach bezustannej bitwy.

Wyobraził sobie, jak Laurana sadi znów kwiaty w Silvanesti, koi sny udreńczonych drzew i pielęgnuje je, by powoli wróciły do życia, a także odwiedza Alhanę Starbreeze, teraz jej bratową, która również powróciła do Silvanesti choć bez swego nowego męża, Porthiosa. Jak do tej pory ich małżeństwo było pozbawione miłości. Tanis przez krótką chwilę zastanawiał się, czy Alhana przypadkiem nie szuka schronienia w Silvanesti z tego samego

powodu. Dzień Zakończenia Wojny musi być trudny również dla Alhany. Przypomnił sobie Sturma Brightblade - rycerza, którego Alhana kochała i który teraz spoczywał martwy w Wieży Najwyższego Klerysta, a później myśli Tanisa powędrowały ku innym przyjaciołom... i wrogom.

Głęboki cień padł na powóz, jakby został wyczarowany przez owe wspomnienia. Tanis wyjrzał przez okno. Na końcu długiej i opustoszałej ulicy mignęła mu czarna plama zagajnik Shoikan, strażniczy las Wieży Najwyższej Magii Raistlina.

Nawet z tej odległości Tanis czuł chłód bijący od tych drzew, zimno, które ścinało lodem serce i duszę. Jego spojrzenie padło na Wieżę, która wznosiła się nad cudnymi gmachami Palanthas niczym kołek z czarnego żelaza wbity w białą pierś miasta.

Myślami wrócił do listu, który sprowadził go do Palanthas. Zerknąwszy nań, przeczytał go jeszcze raz:

Tanisie Półelfie!

Musimy się natychmiast spotkać z tobą. Sprawa szczególnej wagi. Świątynia Paladine'a, godzina Postrażnicza Wznosząca 12, czwartodzień roku 356.

Tylko tyle. Żadnego podpisu. Wiedział tylko, że czwartodzień przypada dziś i otrzymawszy pismo zaledwie dwa dni wcześniej, zmuszony był podróżować dniem i nocą, by dotrzeć do Palanthas na czas. List napisano w języku elfów, pismo było również elfie. Nie było w tym nic dziwnego.

Elistan miał wielu elfich duchownych, lecz czemu go nie podpisał? O ile oczywiście wysłał go Elistan. Niemniej jednak, kto inny mógłby tak beztrąsko wysłać takie zaproszenie do świątyni Paladine'a?

Wzruszywszy ramionami - pamiętając, że te same pytania zadawał sobie już nie raz i nie doszedł do zadowalających wniosków - Tanis wsunął pismo ponownie do sakwy. Mimo woli jego wzrok padł na Wieżę Najwyższej Magii.

- Mogę się założyć, że to ma jakiś związek z tobą, stary przyjacielu - mruknął pod nosem, marszcząc brwi i jeszcze raz myśląc o dziwnym zniknięciu kapłanki, pani Crysanii.

Kareta znów zatrzymała się, wrywając Tanisa z niewesołych rozmyślań. Wyjrzał przez okno i spostrzegł świątynię, lecz zmusił się do siedzenia cierpliwie, póki lokaj nie przyjdzie otworzyć mu drzwi. Uśmiechnął się do siebie. Niemal widział już Lauranę, która siedzi naprzeciw niego i mierzy go wściekłym spojrzeniem, jakby mówiąc mu, żeby nie śmiał sięgnąć do klamki. Wiele miesięcy zajęło Tanisowi oduczenie się starego zwyczaju

otwierania drzwiczek z impetem, odpychania lokaja na bok i pędzenia przed siebie bez pomyślenia o woźnicy, powozie, koniach, czymkolwiek.

Teraz stało się to ich prywatnym żartem. Tanis uwielbiał przyglądać się, jak oczy Laurany zwężają się, w udawanym niepokoju na widok jego dłoni, która skrada się żartobliwie w pobliże klamki. Jednakże to tylko przypomniało mu, jak bardzo mu jej brakuje. Gdzie jest wreszcie ten przeklęty lokaj? Na bogów, jest sam, raz dla odmiany zrobi coś po swojemu...

Drzwi otworzyły się na oścież. Lokaj nie mógł poradzić sobie ze składanym stopniem, który wysuwał się z podłogi. - Och, daruj sobie - warknął zniecierpliwiony Tanis, zeskakując na ziemię. Ignorując minę lekko obrażonej godności służącego, Tanis odetchnął głęboko, rad, że wyrwał się - nareszcie - z dusznego wnętrza karocy.

Rozejrzał się wokół, napełniając duszę tym cudownym uczuciem spokoju i dobrego samopoczucia, jakie promieniowało ze świątyni Paladine'a. Tego świętego miejsca nie strzegł żaden las. Rozległe, otwarte przestrzenie porośnięte zieloną trawą tak miękką i gładką jak aksamit, zapraszały wędrowca do spacerowania po nich, siedzenia i odpoczęcia na nich. Ogrody pełne barwnych kwiatów cieszyły oko, a ich słodka woń wypełniała powietrze. Tu i tam starannie poprzycinane drzewa dawały schronienie przed palącym słońcem. Fontanny tryskały czystą, chłodną wodą. Po ogrodach wędrowali odziani na biało kapłani, ze spuszczonej głowami, pograżeni w poważnych dyskusjach.

Wznosząca się znad obramowania ogrodów, cienistych gajów i dywanu traw świątynia Paladine'a roztaczała delikatny blask w słońcu poranka. Był to wykonany z białego marmuru, prosty, nie ozdobiony budynek, który powiększał wrażenie spokoju i pogody ducha, jaka go otaczała.

Przy bramie nie było żadnych straży. Wszystkich zapraszano, by weszli, i wielu tak czyniło. Była to przystań dla smutnych, znużonych i nieszczęśliwych. Kiedy Tanis zaczął iść po dobrze utrzymanym trawniku, zobaczył wielu ludzi siedzących lub leżących na trawie z wyrazem spokoju na twarzach, którzy, sądząc po brzdach troski i zmęczenia, nieczęsto zaznawali takiej pociechy.

Tanis zrobił zaledwie kilka kroków, gdy przypomniał sobie z kolejnym westchnieniem - o powozie. Zatrzymał się i odwrócił. - Zaczekaj na mnie - zamierzał powiedzieć, gdy jakaś postać wyłoniła się z cienia zagajnika osik, które rosły na samym brzegu terenu należącego do świątyni. - Tanis Pólfelf? - spytała.

Gdy wyszła na słońce, Tanis drgnął. Osoba odziana była w czarną szatę. U jej paska wisiały liczne sakiewki i przybory do rzucania czarów, a na rękawach i kapturze jej czarnego

płaszczka wyszyto srebrne runy. Raistlin!, pomyślał natychmiast Tanis, wspominając arcymaga zaledwie przed chwilą.

A jednak nie. Tanis odetchnął z ulgą. Ten czarodziej był wyższy od Raistlina co najmniej o głowę. Miał prostą sylwetkę, ciało dobrze zbudowane, wręcz muskularne, a krok młodzieńczy i sprężysty. Oprócz tego, teraz, gdy Tanis za - czął zwracać uwagę, uświadomił sobie, że jego głos jest zdecydowany i głęboki - nie taki, jak cichy, niepokojący szept Raistlina.

A gdyby nie było to zbyt dziwne, Tanis mógłby przysiąc, że usłyszał elfi akcent w głosie owego mężczyzny.

- Ja jestem Tanis Półelf - rzekł, nieco za późno. Choć nie widział twarzy postaci, która była schowana w cieniu czarnego kaptura, miał wrażenie, że mężczyzna uśmiechnął się.

- Wydawało mi się, że cię poznałem. Często opisywano mi cię. Możesz odprawić powóz. Nie będzie już potrzebny. Spędzisz w Palanthis wiele dni, być może tygodni.

Mężczyzna rzeczywiście mówił w języku elfów! Elfów Silvanesti! Tanis przez chwilę był tak zaskoczony, że tylko wybałuszał oczy. W tym momencie woźnica w powozie chrząknął. To była długa, męcząca podróż, a w Palanthis można było znaleźć doskonałe gospody, które podawały piwo słynące na całym Ansalonie...

Tanis jednakże nie miał zamiaru wierzyć na słowo magowi w czarnych szatach i odprawiać karocy. Otworzył usta, by dokładniej go wypytać, gdy czarodziej wyjął dłonie z rękawów szat, w których je chował i jedną dłonią wykonał szybki gest zaprzeczenia, a drugą jednocześnie zapraszał.

- Proszę - znów powiedział w mowie elfów - może zechcesz pójść ze mną? Udamę się bowiem do tego samego miejsca, co ty. Elistan oczekuje nas.

Nas! Tanis czuł kompletny mętlik w głowie. Od kiedy to Elistan zaprasza czarodziejów Czarnych Szat do świątyni Paladine'a? I od kiedy to czarodzieje Czarnych Szat dobrowolnie stąpają po tej świętej ziemi!

Cóż, jedynym sposobem na dowiedzenie się tego było towarzyszenie tej dziwnej osobie i odłożenie pytań do czasu, gdy znajdą się sami. Czując się trochę zbity z tropu, Tanis wydał polecenie woźnicy. Odziany na czarno mężczyzna stał obok niego w milczeniu, patrząc, jak powóz się oddala. Potem Tanis zwrócił się do niego.

- Masz nade mną przewagę, czcigodny panie - rzekł niepewnie półelf w silvanesti, języku elfów czystszy od qualinesti, który był jego mową ojczystą.

Mężczyzna skłonił się, a następnie zrzucił kaptur, tak że poranne słońce padło na jego oblicze. - Nazywam się Dalamar - powiedział, wsuwając ręce w rękawy swej szaty. Niewielu

było na Krynnie takich, którzy chcieliby uściskać dłoń magowi w czarnych szatach.

- Czarny elf! - stwierdził zdumiony Tanis, odzywając się, zanim pomyślał. Zacerwienił się. - Przepraszam - rzekł speszony. - To tylko dlatego, że nigdy jeszcze nie spotkałem...

- Nikogo do mnie podobnego? - dokończył płynnie Dalamar, a na jego chłodnym, pozbawionym wyrazu obliczu o urodziwych, elfich rysach pojawił się cień uśmiechu. Nie, nie sądzę, żebyś mógł spotkać. My, którzy zostaliśmy „odepchnięci od światła”, jak się powiada, nieczęsto zapuszczamy się na rozświetlone płaszczyzny istnienia. Jego uśmiech niespodziewanie nabrał ciepła i kiedy ciemny elf obejrzał się na kępę osik, w której stał uprzednio, Tanis zobaczył w jego oczach żal. - Mimo to czasami nawet my tęsknimy za ojczyzną.

Spojrzenie Tanisa również powędrowało ku osikom drzewom najbardziej ukochanym przez elfów. Półelf też się uśmiechnął, poczuwszy się znacznie swobodniej. Tanis niegdyś sam wędrował mrocznymi ścieżkami i był bardzo bliski stoczenia się do kilku ziejących przepaści. Potrafił to zrozumieć.

- Zbliża, się pora mojej wizyty - oświadczył. - A z tego, co powiedziałaś, wnioskuję, iż jesteś w jakiś sposób w to zamieszany. Może powinniśmy ruszać...

- Oczywiście. - Wydawało się, że Dalamar wziął się już w garść. Wszedł bez wahania w ślad za Tanisem na zielony trawnik. Tanis więc był poważnie zaskoczony, kiedy po odwróceniu się ujrzał, jak przez chwilę skurcz bólu wykrzywia delikatne rysy elfa, zmuszając go do wyraźnego skulenia się.

- Co ci jest? - Tanis zatrzymał się. - Jesteś chory? Mogę jakoś pomóc...?

Dalamar z wysiłkiem wykrzywił pełną cierpienia twarz, próbując wykrzesać uśmiech.

- Nie, Półelfie - rzekł.

- Nie możesz nic zrobić. Nie jestem też chory. Ty wyglądałbyś znacznie gorzej, gdybyś postawił nogę w zagajniku Shoikan, który strzeże mojej siedziby.

Tanis skinął głową ze zrozumieniem, a następnie, prawie mimowolnie, obejrzał się na ciemną, ponurą Wieżę, która górowała w oddali nad Palanthas. Spoglądając na nią, doznał dziwnego uczucia. Popatrzył za siebie na zwyczajną, białą świątynię, a potem znów na Wieżę. Kiedy ujrzał je razem, miał wrażenie, że każdą z nich widzi po raz pierwszy. Oba budynki razem wydawały się bardziej kompletne, skończone i całe, niż każdy z nich widziany osobno. Była to jednakże zaledwie ulotna impresja, o której pomyślał dopiero później. Teraz był w stanie myśleć tylko o jednym...

- Więc tam mieszkasz? Z Rai... Z nim? - Tanis wiedział, że bez względu na to, jak się

starął, nie potrafił wypowiedzieć imienia arcymaga bez zacieklego gniewu, unikał więc takich niezręcznych sytuacji.

- Jest moim shalafi - odparł zbolałym głosem Dalamar.

- Więc jesteś jego uczniem - powiedział Tanis, rozpoznawszy elfie słowo oznaczające mistrza. Zmarszczył czoło. - W takim razie, co tu robisz? Czy on cię przysłał?

- Jeśli tak, pomyślał półelf, opuszczę to miejsce, choćbym musiał wracać do Solanthes pieszo.

- Nie - odrzekł Dalamar, z którego twarzy odpłynęła cała krew. - O nim jednakże będziemy mówić. - Czarny elf zarzucił kaptur na głowę. Kiedy odezwał się, widać było, że czyni to z ogromnym wysiłkiem. - A teraz muszę cię błagać, abyśmy szli szybciej. Posiadam amulet dany mi przez Elistana, który pomoże mi przetrwać tę próbę. Nie należy ona jednakże do takich, które chciałbym przedłużyć.

Elistan dający amulety czarodziejom Czarnych Szat? Ucz - niowi Raistlina? Kompletnie zdumiony Tanis bez sprzeciwu przyspieszył kroku.

- Tanis, mój przyjacielu!

Elistan, kapłan Paladine'a i głowa kościoła na kontynencie Ansalon, wyciągnął rękę do półelfa. Tanis serdecznie uściskał mu dłoń, starając się nie pamiętać, że ta wynędzniała i wątła ręka kapłana była niegdyś silna i stanowcza. Starął się również zapanować nad swą twarzą, by nie odmalował się na niej wstrząs i litość na widok wychudzonej prawie na szkielet postaci, która spoczywała w łóżku podparta poduszkami.

- Elistanie... - zaczął serdecznie Tanis.

Jeden z odzianych na biało kapłanów krzątających się przy ich przełożonym podniósł wzrok na półelfa i zmarszczył brwi.

- T-to znaczy, wielbny synu... - Tanis zająknął się na oficjalnym tytule - dobrze wyglądasz.

- A ty, Tanisie Półelfie, zniżyłeś się do poziomu kłamcy - zauważył Elistan, uśmiechając się na widok cierpiącej miny Tanisa, którą ten za wszelką cenę chciał ukryć.

Elistan poklepał opaloną dłoń Tanisa swymi chudymi, białymi palcami. - I przestań z tym głupim „wielebnym synem”. Tak, wiem, że taki jest należyty i prawidłowy sposób zwracania się, Garadzie, ale ten człowiek znał mnie, kiedy jeszcze byłem niewolnikiem w kopalniach Pax Tharkas. A teraz, idźcie już sobie, wszyscy - zwrócił się do kręcących się kapłanów. - Przynieście, co tam mamy, żeby nasi goście czuli się jak u siebie.

Jego wzrok padł na czarnego elfa, który rzucił się na fotel w pobliżu ognia palącego się w kominku w prywatnych komnatach Elistana. - Dalamarze - rzekł łagodnie Elistan - ta

podróż musiała być dla ciebie męcząca. Jestem wobec ciebie dłużnikiem, iż zechciałeś ją odbyć. Tutaj jednakże, w moich pokojach, znajdziesz, jak sądzę, wytchnienie. Czego się napijesz?

- Wina - zdołał wykrztusić czarny elf sztywnymi i sinymi wargami. Tanis zauważył, że ręce elfa drżą na poręczach fotela.

- Przynieście wino i jedzenie dla naszych gości polecił Elistan wychodzącym z komnaty kapłanom, z których liczni posyłali pełne dezaprobaty spojrzenia odzianemu na czarno magowi. - Przeprowadźcie tu natychmiast Astinusa, kiedy tylko przybędzie, a potem dopilnujcie, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Astinusa? - Tanis wybałuszył oczy. - Astinusa Kronikarza?

- Tak, Półelfie. - Elistan znów się uśmiechnął. Umieranie ma szczególne znaczenie. „Ustawiają się w kolejce do ujrzenia mnie ci, którzy dawniej nie chcieli rzucić na mnie okiem”. Czyż nie tak brzmiały słowa wiersza tego starca? No już, Półelfie. Atmosfera oczyszczona. Tak, wiem, że umieram. Wiedziałem o tym od dawna. Moje miesiące skurczyły się do tygodni. No, co ty, Tanisie. Widziałeś już przedtem, jak konają ludzie. Jakie to były słowa Pani Lasu, które powiedziała ci w Mrocznej Puszczy, a ty powtórzyłeś mnie: „Nie oplakujemy straty tych, którzy umarli, spełniając swe przeznaczenie”. Osiągnąłem cel mojego życia, Tanisie, chociaż się tego nie spodziewałem. - Elistan wyjrzał przez okno na rozległe trawniki, kwitnące ogrody i - w oddali majaczącą - ciemną Wieżę Najwyższej Magii.

- Dano mi przynieść znów nadzieję światu, Półelfie stwierdził cicho Elistan. - Nadzieję i uzdrowienie. Cóż więcej może powiedzieć człowiek. Odchodzę ze świadomością, że kościół ponownie zapuścił mocne korzenie. Kapłani są już wśród wszystkich ras. Tak, nawet wśród kenderów. Elistan z uśmiechem przecesał swe siwe włosy. - Ach!

- westchnął - cóż to były za ciężkie czasy dla naszej wiary! Nadal nie jesteśmy w stanie stwierdzić dokładnie, co nam zginęło. Niemniej jednak to serdeczny lud o dobrych duszach. Kiedy tylko zaczynało mi brakować cierpliwości, myślałem o Fizbanie - postaci, w jakiej nam się objawił Pa - ladine - i o specjalnej miłości, jaką darzył twego małego przyjaciela, Tasslehoffa.

Tanis spochmurniał na wzmiankę o imieniu kendera i zdawało mu się, że Dalamar na moment oderwał wzrok od tańczących płomieni, którym się przyglądał. Elistan jednakże nie dostrzegł tego.

- Żałuję tylko, że nie zostawiam nikogo prawdziwie zdolnego do przejęcia po mnie obowiązków. - Elistan potrząsnął głową. - Garad jest dobrym człowiekiem. Zbyt dobrym. Widzę w nim załączki kolejnego króla-kapłana. On jednakże nie rozumie jeszcze, że

równowaga musi zostać zachowana, że świat musi się składać z nas wszystkich. Czyż nie tak, Dalamarze?

Ku zaskoczeniu Tanisa, czarny elf pokiwał głową. Zsunął czarny kaptur i zdołał wypić odrobinę czerwonego wina, jakie przynieśli mu kapłani. Na jego twarz powróciły rumieńce i ręce mu już nie drżały. - Jesteś mądry, Elistanie - rzekł cicho mag. - Żałuję, że inni nie są tak oświeceni.

- Być może to nie tyle mądrość, co zdolność widzenia spraw z wszystkich stron, a nie tylko z jednej. - Elistan zwrócił się do Tanisa: - Ty, Tanisie, mój przyjacielu, czy po wejściu nie zauważyłeś i nie podziwiałeś tego widoku?

- Machnął słabo ręką w stronę okna, przez które było wyraźnie widać Wieżę Najwyższej Magii.

- Nie jestem pewny, czy wiem, co masz na myśli kluczył Tanis, jak zwykle niechętny do dzielenia się swymi odczuciami.

- Wiesz, wiesz, Półelfie - oświadczył Elistan. - Patrzyłeś na Wieżę, następnie na świątynię, a potem pomyślałeś, jak to dobrze, że znajdują się tak blisko siebie. Och, wielu było takich, którzy długo sprzeciwiali się takiemu umiejscowieniu świątyni. Garad, i oczywiście, pani Crysania...

Na dźwięk tego imienia Dalamar zakrztusił się, zakaszłał i czym prędzej odstawił kieliszek. Tanis wstał, nieświadomie zaczynając krążyć po pokoju - jak to miał w zwyczaju - a kiedy uświadomił sobie, że to może przeszkadzać konającemu, zasiadł ponownie, kręcąc się nerwowo na krześle.

- Czy były o niej jakieś wieści? - spytał ściszym głosem.

- Przepraszam, Tanisie - rzekł łagodnie Elistan. Nie chciałem ci sprawiać przykrości. Doprawdy musisz przestać się obwiniać. To, co zrobiła, uczyniła z własnej woli. Nie pozwoliłbym też, aby było inaczej. Nie mogłeś jej powstrzymać ani ocalić przed jej przeznaczeniem - bez względu na to, jakie mogłoby być. Nie, nie było o niej żadnych wieści.

- Tak, były - oświadczył Dalamar zimnym, wypranym z emocji tonem, który natychmiast przyciągnął uwagę obu mężczyzn w pokoju. - To jeden z powodów, dla jakich was tu zebrałem...

- Ty zebrałeś! - powtórzył Tanis, znów stając na nogi. - Sądziłem, że zaprosił nas tu Elistan. Czy za tym kryje się twój shalafi! Czy on jest odpowiedzialny za zniknięcie tej kobiety? - Postąpił krok do przodu, a jego twarz pod rudawym zarostem zaczerwieniła się. Dalamar wstał z niebezpiecznym błyskiem w oczach, prawie niedostrzegalnie sięgając po jedną z sakiewek, które miał u pasa. - Bo, na bogów, jeśli on ją skrzywdził, skręcę mu ten

złoty kark...

- Astinus z Palanthas - oświadczył kapłan na progu. Historyk stanął w drzwiach. Jego nie podlegające upływowi czasu oblicze nie wyrażało niczego, podczas gdy spojrzenie jego szarych oczu omiotło pomieszczenie, zauważając wszystko i wszystkich w najdrobniejszych szczegółach, które wkrótce opisze jego pióro. Przeniosło się od zaczerwienionej i rozgniewanej twarzy Tanisa ku dumnemu, wyzywającemu obliczu elfa, a potem znużonej, cierpliwej twarzy umierającego kapłana.

- Niech zgadnę - zauważył Astinus, wchodząc i zasiadając. Położywszy wielką księgę na stole, otworzył ją na pustej stronie, wydobyl pióro z drewnianego pokrowca, w jakim je nosił, starannie obejrzał jego czubek, a następnie podniósł wzrok. - Atrament, przyjacielu - powiedział do spłoszonego kapłana, który na skinienie Elistana pośpiesznie opuścił komnatę. Następnie historyk dokończył rozpoczęte zdanie: - Niech zgadnę. Dyskutowaliście o Raistlinie Majere.

- To prawda - przyznał Dalamar. - Zwołałem was tutaj.

Czarny elf zajął ponownie swe miejsce przy ogniu. Tanis, wciąż z ponurą miną, wrócił i siadł przy Elistanie. Garad, który wrócił z atramentem Astinusa, spytał, czy potrzebują czegoś jeszcze. Ponieważ padła przecząca odpowiedź, wyszedł, surowo przypominając wszystkim zgromadzonym w pokoju, że Elistan jest chory i nie należy mu długo przeszkadzać.

- Zwołałem was tu wszystkich - powtórzył Dalamar, przyglądając się płomieniom. Potem podniósł wzrok i spojrzał wprost na Tanisa. - Przybyłeś tu, płacąc za to pewną drobną niewygodą, lecz ja przyszedłem, wiedząc, że będę cierpiał katusze, jakich doznają wszyscy mej wiary, którzy stąpają po tej świętej ziemi. Jest jednakże sprawą najwyższej wagi, abym porozmawiał z wami wszystkimi razem. Wiedziałem, że Elistan nie mógł do mnie przyjść. Wiedziałem, że Tanis Półelf nie zechciałby się ze mną spotkać. Tak więc nie miałem innego wyjścia, jak...

- Do rzeczy - rzekł Astinus swym głębokim, chłodnym głosem. - Świat posuwa się w czasie, gdy my tu siedzimy. Zebrałeś nas tu razem. To już wiadomo. Z jakiej przyczyny?

Dalamar milczał przez chwilę, znów patrząc w ogień. Kiedy odezwał się, nie podniósł oczu.

- Ziściły się nasze najgorsze obawy - powiedział cicho. - Jemu się udało.

Rozdział II

Wróć do domu...

Ten głos był wciąż żywy w jego wspomnieniach. Ktoś tkwił na obrzeżach jego umysłu i rzucał słowa na jego cichą, nieruchomą powierzchnię. Fale świadomości zaniepokoiły go i wyrwały ze spokojnego, dającego wytchnienie snu. - Wróć do domu... Mój synu, wróć do domu.

Otworzywszy oczy, Raistlin zobaczył twarz swej matki.

Uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i przyglądała wiotkie, białe włosy, które spadały mu na czoło. - Mój biedny synu - szepnęła, a jej ciemne oczy patrzyły rzewnie, ze smutkiem, współczuciem i miłością. - Co oni ci zrobili! Patrzyłam na to. Patrzę już od tak dawna. I płaczę. Tak, mój synu, nawet umarli płaczą. To jedyna nasza pociecha. Wszystko już jednak minęło. Jesteś ze mną. Tu możesz odpocząć...

Raistlin z wysiłkiem podźwignął się do pozycji siedzącej. Kiedy spojrzał na siebie, ku swemu przerażeniu zobaczył, że jest zalany krwią. Mimo to nie czuł bólu i nie widać było rany. Oddychanie przychodziło mu z trudem, zaczął ciężko dyszeć.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała matka. Zaczęła rozluźniać jedwabny sznur, którym był przepasany, sznur, na którym zawieszono były jego sakwy, jego cenne składniki zaklęć. Raistlin odruchowo odtrącił jej dłoń. Oddychał teraz lżej. Rozejrzał się dokoła.

- Co się stało? Gdzie jestem? - Czuł się ogromnie zdezorientowany. Naszły go wspomnienia dzieciństwa. Wspomnienia dwóch dzieciństw! Jego... i czyjś jeszcze! Popatrzył na swoją matkę, była kimś mu znanym i kimś obcym.

- Co się stało? - powtórzył z irytacją, odpędzając kłębiące się wspomnienia, które groziły mu odebraniem zdrowych zmysłów.

- Umarłeś, mój synu - rzekła łagodnie do niego matka. - A teraz jesteś ze mną.

- Umarłem! - powtórzył Raistlin w osłupieniu. Wywołał wspomnienia. Przypominał sobie, że był bliski śmierci... Jak to się stało, że poniósł klęskę? Przyłożył rękę do czoła i poczuł... ciało, kość, ciepło... I wtedy przypomniał sobie... Portal!

- Nie! - wykrzyknął gniewnie, patrząc ze złością na matkę. - To niemożliwe.

- Straciłeś panowanie nad magią, mój synu - stwierdziła, wyciągając rękę, by znów dotknąć Raistlina. Odsunął się od niej. Z lekkim, smutnym uśmiechem - uśmiechem, który tak dobrze pamiętał - opuściła rękę na kolana. Pole zmieniło się, jego siły rozdarły cię na strzępy. Nastąpił straszliwy wybuch, który unicestwił równinę Dergoth. Magiczna twierdza Zhaman zawałowała się. - Głos matki drżał.

- Widok twego cierpienia był niemal ponad moje siły.

- Pamiętam - szepnął Raistlin, przykładając ręce do głowy. - Pamiętam ból... ale...

Przypomniawszy sobie coś jeszcze - jaskrawe wybuchy wielobarwnych świateł, przypomniał sobie uczucie uniesienia i ekstazy, jakim wezbrała jego dusza, przypomniał sobie, jak smocze łby strzegące portalu wrzasnęły z furją, pamiętał, jak otulił ramionami Crysanię.

Raistlin wstał i rozejrzył się. Znajdował się na płaskim, równym gruncie - na jakiejś pustyni. W oddali widział góry. Sprawiały wrażenie znajomych - oczywiście! Thorbardin! Królestwo krasnoludów. Odwrócił się. Przed nim znajdowały się ruiny fortecy, które wyglądały jak czaszka pożerająca krainę ustami, które wiecznie szczyrzyły w uśmiechu zęby. A więc jest na równinie Dergoth. Poznawał krajobraz. Niemniej, mimo iż poznawał go, wydawał mu się on obcy. Wszystko było zabarwione na czerwono, jakby widział przedmioty przez zalane krwią oczy. A na dodatek, choć wszystkie rzeczy wyglądały tak, jak je zapamiętał, były mu również nieznajome.

Czaszkę widział podczas wojny lancy. Nie pamiętał, żeby szczyrzyła zęby w tak obsceniczny sposób. Góry ostro i wyraźnie odcinały się od nieba. Niebo! Raistlin zaczerpnął tchu. Było puste! Pośpiesznie rozejrzył się na wszystkie strony. Nie, nie było słońca, a jednak nie była to noc. Nie było księżycy ani gwiazd, a niebo miało taki dziwny kolor - zgaszonego różu, odbłasku zachodzącego słońca.

Spojrzał w dół na kobietę klęczącą przed nim na ziemi.

Raistlin uśmiechnął się, zaciskając zawzięcie wąskie wargi. - Nie - rzekł i tym razem jego głos był zdecydowany i pewny. - Nie, ja nie umarłem! Udało mi się. - Machnął ręką. - To dowód mojego sukcesu. Poznając to miejsce. Kender mi je opisał. Powiedział, że było ono każdym miejscem, w jakim był. W tym miejscu wkroczyłem do portalu i teraz stoję w Otchłani.

Nachyliwszy się, Raistlin złapał kobietę za ramię i szarpnięciem postawił ją na nogi. - Demonie, zjawo! Gdzie jest Crysania? Powiedz mi, kimkolwiek, czy czymkolwiek jesteś! Powiedz mi, bo, na bogów, zrobię...

- Raistlinie! Przestań, to boli!

Raistlin drgnął i spojrzał. To Crysania przemówiła, to Crysanię trzymał za rękę! Pod wpływem wstrząsu rozluźnił uścisk. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Starła się mu wyrwać, ale trzymał ją mocno i przyciągnął bliżej.

- Crysania? - spytał, przyglądając jej się wnikliwie. Podniosła na niego zdziwione oczy. - Tak - zająknęła się. - Co się stało, Raistlinie? Tak dziwnie mówiłeś.

Arcymag wzmocnił uścisk. Crysania krzyknęła w głos. Tak, ból w jej oczach był prawdziwy, tak samo strach.

Z uśmiechem i westchnieniem Raistlin objął ją, przyciskając mocno do siebie. Była istotą cielesną, ciepłem, miłą wonią, biciem serca...

- Och, Raistlinie! - Przytuliła się do niego. - Byłam taka przerażona. To okropne miejsce. Byłam całkiem sama.

Jego dłoń wplątała się w jej czarne włosy. Miętkość i zapach jej ciała odurzały go, napępiały pożądaniem. Przywarła do niego, odchylając głowę do tyłu. Jej wargi były miękkie i chciwe. Drżała w jego ramionach. Raistlin popatrzył z góry na nią - i zajrzał w jej gorejące oczy.

Wiać wreszcie wróciłeś do domu, mój magu!

Gwałtowny śmiech palił jego umysł, a gibkie ciało w jego objęciach wiło się i gięło... złapał jedną szyję pięciogłowego smoka... kwas skąpy wał z rozwartej paszczy nad nim... wokół niego syczał ogień... dusiły go siarkowe opary. Łeb zniżył się wężowym ruchem...

W przyptywie rozpacz i furii Raistlin wezwał magię. Mimo to, jeszcze gdy układał w myślach słowa zaklęcia ochronnego, ogarnęły go wątpliwości. A może czary nie zadziałają? Jestem słaby, podróż przez portal wycieńczyła mnie. Strach, ostry i smukły niczym ostrze sztyletu, przeszył jego duszę. Słowa zaklęcia wymknęły się z jego umysłu. Panika zawładnęła jego ciałem. Królowa! To jej dzieło! Ast takar ist... Nie! To nie tak! Słyszał śmiech, zwycięski śmiech...

Jaskrawe białe światło oślepiło go. Spadał, spadał, spadał bez końca po spirali ciemności w dzień.

Otworzywszy oczy, Raistlin zobaczył twarz Crysanii. Jej twarz. A jednak nie było to oblicze, jakie pamiętał. Starzało się, umierało na jego oczach. W ręce Crysania trzy - mała platynowy medalion Paladine'a. Jego czystobiały blask świecił jasno w otaczającej ich upiornej, różowawej poświacie.

Raistlin zamknął oczy, by wymazać obraz starzejącej się twarzy kapłanki i przywołać jej postać z przeszłości - delikatną, piękną, ożywioną miłością i namiętnością. Usłyszał jej chłodny, stanowczy głos.

- Prawie cię straciłam.

Wyciągając ręce, ale nie otwierając oczu, złapał kapłankę za ramiona, czepiając jej się rozpaczliwie. - Jak wyglądam? Powiedz mi! Zmieniłem się, prawda?

- Jesteś taki, jakim byłeś wtedy, gdy spotkałam cię po raz pierwszy w wielkiej bibliotece - odparła Crysania stanowczym głosem, zbyt stanowczym - spiętym, zduszonym.

Tak, pomyślał Raistlin, jestem taki, jakim byłem kiedyś. Co oznacza, że wróciłem do terażniejszości. Czuł dawną wąłość, dawną słabość, palący ból w piersi, a wraz z nim dławiącą suchość kaszlu, jakby mu płuca zasnuły pajęczyny. Wiedział, że wystarczy spojrzeć, a ujrzy złotawo zabarwioną skórę, białe włosy, klepsydrowe oczy...

Odepchnąwszy Crysanię, przewrócił się na brzuch i zacisnął ze złości pięści, szlochając z rozpacz i trwogi.

- Raistlinie! - W głosie Crysanii zabrzmiało teraz prawdziwe przerażenie. - Co to jest? Raistlinie, gdzie my jesteśmy? Co się stało?

- Udało mi się - odwarknął. Kiedy podniósł powieki, zobaczył jej twarz wędną w oczach. - Udało mi się. Jesteśmy w Otchłani.

Otworzyła szeroko oczy i rozwarła wargi. Strach mieszał się z radością.

Raistlin uśmiechnął się gorzko. - I moja magia znikła.

Zaskoczona Crysania popatrzyła na niego. - Nie rozumiem...

Krzywiąc się z bólu, Raistlin wrzasnął do niej: - Moja magia znikła! Jestem słaby, bezradny, tutaj - w jej królestwie! - Nagle przypomniawszy sobie, że ona może pod - słuchiwać, przyglądać się i cieszyć, Raistlin zamarł i rozejrzał się nieufnie.

- O nie, jeszcze mnie nie pokonałaś! - wyszeptał. Zacisnął w dłoni laskę Magiusa, która przy nim leżała. Wsparłszy się na niej całym ciężarem, wstał z trudem. Crysania delikatnie objęła go mocnym ramieniem, pomagając mu utrzymać się na nogach.

- Nie - szepnął, wpatrując się w przestwór pustej równiny i w różowe, puste niebo. - Wiem, gdzie jesteś! Czuję to! Jesteś w Domu Bogów. Znam ukształtowanie terenu. Wiem, jak się poruszać, bo w swych gorączkowych majakach kender dał mi klucz. Kraina pod spodem odzwierciedla krainę na górze. Odszukam cię, choćby podróż miała być długa i uciążliwa.

- Tak - popatrzył wokół - czuję, jak zgłębiasz mój umysł, czytasz w mych myślach, przewidujesz wszystko, co powiem i zrobię. Myślisz, że łatwo będzie mnie pokonać! Wyczuwam też jednak twoją konsternację. Jest ze mną ktoś, czyjego umysłu nie potrafisz przeniknąć! Ona broni mnie i chroni, nieprawdaż, Cysanio?

- Tak, Raistlinie - odparła cicho Crysania, podtrzymując arcymaga.

Raistlin zrobił krok, potem następny i następny. Opierał się na Crysanii, opierał się na swej lasce, a mimo to każdy krok był wysiłkiem, każdy oddech, jaki brał, palił go. Kiedy rozglądał się po tym świecie, widział tylko pustkę.

W jego wnętrzu panowała pustka. Magia go opuściła.

Raistlin potknął się. Crysania złapała go i przytrzymała, przyciskając do piersi, a po policzkach płynęły jej łzy.

Słyszał śmiech...

Może powinienem poddać się teraz!, pomyślał z gorzką rozpaczą. Jestem zmęczony, tak bardzo zmęczony. A bez swych czarów, czymże jestem?

Niczym. Niczym innym, jak wątlm, mizernym dzieckiem...

Rozdział III

Przez dłuższą chwilę po oświadczeniu Dalamara w pokoju panowała cisza. Przerwało ją dopiero skrzywienie pióra, którym Astinus zanotował słowa czarnego elfa w swej wielkiej księdze.

- Paladynie, zmiłuj się - szepnął Elistan. - Ona jest z nim?

- Oczywiście - warknął poirytowany Dalamar, ujawniając zdenerwowanie, jakiego nie potrafiły skryć żadne tajniki jego sztuki. - A jak inaczej sądzicie, że mu się udało? Portal jest zamknięty dla każdego, z wyjątkiem połączonych sił czarodzieja Czarnych Szat o takiej mocy, jaką on włada, oraz duchownego Białych Szat obdarzonego taką wiarą, jaką posiada ona.

Zdezorientowany Tanis zerknął wpierw na jednego, potem na drugiego. - Postuchajcie - rzekł ze złością - ja nic nie rozumiem. Co tu się dzieje? O kim mówicie? O Raistlinie? Co on zrobił? Czy to ma coś wspólnego z Crysanią? A co z Caramonem? On też przepadł. Wraz z Tasem! Ja...

- Weź w karby tę niecierpliwą, ludzką połowę swej na - tury, Półelfie - poradził mu Astinus, wciąż stawiając zdecydowane, czarne kreski liter. - A ty, Czarny Elfie, zacznij od początku, zamiast od środka.

- Albo od końca, zależnie od okoliczności - zauważył przyciszonym głosem Elistan.

Zwilżywszy wargi winem, Dalamar - nie odrywając wzroku od ognia - opowiedział tę dziwną historię, którą Tanis do tej chwili znał tylko częściowo. Wielu rzeczy półelf się domyślał, ale też wiele go zaskoczyło, wiele przepełniło zgrozą.

- Raistlin zauroczył panią Crysanię. A jeśli mam być w zgodzie z prawdą, sądzę, że on również pozostawał pod jej wpływem. Któż to może powiedzieć? Lodowata woda jest zbyt gorąca, by płynąć w jego żyłach. Kto wie, od jak dawna knuł to i śnił o tym? W końcu jednak był gotów. Zaplanował podróż wstecz w czasie, by znaleźć jedyną rzecz, której mu brakowało - wiedzę największego czarnoksiężnika wszechczasów - Fistantilusa. Zastawił pułapkę na panią Crysanię, zamierzając zwabić ją w przeszłość, tak samo jak swego bliźniaczego brata...

- Caramona? - spytał zdumiony Tanis.

Dalamar zignorował go. - Jednakże nastąpiło coś nieprzewidzianego. Przyrodnia siostra shalafiego, smocza władczyni, Kitiara...

Krew uderzyła Tanisowi do głowy, zaćmiewając mu wzrok i zagłuszając słuch. Poczul to samo pulsowanie krwi w twarzy. Miał uczucie, że gdyby ktoś dotknął jego skóry, sparzyłby się, tak była gorąca.

Kitiara!

Stała przed nim z błyskiem w ciemnych oczach, ciemnymi kędziorami wijącymi się wokół twarzy, wargami lekko rozwartymi w tym czarującym, krzywym uśmiechu, w zbroi błyszczącej w słońcu...

Spoglądała na niego w dół z grzbietu swego niebieskiego smoka, otoczona swymi pacholkami, władca i potężna, silna i bezwzględna...

Leżała w jego ramionach, omdlewająca, kochająca, roześmiana...

Choć Tanis nie mógł zobaczyć, jak Elistan patrzy na niego ze współczuciem i politowaniem, wyczuł owo spojrzenie. Wcisnął głowę w ramiona na widok władczej miny człowieka dobrze poinformowanego, jaka malowała się na twarzy Astinusa. Przejęty swym własnym poczuciem winy, swą hańbą i nikczemnością Tanis nie zauważył, że również Dalamar miał kłopoty z opanowaniem swego oblicza, które było raczej blade, aniżeli zaczerwienione. Nie usłyszał drżenia w głosie czarnego elfa podczas wymawiania imienia tej kobiety.

Po chwili zmagania się ze sobą Tanis wziął się w garść i mógł dalej słuchać. Znow jednak jego serce ścisnął zadawniony ból, o którym myślał, że znikł na zawsze. Półelf był szczęśliwy z Lauraną. Nie przypuszczał nigdy, że mężczyzna może kochać kobietę tak mocno i tak czule. Żył w spokoju ze swym sumieniem. Jego życie było bogate i pełne doznań. A teraz był zdumiony odkryciem, że w jego duszy wciąż krył się mrok, który, jak sądził, przegnał na wieki.

- Na rozkaz Kitiary, upiorny rycerz lord Soth rzucił na panią Crysanię czar, który powinien był ją zabić. Jednakże interweniował Paladine. Zabrał jej duszę, by zamieszkała z nim, zostawiając na ziemi jej cielesną powłokę. Sądziłem, że shalafi został pokonany, ale skąd. Obrócił zdradę siostry na swoją korzyść. Jego bliźniaczy brat Caramon i kender Tasslehoff zabrali panią Crysanię do Wieży Najwyższej Magii w Wayreth w nadziei, że tamtejsi czarodzieje zdołają ją uzdrowić. Oczywiście nie mogli, o czym Raistlin dobrze wiedział. Mogli tylko odesłać ją w przeszłość do jedyne go okresu w historii Krynnu, kiedy to żył wystarczająco potężny królkapłan, by ubłagać u Paladine'a powrót duszy tej kobiety do jej ciała. Oczywiście dokładnie tego właśnie pragnął Raistlin.

Dalamar zacisnął pięść. - Uprzedzałem magów! Głupcy! Uprzedzałem ich, że wręcz wkładają mu broń do ręki.

- Ty ich uprzedziłeś? - Tanis był już wystarczająco opanowany, by zadać to pytanie. - Zdradziłeś własnego shalafil - Parsknął z niedowierzaniem.

- Prowadzę niebezpieczną grę, Półelfie. - Dalamar przyglądał mu się teraz oczyma,

które pały od środka jak gorejące węgle. - Jestem szpiegiem wysłanym przez konklawe magów, by obserwować każdy ruch Raistlina. Tak, nic dziwnego, że masz tak zdumioną minę. Oni się go obawiają. Boją się go wszystkie Szaty, Białe, Czerwone i Czarne. W szczególności Czarne, bowiem wiemy, jaki nas czeka los, gdyby on doszedł do władzy.

Na oczach Tanisa czarny elf uniósł rękę i powoli rozsunął rozcięcie na przedzie swej szaty, obnażając pierś. Pięć jątrzących się ran szpeciło gładką skórę czarnego elfa. - To ślad jego dłoni - stwierdził Dalamar beznamiętnym tonem. - Moja nagroda za zdradę.

Tanis potrafił wyobrazić sobie Raistlina przykładającego chude, złote palce do piersi młodego elfa. Wyobrażał sobie oblicze Raistlina - pozbawione uczuć, pozbawione złości, okrucieństwa, jakiegokolwiek ludzkiej cechy - i wyobrażał sobie, jak te palce palą ciało jego ofiary. Potrząsając głową i czując mdłości, Tanis opadł na oparcie fotela i wbił wzrok w podłogę.

- Oni jednak nie chcieli mnie słuchać - ciągnął dalej Dalamar. - Tonący brzytwy się chwyta. Zgodnie z przewidywaniami Raistlina, ich największą nadzieją było to, czego najbardziej się obawiali. Postanowili wysłać panią Crysanię w przeszłość, rzekomo po to, by król-kapłan mógł jej pomóc. Tak powiedzieli Caramonowi, widzieli bowiem, że inaczej nie udałby się tam z nią. W rzeczywistości posłali ją, żeby umarła lub przynajmniej zniknęła jak wszyscy pozostali kapłani przed Kataklizmem. Mieli też nadzieję, że kiedy Caramon cofnie się w czasie i odkryje prawdę o swoim bliźniaku - dowie się, że Raistlin jest w rzeczywistości Fistantilusem - zmuszony będzie zabić swego brata.

- Caramon? - Tanis zaśmiał się gorzko, a potem znów spojrział wściekle. - Jak mogli zrobić coś podobnego? Ten człowiek jest chory! Jediną rzeczą, jaką Caramon jest w stanie zniszczyć w tej chwili, jest butelka krasnoludzkiej gorzałki! Raistlin już się do niego dobrał. Dlaczego nie...

Zauważywszy poirytowane spojrzenie Astinusa, Tanis ucichł. W głowie miał mętlik. To wszystko nie miało sensu! Obejrzał się na Elistana. Kapłan musiał wiele z tego wiedzieć. Na jego twarzy nie było widać wstrząsu ani zaskoczenia - nawet wtedy, gdy usłyszał, że magowie wysłali Crysanię na śmierć. Malował się na niej jedynie wyraz głębokiego smutku.

Dalamar mówił dalej. - Jednakże kender, Tasslehoff Burfoot, zakłócił zakłęcie Par-Saliana i przypadkowo cofnął się w czasie wraz z Caramonem. Wprowadzenie kendera do nurtu czasu sprawiło, że zmiana biegu wydarzeń stała się możliwa. Możemy tylko snuć przypuszczenia co do tego, co stało się w Istar. Wiemy natomiast, że Crysania nie umarła. Caramon nie zabił brata. A Raistlinowi udało się zdobyć wiedzę Fistantilusa. Zabrawszy Crysanię i Caramona ze sobą, przesunął się w przód w czasie do jedyne go okresu, w którym

posiadałby w osobie Crysanii jedyną prawdziwą osobę duchowną. Udał się do tego okresu naszej historii, w którym Królowa Ciemności byłaby najbardziej podatna na jego ciosy i niezdolna go powstrzymać.

Podobnie jak Fistandantilus przed nim, Raistlin stoczył wojnę Bramy Krasnoludów, tym sposobem zyskując dostęp do portalu, który wtedy znajdował się w magicznej fortecy Zhaman. Gdyby historia się powtórzyła, Raistlin powinien był zginąć przy portalu, w taki bowiem sposób poniósł śmierć Fistandantilus.

- Liczyliśmy na to - szepnął Elistan, słabymi dłońmi skubiąc przykrywającą go pościel. - Par-Salian twierdził, że nie ma mowy, aby Raistlin mógł zmienić historię...

- Ten przeklęty kender! - warknął Dalamar. - Par-Salian powinien był wiedzieć, powinien był zdawać sobie sprawę, że ten nędzny stwór zrobi dokładnie to, co zrobił - rzucił się w wir nowych przygód, o ile nadarzy się ku temu okazja! Powinien był posłuchać naszej rady i udusić tego małego gnojka...

- Powiedz mi, co się przydarzyło Tasslehoffowi i Caramonowi - przerwał chłodno Tanis. - Nie obchodzi mnie, co się stało z Raistlinem, czy też - przepraszam, Elistanie - panią Crysanią. Ją zaślepiło własne dobro. Żał mi jej, ale nie chciała przejrzeć na oczy, nie chciała ujrzeć prawdy. Obchodzą mnie tylko moi przyjaciele. Co się z nimi stało?

- Nie wiemy - rzekł Dalamar. Wzruszył ramionami. - Na twoim miejscu jednak nie spodziewałbym się zobaczyć ich jeszcze w tym życiu, Półelfie... Na niewiele zdaliby się shalafiemu.

- W takim razie powiedziałaś mi wszystko, co powinienem usłyszeć - stwierdził Tanis głosem przesiąkniętym żalem i wściekłością, po czym wstał. - Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu, odszukam Raistlina i...

- Siadaj, Półelfie - rzekł Dalamar. Nie podniósł głosu, lecz w jego oczach pojawił się groźny błysk, który sprawił, że Tanis sięgnął po miecz tylko po to, by przypomnieć sobie, że - ponieważ odwiedzał świątynię Paladine'a - nie przypasał broni. Tanis wpadł w jeszcze większą złość i nie chcąc powiedzieć tego, co mógłby, skłonił się wpierw Elistanowi, potem Astinusowi, po czym ruszył w stronę drzwi.

- Będzie cię obchodziło, co się stanie z Raistlinem, Półelfie - zatrzymał go płynny głos Dalamara - ponieważ jego los jest związany z twoim, z losem całego świata. Prawdę mówię, wielbny synu?

- Zgadza się, Tanisie - powiedział Elistan. - Rozumiem, co czujesz, lecz musisz odsunąć na bok swe uczucia!

Astinus nic nie powiedział, a skrzywienie pióra było jedynym znakiem jego obecności

w komnacie. Tanis zacisnął pięści, a następnie rzuciwszy zjadliwe przekleństwo, na dźwięk którego nawet Astinus podniósł wzrok, półelf zwrócił się do Dalamara. - W porządku. Cóż takiego mógłby uczynić Raistlin, co mocniej zraniłoby i wyrządziło jeszcze większą krzywdę tym, którzy go otaczają?

- Mówiłem na początku, że nasze największe obawy ziściły się - odparł Dalamar, wbijając wzrok swych skośnych, elfich oczu w lekko skośne oczy półelfa.

- Prawda - warknął zniecierpliwiony Tanis, wciąż stojąc.

Dalamar zrobił dramatyczną pauzę. Astinus, który znów oderwał wzrok od książki, uniósł brwi w grymasie lekkiego rozdrażnienia.

- Raistlin wszedł do Otchłani. On i pani Crysania zmierzają się z Królową Ciemności.

Tanis spojrział na Dalamara z niedowierzaniem. Potem wybuchnął śmiechem. - Cóż - stwierdził, wzruszając ramionami - zdaje się, że nie mam się o co martwić. Czarodziej podpisał na siebie wyrok.

Śmiech Tanisa nie przyniósł jednakże skutku. Dalamar obserwował go z chłodnym, cynicznym rozbawieniem, jakby spodziewał się tej absurdalnej reakcji po półczłowieku. Astinus parsknął, nie przerywając pisania. Wątpa sylwetka Elistana przygarbiła się. Zamknąwszy oczy, kapłan osunął się na poduszki.

Tanis popatrzył na nich wszystkich. - Nie możecie chyba uznać tego za poważną groźbę! - rzekł z naciskiem. Na bogów, ja stałem przed obliczem Królowej Ciemności! Czulem jej potęgę i jej majestat - a było to wtedy, gdy tylko częściowo znajdowała się na tej płaszczyźnie egzystencji. Półelf mimowolnie wzdrygnął się. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to byłoby spotkać ją na jej własnej... jej własnej...

- Nie jesteś osamotniony, Tanisie - rzekł znużonym tonem Elistan. - Ja również rozmawiałem z Królową Ciemności. - Otworzył oczy i uśmiechnął się blado. - Czy to cię zaskakuje? Ja również byłem wodzony na pokuszenie, podobnie jak wszyscy mężczyźni.

- Przyszła do mnie tylko raz. - Dalamar zbladł na twarzy, a w jego oczach pojawił się strach. Obliznął wargi.

- I tylko po to, by dostarczyć mi te wieści.

Astinus nic nie powiedział, lecz przestał pisać. Skała więcej wyraziłaby niż oblicze historyka.

Tanis potrząsnął głową ze zdziwieniem. - Spotkałeś Królową Ciemności, Elistanie? Uznajesz jej potęgę? A mimo to wciąż sądzisz, że wątpy i chorowity czarodziej, tudzież tkwiąca w staropanieństwie kapłanka mogą wyrządzić jej jakąkolwiek krzywdę?

Z błyskiem w oczach Elistan zacisnął wargi i Tanis poznał, że posunął się za daleko.

Zaczerwieniwszy się, podrapał się po brodzie i chciał przeprosić, lecz zamknął usta w zaciekłości. - To po prostu nie ma sensu - mruknął, wracając i rzucając się na swój fotel.

- No to jak, do Otchłani, mamy go zatrzymać? Uświadomiwszy sobie, co powiedział, Tanis oblał się jeszcze mocniejszym rumieńcem.- Przepraszam - wymamrotał - nie chciałem sobie stroić żartów. Mam wrażenie, że wszystko, co mówię, brzmi źle. Do licha, ja nic z tego nie rozumiem! Mamy zatrzymać Raistlina, czy dodawać mu otuchy wiwatami?

- Nie możesz go zatrzymać - wtrącił chłodno Dalamar w chwili, gdy zdawało się, że Elistan chce coś powiedzieć. - To możemy zrobić jedynie my, magowie. Planowaliśmy to już od dawna, od kiedy tylko dowiedzieliśmy się o tym niebezpieczeństwie. Widzisz, Półelfie, to co powiedziałaś, jest po części prawdą. Raistlin wie i my wszyscy wiemy, że nie może pokonać Królowej Ciemności na jej własnej płaszczyźnie istnienia. Dlatego też zamierza wywabić ją na zewnątrz, przeprowadzić przez portal na ten świat...

Tanis poczuł się, jakby ktoś go uderzył z całych sił pięścią w brzuch. Przez chwilę nie mógł zaczerpnąć tchu. - To szaleństwo - zdołał wreszcie wysapać, zaciskając dłonie na poręczach fotela, aż zbieleły mu z wysiłku kostki. Ledwo pokonaliśmy ją w Nerace! I on chce ją znów wpuścić do naszego świata?

- Chyba że zostanie powstrzymany - ciągnął Dalamar - co jest moim obowiązkiem, jak już powiedziałem.

- Więc co mamy zrobić? - dopytywał się Tanis, na - chylając się. - Po co nas tu sprowadziłeś? Czyżbyśmy mieli siedzieć i przyglądać się? Ja...

- Cierpliwości, Tanisie! - przerwał Elistan. - Jesteś zdenerwowany i wystraszony. Czujemy to samo.

Z wyjątkiem tego siedzącego tam historyka o sercu z granitu, pomyślał z goryczą Tanis.

- Niczego jednakże nie zyskamy przez pośpieszne czyny i nieprzemyślane słowa. - Elistan spojrzał na czarnego elfa i jego głos złagodniał. - Mam wrażenie, że nie usłyszeliśmy jeszcze najgorszego, prawda, Dalamarze?

- Tak, wielbny synu - odparł Dalamar i Tanis z zaskoczeniem odnotował ślad uczucia, jakie błysnęło w skośnych oczach elfa. - Otrzymałem wiadomość, że smocza władczyni Kitiara - elf zakrztusił się lekko, odkaslnął i dalej mówił już bardziej stanowczo - Kitiara planuje gwałtowny atak na Palanthis.

Tanis znów opadł na oparcie fotela. Jego pierwszą reakcją było gorzkie, cyniczne rozbawienie: A nie mówiłem ci, lordzie Amothusie. Nie mówiłem, Porthiosie. Nie mówiłem wam wszystkim, którzy chcecie wczłogać się do waszych przytulnych, ciepłych gniazdek i

udawać, że wojny nigdy nie było. Kolejne myśli były trzeźwiejsze. Powróciły wspomnienia: Tarsis w płomieniach, smocze armie zajmujące Solące, ból, cierpienie... śmierć.

Elistan mówił coś, lecz Tanis nie słyszał. Odchylił się do tyłu, zamknął oczy i próbował pomyśleć. Przypomniawszy sobie, że Dalamar mówił o Kitiarze, ale co powiedział? Odpowiedź snuła się po obrzeżach jego świadomości. Rozmyślał o Kit. Nie zwracał uwagi. Sens słów wymykał mu się...

- Zaczekajcie! - Tanis wyprostował się, nagle coś sobie przypomniał. - Powiedziałeś, że Kitiara była wściekła na Raistlina. Powiedziałeś, że była przerażona myślą o wkroczeniu Królowej do świata, tak samo jak i my. Dlatego rozkazała Sothowi zabić Crysanię. Jeśli to prawda, dlaczego atakuje Palanthas? To nie ma sensu! Z każdym dniem jej siły w Sanction rosną. Tam zgromadziły się złe smoki, a na - sze doniesienia mówią o tym, że smokowcy, którzy rozproszyli się po wojnie, również zbierają się pod jej dowództwem. Sanction jest jednak daleko od Palanthas. Dzielą je ziemie należące do rycerzy solamnijskich. Dobre smoki poderwą się do walki, jeśli złe znów wzbiją się w niebo. Dlaczego? Dlaczego miałyby narażać wszystko, co zdobyła? I w jakim celu...

- Znasz, jak sądzę, panią Kitiarę, Półelfie? - przerwał Dalamar.

Tanis zakrztusił się, zakaszłał i coś wymamrotał.

- Nie dosłyszałem odpowiedzi.

- Tak, do licha, znam ją! - warknął Tanis. Zauważywszy spojrzenie Elistana, znów osunął się w głąb fotela, czując, jak go pali twarz.

- Masz rację - rzekł płynnie Dalamar z przebłyskiem rozbawienia w jasnych, elfich oczach. - Kiedy tylko Kitiara dowiedziała się o planie Raistlina, zdjęło ją przerażenie. Oczywiście nie lękała się o niego, lecz obawiała się, że ściągnie na siebie gniew Królowej Ciemności. Mimo to - Dalamar wzruszył ramionami - wtedy Kitiara sądziła, że Raistlin musi przegrać. Teraz wydaje się, że uważa, iż ma szansę zwyciężyć. A Kit zawsze stara się być po stronie zwycięzcy. Zamierza podbić Palanthas i być gotowa na powitanie czarodzieja, który wyjdzie z portalu. Kit odda potęgę swego wojska na usługi brata. Jeśli będzie dość silny - a do tego czasu powinien być - z łatwością nakłoni poddane Królowej Ciemności złe istoty do posłuszeństwa w imię dobra swej sprawy.

- Kit? - Tym razem to Tanis zrobił rozbawioną minę. Dalamar odezwał się z lekką drwiną.

- Och, tak, Półelfie. Znam Kitiarę w każdym calu tak dobrze, jak ty.

Mimo to sarkastyczny ton w głosie elfa ucichł, nieświadomie przeradzając się w gorzki. Elf zacisnął szczupłe dłonie. Tanis pokiwał głową w nagłym zrozumieniu,

poczuwszy, co dziwne, osobliwe współczucie dla młodego elfa.

- Więc ciebie też zdradziła - szepnął cicho Tanis. Obiecała ci wsparcie. Powiedziała, że nie opuści cię, że będzie przy tobie, że kiedy Raistlin wróci, będzie walczyć u twego boku.

Dalamar wstał, szeleszcząc czarnymi szatami. - Nigdy jej nie ufałem - powiedział oziębło. Odwrócił się do nich plecami i zawzięcie wpatrywał się w płomienie, nie pokazując twarzy. - Nikt lepiej nie wiedział, do jakiej zdrady jest zdolna. To mnie nie zaskoczyło.

Tanis jednakże dostrzegł, że dłoń ściskająca półkę nad kominkiem zbielała.

- Kto ci o tym powiedział? - spytał nagle Astinus. Tanis drgnął. Prawie zapomniał o obecności historyka. Z pewnością nie Królowa Ciemności. Jej by to nie obchodziło.

- Nie, nie. - Dalamar przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Najwyraźniej był myślami daleko. Westchnął i ponownie podniósł na nich wzrok. - Powiedział mi o tym lord Soth, upiorny rycerz.

- Soth? - Tanis poczuł, że traci kontakt z rzeczywistością.

Jego umysł szukał rozpaczliwie jakiegoś punktu zaczepienia. Magowie szpiegują magów. Kapłani światła w zмовie z czarodziejami ciemności. Mrok ufający światłu, sprzeciwiający się ciemności. Jasność obracająca się ku mrokowi...

- Soth złożył przysięgę wierności Kitiarze! - powiedział skonsternowany Tanis. - Dlaczego miałby ją zdradzać?

Odwróciwszy się od ognia, Dalamar spojrzał Tanisowi w oczy. Przez mgnienie oka zaistniała między nimi więź, przez wspólne zrozumienie, wspólną niedolę, wspólną udrękę i namiętność. Wtedy Tanis nagle zrozumiał i jego duszę przebiegł dreszcz zgrozy.

- On pragnie jej śmierci - odparł Dalamar.

Rozdział IV

Ulicami Solące szedł mały chłopiec. Nie był ładny i wiedział o tym - a nieczęsto jest dane wiedzieć dzieciom tyle, ile on wiedział o sobie. Jednakowoż spędzał wiele czasu sam ze sobą właśnie dlatego, że nie był ładny i wiedział zbyt wiele.

Tego dnia nie spacerował sam. Towarzyszył mu jego bliźniaczy brat, Caramon. Raistlin patrzył spode łba i szurał nogami po zakurzonej wiejskiej drodze, przyglądając się wzbijającym się wokół niego kłębowi pyłu. Nie szedł sam, ale w pewien sposób był jeszcze bardziej osamotniony w towarzystwie Caramona niż bez niego. Wszyscy witali jego sympatycznego, przystojnego bliźniaka. Do niego nikt nie rzekł ani słowa. Wszyscy wołali Caramona, by przyłączył się do zabawy. Raistlina nikt nie zapraszał. Dziewczęta spoglądały na Caramona kątem oka w ten swój szczególny sposób. Raistlina dziewczyny nigdy nawet nie zauważały.

- Hej, Caramonie, chcesz się pobawić w „króla na zamku”? - zawołał ktoś.

- Chcesz, Raist? - spytał Caramon, a chęć wzięcia udziału w zabawie rozpromieniła mu oblicze. Silny i dobrze zbudowany Caramon lubił tę grubiańską, wymagającą dużego wysiłku grę. Raistlin jednak wiedział, że gdyby wziął w niej udział, wkrótce poczułby się słabo i zakręciłoby mu się w głowie. Wiedział też, że inni chłopcy posprzeczałiby się, która drużyna musiałaby go przyjąć.

- Nie, ale ty idź, proszę.

Caramonowi zrzedła mina. Wzruszywszy ramionami, powiedział wtedy: - Och, nic nie szkodzi, Raist. Wolę zostać z tobą.

Raistlinowi coś ścisnęło za gardło. - Nie, Caramonie - powtórzył cicho - mnie to nie przeszkadza. Idź się pobawić.

- Wyglądasz jakbyś nie czuł się najlepiej, Raist - rzekł Caramon. - To nic ważnego, naprawdę. Chodź, pokaż mi tę nową sztuczkę magiczną, jakiej się nauczyłeś - tę z monetami...

- Nie traktuj mnie w ten sposób! - Raistlin usłyszał własny wrzask. - Nie potrzebuję ciebie! Nie chcę, żebyś się przy mnie kręcił! Idź sobie! Idź bawić się z tymi durniami! Wszyscy razem jesteście bandą kretynów! Nie potrzebuję żadnego z was!

Caramon zrobił zasmuconą minę. Raistlin miał wrażenie, że kopnął psa. To uczucie zezłościło go tylko jeszcze bardziej. Odwrócił się plecami.

- Jasne, Raist, jeśli tego sobie życzysz - wymamrotał Caramon.

Kiedy Raistlin obejrzał się przez ramię, zobaczył, że jego bliźniaczy brat biegnie do

innych. Starając się nie zważać na okrzyki radości i powitania, usiadł z westchnieniem w cieniu i wyciągnawszy z plecaka jedną ze swych ksiąg czarów, zaczął się uczyć. Wkrótce pokusa magii oderwała go od tego szarego świata, śmiechu rozlegającego się wokoło i urazy dostrzeżonej w oczach brata. Zawiodła go do zaczarowanej krainy, gdzie on rozkazywał żywiołom, on władał rzeczywistością...

Księga czarów wypadła mu z rąk, lądując w kurzu u jego stóp. Zaskoczony Raistlin podniósł wzrok. Nad nim stało dwóch chłopców. Jeden trzymał w ręku patyk. Stuknął nim w książkę, a potem podniósł go wyżej i stuknął nim Raistlina w pierś.

Jesteście robakami, powiedział bezgłośnie Raistlin do chłopców. Insektami. Jesteście dla mnie niczym. Mniej niż niczym. Lekceważąc ból w klatce piersiowej i stojących przed nim przedstawicieli owadziego życia, Raistlin wyciągnął rękę po książkę. Chłopiec przydepnął mu palce.

Zdjęty strachem, ale coraz bardziej zły, Raistlin wstał. Dłonie były dla niego źródłem utrzymania. Przy ich pomocy manipulował kruchymi składnikami zaklęć, nimi rysował w powietrzu zawile i delikatne symbole swej sztuki.

- Zostawcie mnie w spokoju - rzekł ozięble, a powiedział to w taki sposób i z taką miną, że dwaj chłopcy zapomnieli na chwilę języka w gębie. Zaraz jednakże zebrał się tłum. Pozostali chłopcy oderwali się od gry i podeszli popatrzeć na ubaw. Kiedy chłopak z patykiem zdał sobie sprawę, że inni mu się przyglądają, nie mógł pozwolić, by ten chuderlawy, skomlący i biadolący mól książkowy był nad nim górą.

- Bo co mi zrobisz? - zadrwił. - Zamienisz mnie w żabę?

Rozległ się gromki śmiech. W umyśle Raistlina pojawiły się słowa zaklęcia. Był to czar, jakiego jeszcze nie powinien był się nauczyć, czar ofensywny, wyrządzający krzywdę, taki, którego należało użyć w obliczu prawdziwego niebezpieczeństwa. Jego mistrz wpadłby we wściekłość. Raistlin wykrzywił w uśmiechu wąskie wargi. Na widok tego szelmowskiego uśmiechu i wyrazu oczu Raistlina, jeden z chłopców cofnął się o krok.

- Chodźmy - mruknął do swego kolegi.

Ten drugi jednakże nie ustąpił. Raistlin widział swego zagniewanego brata, który stał w tłumie.

Młody mag zaczął wymawiać słowa.....i wtedy zamarł. Nie! Coś jest nie w porządku! Zapomniał!

Jego czary nie zadziałają! Nie tutaj! Słowa zabrzmiały jak bełkot, były bezsensowne. Nic się nie stało! Chłopcy zaśmiali się. Ten z kijem podniósł swój patyk i szturchnął nim Raistlina w brzuch, przewracając go na ziemię i pozbawiając tchu.

Raistlin klęczał, podpierając się ręką i ciężko dysząc. Ktoś go kopnął. Poczuł, że kij złamał się na jego plecach. Jeszcze raz ktoś go kopnął. Teraz Raistlin tarzał się po ziemi, dławiąc się kurzem i rozpaczliwie starając się zasłonić głowę chudymi ramionami. Spadła na niego ulewa kopniaków i kuksańców.

- Caramonie! - krzyczał. - Caramonie, na pomoc!

Odpowiedzią jednakże był tylko głęboki, surowy głos: - Przecież ty mnie nie potrzebujesz.

Raistlin został trafiony kamieniem w głowę, co sprawiło mu dotkliwy ból. Wiedział też, choć tego nie zobaczył, że rzucił go Caramon. Tracił przytomność. Wleczono go po zapyłonej drodze, ciągnięto do nieskończonej ciemnej i zimnej, lodowato zimnej czeluści. Wrzuca go tam i będzie spadać bez końca w ciemności i chłodzie i nigdy nie spadnie na dno, bowiem dna nie będzie...

Crysanja rozejrzała się dookoła. Gdzie ona jest? Gdzie jest Raistlin? Był przy niej jeszcze przed chwilą, tak słaby, że musiał wspierać się na jej ramieniu. A potem niespodziewanie zniknął, a ona szła samotnie przez nieznaną jej osadę.

A może nie była jej nieznaną? Miała wrażenie, że przypomina sobie, iż była tam kiedyś, albo przynajmniej w podobnym miejscu. Otaczały ją wysokie drzewa vallen. Domy w tym miasteczku zbudowane były na drzewach. Na jednym z drzew była gospoda. Dostrzegła tablicę.

Solące.

Jakie to dziwne, zdumiała się, wodząc wzrokiem wkoło. To rzeczywiście było Solące. Niedawno tu była z półelfem Tanisem i szukała Caramona. Niemniej to Solące było inne. Wszystko zdawało się zabarwione na czerwono i odrobinę zniekształcone. Bez przerwy miała ochotę przetrzeć oczy, by widzieć wyraźnie.

- Raistlinie! - zawołała.

Nie było odpowiedzi. Ludzie, którzy ją mijali, zachowywali się, jakby jej nie słyszeli ani nie widzieli. - Raistlinie! - krzyknęła, zaczynając wpadać w panikę. Co się z nim stało? Gdzie zniknął? Czyżby Królowa Ciemności...

Usłyszała dziecięce wrzaski i krzyki oraz przebijające się przez ten hałas piskliwe wołanie o pomoc.

Kiedy Crysanja obejrzała się, zobaczyła tłum dzieci zebrany wokół skulonej na ziemi postaci. Dostrzegła bijące pięści, kopiące nogi i kij wzniesiony w górę, a potem spuszczone z całych sił. I znów usłyszała ten przenikliwy wrzask. Crysanja zerknęła na otaczających ją ludzi, lecz ci jakby nie zauważali, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Zebrawszy w garść fałdy swej białej szaty, Crysania podbiegła do dzieci. Kiedy zbliżyła się, spostrzegła, że postać w środku kręgu jest dzieckiem! Małym chłopcem! Zdjęta nagłą zgrozą, uświadomiła sobie, że oni go zabijają! Po dotarciu do tłumu chwyciła jedno z dzieci, żeby je odciągnąć na bok. Dotknięte dziecko odwróciło się do niej gwałtownie. Wystraszona Crysania odskoczyła do tyłu.

Twarz dziecka była trupiobiała i podobna do czaszki. Skóra mocno opinała kości, wargi miały sinawą barwę. Dziecko wyszczerzyło do niej zęby, które były czarne i przegniłe. Zamachnęło się na nią ręką. Długie paznokcie rozorały jej skórę, powodując szczypiący, paralizujący ból. Crysania jęknęła i puściła dziecko, które - z uśmiechem perwersyjnej przyjemności na twarzy - powróciło do dręczenia chłopca leżącego na ziemi.

Kiedy Crysania spojrzała na krwawiące ślady na swym ramieniu i poczuła zawroty głowy oraz osłabienie wywołane bólem, znów usłyszała wołanie chłopca.

- Paladine, pomóż mi - pomodliła się. - Dodaj mi sił. Zdecydowanie złapała jedno z demonicznych dzieci i odepchnęła je na bok, po czym chwyciła następne. Kiedy zdołała dotrzeć do chłopca, zasłoniła własnym ciałem jego broczącą krwią, nieprzytomną postać, cały czas rozpaczliwie starając się przegonić dzieci.

Cały czas czuła, jak długie pazury rozszarpują jej skórę, a jad krąży w jej ciele. Jednakże wkrótce zauważyła, że kiedy tylko dzieci jej dotknęły, same odskakiwały z bólu. Wreszcie odsunęły się z obrażonymi minami na koszmarnych obliczach i zostawiły ją w spokoju - krwawiącą i chorą wraz z ich ofiarą.

Łagodnie odwróciła posiniaczone ciało chłopczyka. Odgarnawszy jego brązowe włosy, spojrzała mu w twarz. Ręce zaczęły jej dygotać. Nie można było się pomylić co do tej delikatnej struktury oblicza, kruchych kości, sterczącego podbródka...

- Raistlin! - szepnęła, trzymając go za rączkę. Chłopiec otworzył oczy...

Mężczyzna odziany w czarne szaty podniósł się do pozycji siedzącej.

Crysania patrzyła, jak mag rozgląda się dookoła posepnym wzrokiem.

- Co się dzieje? - spytała i zatrzęsała się, odczuwając skutki jadu, który rozprzestrzenił się w jej ciele.

Raistlin pokiwał głową. - W taki sposób ona mnie dręczy - rzekł cicho do siebie. - Tak walczy ze mną, dobrze wiedząc, gdzie uderzyć, w mój najsłabszy punkt. Złote oczy zwróciły się ku Crysanii, wąskie wargi uśmiechnęły. - Walczyłaś za mnie. Pokonałaś ją. - Przygarnął ją do siebie i otulił czarnymi szatami. Objął ją mocno. Odpocznij chwilę. Ból ustąpi, a potem ruszymy w dalszą drogę.

Nadal wstrząsana dreszczami Crysania wsparła głowę na piersi arcymaga, słysząc, jak

coś chrypie i rzezi mu w płucach.

Nagle poczuła tę słodką, mdłą woń płatków róży i śmierci..

Rozdział V

Więc tyle znaczą jego śmiałe słowa i obietnice - rzekła ściszym głosem Kitiara.

- Czyżbyś naprawdę spodziewała się czegoś innego? spytał lord Soth. Słowa, którym towarzyszyło wzruszenie ramion okrytych antyczną zbroją, zabrzmiały nonszalancko, prawie retorycznie. Była w nich jednakże nuta, która nakazała Kitiarze gwałtownie obejrzeć się na upiornego rycerza.

Kiedy spostrzegła, jak przypatruje się jej pomarańczowymi oczyma, które dziwnie pałają, oblała się rumieńcem. Uświadomienie sobie, że ujawnia więcej emocji niż zamierzała, rozgniewało ją i jej rumieniec jeszcze bardziej spąsował. Kitiara odwróciła się raptownie tyłem do Sotha.

Spacerując po pokoju, który stanowił dziwną mieszaninę zbroi, oręża, perfumowanej jedwabnej pościeli i grubych futrzanych dywanów, Kitiara poprawiła na piersiach drżącą dłonią fałdy przejrzystej nocnej koszuli. Był to gest, który działał bardzo niewiele w kwestii przyzwoitości i Kitiara zdawała sobie z tego sprawę, jednocześnie zastanawiając się, czemu go wykonała. Z pewnością nigdy przedtem nie dbała o przyzwoitość, szczególnie w towarzystwie istoty, która obróciła się w popiół trzysta lat temu. Mimo to niespodziewanie poczuła się okropnie, mierzona wzrokiem tych płonących oczu, które spoglądały na nią z nieistniejącego oblicza. Nagle poczuła się naga.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła chłodno Kitiara.

- W końcu to czarny elf - ciągnął lord Soth tym samym, niemal znudzonym tonem. - I nie ukrywa faktu, że lęka się twego brata bardziej niż samej śmierci. Czyż to więc dziwne, że postanowił teraz walczyć po stronie Raistlina niż garstki słabowitych, starych czarodziejów, którzy trzęsą portkami?

- Mógł przecież tyle zyskać! - sprzeciwiała się Kitiara, próbując ze wszystkich sił mówić takim samym tonem, co Soth. Zadrżała. Podniosła futrzaną szatę nocną, która leżała w nogach jej łóżka i zarzuciła ją sobie na ramiona. Obiecali mu zwierzchnictwo Czarnych Szat. Był pewny, że później zajmie miejsce po Par-Salianie jako głowa konklawe - niekwestionowany mistrz magii na Krynnie.

Zaznałbyś dobrego życia, Czarny Elfie, dodała bezgłośnie Kitiara, nalewając sobie kielich wina. Kiedy ten mój obłąkany brat zostanie pokonany, nikt nie będzie w stanie stanąć ci na drodze. A co z naszymi planami? Ty rządzący laską, ja mieczem. Moglibyśmy powalić rycerstwo na kolana i wypędzić elfów z ich ojczyzny - twojej ojczyzny. Wróciłbyś

triumfalnie do domu, mój najdroższy, ze mną u boku!

Kieliszek wyslizgął jej się z ręki. Próbowwała go złapać... Chwyty okazały się zbyt pośpieszny, uścisk zbyt silny. Kruche szkło pękło jej w dłoni, kalecząc ciało. Krew mieszała się z winem, które kapało na dywan.

Blizny wojenne oplatały ciało Kitiary niczym dłonie kochanków. Zawsze znosiła ból dzielnie. Teraz jednakże łzy stanęły jej w oczach. Cierpienie wydawało się nie do zniesienia.

W pobliżu stała miska do mycia. Kitiara zanurzyła rękę w zimnej wodzie, przygryzając wargę, żeby nie krzyknąć w głos. Woda natychmiast zabarwiła się na czerwono.

- Sprowadź któregoś z kapłanów! - warknęła do lorda Sotha, który nadal stał i wpatrywał się w nią migoczącymi oczyma. Podchodząc do drzwi, upiorny rycerz zawołał służącego, który natychmiast się oddalił. Klnąc pod nosem i mruganiem tamując łzy, Kitiara chwyciła ręcznik i owinęła nim dłoń. Do chwili gdy przybył kapłan potykający się w pośpiechu o swe czarne szaty, ręcznik był przesiąknięty krwią, a oblicze Kitiary pobiadło mimo opalenizny.

Medalion Pięciogłowego Smoka musnął dłoń Kit, gdy kapłan nachylił się nad nią, mamrocząc modlitwy do Królowej Ciemności. Wkrótce rana zablizniła się i krwawienie ustało.

- Rozcięcia nie były głębokie i zapewne nic nie zostało uszkodzone - stwierdził uspokajającym tonem kapłan.

- Na szczęście dla ciebie! - warknęła Kitiara, wciąż walcząc z własną słabością, jaka niespodziewanie ją zaatakowała. - To moja ręka od miecza!

- Zapewniam cię, pani, że będziesz władać mieczem ze zwykłą łatwością i sprawnością - odparł kapłan. - Czy coś jeszcze...

- Nie! Idź precz!

- Pani. - Kapłan skłonił się. - Panie rycerzu. - I wyszedł z komnaty.

Nie chcąc napotkać wzroku płonących oczu Sotha, Kitiara nie odwracała głowy do rycerza i z gniewną miną obserwowała, jak kapłan się oddala, łopocząc szatami.

- Cóż za durnie! Najchętniej nie trzymałabym ich u siebie. Niemniej sędzę, że przydają się od czasu do czasu. Choć jej ręka sprawiała wrażenie idealnie wyleczonej, wciąż bolała. To tylko kwestia wyobraźni, powiedziała sobie z goryczą Kitiara. - Więc, co według ciebie mam zrobić w sprawie... w sprawie tego czarnego elfa? - Zanim jednakże Soth zdążył odpowiedzieć, Kitiara zerwała się na nogi i krzyknęła na służącego: - Posprzątaj ten śmietnik. I przynieś mi inny kieliszek. - Uderzyła w twarz kulącego się ze strachu mężczyznę. - Tym razem jeden z tych złotych pucha - rów. Wiesz, jak nie znoszę tych kruchych przedmiotów

elfiej roboty! Zabierz mi je sprzed oczu! Wyrzuć je precz!

- Wyrzucić? - Służący ośmielił się zaprotestować. Ależ pani, one są bezcenne. Pochodzą z Wieży Najwyższej Magii, to podarunek od...

- Powiedziałam, pozbądź się ich! - Kitiara złapała je i ciskała jeden po drugim o ścianę pokoju. Służący wcisnął głowę w ramiona i uchylał się, gdy szkło latało mu nad głową, roztrzaskując się o mur. Kiedy ostatni już kieliszek wyleciał z palców Kitiary, kobieta siadła bez słowa na krześle w kącie i patrzyła prosto przed siebie, w ogóle się nie poruszając.

Służący czym prędzej zamiótł potłuczone szkło, wylał zakrwawioną wodę z misy do mycia i wyszedł. Kiedy wrócił z winem, Kitiara nadal się nie ruszała. Tak samo lord Soth. Upiorny rycerz nadal stał pośrodku komnaty, a jego oczy płonęły w zapadającym mroku nocy.

- Czy mam zapalić świece, pani? - spytał cicho służący, stawiając na stole butelkę wina i złoty puchar.

- Wynoś się - powiedziała zeszywniałymi wargami Kitiara.

Służący skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Upiorny rycerz przemierzył komnatę niesłyszalnymi krokami. Kiedy zbliżył się do wciąż nieruchomej i pozornie nie widzącej niczego Kitiary, położył dłoń na jej ramieniu. Drgnęła od dotyku niewidzialnych palców, których chłód przeszył jej serce. Nie odsunęła się jednak.

- Cóż - powtórzyła, patrząc w głąb pokoju, w którym obecnie jedynym źródłem światła były gorejące, pomarańczowe oczy upiornego rycerza. - Zadałam ci pytanie. Co zrobimy, żeby powstrzymać Dalamara i mego brata w tym szaleństwie? Co zrobimy, zanim Królowa Ciemności zniszczy nas wszystkich?

- Musisz zaatakować Palanthas - rzekł lord Soth.

- Sądzę, że to da się zrobić! - szepnęła Kitiara, w zamyśleniu stukając się ręką w udo.

- Prawdziwie genialny pomysł, o pani - stwierdził dowódca jej sił z nie ukrywanym i nie udawanym podziwem w głosie.

Dowódca - człowiek około czterdziestki - zaciekle i po trupach wspinał się po szczeblach kariery, by osiągnąć obecną pozycję generała smoczyc armii. Zgarbiony, nieurodzivy i zeszpecony blizną przecinającą mu twarz mężczyzna nigdy nie posmakował łask, jakie spływały w przeszłości na tak wielu innych komendantów Kitiary. Nie tracił jednakże nadziei. Kiedy zerknął na nią, spostrzegł, że jej oblicze - ostatnio niezwykle zimne i surowe - rozpromieniło się na dźwięk jego pochwały. Raczyła nawet posłać mu uśmiech - ten

krzywy uśmiech, którym tak świetnie umiała się posługiwać. Serce dowódcy zabiło szybciej.

- Miło widzieć, że nie straciłaś wprawy - stwierdził lord Soth głuchym głosem, który zadźwięczał echem w komnacie.

Komendant wzdrygnął się. Do tego czasu powinien być już przyzwyczajony do upiornego rycerza. Królowa Ciemności wiedziała, jak wiele stoczył bojów w towarzystwie jego i jego oddziału szkieletowych wojowników. Mimo to od rycerza bił chłód grobu, który spowijał go tak, jak czarna peleryna okrywała jego nadpaloną i okrwawioną zbroję.

Jak ona go może znieść?, zastanawiał się dowódca. Powiadają, że nawiedza nawet jej sypialnię! Na tę myśl tętno komendanta prędko wróciło do normy. Ostatecznie niewolnice może nie są takie złe. Przynajmniej kiedy było się z nimi samemu w ciemności, było się samemu w ciemności!

- Oczywiście, że nie straciłam wprawy! - odparła Kitiara z taką zacieklą złością, że komendant rozejrzał się niepewnie, pośpiesznie szykując sobie jakąś wymówkę. Na szczęście w czasie gdy całe Sanction szykowało się do wojny, nietrudno było ją znaleźć.

- Jeśli nie jestem już potrzebny, pani - rzekł dowód - ca i ukłonił się - to pójdę dopilnować roboty w zbrojowni. Jest wiele do zrobienia, a mamy mało czasu.

- Tak, w porządku - mruknęła od niechcienia Kitiara, przyglądając się olbrzymiej mapie, którą ułożono z płytek mozaiki na posadzce pod jej stopami. Odwróciwszy się, komendant ruszył w stronę wyjścia, pobrzękując pałaszem o zbroję. Jednakże w drzwiach zatrzymał go głos władczyni.

- Komendancie?

- Tak, pani? - rzekł, odwracając się.

Kitiara chciała coś powiedzieć, ale przerwała, przygryzła wargę, a potem dokończyła: - Zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś zjeść ze mną kolacji dziś wieczorem. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie już jednak, jak sądzę, masz inne plany.

Dowódca zawahał się. Milczał zakłopotany. Dłonie zaczęły mu się pocić. - Prawdę powiedziawszy, pani, rzeczywiście byłem już wcześniej umówiony, ale to można zmienić...

- Nie - rzekła Kitiara, a na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. - Nie, to nie będzie konieczne. Może kiedy indziej. Możesz odejść.

Dowódca, wciąż zdumiony, odwrócił się powoli i znów ruszył w stronę wyjścia z komnaty. Kiedy to czynił, zauważył przelotnie pomarańczowe, gorejące oczy upiornego rycerza, które przeszywały go na wylot.

Teraz będzie musiał umówić się na kolację, pomyślał, spieszenie przemierzając korytarz. To nic trudnego. Każe też sprowadzić dziś sobie jedną z niewolnic - swoją

faworytę...

- Powinnaś się odprężyć. Zafunduj sobie przyjemny wieczór - powiedział lord Soth, kiedy odgłos kroków komendanta ucichł w głębi korytarza kwatery głównej wojsk Kitiary.

- Jest wiele do zrobienia, a mamy mało czasu - odparła Kitiara, udając, że jest całkowicie pochłonięta studiowaniem mapy u swych stóp. Stała na miejscu oznaczonym jako „Sanction”, spoglądając w północno-zachodni kąt komnaty, gdzie w kotlinie opiekuńczych gór leżało Palanthis.

Idąc za jej wzrokiem, Soth powoli przebył tę odległość i zatrzymał się przy jedynej przełęczy prowadzącej przez dzikie góry, w miejscu oznaczonym jako „Wieża Najwyższego Klerysta”.

- Rycerze oczywiście będą próbowali cię tu zatrzymać - stwierdził Soth. - Tam, gdzie zatrzymali cię podczas ostatniej wojny.

Kitiara pokazała zęby w uśmiechu, potrząsnęła kędzierzawą czupryną i zbliżyła się do Sotha. Jej krok był znów pełen gibkiej zadziorności. - Cóż to będzie za widok! Wszyscy piękni rycerze ustawieni w rzędku. - Niespodziewanie poczuwszy się lepiej, Kitiara zaczęła się śmiać. - Wiesz, chyba warto będzie stoczyć tę całą kampanię, żeby zobaczyć ich miny na widok tego, co trzymam dla nich w zanadrzu.

Stojąc na Wieży Najwyższego Klerysta, zgmiotła ją obcasem, a następnie zrobiła kilka szybkich kroków i stanęła przy Palanthis.

- Nareszcie - szepnęła - piękna, wytworna dama poczuje, jak miecz wojny rozpruwa jej miękkie, dojrzałe ciało. - Odwróciła się z uśmiechem do lorda Sotha. - Myślę, że mimo wszystko zaproszę dziś wieczór komendanta na kolację. Poślij po niego. - Soth skłonił się na znak zgody, a jego pomarańczowe oczy płonęły z wesołości. - Musimy porozmawiać o wielu wojskowych sprawach. - Kitiara znów się zaśmiała, zaczynając odpinać klamry swego pancerza. - Sprawach odsłoniętych boków, przerywania obrony, pchnięć i penetracji...

- Uspokój się już, Tanisie - rzekł dobrodusznie lord Gunthar. - Jesteś przemęczony.

Półelf Tanis wymamrotał coś.

- Co mówiłeś? - Gunthar odwrócił się, trzymając w garści kufel swego najprzedniejszego piwa (nalanego z tej beczki w ciemnym kącie przy schodach prowadzących do piwnicy).

- Powiedziałem, że masz rację, twierdząc, że jestem cholernie przemęczony! - warknął półelf, co wcale nie było tym, co powiedział, lecz stanowczo bardziej było na miejscu podczas rozmowy z przełożonym zakonu rycerzy solamnijskich niż to, co powiedział w rzeczywistości.

Lord Gunthar Uth Wistan pogładził się po długich wąsiskach - prastarym symbolu rycerstwa, który ostatnio był znów bardzo modny - i skrył uśmiech. Oczywiście słyszał, co Tanis naprawdę powiedział. Gunthar pokręcił głową. Dlaczego od razu nie przeszli do spraw wojskowości? Teraz oprócz przygotowań do tego drobnego natarcia niewątpliwie sfrustrowanych sił wroga, musi mieć jeszcze do czynienia z uczniami czarodziejów w czarnych szatach, kapłanami w białych, nerwowymi bohaterami i bibliotekarzem! Przygnębiony Gunthar westchnął i szarpnął za wąsy. Brakowało mu jeszcze tylko kendera...

- Tanisie, mój przyjacielu, usiądź proszę. Ogrzej się przy ogniu. Masz za sobą długą podróż, a jest zimno jak na późną wiosnę. Żeglarze mówią coś o przeważających wiatrach i tym podobnych bzdurach. Ufam, że miałeś dobrą podróż? Przyznam szczerze, że osobiście wolę gryfy od smoków...

- Lordzie Guntharze - zaczął spięty Tanis, wciąż stojąc. - Nie przyleciałem taki kawał drogi z Sancrist po to, by dyskutować o przeważających wiatrach, czy przewagach gryfów nad smokami! Grozi nam niebezpieczeństwo! Nie tylko Palanthas, ale całemu światu! Jeśli Raistlinowi się powiedzie... - Tanis zacisnął pięść. Zabrakło mu słów.

Napełniwszy swój kufel z dzbana, który został przyniesiony z piwnicy przez starego służącego Willsa, Gunthar podszedł do okna i stanął obok półelfa. Położył dłoń na ramieniu Tanisa i odwrócił go twarzą do siebie.

- Sturm Brightblade dobrze o tobie mówił, Tanisie. Ty i Laurana byliście najbliższymi przyjaciółmi, jakich miał.

Tanis spuścił głowę, słysząc te słowa. Nawet teraz, więcej niż dwa lata po śmierci Sturma, nie potrafił myśleć o stracie przyjaciela bez smutku.

- Ceniłbym cię nawet wyłącznie na podstawie tej rekomendacji, bowiem kochałem i szanowałem Sturma jak jed - nego z mych własnych synów - dokończył szczerze lord Gunthar. - Sam jednakże nauczyłem się podziwiać cię i lubić. Twoja dzielność w boju była niezaprzeczalna, twój honor i szlachetność godna rycerza. - Tanis potrząsnął głową z irytacją na tę mowę o szlachetności i honorze, lecz Gunthar tego nie dostrzegł. - Na zaszczyty, jakimi cię uhonorowano pod koniec wojny, w pełni zasłużyłeś. Od zakończenia walki spisujesz się znakomicie. Ty i Laurana zjednoczyliście narody, które były podzielone od wieków. Porthios podpisał traktat, a kiedy tylko krasnoludowie z Thorbardinu wybiorą nowego króla, również go podpiszą.

- Dziękuję ci, lordzie Guntharze - powiedział Tanis, ściskając w dłoni nie tknięty kufel piwa i wbijając wzrok w ogień. - Dziękuję ci za pochwały. Chciałbym móc czuć, że na nie zasłużyłem. A teraz, jeśli zechcesz powiedzieć mi, dokąd wiedzie ten szlak z cukru...

- Widzę, że więcej w tobie człowieka, niżli elfa stwierdził z lekkim uśmiechem Gunthar. - Dobrze więc, Tanisie. Pominę elfie grzeczności i przejdę od razu do rzeczy. Sądzę, że nabyte w przeszłości doświadczenia sprawiły, iż jesteś nerwowy - zarówno ty, jak i Elistan. Bądźmy szczerzy, mój przyjacielu, nie jesteś wojownikiem. Nigdy nie byłeś w tym celu szkolony. Wplątałeś się w tę wojnę przypadkowo. Chodź teraz ze mną. Chcę ci coś pokazać. Chodź, chodź...

Tanis odstawił pełny kufel na kominek i pozwolił się poprowadzić Guntharowi, który ścisnął go mocno swą silną ręką. Przeszli przez pokój pełen solidnych, prostych, lecz wygodnych mebli, jakie najbardziej lubili rycerze. Był to pokój wojenny Gunthara, z tarczami i mieczami zawieszonymi na ścianach wraz ze sztandarami trzech zakonów rycerzy - Róży, Miecza i Korony. Trofea bitew stoczonych dawno temu błyszcząły w gablotach, w których je starannie przechowywano. Na honorowym miejscu znajdowała się zajmująca całą długość ściany smocza lanca - pierwsza, jaką wykuł Theros Ironfeld. Wokół niej rozwieszono rozmaite miecze goblinińskie; straszny, ząbkowany jak piła miecz smokowca; ogromny, dwuręczny miecz ogra i złamany pałasz, który należał niegdyś do tego nieszczęsnego rycerza, Dereka Crownarda.

Była to imponująca kolekcja świadcząca o życiu spędzonym godnie w służbie rycerstwa. Gunthar jednakże wyminął ją, nie poświęcając jej żadnej uwagi i podszedł do dużego stołu, który stał w kącie. Pod stołem znajdowały się zwinięte mapy schludnie poutykane w małych przegródkach, na których starannie umieszczono etykiety. Po przyjrzeniu się im przez chwilę, lord Gunthar nachylił się, wydobył mapę i rozłożył ją na stole. Gestem wezwał do siebie Tanisa. Półelf zbliżył się, drapiąc się po zaroście i starając się sprawiać wrażenie zainteresowanego.

Gunthar zatarł z zadowolenia rękę. Był w swoim żywiole. To kwestia logistyki, Tanisie. Wszystko jest proste i jasne. Spójrz, tu są wojska smoczej władczyni obleżone w Sanction. Przyznaję, że jest potężna i dysponuje ogromną liczbą smokowców, goblinów i ludzi, którzy o niczym innym nie marzą, jak tylko o tym, by znów zacząć wojnę. Przyznaję też, że nasi szpiedzy donieśli o wzmożonej aktywności w Sanction. Smocza władczyni coś knuje. Ale żeby zaatakować Palanthas? Na Otchłań, Tanisie, spójrz na odległość, jaką musiałaby przebyć! A większość tego terytorium jest we władaniu rycerzy! Nawet gdyby miała dość sił, żeby się przebić, spójrz tylko, jak dalece musiałaby rozciągnąć swe linie z zaopatrzeniem! Potrzebowałaby całej armii, żeby tylko je osłaniać. Moglibyśmy je bez trudu odciąć w dowolnej liczbie miejsc.

Gunthar znów szarpnął się za wąsy. - Tanisie, jeśli w całej tej armii był choć jeden

smoczy władca, do którego nabrałem respektu, była nim Kitiara. Jest bezlitosna i ambitna, lecz jednocześnie inteligentna i z pewnością nie skłonna do podejmowania niepotrzebnego ryzyka. Czekala dwa lata, rozbudowując wojska i umacniając swą pozycję w miejscu, o którym wie, że nie ośmielimy się go zaatakować. Zy - skała zbyt wiele, żeby wszystko kłaść na szali tak szalonego pomysłu.

- Przypuśćmy, że nie to jest jej zamiarem - mruknął Tanis.

- A jakież inny zamiar mogłaby mieć? - spytał cierpliwie Gunthar.

- Nie wiem - wypalił Tanis. - Mówisz, że darzysz ją szacunkiem, ale czy wystarczającym? Czy obawiasz jej się wystarczająco? Ja ją znam i wydaje mi się, że ona coś szykuje... - Umilkł i spojrzał posepnie na mapę.

Gunthar zachował milczenie. Dotarli do niego dziwne plotki o półelfie i tej Kitiarze. Oczywiście nie dawał im wiary, lecz uznał za stosowne nie drażnić dalej tematu bliskiej znajomości półelfa z tą kobietą.

- Ty w to nie wierzysz, prawda? - spytał niespodziewanie Tanis. - W ani jedno słowo?

Kręcąc się niespokojnie, Gunthar pogładził oba długie, siwe wąsy, po czym schyliwszy się, zaczął niezmiernie troskliwie zwijać mapę. - Tanisie, mój synu, wiesz przecież, że cię szanuję...

- To już mamy za sobą.

Gunthar zlekceważył przerwanie mu. - I wiesz, że nikogo na tym świecie nie darzę głębszym poważaniem niż Elistana. Ale kiedy wy dwaj przynosicie mi historię, jaką opowiedział wam jeden z Czarnych Szat - i to w dodatku czarny elf - historię o tym, jak ten czarodziej, Raistlin, wszedł do Otchłani i rzucił wyzwanie Królowej Ciemności! No cóż, przepraszam, Tanisie. Nie jestem już młodzieńcem. Widziałem w życiu wiele dziwnych rzeczy, ale to brzmi jak dziecinna powiastka na dobranoc!

- To samo powiadano o smokach - szepnął Tanis, czerwieniąc się pod zarostem. Stał chwilę ze spuszczoną głową, a potem podrapał się po brodzie i zmierzył Gunthara uważnym spojrzeniem. - Wielmożny panie, Raistlin dorastał na moich oczach. Podróżowałem z nim, widziałem go, walczyłem zarówno z nim, jak i przeciwko niemu. Ja wiem, do czego ten człowiek jest zdolny! - Tanis złapał Gunthara za ramię. - Jeśli nie chcesz wysłuchać mojej rady, wysłuchaj Elistana! Potrzebujemy cię, lordzie Guntharze! Potrzebujemy ciebie, potrzebujemy rycerstwa! Musicie obsadzić Wieżę Najwyższego Klerysta. Mamy niewiele czasu. Dalamar mówi, że czas nie ma znaczenia na płaszczyznach istnienia Królowej Ciemności. Raistlin może tam toczyć z nią bój miesiącami lub nawet latami, a nam może się to wydawać zaledwie kilkoma dniami. Dalamar sądzi, że powrót jego mistrza jest bliski.

Wierzę mu, tak samo Elistan. Dlaczego mu ufamy, lordzie Guntharze? Bo Dalamar jest przerażony. On się boi - i my tak samo.

Twoi szpiedzy twierdzą, że w Sanction panuje niezwykle ożywienie. Z pewnością to wystarczający dowód! Uwierz mi, lordzie Guntharze, Kitiara przyjdzie swemu bratu z pomocą. Wie, że ustanowi ją władczynią świata, jeśli mu się powiedzie. A ona jest w wystarczającym stopniu hazardzistką, by narazić wszystko na niebezpieczeństwo dla tej szansy! Proszę, lordzie Guntharze, jeśli nie chcesz posłuchać mnie, przynajmniej przyjedź do Palanthas! Porozmawiaj z Elistanem!

Lord Gunthar przyglądał się uważnie mężczyźnie stojącemu przed nim. Przełożony zakonu rycerskiego doszedł do swego stanowiska dlatego, że ogólnie rzecz biorąc, był sprawiedliwym i uczciwym człowiekiem. Był również wnikliwym znawcą ludzkich charakterów. Lubił i szanował półelfa od czasu, gdy spotkał go po zakończeniu wojny. Nigdy jednakże nie udało mu się nawiązać z nim bliższego kontaktu. W Tanisie coś było, jakaś powściągliwość, która nie pozwalała przekroczyć wzniesionych przez niego niewidzialnych barier.

Spoglądając na niego, Gunthar niespodziewanie poczuł, że nigdy nie był mu tak bliski, jak teraz. Dostrzegł mądrość w tych lekko skośnych oczach, mądrość, która nie przychodzi łatwo, mądrość, jakiej nabiera się przez wewnętrzną udrękę i cierpienie. Dostrzegł lęk, trwogę kogoś, dla kogo od - waga jest rzeczą, tak bardzo normalną, że bez trudu przyznaje się do strachu. Dostrzegł w nim urodzonego przywódcę. Nie takiego, który tylko machnie mieczem i prowadzi do ataku w bitwie, ale wodza, który przewodzi cicho dzięki wydobywaniu z ludzi ich najlepszych cech, dzięki pomaganiu im w osiągnięciu rzeczy, o których nawet nie wiedzieli, że ich na to stać.

I wreszcie Gunthar zrozumiał coś, czego przedtem nie mógł zgłębić. Teraz wiedział już, dlaczego Sturm Brightblade, którego nieskalany rodowód sięgał kilku pokoleń wstecz, postanowił słuchać półelfiego bękarta, który - jak wieść niesie - narodził się w wyniku brutalnego gwałtu. Wiedział już, dlaczego Laurana, elfia księżniczka i jedna z najsilniejszych, najpiękniejszych kobiet, jakie znał, naraziła wszystko - nawet swoje życie - dla miłości tego mężczyzny.

- Zgoda, Tanisie. - Surowe oblicze lorda Gunthara rozpodziło się, a chłodny, uprzejmy ton jego głosu nabrał serdeczności. - Wróć z tobą do Palanthas. Zmobilizuję rycerzy i przygotujemy obronę Wieży Najwyższego Klerysta. Jak już mówiłem, szpiedzy poinformowali nas, że w Sanction panuje niezwykle ożywienie. Nie zaszkodzi, jeśli rycerstwo trochę się ruszy. Dawno już nie mieliśmy ćwiczeń polowych.

Po podjęciu decyzji Gunthar natychmiast przystąpił do przewracania do góry nogami swej siedziby, wołając Willsa, swego służącego, krzyżąc, by przyniesiono mu zbroję, naostrzono miecz i osiodłano gryfa. Wkrótce czeladź biegła pośpiesznie w tę i z powrotem, a jaśnie pani małżonka przybyła ze zrezygnowaną miną, nalegając, by zapakował ciężką, podbitą futrem pelerynę, choć zbliżało się już święto Wiosenego Świtu.

Zapomniany w zamieszaniu Tanis wrócił do kominka, podniósł swój kufel piwa i usiadł, by się rozkoszować jego zawartością. Ostatecznie jednak nie skosztował go. Patrząc w płomienie, znów widział ten uroczy, krzywy uśmiech, ciemne, kędzierzawe włosy...

Rozdział VI

Crysanía nie miała pojęcia, od jak dawna wędruje z Raistlinem przez czerwonawe, zniekształcone krainy Otchłani. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie, czy sens. Czasami zdawało się, że są tu zaledwie od kilku sekund, czasami była przekonana, że stąpa po tym dziwnym, zmieniającym się terenie niemal od wieków. Wyleczyła się z zatrucia, lecz czuła się słaba i wycieńczona. Zadrapania na jej rękach nie chciały się goić. Każdego dnia owijała je świeżymi bandażami, które wieczorem były już przesiąknięte krwią.

Była głodna, jednak nie był to głód, który domagał się pokarmu do podtrzymania życia, co głód posmakowania truskawki, kęsa ciepłego, świeżo upieczonego chleba albo gałązki mięty. Nie czuła też pragnienia, a mimo to śniła jej się czysta, bieżąca woda, musujące wino i ostry, przenikliwy aromat herbaty z tarbeanu. W tej krainie woda wszędzie miała rudobrazowe zabarwienie i zapach krwi.

Mimo to posuwali się naprzód. Przynajmniej tak twierdził Raistlin. Wydawało się, że zyskuje na siłach w miarę, jak Crysanía je traci. Teraz to on czasami pomagał jej iść. To on gnał ich naprzód bez odpoczynku przez jedno miasteczko za drugim. Byli coraz bliżej Domu Bogów, jak twierdził. Lustrzane wizerunki osad w tej podziemnej krainie zlały się w umyśle Crysanii w jedno - Que-shu, Xak-Tsaroth. Przebyli Nowe Morze Otchłani - była to przerażająca podróż. Kiedy Crysanía popatrzyła w wodę, ujrzała w niej wpatrzone w nią pełne zgrozy oblicza wszystkich tych, którzy zginęli podczas Katakliizmu.

Przybili do brzegu w miejscu, które według Raistlina nazywało się Sanction. Crysanía czuła się tam najslabiej, a Raistlin powiedział jej, że to ośrodek kultu wyznawców Królowej Ciemności. Jej świątynie wybudowano głęboko pod górami znanymi jako Władcy Przeznaczenia. Tu, powiedział Raistlin, podczas wojny odbywały się te przeklęte obrzędy, które zmieniły niewyklute dzieci dobrych smoków we wstrętne i pokraczne smokowców.

Przez dłuższy czas nic im się nie przydarzyło - a może zaledwie przez sekundę. Nikt drugi raz nie rzucił okiem na odzianego na czarno Raistlina, a na Crysanie w ogóle nikt nie patrzył. Równie dobrze mogła być niewidzialna. Minęli Sanction bez trudu, a Raistlin rósł w siłę, wzrastała też w nim pewność siebie. Powiedział Crysanii, że są już bardzo blisko. Dom Bogów znajdował się gdzieś na północy w górach Khalkist.

Crysanii zupełnie nie mieściło się w głowie, jak on w ogóle potrafi określić kierunki w tym upiornym i strasznym kraju - bowiem nie było niczego, czym mogliby się kierować - ani słońca, ani księżyców, ani żadnych gwiazd. Nigdy naprawdę nie panowała noc i nigdy naprawdę nie było dnia, a jedynie posępny, czerwonawy półmrok. Rozmyślała o tym, włokąc

się zmęczona u boku Raistlina i nie patrząc, dokąd idą, bowiem i tak wszystko wyglądało tu jednakowo, gdy arcymag nagle się zatrzymał. Crysania usłyszała, jak gwałtownie wciąga powietrze do płuc i wyczuła, jak sztywnieje. Podniosła wtedy z niepokojem oczy.

W ich kierunku szedł drogą ubrany w białe szaty nauczyciela mężczyzna w średnim wieku...

- Powtarzajcie za mną słowa, pamiętając o nadaniu im odpowiedniego akcentu. - Powoli je wypowiedział, a klasa powoli je powtórzyła. Wszyscy uczniowie z wyjątkiem jednego.

- Raistlinie! Klasa zamilkła.

- Tak, mistrzu? - Raistlin nie zadał sobie trudu, by ukryć szyderstwo w głosie, kiedy wypowiadał te słowa.

- Nie widziałem, żebyś poruszał wargami.

- Może dlatego, że się nie poruszały, mistrzu - odparł Raistlin.

Gdyby ktoś inny w tej klasie młodocianych czarodziejów rzucił taką uwagę, uczniowie zarechotaliby. Wiedzieli jednakże, że Raistlin czuł wobec nich taką samą pogardę, jaką czuł do mistrza, toteż zgromili go wzrokiem i pokręcili się nerwowo.

- Znasz owo zakłęcie, prawda, uczniu?

- Jasne, że znam to zakłęcie - wypalił Raistlin. Znałem je, mając sześć lat! A ty kiedy go się nauczyłeś? Wczoraj wieczorem?

Mistrz spojrział nań wzrokiem pełnym nienawiści i spurpurowiał na twarzy. - Tym razem posunąłeś się za daleko, uczniu! Obraziłeś mnie po raz ostatni!

Klasa rozplynęła się i znikła sprzed oczu Raistlina. Pozostał jedynie mistrz i na oczach Raistlina białe szaty jego starego nauczyciela zrobiły się czarne! Jego głupia, puciołowata twarz wykrzywiła się i nabrała wrogich, przebiegłych rysów kogoś złego. Pojawił się wiszący na jego szyi wisior z krwawnikiem.

- Fistantilus! - wysapał Raistlin.

- Znów się spotykamy, uczniu. Tylko gdzie się podziała twoja magia? - Czarnoksiężnik zaśmiał się. Podniósł chudą rękę i zaczął głaskać wisior z krwawnikiem.

Raistlin wpadł w panikę. Gdzie jego magia? Opuściła go! Ręce mu drżały. Słowa zakłęcia nasunęły mu się na myśl, lecz jedynie po to, by umknąć mu, zanim zdołał je zatrzymać. W rękach Fistantilusa zjawiała się płomienna kula. Raistlina dławił strach.

Laska!, pomyślał nagle. Laska Magiusa. Jej magia z pewnością będzie nietknięta! Wzniósł kostur i trzymając go przed sobą, odwołał się do niego, by go chronił. Laska jednakże zaczęła się giąć i wić w ręce Raistlina. - Nie! - wykrzyknął w gniewie i przerażeniu.

- Bądź posłuszna mojemu rozkazowi! Bądź posłuszna!

Laska oplotła mu ramię i nie była już wcale kijem, lecz olbrzymim węzem. Błyszczące kły zagłębiły się w jego ciele.

Raistlin padł z wrzaskiem na kolana, rozpaczliwie starając się nie dopuścić do jadowitego ukąszenia. Zmagając się jednakże z jednym przeciwnikiem, zapomniał o drugim. Kiedy usłyszał nucone tajemne słowa zaklęcia, podniósł zatrwożone oczy. Fistantilus znikł, lecz na jego miejscu stał drow - czarny elf, ten sam, z którym Raistlin stoczył ostateczny bój podczas próby. A potem czarny elf okazał się Dalamarem, który cisnął w niego ognistą kulę, po czym kula ognista stała się mieczem, który zagłębił w jego ciele krasnolud bez brody.

Ogień buchał wokół niego, stal przebijała jego ciało, kły wgryzały się w jego skórę. Zapadał się, zapadał w czerń, kiedy został skąpany w białym świetle, otulony białymi szatami i przyciśnięty do miękkiej, ciepłej piersi...

I uśmiechnął się, bowiem poznał po dygocie osłaniającego go ciała i cichych krzykach cierpienia, że ciosy oręża spadały na nią, nie na niego.

Rozdział VII

Lordzie Guntharze! - zawołał Amothus, władca Palanthis, wstając z krzesła. Cóż za miła niespodzianka. I ty, Tanisie Półelfie. Zakładam, że obaj przybyliście tu, by zaplanować obchody Dnia Zakończenia Wojny. Tak się cieszę. Teraz możemy zabrać się do tego wcześniej niż w zeszłym roku. Uważam... chciałem powiedzieć, ja i komitet uważamy...

- Bzdury - oświadczył zwięźle lord Gunthar, spacerując po sali audiencyjnej lorda Amothusa, przyglądając jej się krytycznym okiem i już wyliczając - w myślach co będzie potrzebne do umocnienia jej w razie potrzeby. Przybyliśmy rozmawiać o obronie miasta.

Lord Amothus zdębiał, patrząc na rycerza, który wyglądał przez okno i mamrotał pod nosem. Wojownik odwrócił się i warknął: - Za dużo szkła! - Stwierdzenie to powiększyło osłupienie lorda do tego stopnia, że ów zdołał jedynie wyjąkać przeprosiny, po czym stanął bezradnie na środku komnaty.

- Czy jesteśmy atakowani? - ośmielił się spytać z wahaniem po kilku następnych chwilach oględzin Gunthara.

Lord Gunthar posłał Tanisowi ostre spojrzenie. Półelf wzdychając, uprzejmie przypomniał lordowi Amothusowi o ostrzeżeniu, jakie przyniósł im czarny elf Dalamar o istnieniu możliwości, że władczyni smoków Kitiara spróbuje wdrzeć się do Palanthis, by pomóc swemu bratu Raistlinowi, Mistrzowi Wieży Najwyższej Magii w jego walce z Królową Ciemności.

- Ach, tak! - Oblicze lorda Amothusa rozpogodziło się. Lord wykonał lekceważący gest delikatną dłonią, jakby odganiał komary. - Aczkolwiek nie sądzę, żebyś musiał martwić się o Palanthis, lordzie Guntharze. Wieża Najwyższego Klerysta...

- ...jest obsadzana załogą. Podwajam siłę naszych tamtejszych oddziałów. Tam oczywiście ruszy pierwsze natarcie. Nie ma innego dojścia do Palanthis, jeśli pominąć morze od północy, a na morzu my rządzymy. Nie, atak nadejdzie od strony lądu. Gdyby jednakże sprawy przybrały zły obrót, chcę, Amothusie, żeby Palanthis było gotowe bronić się samo. Teraz...

Dosiadłszy swego konika, tak się wyrażając, Gunthar pocwałował przed siebie. Kompletnie stratowawszy poczynioną przez Amothusa szeptem wymówkę, że może powinien porozmawiać o tej sprawie z jego generałami, Gunthar pogalopował przed siebie i wkrótce zostawił Amothusa kaszlącego w kłębach kurzu rozmieszczania pułków, rekwizycji prowiantu, gromadzenia uzbrojenia i temu podobnych spraw. Amothus dał za wygraną, pogubiwszy się. Usiadł z miną wielce zainteresowanego i natychmiast zaczął myśleć o czymś

zupełnie innym. To wszystko i tak bzdura. Wojna jeszcze nigdy nie dotknęła Palanthas. Armia musiałaby wpięć przedostać się obok Wieży Najwyższego Klerysta, a nikt jeszcze - nawet olbrzymie smocze wojska podczas minionej wojny - nie zdołały tego dokonać.

Obserwując to wszystko i doskonale wiedząc, o czym myśli Amothus, Tanis uśmiechnął się ponuro do siebie i właśnie zaczął się zastanawiać, jak on sam zdoła umknąć przed napaścią, kiedy rozległo się pukanie do wielkich, bogato rzeźbionych i pozłaczanych drzwi. Amothus poderwał się z miną kogoś, kto słyszy trąbki oddziału przychodzącego z odsieczą, lecz zanim zdołał powiedzieć choćby słowo, drzwi otworzyły się i wszedł wiekowy służący.

Charles służył królewskiemu rodowi Palanthas od ponad półwiecza. Był niezastąpiony i dobrze o tym wiedział. Wiedział o wszystkim - od dokładnej liczby butelek z winem w piwnicy i którego elfa należy posadzić przy którym podczas kolacji, do tego, kiedy ostatnio wietrzono pościel. Choć zawsze był pełen godności i respektu, mina malująca się na jego obliczu sugerowała, iż spodziewa się, że po jego śmierci królewski pałac zawali się swemu panu na głowę.

- Przepraszam, że przeszkadzam, jaśnie panie - zaczął Charles.

- Ależ nic nie szkodzi! - wykrzyknął lord Amothus, promieniejąc z radości. - Nic nie szkodzi. Proszę...

- Niemniej nadeszła pilna wiadomość dla Tanisa Półelfa - dokończył niewzruszony Charles z cieniem wyrzutu skierowanego do swego pana za przerwanie mu.

- Och. - Lord Amothus miał zakłopotaną i ogromnie rozczarowaną minę. - Dla Tanisa Półelfa?

- Tak, jaśnie panie - odparł Charles.

- Nie dla mnie? - zapytał Amothus, już widząc, jak odsiecz niknie za horyzontem.

- Nie, jaśnie panie.

Amothus westchnął. - Doskonale. Dziękuję, Charlesie. Tanisie, wydaje mi się, że lepiej będzie...

Tanis jednakże był już w połowie drogi do drzwi.

- Co tam? Chyba nie od Laurany...

- Tędy proszę, jaśnie panie - rzekł Charles, przepuszczając Tanisa w drzwiach. Dostrzegłszy spojrzenie, jakim zmierzył go Charles, półelf przypomniał sobie w samą porę, żeby odwrócić się i skłonić lordom Amothusowi i Guntha - rowi. Rycerz uśmiechnął się i pomachał mu ręką. Lord Amothus nie mógł powstrzymać się od tego, żeby nie spojrzeć na Tanisa z zazdrością, a następnie znów usiadł, by wysłuchać listy ekwipunku niezbędnego do

rozgrzewania oleju.

Charles starannie i pomału zamknął za sobą drzwi.

- O co chodzi - spytał Tanis, idąc korytarzem za służącym. - Czy posłaniec nie powiedział niczego więcej?

- Tak, jasnie panie. - Twarz Charlesa złagodniała i odmalował się na niej wyraz czulego smutku. - Miałem nie wyjawiać tego, póki oderwanie cię od twych obowiązków nie stanie się absolutnie konieczne. Wielebny syn Elistan umiera. Spodziewamy się, że nie przeżyje nocy.

W gasnącym świetle dnia park przed świątynią tchnął spokojem i ciszą. Słońce zachodziło nie w ognistym przepychu, lecz łagodnej, perłowej poświacie, która wypełniała nieboskłon tęczą delikatnych barw jak w odwróconej morskiej muszli. Tanis, który spodziewał się zastać tłumy ludzi stojących i czekających na wieści, podczas gdy zakłopotani duchowni w białych szatach biegają tam i z powrotem, był zaskoczony stwierdzeniem, że wszędzie panuje cisza i ład. Ludzie jak zwykle wypoczywali na trawnikach, kapłani w bieli spacerowali obok kwiatnych klombów, rozmawiając przyciszonymi głosami, a jeśli byli sami, sprawiali wrażenie pogrążonych w cichej medytacji.

Może posłaniec mylił się lub został źle poinformowany, pomyślał Tanis. Wtedy jednakże, śpiesząc po aksamitnej, zielonej murawie, minął młodą kapłankę. Podniosła na niego wzrok. Dostrzegł, że oczy miała zaczerwienione i spuchnięte od płaczu. Mimo to uśmiechnęła się do niego, wycierając ślady żalu i idąc w swoją stronę.

Wtedy Tanis przypomniał sobie, że ani lord Amothus, ani lord Gunthar, przełożony rycerzy solamnijskich, nie zostali powiadomieni. Pótlef uśmiechnął się smutno, zrozumiawszy nagle. Elistan umierał tak, jak żył - z cichą godnością.

W drzwiach świątyni powitał Tanisa młody nowicjusz.

- Wejdz i bądź pozdrowiony, Tanisie Pótlefie - powiedział cicho młodzieniec. - Jesteś oczekiwany. Tędy proszę.

Chłodny cień spowił Tanisa. We wnętrzu świątyni oznaki żałoby rzucały się w oczy. Elfi harfista grał słodką melodię, a kapłani stali razem, obejmując się i pocieszając w tej ciężkiej chwili. Tanisowi też łzy stanęły w oczach.

- Wdzięczni jesteśmy, że wróciłeś na czas - dokończył nowicjusz, wiodąc Tanisa dalej do wnętrza cichej świątyni. - Obawialiśmy się, że możesz nie zdążyć. Zostawiliśmy wiadomości wszędzie, gdzie było to możliwe, lecz tylko u tych, którym mogliśmy zaufać, iż dochowają tajemnicy naszego wielkiego smutku. Życzeniem Elistana jest, by pozwolono mu umrzeć w spokoju i ciszy.

Półelf krótko skinął głową, ciesząc się, że jego zarost ukrył łzy. Nie chodziło o to, że się ich wstydził. Elfowie szanują życie ponad wszystko, uważając je za najświętszy z boskich darów. Elfowie nie ukrywają swych uczuć, jak czynią to ludzie. Tanis jednakże obawiał się, że widok jego żalu mógłby zmartwić Elistana. Wiedział, że jedynym, czego ten dobry człowiek żałował, umierając, był fakt, iż jego śmierć tak dotkliwie zasmuci tych, których opuszcza.

Tanis i jego przewodnik minęli przedsionek, w którym Garad i inni wielebni synowie i córki stali ze spuszczoneymi głowami i dodawali sobie nawzajem otuchy. Za ich plecami znajdowały się zamknięte drzwi. Wszyscy zerkali na nie i Tanis nie miał wątpliwości, kto za nimi leży.

Na dźwięk kroków wchodzącego Tanisa Garad podniósł wzrok i podszedł przywitać półelfa.

- Tak się cieszymy, że mogłeś przybyć - rzekł serdecznie starszy elf. Tanis poznał, że pochodził z Silvanesti i musiał być jednym z pierwszych elfów nawróconych na religię, o której jego pobratymcy zapomnieli dawno temu.

- Obawialiśmy się, że możesz nie zdążyć w porę.

- To musiało nastąpić nagle - wyszeptał Tanis, niemile świadom, iż jego miecz, którego zapomniał odpasać, pobrzękuje głośno i zgrzytliwie w tak tchnącym spokojem i smutkiem otoczeniu. Przycisnął go dłonią.

- Tak, poważnie zachorował tego wieczoru, gdy wyjechałeś. - Garad westchnął. - Nie wiem, co zostało powiedziane w tej komnacie, jednakże wstrząs był ogromny. Od tamtej pory Elistan cierpiął katusze. Nic, co jesteśmy w stanie uczynić, nie mogło mu pomóc. Wreszcie Dalamar, uczeń czarodzieja - Garad nie mógł powstrzymać się od grymasu niechęci - przyszedł do świątyni. Przyniósł ze sobą napój, który, jak powiedział, uśmierzy ból. Nie potrafię zgadnąć, skąd wiedział, co się tu dzieje. Tam się dzieją dziwne rzeczy. Zerknął przez okno na Wieżę, która wznosiła się niczym czarny cień, wyzywająco odmawiając wstępu jasnemu słońcu.

- Wpuściliście go? - spytał zaskoczony Tanis.

- Powinienem był mu zabronić - rzekł zaciekle Garad. - Elistan jednakże wydał polecenie, aby pozwolić mu wejść. Muszę też przyznać, że jego mikstura podziałała. Cierpienie oddaliło się od naszego mistrza, który zazna łaski skonania w spokoju.

- A Dalamar?

- Jest w środku. Nie ruszył się z miejsca ani nie odezwał słowem, odkąd wszedł. Siedzi tylko w kącie i milczy. Mimo to jego obecność zdaje się dodawać Elistanowi otuchy,

więc pozwalamy mu zostać.

Chciałbym zobaczyć, jak próbujecie go wyprosić, pomyślał sobie Tanis, lecz nic nie powiedział. Drzwi otworzyły się. Ludzie z lękiem podnieśli głowy, lecz był to tylko nowicjusz, który zapukał cicho i rozmawiał teraz z kimś po drugiej stronie. Odwróciwszy się, wezwał gestem Tanisa.

Półelf wszedł do niewielkiego, skromnie urządzonego pokoju, starając się poruszać bezgłośnie, jak to czynili inni kapłani w szeleszczących szatach i miękkich pantoflach. Mimo to jego miecz pobrzękiwał, buty stukwały, a klamerki skórzanej zbroi podzwaniały. W jego własnych uszach brzmiało to jak odgłos całej armii krasnoludów. Czując, jak pali go twarz, starał się naprawić sytuację, stąpając na palcach. Eli - stan z trudem odwróciwszy głowę na poduszce, popatrzył na półelfa i zaczął się śmiać.

- Można by pomyśleć, mój przyjacielu, że przychodzisz mnie okraść - stwierdził Elistan, unosząc wychudłą rękę i podając ją Tanisowi.

Półelf starał się uśmiechnąć. Usłyszał odgłos drzwi zamykających się za nim i zdał sobie sprawę z obecności ciemnej postaci, która wypełniała mrokiem jeden z kątów. Nie zważał jednakże na to. Uklękawszy przy łożu człowieka, którego pomógł wyratować z kopalni w Pax Tharkas i którego łagodny wpływ odegrał tak wielką rolę w życiu jego i Laurany, Tanis wziął konającego za rękę i uścisnął ją mocno.

- Gdybym tylko mógł stoczyć za ciebie bój z tym wrogiem, Elistanie - rzekł Tanis, patrząc na pomarszczoną, białą dłoń spoczywającą w swej własnej, mocnej, opalonej dłoni.

- Nie wrogiem, Tanisie, nie wrogiem. Przychodzi po mnie stary przyjaciel. - Kapłan łagodnie wysunął dłoń z uścisku Tanisa, a potem poklepał półelfa po ramieniu. - Nie, ty nie rozumiesz, ale któregoś dnia pojmiesz to, obiecuję ci. Tymczasem nie wezwałem cię po to, by obarczać cię pożegnaniem. Mam dla ciebie zadanie, mój przyjacielu. - Skinął dłonią. Młody akolita wystąpił naprzód, niosąc drewniane pudełko, które podał Elistanowi. Następnie odsunął się i znów stanął w milczeniu przy drzwiach.

Ciemna postać w kącie nie poruszyła się.

Elistan podniósł wieczko pudełka i wyjął złożony kawałek czystego białego pergaminu. Wziąwszy Tanisa za rękę, umieścił mu pergamin w dłoni, po czym zamknął na nim jego palce.

- Daj to Crysanii - powiedział cicho. - Jeśli przeżyje, ma zostać następną głową kościoła. - Dostrzegając pełną powątpiewania i dezaprobaty minę, jaka pojawiła się na twarzy Tanisa, Elistan uśmiechnął się. - Mój przyjacielu, wędrowałeś w ciemnościach - nikt o tym nie wie lepiej ode mnie. Omal nie straciliśmy cię, Tanisie. Wytrzymałeś jednak tę noc i

stawiałeś czoło blaskowi dnia, wzmocniony świadomością, że na tym zyskałeś. Mam nadzieję, że tak samo będzie z Crysanią. Jej wiara jest silna, lecz jak sam dostrzegłeś, brak jej ciepła, współczucia, ludzkich odruchów. Musiała dostać lekcję, jakiej nauczył nas upadek króla-kapłana. Musiała zostać zraniona, Tanisie, i to głęboko zraniona, zanim zdoła zareagować współczuciem na cierpienie innych. Nade wszystko, Tanisie, musiała pokochać.

Elistan zamknął oczy, a jego zmienione cierpieniem oblicze przepełniał smutek. - Gdybym tylko mógł, wybrałbym dla niej inny los, mój przyjacielu. Widziałem, jaką drogą kroczy. Jednakże któż może kwestionować wyroki bogów? Z pewnością nie ja. Chociaż... - Otworzywszy oczy, spojrzał z dołu na Tanisa i półelf dostrzegł w nich błysk gniewu - ...mógłbym się z nimi nieco posprzeczać.

Tanis usłyszał za swymi plecami ciche kroki nowicjusza. Elistan pokiwał głową. - Tak, wiem. Oni lękają się, że goście mnie męczą. To prawda, lecz już wkrótce zaznam wytchnienia. - Kapłan opuścił powieki, uśmiechając się. Tak, zaznam wytchnienia. Mój stary przyjaciel zbliża się, by odprowadzić mnie, by pokierować moimi chwiejnymi krokami.

Tanis wstał i posłał pytające spojrzenie akolicie, który potrząsnął głową.

- Nie wiemy, o kim on mówi - szepnął młody kapłan. - Nie mówi o nikim innym, jak o tym starym przyjacielu. Myśleliśmy, że może ma na myśli ciebie...

Jednakże od strony łoża dobiegł ich wyraźnie głos Elistana. - Żegnaj, Tanisie Półelfie. Pozdrów ode mnie Lauranę. Garad i pozostali - skinął głową w stronę drzwi wiedzą o moich życzeniach w kwestii następstwa. Wiedzą, że powierzyłem ją tobie. Dołożą wszelkich starań, aby ci pomóc. Żegnaj, Tanisie. Niech cię Paladine błogosławi.

Tanisowi zabrakło słów. Nachyliwszy się, ścisnął dłoń kapłana, potrząsnął głową, chcąc coś powiedzieć, ale zrezygnował. Odwrócił się nagle, wyminął ciemną, milczącą postać w kącie i wyszedł z pokoju, oślepiiony łzami.

Garad odprowadził go do frontowych drzwi świątyni. Wiem, jakim zadaniem obarczył cię Elistan - rzekł kapłan - i możesz mi wierzyć, z całego serca żywię nadzieję, że jego życzenie się spełni. Pani Crysania, jak rozumiem, jest na jakiejś pielgrzymce, która może okazać się bardzo niebezpieczna?

- Tak - Tanis nie ufał sobie na tyle, by powiedzieć więcej.

Garad westchnął. - Niech Paladine będzie z nią. Modlimy się za nią. To silna kobieta. Kościół potrzebuje jej młodości i siły, jeśli ma się rozrastać. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, Tanisie, wiedz proszę, że możesz na nas liczyć.

Półelf był w stanie tylko wymamrotać uprzejmą odpowiedź. Garad skłonił się i pośpiesznie wrócił do swego konającego mistrza. Tanis zatrzymał się na moment w pobliżu

wejścia, by spróbować zapanować nad sobą przed wyjściem na zewnątrz. Kiedy stał tak, zastanawiając się nad słowami Elistana, zaczęły do niego docierać słowa sprzeczek przy drzwiach świątyni.

- Bardzo mi przykro, ale nie wolno panu wejść - mówił stanowczym głosem młody akolita.

- Ale przecież ci mówię, że przyszedłem z wizytą do Elistana - odparł gderliwy, kapryśny głos.

Tanis zamknął oczy i oparł się o ścianę. Znał ten głos. Wspomnienia naszły go z taką bolesną intensywnością, że przez chwilę nie mógł ruszyć się, ani wykrztusić słowa.

- Być może, gdybyś zechciał podać mi swoje imię mówił cierpliwie nowicjusz - mógłbym go spytać...

- Jestem... Nazywam się... - Nieznajomy zawahał się, wydawał się trochę zdumiony, a potem wymamrotał: - Jeszcze wczoraj wiedziałem...

Tanis usłyszał poirytowane łomotanie drewnianą łaską we wrota świątyni i piskliwy głos: - Jestem bardzo ważną osobistością, młodzieńcze. I nie jestem przyzwyczajony, żeby mnie traktowano z taką impertynencją. A teraz precz mi z drogi, zanim zmusisz mnie, żebym uczynił coś, czego pożałuję. To znaczy ty pożałujesz. Cóż, w każdym razie któryś z nas tego pożałuje.

- Niezmiernie mi przykro, panie - powtórzył akolita, którego cierpliwość najwyraźniej dobiegała kresu - ale bez podania imienia nie mogę pozwolić...

Dały się słyszeć odgłosy krótkiej szamotaniny, potem nastąpiła cisza, którą przerwał prawdziwie złowieszczy dźwięk - szelest odwracanych kartek. Uśmiechając się przez łzy, półelf podszedł do drzwi. Wyjrawszy na zewnątrz, zobaczył starego czarodzieja, który stał na schodach świątyni. Odziany w szatę mysiego koloru i niekształny, czarodziejski kapelusz, który gotów był w każdej chwili spaść mu z czoła, sędziwy mag sprawiał wrażenie bardzo podejrzanego typu. Czarodziej oparł o mur świątyni zwyczajną, drewnianą łaskę, którą przyniósł ze sobą, i nic nie robiąc sobie z zaczerwienionego i urażonego nowicjusza, kartkował księgę czarów, mrużąc: - Kula ognista... kula ognista. Kurka wodna, jak to zakłęcie szło?

Tanis położył delikatnie dłoń na ramieniu nowicjusza. On rzeczywiście jest ważną osobistością - stwierdził cicho półelf. - Możesz go wpuścić. Biorę na siebie całą odpowiedzialność.

- Naprawdę to ktoś ważny? - Nowicjusz spoglądał z powątpiewaniem.

Na dźwięk głosu Tanisa czarodziej podniósł głowę i rozejrzał się wokół. - Co tam?

Ktoś ważny? Gdzie? - Ujrawszy Tanisa, drgnął. - Ach, tutaj! Jak się wielmożny pan miewa? - Chciał podać rękę, ale zaplątał się w swą szatę i upuścił księgę czarów na stopę. Kiedy nachylił się, żeby ją podnieść, przewrócił laskę, która spadła po schodach ze stukiem. W zamieszaniu spadł mu kapelusz. Trzeba było wysiłków zarówno Tanisa, jak i akolity, by przywołać staruszkę do porządku.

- Auu, mój palec! A niech to! Zgubiłem się. Głupia laska! Gdzie jest mój kapelusz?

Wreszcie jednak okazało się, że jest mniej więcej cały i zdrowy. Po wepchnięciu księgi czarów do torby czarodziej naciągnął kapelusz mocno na czoło. (Początkowo próbował dokonać tego w odwrotnej kolejności.) Na nieszczęście, kapelusz natychmiast ześlizgnął się, zasłaniając mu oczy.

- Na bogów, zostałem oślepiiony! - stwierdził z trwogą sędziwy czarodziej.

Temu problemowi wkrótce zaradzono. Młody akolita posławszy Tanisowi spojrzenie pełne jeszcze większych wątpliwości - łagodnie zsunął kapelusz czarodzieja na tył jego siwej głowy. Mierząc nowicjusza rozeźlonym i poirytowanym wzrokiem, stary czarodziej zwrócił się do Tanisa. - Ktoś ważny? Tak, jesteś ważny... tak sędzę. Czy my się już spotkaliśmy?

- A jakże - odparł Tanis. - Ale to ty jesteś tą ważną osobą, o jakiej wspominałem, Fizbanie.

- Doprawdy? - Wiekowy czarodziej przez chwilę sprawiał wrażenie ogłuszonego. Potem stanął i spiorunował wzrokiem młodego kapłana. - No, oczywiście. Przecież od początku tak twierdziłem! Z drogi, zejdz mi drogi! - rozkazywał ze złością nowicjuszowi.

Przekraczając próg świątyni, starzec odwrócił się, by zerknąć na Tanisa spod runda zgniecionego kapelusza. Zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu półelfa. Wyraz ogłupienia znikł z oblicza sędziwego czarodzieja. Mag przyjrzał się wnikliwie Tanisowi.

- Nigdy jeszcze nie stałeś w obliczu tak czarnej godziny, Tanisie - rzekł z powagą stary czarodziej. - Istnieje nadzieja, lecz miłość musi zatriumfować.

Powiedziawszy to, oddalił się człapiącym krokiem i niemal natychmiast wpadł na szafę. Dwaj kapłani pośpieszyli mu z pomocą i poprowadzili go dalej.

- Kto to jest? - spytał młody akolita, odprowadzając zakłopotanym wzrokiem starego czarodzieja.

- Przyjaciel Elistana - szepnął Tanis. - Bardzo stary przyjaciel.

Wychodząc ze świątyni, Tanis posłyszał żalosne zawodzenie: - Mój kapelusz!

Rozdział VIII

Crysanio...

Nie było odpowiedzi, jedynie cichy jęk.

- Szsz. Już wszystko dobrze. Byłaś ranna, ale wroga już nie ma. Wypij, to złagodzi twoje cierpienia.

Raistlin wyjął jakieś zioła z woreczka, wsypał je do kubka gorącej wody i podniósłszy Cryسانیę z zakrwawionego posłania z liści, na jakim spoczywała, przytknął jej kubek do warg. Po wypiciu naparu otworzyła oczy i twarz jej się wygładziła.

- Tak - szepnęła, opierając się o maga. - Już mi lepiej.

- Teraz - dokończył gładko Raistlin - musisz pomodlić się do Paladine'a, żeby cię uzdrowił, wielbna córko. Musimy ruszać w dalszą drogę.

- Sama nie wiem, Raistlinie. Jestem taka słaba, a Paladine wydaje się taki odległy!

- Pomodlić się do Paladine'a? - rozległ się surowy głos. - Błóżnisz, Czarna Szato!

Rozdrażniony Raistlin zmarszczył czoło i podniósł wzrok. Oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia. - Sturm! - jęknął.

Młody rycerz jednak go nie słyszał. Wlepiął wzrok w Cryسانیę, patrząc z trwogą, jak rany na jej ciele zablizniają się, choć nie zagoiły się jeszcze całko wicie. - Czarownicy! krzyknął rycerz, wyciągając miecz - Czarownicy!

- Czarownicy! - Crysania uniosła głowę. - Nie, panie rycerzu. Nie jesteśmy czarownikami. Ja jestem osobą duchowną, kapłanką Paladine'a! Spójrz na medalion, jaki noszę!

- Kłamiesz! - rzucił wściekle Sturm. - Nie ma kapłanów! Zginęli podczas Katakliizmu. A nawet gdybyś była kapłanką, co robiłabyś w towarzystwie tej złej istoty mroków!

- Sturmie! To ja, Raistlin! - Arcymag wstał. - Spójrz na mnie! Nie poznajesz mnie?

Młody rycerz skierował miecz ku magowi, przytykając jego czubek do gardła Raistlina. - Nie wiem, jakim czarnoksiężskim sposobem odgadłeś moje imię, Czarna Szato, lecz wymów je raz jeszcze, a źle się to dla ciebie skończy. W Solące nie patyczkujemy się z czarownikami.

- Jako że jesteś prawym i świętym rycerzem, którego obowiązują przysięgi rycerskiej szlachetności i posłuszeństwa, błagam cię o sprawiedliwość - rzekła Crysania, podnosząc się powoli z pomocą Raistlina.

Surowe oblicze młodzieńca wygładziło się. Rycerz skłonił się i schował miecz do pochwy, nie przestając obserwować Raistlina. - Prawdę powiadasz, pani. Jestem zobowiązany

takimi przysięgami i dopilnuję, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Ledwie to powiedział, ściółka z liści zmieniała się w drewnianą podłogę, drzewa - w ławy, niebo nad głową w sufit, a droga - w przejście między ławami. Jesteśmy w sali sądowej, spostrzegł Raistlin przyprawiony chwilowo o zawrót głowy tą nagłą zmianą. Wciąż obejmując Crysanię, pomógł jej zasiąść przy małym stole stojącym pośrodku pomieszczenia. Przed nimi wznosiło się podium. Obejrzawszy się za siebie, Raistlin zobaczył, że sala była szczelnie wy - pełniona ludźmi, którzy przyglądali im się z radością i zainteresowaniem.

Wytrzeszczył oczy. Znał tych ludzi! Oto Otik, właściciel gospody Ostatni Dom, zajadający porcję korzennych ziemniaków. Oto Tika o rozwianych, rudych lokach, która pokazuje Crysanię, mówi coś i śmieje się. I Kitiara! Leniwie wsparta o framugę, z dłonią spoczywającą na rękojeści miecza, otoczona podziwiającymi ją młodzieńcami, obejrzała się na Raistlina i puściła do niego oko.

Raistlin gorączkowo wodził dookoła wzrokiem. Jego ojciec, ubogi drwal, siedział zgarbiony w kącie z tą wiecznie zatroskaną i zmartwioną miną. Laurana trzymała się na uboczu, a jej chłodna, elfia uroda promieniała niczym jasna gwiazda w najciemniejszej nocy.

Crysania siedząca u boku maga zawołała: - Elistanie!

- Poderwawszy się, wyciągnęła rękę, lecz kapłan tylko posłał jej zafrasowane i surowe spojrzenie, po czym potrząsnął głową.

Rozległ się okrzyk: - Proszę wstać, sąd idzie!

Przy wtórze długotrwałego szurania nogami i odsuwania ławek wszyscy obecni w sali sądowej wstali. Gdy wszedł sędzia, wśród tłumu zapadła pełna szacunku cisza. Odziany w szare szaty Gileana, boga Neutralności, sędzia zajął miejsce na podium i odwrócił się twarzą do oskarżonych.

- Tanis! - wykrzyknął Raistlin, robiąc krok naprzód. Jednakże brodaty półelf tylko zmarszczył czoło na widok tego niestosownego zachowania, podczas gdy mamroczący stary krasnolud - bailif - przyczłapał się bliżej i szturchnął Raistlina w bok trzonkiem swego bojowego topora.

- Siadaj, czarowniku, i nie odzywaj się, póki nie odezwą się do ciebie.

- Flint? - Raistlin złapał krasnoluda za ramię. - Nie poznajesz mnie?

- I precz z łapami od bailifa! - ryknął rozeźlony Flint, wyszarpując rękę. - Humpf - burknął i odalił się długim krokiem, by zająć miejsce obok sędziego. - Żadnego sza - cunku dla mego wieku czy stanowiska. Można by pomyśleć, że jestem workiem mąki, który każdy może dźwignąć...

- Wystarczy, Flincie - rzekł Tanis, patrząc surowym okiem na Raistlina i Crysanię. -

Kto wnosi oskarżenie przeciwko tym dwojgu?

- Ja - oświadczył rycerz w lśniącej zbroi, wstając.

- Zgoda, Sturmie Brightblade - rzekł Tanis - będziesz miał okazję przedstawić swoje zarzuty. A kto broni tych dwojga?

Raistlin zamierzał wstać i odpowiedzieć, lecz mu przerwano.

- Ja! Tu jestem, Tanisie, to znaczy, wysoki sędzie! Ja, tutaj! Czekaście. Zdaje mi się... zdaje się, że utknąłem...

Na sali sądowej gruchnął śmiech i wszyscy odwrócili się, by popatrzeć na obładowanego księgami kendera, który usiłował przedostać się przez drzwi. Kitiara obnażyła zęby w uśmiechu, złapała go za kitkę włosów i szarpnięciem przeciągnęła przez framugę, bezceremonialnie upuszczając potem na podłogę. Książki rozsypały się na wszystkie strony, a tłum ryknął ze śmiechu. Nie przejmując się tym, kender pozbierał się, otrzepał z kurzu i potykając o książki, zdołał wreszcie przedostać się na przód sali.

- Nazywam się Tasslehoff Burrfoot - powiedział kender, podając Raistlinowi rączkę do uściskania. Arcymag spojrział na Tasa ze zdumieniem i nie ruszył się z miejsca. Wzruszywszy ramionami, Tas popatrzył na swoją rękę, westchnął, a następnie odwrócił się i ruszył w stronę sędziego. - Cześć, nazywam się Tasslehoff Burrfoot...

- Siadaj! - ryknął krasnolud. - Sędziemu nie podaje się ręki, ty głąbie!

- No wiecie - rzekł urażony Tas. - Myślę, że mógłbym, gdybym chciał. W końcu jedynie okazuję uprzejmość, a jest to coś, o czym wy, krasnoludowie, nie macie najmniejszego pojęcia. Ja...

- Siadać i milczeć! - krzyknął krasnolud, waląc tyłcem topora w podłogę.

Kender odwrócił się, powiewając kitką włosów i potulnie poszedł się obok Raistlina. Zanim jednakże usiadł, odwrócił się do publiczności i tak doskonale przedrzeźnił skrzywioną minę Flinta, że tłum zawył z radości, co wprawiło krasnoluda w jeszcze większy gniew. Tym razem jednakże wtrącił się sędzia.

- Cisza - zawołał srogo Tanis i gawieź ucichła.

Tas usadowił się obok Raistlina. Czując, że coś delikatnie otarło się o niego, mag spojrział wściekle na kendera i wyciągnął rękę.

- Oddaj to! - zażądał.

- Co oddać? Och, to? To twoje? Musiało ci wypaść - oświadczył niewinnie Tas, podając Raistlinowi jedną z jego sakiewek ze składnikami zaklęć. - Znalazłem ją na podłodze...

Wyrwijając ją kenderowi, Raistlin ponownie przywiązał ją do sznura, jakim był

przepasany.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć dziękuję - powiedział szeptem Tas, a potem spotulniał na widok surowego spojrzenia sędziego.

- Jakie zarzuty spoczywają na tych dwojgu? - spytał Tanis.

Sturm Brightblade wyszedł na środek sali. Tu i tam rozległy się oklaski. Młody rycerz o melancholijnym wyglądzie, znany ze swego wielkiego honoru, był najwyraźniej lubianą osobą.

- Znalazłem tych dwoje w puszczy, wysoki sędzie. Czarodziej Czarnych Szat wymówił imię Paladine'a - dał się słyszeć gniewny szmer tłumu - na moich oczach przygotował jakiś ohydny wywar i podał go tej kobiecie do wypicia. Kiedy początkowo ich widziałem, była poważnie ranna. Szaty miała splamione krwią, a twarz poparzoną i poranioną, jakby wyszła z ognia. Kiedy jednakże wypijała tę diabelską miksturę, została uzdrowiona!

- Nie! - wykrzyknęła Crysania, wstając niepewnie. To nie tak. Napój, jaki podał mi Raistlin, tylko uśmierzył mój ból. To moje modlitwy mnie uzdrowiły! Jestem kapłanką Paladine'a...

- Proszę o wybaczenie, wysoki sędzie - wrzasnął kender, skokiem zrywając się na nogi. - Moja klientka nie chciała powiedzieć, że jest kapłanką Paladine'a. Odgrywała pantomimę. Właśnie to zamierzała powiedzieć. O, tak właśnie. - Tas zachichotał. - Trochę zabawy, żeby umilić czas w podróży. To taka gra, w którą się cały czas bawią. Ha, ha. - Odwracając się do Crysanii, kender zmarszczył brwi i rzucił szeptem, który dał się słyszeć na całej sali: - Co ty wyprawiasz? Jak mam cię wybronić, skoro tak na lewo i prawo głosisz prawdę! Absolutnie nie życzę sobie tego więcej!

- Cisza! - ryknął krasnolud.

Kender odwrócił się szybko. - Ciebie też zaczynam mieć dość, Flincie! - krzyknął. - Przestań stukać tym toporem w posadzkę, bo ci go owinę wokół szyi.

Na sali znów wybuchł śmiech i nawet sędzia uśmiechnął się pod nosem.

Crysania siadła obok Raistlina z twarzą śmiertelnie pobladłą. - Co to za kpiny? - szepnęła zalekniona.

- Nie wiem, ale zamierzam z tym skończyć. - Raistlin wstał. - Uciszcie się wszyscy. - Jego niegłośny, szepczący głos sprawił, że w pomieszczeniu natychmiast zapadła cisza. - Ta pani jest rzeczywiście świętą kapłanką Paladine'a! A ja jestem magiem Czarnych Szat, zręcznym w sztuce czarodziejskiej...

- Och, zrób coś czarodziejskiego! - krzyknął kender, znów podskakując. - Śmignij

mnie do stawku dla kaczek...

- Siadaj! - wrzasnął krasnolud.

- Podpal krasnoludowi brodę! - zaśmiał się Tasslehoff.

Ta sugestia została powitana oklaskami.

- Tak, pokaż nam jakieś czary, magu - zawołał Tanis, próbując przekrzyczeć rozlegający się na sali śmiech.

Wszyscy ucichli, a potem gawiedź zaczęła szeptać. - Tak, magu, pokaż nam jakieś czary. Rzuć jakieś zaklęcie, magu! - Głos Kitiary, silny i dźwięczny, wybijał się ponad inne. - Zrób jakąś sztuczkę magiczną, nędzny cherlaku, jeśli tylko potrafisz!

Raistlinowi język przysechł do podniebienia. Crysania wpatrywała się w niego oczami pełnymi nadziei i trwogi. Ręce mu drżały. Chwycił laskę Magiusa, która stała u jego boku, lecz przypominając sobie, co mu przedtem zrobiła, nie ośmielił się jej użyć.

Wyprostował się i zmierzył pogardliwym wzrokiem ludzi zgromadzonych dookoła niego. - Ha! Nie muszę udowadniać niczego takim, jak wy...

- Naprawdę uważam, że to dobry pomysł - mruknął Tas, szarpiąc Raistlina za poję.

- Widzicie! - wykrzyknął Sturm. - Czarownik nie potrafi! Żądam sprawiedliwości!

- Sprawiedliwości! Sprawiedliwości! - skandował tłum. - Spalić czarowników! Spalić ich ciała! Zbawić ich dusze!

- No i co, czarodzieju? - spytał surowym głosem Tanis. - Czy potrafisz udowodnić, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

Słowa zaklęcia wymykały mu się. Crysania szarpała nim. Hałas go ogłuszał. Nie mógł myśleć! Chciał być sam, daleko od roześmianych ust i błagających, przerażonych oczu. Ja... - wyjąkał i spuścił głowę.

- Spalić ich!

Szorstkie ręce pochwyciły Raistlina. Sala sądowa znikła mu sprzed oczu. Wyrwał się, lecz bezskutecznie. Przytrzymujący go mężczyzna był wielki i silny, a jego oblicze niegdyś mogło być jowialne, lecz w tej chwili było pełne powagi i przejęcia.

- Caramonie! Bracie! - krzyknął Raistlin, wijąc się w uścisku potężnego mężczyzny, by spojrzeć bliźniakowi w twarz.

Jednakże Caramon nie zważał na niego. Ściskając Rai - stlina mocno, ciągnął wątego maga na wzgórze. Raistlin popatrzył. Przed nim, na szczycie wzgórza, stały dwa wysokie, wbite w ziemię słupy. U stóp każdego z nich mieszkańcy miasteczka - jego przyjaciele, sąsiedzi - radośnie rzucali na stos ogromne naręczna suchego chrustu.

- Gdzie jest Crysania? - spytał brata w nadziei, że może uciekła i wróci teraz, by mu

pomóc. Wtedy jednak Raistlinowi mignęła w oczach biel szaty. Elistan przywiązywał kobietę do pala. Szarpała się, próbując mu się wyrwać z rąk, lecz po chwili osłabła. Wreszcie poddała się. Szlochając ze strachu i rozpacz, wsparła się bezwładnie o słup, gdy krępowali jej ręce z tyłu i przywiązywali nogi do podstawy pala.

Gdy płakała, ciemne włosy rozsypały się po jej gładkich, nagich ramionach. Rany znów jej się otworzyły i krew splamiła szaty czerwienią. Raistlinowi wydawało się, że usłyszał, jak woła Paladine'a, lecz jeśli tak, słów jej nie było słyhać wśród wycia gawiedzi. Jej wiara słabła wraz z jej własnym osłabieniem.

Tanis zbliżył się z płonąca pochodnią w ręku. Odwrócił się, by spojrzeć na Raistlina.

- Bądź świadkiem jej losu i ujrzyj swój własny, czarowniku! - wykrzyknął półelf.

- Nie! - Raistlin wydierał się, lecz Caramon trzymał go mocno.

Nachyliwszy się, Tanis przytknął płonąca głownię do nasączonego oliwą suchego drewna. Stos zapłonął. Ogień rozprzestrzenił się szybko i wkrótce pochłonął białe szaty Crysanii. Raistlin usłyszał jej przejmujący krzyk wśród syku płomieni. Zdołała unieść głowę, chcąc po raz ostatni ujrzeć Raistlina. Kiedy czarodziej zobaczył ból i przerażenie w jej oczach, a także miłość do niego, w jego sercu rozgorzał ogień gorętszy od każdej pożogi, jaką potrafiłby wzniecić człowiek.

- Pragnę czarów! Dam im czary! - Zanim pomyślał, odepchnął na bok zaskoczonego Caramona i wyrwawszy mu się, uniósł ręce ku niebu.

I w tym momencie słowa magii wstąpiły w jego duszę, by nigdy już jej nie opuścić.

Z czubków palców strzeliły mu pioruny i trafiły w zabarwione na czerwono niebo. Chmury odpowiedziały błyskawicami, które spłynawszy z nieba, uderzyły w ziemię u stóp maga.

Ogarnięty furią Raistlin odwrócił się do tłumu - lecz ludzie znikli, rozplynęli się, jakby nigdy nie istnieli.

- Ach, moja Królowo! - Śmiech bulgotał mu na wargach. Radość przenikała jego duszę, a krew wrzała ekstazą magii. I wtedy wreszcie zrozumiał. Pojął swą wielką głupotę i dostrzegł swą wielką szansę.

Został wywiedziony w pole - przez samego siebie! Tas podsunął mu wskazówkę w Zhamanie, lecz on nie zadał sobie trudu, by ją przemyśleć. Pomyślałem sobie o czymś, mówił kender, i od razu to coś się zjawiało! Kiedy chciałem się. gdzieś znaleźć, wystarczyło, żebym pomyślał o tym miejscu i ono przychodziło do mnie albo ja do niego, nie jestem pewien. To było każde z miast, w jakim byłem, a jednak żadne z nich. Takie były słowa kendera.

Założyłem, że Otchłań jest odbiciem świata, uświadomił sobie Raistlin. I w tym sensie

przez nią podróżowałem. Ale to nieprawda. Otchłań jest niczym innym, jak odbiciem mojego umysłu! Przez cały czas podróżowałem tylko przez swój umysł!

Królowa jest w Domu Bogów, ponieważ tam ją umieściła moja wyobraźnia. A Dom Bogów jest tak daleko lub tak blisko, jak sobie tego zażyczę! Moja magia nie zadziałała, ponieważ zwątpiłem w nią, a nie dlatego, że Ona mnie jej pozbawiła. Byłem bliski pokonania samego siebie! Ach, lecz teraz już wiem, moja Królowo! Teraz już wiem i mogę zatriumfować! Albowiem od Domu Bogów dzieli mnie tylko krok, a stamtąd już tylko następny krok do portalu...

- Raistlinie!

Głos był cichy, słaby, cierpiący i zmęczony. Raistlin odwrócił głowę. Motłoch zniknął, ponieważ nigdy w rzeczy - wistości go tam nie było. On sam go stworzył. Wioska, kraj, kontynent, wszystko, co stworzył, znikło. Mag stał na powierzchni falującej nicości. Nieba i ziemi nie sposób było odróżnić od siebie, oba były tej samej upiornej barwy płonącego różu. Ledwo widoczny horyzont wyglądał jak cięcie nożem przez krajobraz.

Jednakże jedna rzecz nie zniknęła - drewniany słup. Otoczony nadpalonym drewnem, wyrastał z nicości pod spodem, odcinając się od tła różowego nieba. U jego stóp ktoś leżał. Niegdyś może odziany był w białe szaty, lecz teraz były czarne i zwęglone. Czuć było silną woń spalonego ciała.

Raistlin zbliżył się. Ukląkł w ciepłym jeszcze popiele i odwrócił postać.

- Crysanio - szepnął.

- Raistlinie? - Twarz miała straszliwie poparzoną, a ślepe oczy spoglądały w otaczającą ją pustkę. Wyciągnęła dłoń przypominającą poczerwiałe szpony. - Raistlinie? Jęknęła z bólu.

Chwycił ją za rękę. - Nic nie widzę! - zaszlochała. - Wszędzie jest ciemność! Czy to ty? - Tak - odrzekł.

- Raistlinie, zawiodłam cię...

- Nie, Crysanio, nie zawiodłaś - powiedział chłodno i spokojnie. - Mnie nie stała się krzywda. Mój a magia jest teraz silna, silniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Teraz pójdę naprzód i pokonam Królową Ciemności.

Popekane i pokryte bąblami wargi rozwarły się w uśmiechu. Wątku dłoń ściskająca Raistlina za rękę zacisnęła się mocniej. - Więc moje modlitwy zostały wysłuchane. Kobieta zakrzuszyła się i spazm cierpienia wstrząsnął jej ciałem. Kiedy znów mogła zaczerpnąć tchu, coś wyszeptała. Raistlin nachylił się nad nią, by posłuchać. - Ja konam, Raistlinie. Jestem wycieńczona do granic możliwości. Wkrótce Paladine zabierze mnie do siebie. Zostań przy

mnie, Raistlinie. Zostań przy mnie, póki nie umrę...

Raistlin spojrział na tę nieszczęsną kobietę przed sobą. Gdy trzymał ją za rękę, nagle stanęła mu przed oczami taka, jaką widział ją w lesie w pobliżu Caergoth, kiedy jedyny raz omal nie stracił panowania nad sobą i nie uczynił jej swoją - jej biała skóra, jedwabiste włosy, błyszczące oczy... Przypomniawszy sobie miłość w tych oczach, przypomniał sobie, jak trzymał ją mocno w ramionach, jak całował jej gładką skórę...

Raistlin palił te wspomnienia jedno po drugim, podpalał je swą magią i przyglądał się, jak zmieniają się w popiół i ulatują z dymem.

Wyciągnąwszy drugą rękę, uwolnił się od jej natarczywego uścisku.

- Raistlinie! - krzyknęła, zdjeta przerażeniem, chwytając puste powietrze.

- Odegrałaś swą rolę, wielbna córko - oświadczył Raistlin głosem gładkim i zimnym jak srebrna klinga sztyletu, jaki nosił na nadgarstku. - Czas nagli. Już teraz ku portalowi w Palanthas śpieszą ci, którzy chcą mnie powstrzymać. Muszę rzucić Królowej wyzwanie, stoczyć ostatni bój z jej sługami. Potem, kiedy zwyciężę, muszę powrócić do portalu i przekroczyć jego próg, zanim ktokolwiek zdoła mnie zatrzymać.

- Raistlinie, nie zostawiaj mnie! Proszę, nie zostawiaj mnie samej w tej ciemności!

Opierając się na lasce Magiusa, która teraz rozsiewała jasny, promienny blask, Raistlin wstał. - Zegnaj, wielbna córko - zasyczał cicho. - Ja już cię nie potrzebuję.

Crysanía słyszała szelest jego szat, gdy się oddalał. Słyszała stłumiony stuk laski Magiusa. Przez duszący, gryzący zapach dymu i spalonego ciała dobiegła ją słabiutka woń płatków róż...

A potem była już tylko cisza. Wiedziała, że odszedł.

Została sarna i życie uciekało z jej żył, tak jak złudzenia pomału opuszczały jej umysł.

Następnym razem, Crysanio, będziesz wyraźnie widzieć wtedy, gdy oślepi cię ciemność... ciemność bezkresna.

Takie były słowa Loralona podczas upadku Istar. Crysanía chciała rozpłakać się, lecz ogień wypalił jej wszystkie łzy i ich źródło.

- Teraz widzę - szepnęła w mrok. - Widzę tak wyraźnie! Oszukiwałam się! Byłam dla niego niczym - tylko pionkiem, który według uznania przesuwiał po szachownicy swej wielkiej gry. I tak jak on posługiwał się mną - ja wykorzystywałam jego! - Jęknęła. - Wykorzystywałam go do swych własnych celów, jakie dyktowała mi własna duma, własna ambicja! Mój mrok jedynie pogłębił jego ciemność! Jest zgubiony i to ja doprowadziłam go do upadku. Bowiem jeśli pokona Królową Ciemności, uczyni to tylko po to, by zająć jej miejsce!

Wzniósłszy oczy w niebiosa, których nie mogła ujrzeć, Crysania zakrzyknęła w udręce. - To ja to uczyniłam, Paladine! Sama sprowadziłam to nieszczęście na siebie i na świat! Jednakże, och, bogowie, jakież większe nieszczęście sprowadziłam na niego!

Kiedy Crysania leżała tak w wiecznej ciemności, jej serce płakało łzami, których nie mogły ronić jej oczy. - Kocham cię, Raistlinie - szepnęła. - Nigdy nie umiałam ci tego powiedzieć. Nigdy nie potrafiłam się do tego przed sobą przyznać. - Potrząsała głową, targana bólem, który palił ją ogniem silniejszym od płomieni. - Co mogłoby się zmienić, gdybym to potrafiła?

Cierpienia zelżały. Miała wrażenie, że się oddała, że zaczyna tracić świadomość.

- Świetnie - pomyślała ze znużeniem - umieram. Niech więc śmierć przyjdzie szybko i położy kres moim rozpaczliwym męczarniom.

Zaczerpnęła tchu. - Paladine, wybacz mi - szepnęła.

Kolejny oddech. - Raistlinie...

Kolejny, cichszy oddech - ...wybacz...

Pieśń Crysanii

*Woda z pyłu i pył, co z wody wznosić się zaczyna
Rosnące kontynenty, niepojęte jak kolor lub blask cały
Dla nie istniejącego oka, dla dłoni córki Paladine'a
Która poznaje dotykiem, że kolor szaty jest biały.
Z tej oto wody wznoszą się lądy nierealne,
Gdy po raz pierwszy w modłach je się tworzy,
I słońce, i morza, i gwiazdy niewidzialne
Jak bogowie w kodzie przestworzy.*

*Pył z wody i woda, co z pyłu wstaje suchości,
I szata, co zawiera każdą barwę w biel skupioną
We wspomnienia, w krainy zebrane w ufności,
W kolory i jasność wiecznie odrodzoną.
Z tego oto pyłu wytryska łez strumień,
By pielęgnować dzieło naszych rąk
W wiecznie zbliżającym się kraju smutków i sumień,
Wśród właściwych i immamentnych łak.*

Rozdział IX

Tanis stał za drzwiami świątyni, rozmyślając nad słowami starego czarodzieja. Potem parsknął. Miłość musi zatriumfować!

Otarł łzy i potrząsnął z goryczą głową. Czary Fizbana tym razem nie pomogą. Miłość nie miała nawet najmniejszej roli do odegrania w tym przedstawieniu. Raistlin dawno temu wypaczył i wykorzystał dla własnych celów miłość swego bliźniaczego brata, w końcu zamieniając Caramona w przepitą masę tłustego cielska i krasnoludzkiej gorzałki. Sam kamień jest bardziej zdolny do miłości niż ta marmurowa dziewica, Crysania. A co do Kitiary... Czy ona kiedykolwiek kochała?

Tanis skrzywił się. Nie zamierzał znowu myśleć o niej. Jednakże próba ponownego wepchnięcia wspomnień do ciemnej szafy umysłu sprawiła jedynie, że światło zdawało się padać na nie z większą siłą. Przylapał się na sięganiu pamięcią do czasów, gdy spotkali się po raz pierwszy w puszczy, niedaleko Solące. Kiedy Tanis ujrzał młodą kobietę walczącą zaciekle z goblinami, pośpieszył jej z pomocą - tylko po to, by ujrzeć, jak młoda kobieta rzuca się na niego z wściekłością, oskarżając go o zepsucie jej zabawy!

Tanis był urzeczony. Do tej pory jedynym obiektem jego miłosnych westchnień była delikatna elfia panienka, Laurana. Był to jednakże dziecinny romans. On i Laurana dorastali razem, bowiem jej ojciec przygarnął półelfiego bękarta z litości, kiedy jego matka umarła w połogu. Prawdę mówiąc, częściowo właśnie z powodu tej dziewczęcej miłości Laurany do Tanisa - miłości, której jej ojciec nigdy by nie zaakceptował - półelf opuścił swą elfią ojczyznę i wyruszył w świat ze starym Flintem, krasnoludzkim kowalem.

Było oczywiste, że Tanis nigdy przedtem nie spotkał kobiety takiej, jak Kitiara - śmiałej, dzielnej, -pięknej i zmysłowej. Nie ukrywała faktu, że od pierwszego spotkania półelf wpadł jej w oko. Ich żartobliwa walka zakończyła się nocą pełną namiętności pod futrzanymi kocami Kitiary. Później często bywali razem, podróżując albo sami, albo w towarzystwie swych przyjaciół, Sturma Brightblade'a i przyrodnicich braci Kitiary, Caramona oraz jego wątlęgo bliźniaka, Raistlina.

Usłyszawszy swoje westchnienie, Tanis pokręcił głową ze złością. Nie! Pochwyił wspomnienia, cisnął je z powrotem w ciemność, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz. Kitiara nigdy go nie kochała. Bawił ją tylko, nic więcej. Dostarczał jej rozrywek. Kiedy nadarzyła się okazja zdobycia tego, czego naprawdę pragnęła - władzy - porzuciła go bez cienia namysłu. Mimo to, kiedy Tanis obracał klucz w zamku duszy, znów usłyszał głos

Kitiary. Usłyszał słowa, jakie Kitiara wyrzekła w noc upadku Królowej Ciemności, tę noc, gdy pomogła w ucieczce jemu i Lauranie.

- Żegnaj, Półelfie. Pamiętaj, robię to z miłości do ciebie!

Ciemna postać, istna materializacja jego własnego cienia, pojawiła się u boku Tanisa. Półelf drgnął z nagłego, nieuzasadnionego strachu, że mógł wyczarować obraz z głębi swej podświadomości. Postać jednakże przywitała się i Tanis uświadomił sobie, że była istotą z krwi i kości. Westchnął z ulgą. Żywił nadzieję, że czarny elf nie zauważył, jak bardzo oddalił się myślami. Prawdę mówiąc, obawiał się poważnie, że Dalamar mógł je odgadnąć. Kaszlnąwszy mrukliwie, półelf zerknął na maga w czarnej szacie.

- Czy Elistan...

- Umarł? - dokończył chłodno Dalamar. - Nie, jeszcze nie. Wyczułem jednakże bliskość osoby, w obecności której czułbym się ogromnie niezręcznie, toteż widząc, że moje usługi nie są już potrzebne, oddaliłem się.

Tanis zatrzymał się na murawie i popatrzył na czarnego elfa. Dalamar nie zaciągnął ciemnego kaptura i jego twarz była wyraźnie widoczna w gasnącym świetle spokojnego wieczoru. - Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał Tanis.

Czarny elf również przestał iść i spojrzał na Tanisa z lekkim uśmiechem. - Co?

- Przyszedłeś tutaj, do Elistana! Uśmierzyłeś jego ból. - Tanis machnął ręką. - Z tego, co widziałem ostatnim razem, postawienie stopy na tej ziemi sprawia, że cierpisz męki potępieńców. - Spochmurniał na twarzy. - Nie wierzę, żeby uczeń Raistlina mógł troszczyć się tak bardzo o kogokolwiek!

- Nie - odparł gładko Dalamar - ucznia Raistlina osobiście guzik obchodzi, co stanie się z kapłanem. Tym niemniej uczeń Raistlina wie, co to honor. Nauczono go spłacać długi, nauczono, żeby nikomu nic nie był winny. Czy to się zgadza z tym, co wiesz o moim shalafi?

- Tak - przyznał niechętnie Tanis - ale...

- Spłacałem dług, nic więcej - rzekł Dalamar. Kiedy znów zaczął iść po trawniku, Tanis dostrzegł cierpienie na jego twarzy. Czarny elf najwyraźniej pragnął jak najszybciej oddalić się stąd. Tanis z trudem dotrzymywał mu kroku. Widzisz - ciągnął Dalamar - Elistan przyszedł kiedyś do Wieży Najwyższej Magii, żeby pomóc mojemu shalafi.

- Raistlin? - osłupiały Tanis znów się zatrzymał. Dalamar jednakże nie stanął i Tanis zmuszony był pośpieszyć za nim.

- Tak - mówił czarny elf, jakby nie dbając o to, czy Tanis go usłyszy, czy nie - nikt o tym nie wie, nawet sam Raistlin. Jakiś rok temu shalafi zachorował, bardzo ciężko. Byłem samotny, przestraszony. Nic nie wiedziałem o chorobach. W rozpaczy posłałem po Elistana. I

przybył.

- Czy... czy on... uleczył Raistlina? - spytał zdjęty nabożnym lękiem Tanis.

- Nie. - Dalamar pokręcił głową, aż długie, czarne włosy rozsypały mu się po ramionach. - Sztuka uzdrowicielska jest bezradna wobec dolegliwości Raistlina, które są ofiarą poniesioną dla magii. Elistan zdołał jednakże ukoić cierpienia shalafiego i dać mu wytchnienie. Tak więc nie uczyniłem nic więcej ponad spłacenie swego długu.

- Czy... aż tak bardzo troszczysz się o Raistlina? Tanis spytał z wahaniem.

- Co to za rozmowa o trosce, półelfie? - wypalił zniecierpliwiony Dalamar. Byli już blisko krawędzi trawnika. Wieczne cienie kładły się na nim niczym kojące palce łagodnie wyciągnięte, by zamknąć powieki znużonym. - Podobnie jak Raistlin dbam tylko o jedno - o swą sztukę i potęgę, jaką ona daje. Dla niej wyrzekłem się swego narodu, swej ojczyzny i dziedzictwa. Z jej powodu zostałem wtrącony w mrok. Raistlin jest shalafi, moim nauczycielem i mistrzem. Jest biegły w swej sztuce, jedną z najbieglejszych osób, jakie kiedykolwiek żyły. Kiedy zgłosiłem się na ochotnika, by szpiegować go dla Konklawe, wiedziałem, że mogę przypłacić to życiem. Jakże niewielka była to cena za szansę studiowania u kogoś tak znakomitego! Jak mogłem pozwolić mu umrzeć? Nawet teraz, gdy myślę o tym, co muszę mu zrobić, kiedy myślę o wiedzy, którą zdobył, a jaka przepadnie wraz z jego śmiercią, niemal...

- Niemal co? - wtrącił ostro Tanis, zdjęty nagłym strachem. - Niemal chcesz go przepuścić przez portal? Czy rzeczywiście będziesz umiał zatrzymać go, kiedy wróci, Dalamarze? Czy zatrzymasz go?

Doszli do końca terenów świątyni. Mrok spowijał już zie - mię. Noc była ciepła i przesycona zapachami nowego życia. Tu i tam wśród osik zaćwierkał sennie ptak. W mieście stawiano w oknach zapalone świece, by pomóc ukochanym wrócić do domu. Solinari migotał na niebie, jakby bogowie zapalili własną świeczkę, by rozświetlić mrok nocy. Wzrok Tanisa przyciągnęła jedyna plama chłodnej czerni w wonnym ciepłe wieczoru. Wieża Najwyższej Magii była ciemna i odpychająca. W jej oknach nie migotały świece. Tanis przez chwilę zastanawiał się, kto lub co czekało w tej ciemności, by powitać w domu młodego ucznia.

- Pozwól, że ci opowiem o portalach, Półelfie - odrzekł Dalamar. - Opowiem ci tak, jak mnie opowiedział shalafi. - Jego wzrok powędrował za spojrzeniem Tanisa ku komnacie na samym szczycie wieży. Kiedy znów odezwał się, ściszył głos. - W tym laboratorium jest taki kąt, gdzie znajdują się wrota, wrota bez zamka. Otacza go pięć smoczycich głów z metalu. Zajrzyj do wnętrza tej bramy, a niczego nie zobaczysz - tylko próżnię. Smocze głowy są

zimne i nieruchome. To portal. Oprócz tego istnieje jeszcze jeden znajduje się w Wieży Najwyższej Magii w Wayreth. O ile wiemy, kiedyś był także w Istar, ale uległ zniszczeniu podczas Kataklyzmu. Portal z Palanthis został początkowo przeniesiony do magicznej fortecy Zhaman, aby uchronić go, kiedy motłoch króla-kapłana próbował zająć tutejszą Wieżę. Po tym, jak Fistantilus obrócił Zhaman w gruzy, portal przeniesiono tu ponownie, powrócił do Palanthis. Stworzyli go dawno temu magowie, którzy pragnęli szybszego porozumiewania się ze sobą, lecz zaprowadził ich za daleko - na inne płaszczyzny.

- Do Otchłani - szepnął Tanis.

- Tak. Czarodzieje za późno uświadomili sobie, jakie groźne wrota stworzyli. Albowiem gdyby ktoś z tej płaszczyzny wkroczył do Otchłani, a później wyszedł przez portal, Królowa zyskałaby długo poszukiwany dostęp do świata. Tak więc z pomocą świętych kapłanów Paladine'a, czarodzieje uczynili wszystko - jak sądzili - żeby nikt nie mógł już użyć portali. Tylko naprawdę zła osoba, która zaprzedała swą duszę ciemności, mogła żywić nadzieję zdobycia wiedzy koniecznej do otworzenia tej strasznej bramy. I tylko ktoś dobry i czysty, bezwzględnie ufający owej jedynej osobie na świecie, która nigdy nie mogła zasłużyć na zaufanie, zdołałby przytrzymać te wrota otwarte. - Raistlin i Crysania.

Dalamar uśmiechnął się cynicznie. - W swej nieskończonej mądrości owi chuderlawi, starzy magowie i kapłani nie przewidzieli, że miłość obróci w niwecz ich wspaniałe plany. Tak więc widzisz, Tanisie, kiedy Raistlin spróbuje przekroczyć próg portalu od strony Otchłani, muszę go zatrzymać, bowiem Królowa będzie tuż za nim.

Żadne z tych wyjaśnień nie przyczyniło się zbytnio do rozwiania wątpliwości Tanisa. Z całą pewnością czarny elf zdawał się być świadomy poważnego niebezpieczeństwa. Z całą pewnością wydawał się spokojny, pewny siebie... Ale czy potrafisz go zatrzymać? - dociekał Tanis i mimowolnie skierował wzrok na pierś czarnego elfa, gdzie uprzednio widział owych pięć dziur wypalonych w jego gładkiej skórze.

Dostrzegłszy spojrzenie Tanisa, Dalamar odruchowo przyłożył dłoń do klatki piersiowej. Jego oczy spochmurniały i pojawił się w nich wyraz cierpienia. - Znam swoje ograniczenia, Półelfie - rzekł cicho. Potem uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Będę z tobą uczciwy. Gdyby mój shalafi był w pełni sił podczas próby wyjścia z portalu, wówczas nie, nie potrafiłbym go zatrzymać. Nikt nie mógłby go zatrzymać. Raistlin jednakże nie będzie w pełni sił. Zużyje zbyt wiele mocy na unicestwienie sług Królowej i zmuszenie jej do stawienia mu czoła sam na sam. Będzie słaby i poraniony. Jego jedyna nadzieja to zwabienie Królowej Ciemności tutaj, na swoją płaszczyznę. Tu zdoła odzyskać swe siły. Tu ona będzie słabszą stroną. Takim sposobem, owszem, dlatego, że będzie poraniony, zdołam go

zatrzymać. I owszem, zatrzymam go!

Dostrzegłszy wciąż pełną zwątpienia minę Tanisa, Dalamar uśmiechnął się przebiegle.
- Widzisz, Półelfie rzekł chłodno - zaproponowano mi dość, żeby mi się to opłaciło. -
Powiedziawszy to, skłonił się i wyszeptawszy słowa zaklęcia, zniknął.

Jednakże w trakcie oddalania się Tanis usłyszał rozbrzmiewający w nocy cichy, elfi głos Dalamara. - Patrzyłeś na słońce po raz ostatni, Półelfie. Raistlin i Królowa Ciemności spotkali się. Takhisis teraz gromadzi swe sługi. Zaczyna się bitwa. Jutro nie będzie świtu.

Rozdział X

A więc, Raistinie, znów się spotykamy.

- Moja Królowo.

Kłaniasz się mnie, czarodzieju?

- To ostatni raz, gdy składam ci hołd.

A ja kłaniam się tobie, Raistlinie.

- Czynisz mi zbyt wielki zaszczyt, Wasza Wysokość.

Wręcz przeciwnie, przyglądanie się twym igraszkom sprawiło mi niezmierną przyjemność. Miałeś odpowiedź na każde moje posunięcie. Nieraz ryzykowałeś, że stracisz wszystko, by wygrać pojedynczą turę. Udowodniłeś, że jesteś utalentowanym graczem i nasza gra dostarczyła mi wiele rozrywki. Teraz jednakże partia zbliża się do końca, mój zacny przeciwniku. Został ci tylko jeden pionek na szachownicy - ty sam. Przeciwno sobie masz zgromadzoną pełną moc mych legionów ciemności. Mimo to raz okażę ci łaskawość, Raistlinie, ponieważ sprawiłeś mi przyjemność.

Wróć do swej kapłanki. Ona umiera w samotności i takich mękach ciała i umysłu, jakie tylko ja potrafię zadać. Wróć do niej. Uklęknij przy niej. Weź ją w ramiona i przytul do piersi. Płaszcz śmierci otuli was oboje. Przykryje was łagodnie i odpłyniecie w ciemność, by zaznać wiecznego odpoczynku.

- Moja Królowo...

Potrząsasz głową.

- Takhisis, Wielka Królowo, szczerze dziękuję za tę wielkoduszną propozycję. Jednakże ja włączyłem się do tej gry - jak ją nazywasz - żeby wygrać. I będę grał do końca.

A będzie to żałosny koniec - dla ciebie! Dałam ci szansę, na jaką zasłużyłeś sobie swym talentem i śmiałością. Chcesz ją odtrącić?

- Wasza wysokość jest zbyt łaskawa. Nie jestem godzien takiej uwagi...

A teraz jeszcze drwisz sobie ze mnie! Uśmiechaj się tym swym krzywym uśmiechem, póki możesz, magu, bowiem kiedy noga ci się powinie, kiedy upadniesz, kiedy popełnisz ten jedyny, mały błąd - wpadniesz w moje ręce. Zatopię w twym ciele swe szpony i będziesz błagał o litość. Ona jednakże nie nadejdzie. Dnie tutaj ciągną się wiekami, Raistlinie Majere. I każdego dnia będę cię odwiedzać w twym więzieniu - więzieniu twego umysłu. A skoro do tej pory dostarczałeś mi rozrywki, nadal będziesz mi jej dostarczał. Będziesz torturowany na ciele i umyśle. Pod koniec każdego dnia umrzesz z bólu. Z początkiem każdej nocy będę cię wskrzeszać. Nie będziesz mógł usnąć, lecz będziesz leżeć przytomny i z drżeniem wyczekiwać

nastania brzasku. Rankiem moja twarz będzie pierwszą rzeczą, jaką ujrzysz.

Cóż to? Zbladłeś, magu. Twe wątłe ciało dygocze, ręce ci drżą. Oczy wychodzą ci na wierzch ze strachu. Padnij na twarz przede mną! Błagaj mnie o wybaczenie!...

- Moja Królowo...

Cóż to, jeszcze nie na kolanach?

- Moja Królowo... teraz twój ruch.

Rozdział XI

Przekłete zachmurzenie! Jeśli ma już padać, chciałbym, żeby wreszcie zaczęło i żebyśmy mieli to już za sobą - mamrotał lord Gunthar.

Przeważające wiatry, pomyślał zgryźliwie Tanis, lecz zachował tę opinię dla siebie. Zachował także dla siebie słowa Dalamara, wiedząc, że lord Gunthar nigdy by w nie nie uwierzył. Półelf był zdenerwowany i rozdrażniony. Z trudem zachowywał cierpliwość wobec pozornie promieniującego samozadowoleniem rycerza. Częściowym powodem jego zniecierpliwienia było owo dziwnie wyglądające niebo. Tego poranka, zgodnie z zapowiedzią Dalamara, nie wstał świt. Natomiast pojawiły się rozbłyskujące osobliwymi, wielobarwnymi piorunami sinoniebieskie i zielonkawe na krawędziach chmury, które kłębiły się i wrzały nad ich głowami. Nie było wiatru. Nie spadł deszcz. Zrobiło się upalnie i duszno. Patrolujący mury Wieży Najwyższego Klerysta rycerze zakuci w ciężkie zbroje płytowe ocierali pot z czoła i mruzcili coś o wiosennych burzach.

Zaledwie dwie godziny temu Tanis był jeszcze w Palan - thas, gdzie niespokojnie przewracał się w jedwabnej pościeli łoża w pokoju gościnnym lorda Amothusa i zastanawiał nad znaczeniem tajemniczych słów, jakie Dalamar powiedział mu na pożegnanie. Myśl o nich, jak również o Elistanie, nie dawała półelfowi spać przez większość nocy.

Około północy do pałacu dotarła wieść, że kapłan Paladine'a opuścił ten świat i przeniósł się do innego, jaśniejszego królestwa istnienia. Skonał spokojnie z głową wtuloną w ramiona zamroczonego, dobrotliwego czarodzieja, który zjawił się nie wiadomo skąd i w równie nie wyjaśniony sposób zniknął. Martwiąc się wcześniej ostrzeżeniem Dalamara, oplakując Elistana i myśląc o tym, że widział zbyt wiele śmierci, wyczerpany Tanis właśnie usnął, gdy przybył posłaniec z wieścią dla niego.

Wiadomość była krótka i zwięzła: Proszą o natychmiastowe przybycie. Wieża Najwyższego Klerysta - Lord Gunthar Uth Wistan.

Chlusnąwszy sobie zimną wodą w twarz i odpędziwszy jednego ze służących lorda Amothusa, który usiłował pomóc mu przywdziać skórzaną zbroję, Tanis ubrał się i chwiejnym krokiem wyszedł z pałacu, grzecznie odmawiając śniadania, jakie zaproponował mu Charles. Na zewnątrz czekał młody spiżowy smok, który przedstawił się jako Błysk Ognia, a którego tajne smocze imię brzmiało Khirsah.

- Znani mi są twoi dwaj przyjaciele, Tanisie Półelfie rzekł młody smok, gdy jego silne skrzydła bez trudu przeniosły ich przez mury śpiącego miasta. - Miałem zaszczyt brać udział w bitwie nad górami Yingaard, niosąc do boju krasnoluda Flinta Fireforge i kendera

Tasslehoffa Burrfoota.

- Flint nie żyje - powiedział ciężko Tanis, przecierając oczy. Widział zbyt wiele śmierci.

- Tak, słyszałem - odparł z szacunkiem młody smok. Dowiedziałem się o tym z przykrością. Niemniej jednak Flint miał za sobą bogate, pełne życie. Śmierć jest dla kogoś takiego ostatnim zaszczytem.

Jasne, pomyślał zmęczony Tanis. A co z Tasslehoffem? Wesoły, dobroduszny, obdarzony złotym sercem kender, który nie pragnął od życia niczego więcej niż przygód i sakiewki cudów? Jeśli to była prawda - jeśli Raistlin go zabił, co sugerował Dalamar - jakimże zaszczytem była dla niego śmierć? A Caramon, biedny, zapijaczony Caramon czy śmierć z rąk bliźniaczego brata przysłała jako ostatni zaszczyt, czy było to ostatnie pchnięcie nożem, by położyć kres jego cierpieniom?

Zasepiony Tanis usnął na grzbiecie smoka i zbudził się dopiero, gdy Khirsah wylądował na dziedzińcu Wieży Najwyższego Klerysta. Rzuciwszy posępnie wzrokiem dookoła, Tanis nie odzyskał humoru. Jechał ze śmiercią tylko po to, by przybyć ze śmiercią, bowiem tu pochowano Sturma kolejny ostatni zaszczyt.

Tak więc Tanis nie był w dobrym nastroju, kiedy zaprowadzono go do komnaty lorda Gunthara położonej wysoko na jednej ze smukłych baszt Wieży Najwyższego Klerysta. Rozciągał się stamtąd wspaniały widok na ziemię i niebo. Spoglądając przez okno i obserwując chmury z narastającym uczuciem złowieszczego przeczucia, Tanis dopiero po chwili uświadomił sobie, że lord Gunthar już wszedł i mówi do niego.

- Proszę mi wybaczyć, wielmożny panie - rzekł, odwracając się.

- Herbaty z tarbeanu? - zaproponował lord Gunthar, podsuwając mu parujący kubek gorzkiego w smaku napoju.

- Tak, dziękuję. - Tanis przyjął go i wypił duszkiem, radując się ciepłem rozchodzącym się po jego ciele i nie przejmując tym, że sparzył się w język.

Lord Gunthar zbliżył się i stanął obok Tani są, żeby popatrzeć przez okno na burzę. Popijał swoją herbatę ze spokojem, na widok którego półelf miał ochotę urwać rycerzowi wąsy.

Dlaczego wezwałeś mnie?, wściekał się Tanis. Wiedział jednakże, że rycerz będzie nalegał na dopełnienie prastarego rytuału grzeczności przed przejściem do rzeczy.

- Słyszałeś o Elistanie? - spytał wreszcie Tanis. Gunthar pokiwał głową. - Tak, dowiedzieliśmy się dziś wczesnym rankiem. Rycerze urządzą uroczystość na jego cześć tu w Wieży... jeśli okoliczności pozwolą.

Tanis zakrzuszył się herbatą i szybko ją przełknął. Tylko jedno przeszkodziłoby rycerzom w urzędzeniu uroczystości na cześć kapłana ich boga, Paladine'a - wojna. - Jak to pozwolą? Czyżbyś jednak otrzymał jakieś nowiny? Wieści z Sanction? Co szpiedzy...

- Nasi szpiedzy zostali zamordowani - oświadczył spokojnie lord Gunthar.

Tanis odwrócił się od okna. - Co? Jak...

- Wczoraj wieczorem czarne smoki przyniosły ich okaleczone zwłoki do fortecy w Solanthis i rzuciły na dziedziniec. Potem nadciągnęła ta dziwna burza - doskonała zasłona dla smoków i... - Lord Gunthar zamilkł, wyglądając przez okno i marszcząc czoło.

- Smoków i czego? - dopytywał się Tanis. Zaczynała mu świtać w głowie pewna możliwość. Gorąca herbata polała się na jego drżącą dłoń. Czym prędzej odstawił kubek na parapet.

Gunthar szarpiąc się za wąsy, zasepił się jeszcze bardziej.

- Otrzymaliśmy osobliwe raporty, wpraw z Solanthis, a następnie z Yingaardu.

- Jakie raporty? Widziano coś? Co?

- Niczego nie widziano. Chodzi o to, co słyszano. Dziwne dźwięki dochodzące z obłoków - a być może nawet sponad obłoków.

Tanisowi natychmiast przyszło na myśl to, co Riverwind opowiadał mu o oblężeniu Kalamanu. - Smoki?

Gunthar pokręcił głową. - Głosy, śmiech, otwieranie i trzaskanie drzwi, grzechotanie, skrzywienie...

- Wiedziałem! - Tanis uderzył zaciśniętą pięścią w parapet okna. - Wiedziałem, że Kitiara ma plan! Oczywiście! To musi być to! - Ponuro popatrzył na kłębiące się chmury.

- Latająca cytadela!

Stojący obok niego Gunthar westchnął ciężko. - Mówiłem ci, że szanuję tę smoczą władczynię, Tanisie. Najwyraźniej nie szanowałem jej wystarczająco. Za jednym zamachem rozwiązała problemy ruchu wojsk i logistyki. Nie potrzebuje linii z zaopatrzeniem, bo wiezie prowiant ze sobą. Wieżę Najwyższego Klerysta zaprojektowano do obrony przed natarciem z ziemi. Nie mam pojęcia, jak długo zdołamy się oprzeć atakowi latającej fortecy. Pod Kalamaniem smokowcy wyskakiwali z cytadeli i lądowali na swych skrzydłach, niosąc zagładę na ulice miasta. Czarno odziani magowie miotali na dół kule ogniste. A do tego wszystkiego bez wątpienia towarzyszą jej złe smoki...

Oczywiście nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że rycerze potrafią obronić twierdzę przed latającą cytadelą dodał surowo Gunthar. - Niemniej jednak będzie to znacznie cięższa bitwa, niż się początkowo spodziewałem. Dokonałiśmy odpowiednich zmian w

strategii. Kalaman przetrwał atak cytadeli dzięki czekaniu, aż większość wojsk zostanie spuszczone, a następnie dobre smoki niosące na grzbietach uzbrojonych ludzi wzbily się w przestworza i zajęły cytadelę. Oczywiście zostawimy większość rycerzy tu w twierdzy, żeby walczyć ze smokowcami, którzy spadną na nas. Około stu rycerzy czeka ze spiżowymi smokami w pogotowiu, żeby wzbic się w niebo i ruszyć do ataku na samą latającą fortecę.

To ma sens, przyznał w duchu Tanis. Tyle na temat bitwy o Kalaman dowiedział się od Riverwinda. Mimo to wiedział również, że Kalaman nie był w stanie zająć fortecy. Twierdzę po prostu przegnano. Wojska Kitiary, które zrezygnowały z walki o Kalaman, bez trudu ją odbiły i poleciały z powrotem do Sanction, gdzie Kit najwyraźniej znów zrobiła z niej dobry użytek.

Zamierzał to właśnie wyłożyć lordowi Guntharowi, gdy mu przerwano.

- Lada chwila spodziewamy się ataku cytadeli oświadczył Gunthar, spokojnie wyglądając przez okno. Prawdę mówiąc...

Tanis ścisnął Gunthara za ramię. - Tam! - wskazał.

Gunthar pokiwał głową. Odwrócił się do ordynansa w drzwiach i powiedział: - Trąbić na alarm!

Zabrzmiały surmy, zadudniły bębny. Rycerze sprawnie i spokojnie zajęli stanowiska na murach Wieży Najwyższego Klerysta. - Byliśmy w stanie pogotowia przez większość nocy - dodał niepotrzebnie lord Gunthar.

Rycerze byli tak zdyscyplinowani, że nikt nie odezwał się słowem ani nie krzyknął, gdy latająca forteca wynurzyła się zza zasłony chmur i pojawiła się w polu widzenia. Dowódcy obchodzili swoje posterunki, wydając ciche polecenia. Grały dumnie trąbki. Od czasu do czasu Tanis słyszał brzęk zbroi, gdy tu i tam któryś z rycerzy nerwowo się poruszył. I wtedy posłyszał wysoko w górze łopot smoczycy skrzydeł, gdy kilka oddziałów spiżowych smoków - pod wodzą Khirsaha - wzbilo się w niebo z Wieży.

- Wdzięczny ci jestem, Tanisie, że przekonałeś mnie do umocnienia Wieży Najwyższego Klerysta - rzekł Gunthar, wciąż mówiąc z udawanym spokojem. - W zaistniałej sytuacji mogłem jedynie liczyć tylko na tych rycerzy, których mogłem zmobilizować bez uprzedzenia. Mimo to jest ich tu ponad dwa tysiące. Jesteśmy dobrze zaopatrzeni. Tak - znów powtórzył - zdołamy obronić Wieżę - nawet przed cytadelą, nie mam do tego żadnych wątpliwości. Kitiara nie może mieć więcej jak tysiąc żołnierzy w tej...

Tanis z całego serca życzył sobie, żeby Gunthar przestał to podkreślać. Zaczynało to brzmieć, jakby rycerz próbował przekonać samego siebie. Kiedy przyglądał się zbliżającej cytadeli, jakiś wewnętrzny głos krzyczał do niego, walił pięściami i wrzeszczał, że coś jest nie

w porządku...

Mimo to Tanis nie mógł się ruszyć. Nie mógł myśleć. Latająca cytadela była już zupełnie widoczna, wynurzywszy się całkowicie spod warstwy chmur. Forteca absorbowała całą jego uwagę. Przypomnił sobie, jak pierwszy raz ujrzał ją w Kalamanie, przypomniał sobie okropny szok wywołany jej widokiem, jednocześnie budzącym grozę i podziw. I tak jak wtedy, mógł jedynie stać w osłupieniu.

W mrocznych głębiach świątyni Sanction noszący czarne szaty magowie i kapłani ciemności, pracujący pod kierownictwem lorda Ariakiasa - dowódcy smoczycich armii, którego zły geniusz omal nie przyczynił się do zwycięstwa Królowej Ciemności - zdołali czarodziejskimi sposobami oderwać zamek od fundamentów i wzniesić go w przestworza. Podczas wojny latające cytadela zaatakowały kilka miast, z których ostatnim był Kalaman w końcowych dniach wojny. Forteca niemal pokonała warowne miasto, które było dobrze umocnione i spodziewało się napaści.

Unosząca się na czarnoksiężskich obłokach i rozświetlona oślepiającymi, wielobarwnymi błyskawicami latająca cytadela zbliżała się coraz bardziej. Tanis widział już światła w oknach jej trzech wież i słyszał dźwięki, które były czymś całkiem zwykłym na ziemi, lecz zdawały się złowieszcze i przerażające, dochodząc z niebios - wykrzykiwane rozkazy i brzęk oręża. Miał wrażenie, że wciąż słyszy mamrotanie magów ciemności, którzy przygotowują się do rzucenia potężnych zaklęć. Widział złe smoki, które zataczały leniwie kręgi wokół cytadeli. Kiedy latająca forteca przybliżyła się jeszcze bardziej, dostrzegł z jednego boku zamczyska rozsypujący się dziedziniec, którego skruszone mury leżały w gruzach w miejscu, gdzie wyrwano je z fundamentów.

Tanis przyglądał się temu bezradnie, ale i z fascynacją. Przez cały czas ten wewnętrzny głos mówił do niego. Dwa tysiące rycerzy! Zebrani w ostatniej chwili i tak źle przygotowani! Zaledwie kilka oddziałów smoków. Wieża Najwyższego Klerysta z pewnością zdoła się obronić, lecz drogo za to zapłaci. Musieli jednakże wytrzymać tylko kilka dni. Do tego czasu Raistlin zostanie pokonany. Kitiara nie będzie miała już potrzeby próbować napaść na Palanthas. Również do tego czasu do Wieży Najwyższego Klerysta dotrze większa liczba rycerzy wraz z następnymi dobrymi smokami. Może zdołają ją tu wreszcie pokonać na dobre.

Kitiara zerwała kruchy rozejm istniejący pomiędzy smoczą władczynią a wolnymi narodami Ansalonu. Opuściła zacisze Sanction i wyszła na otwartą przestrzeń. To była ich okazja. Mogli ją pokonać, być może pojmać. Tanis poczuł bolesny ścisk w gardle. Czy Kitiara pozwoli wziąć się do niewoli? Nie. Oczywiście, że nie. Zacisnął w dłoni rękojeść miecza. Będzie obecny przy tym, gdy rycerze spróbują wziąć szturmem fortecę. Być może on

zdoła przekonać Kitiarę, żeby się poddała. Dopilnuje, żeby potraktowano ją sprawiedliwie, jak godnego szacunku wroga...

Tak wyraźnie widział ją w myślach! Stała dumnie, otoczona przez nieprzyjaciół, gotowa drogo sprzedać swe życie. A potem obejrzy się i zobaczy go. Może te błyszczące, ciemne oczy popatrzą czule, może upuści miecz i wyciągnie ramiona...

O czym on myśli! Tanis potrząsnął głową. Bujał w obłokach jak jakiś rozmarzony młodzieniaszek. Mimo to przypilnuje, żeby znaleźć się wśród rycerzy...

Kiedy Tanis usłyszał zgiełk w dole na murach obronnych, prędko wyrzwał na zewnątrz, choć w rzeczywistości nie musiał. Wiedział, co się dzieje - rycerzy stojących na murach ogarnął smoczy strach, lęk wytwarzany przez złe smoki, których niebieskie i czarne skrzydła widać już było wśród obłoków. Starsi rycerze, weterani wojny lancy, nie cofnęli się, zawzięcie ściskając oręż w rękach i walcząc z przerażeniem, które przepełniało ich serca, lecz młodszy, którzy widzieli swe pierwsze smoki w boju, pobledli i skulili się, a niektórzy zhańbili się krzykiem lub odwracaniem się od budzącego trwogę widoku.

Widząc tych przestraszonych młodych rycerzy w dole, Tanis zacisnął zęby. On również poczuł, jak ogarnia go mdlący strach, jak żołądek mu się kurczy, a żółć podchodzi do gardła. Kiedy obejrzał się na lorda Gunthara, spostrzegł, że twarz rycerza kamienieje i domyślił się, że on doświadcza tego samego.

Tanis popatrzył w niebo i zobaczył służące rycerzom so - lamnijskim spizowe smoki, które latały w szyku nad Wieżą i czekały. Nie zaatakują, póki same nie zostaną wpiern zaatakowane - takie były warunki rozejmu, który istniał pomiędzy dobrymi i złymi smokami od czasu zakończenia wojny. Mimo to Tanis dostrzegł, jak Khirsah, który był wodzem, podrzuca dumnie łbem, a jego ostre szpony lśnią w odbitym blasku błyskawicy. Nie było wątpliwości, przynajmniej tak sądził smok, że wkrótce rozpocznie się bitwa.

Jednak ten wewnętrzny głos wciąż nie dawał Tanisowi spokoju. Wszystko było zbyt łatwe, zbyt proste. Kitiara coś knuje...

Cytadela była coraz bliżej. Tanis pomyślał posepnie, że wyglądając siedlisko kolonii jakiś paskudnych owadów. Była dosłownie pokryta smokowcami! Rozpościerając krótkie, krępe skrzydła, zwisały ze ścian oraz fundamentów, uczipione każdego dostępnego cala powierzchni, siedziały przykucnięte na murach i zwisały z wieżyczek. Ich wstrętne, uśmiechnięte gadzie oblicza wyzierały z okien i migały w bramach. W Wieży Najwyższego Klerysta zapanowała tak pełna lęku cisza (tylko chwilami rozlegało się chrapliwe szlochanie jakiegoś przerażonego rycerza), że z cytadeli na niebie dochodził łopot skrzydeł stworów, a wśród niego dały się słyszeć stłumione szepty zaklęć - zmieszane głosy czarodziejów i

kapłanów, których zła potęga utrzymywała w powietrzu owo straszliwe urządzenie.

Twierdza podchodziła coraz bliżej, a rycerze stali spięci. Padły ciche polecenia, miecze wysunęły się z pochew. Wyciągnięto włócznie, napięto łuki, wiadra z wodą stały pełne i gotowe do gaszenia pożarów, a na dziedzińcu zgromadziły się oddziały do walki z tymi smokowcami, którzy zeskoczą na dół i zaatakują z nieba.

W górze Khirsah ustawił swoje smoki w szyku bojowym, dzieląc je na dwójki i trójki, które szybowały w powietrzu, gotowe w każdej chwili runąć na wroga niczym spizowe błyskawice.

- Jestem potrzebny na dole - oświadczył Gunthar. Pod - niósł hełm i nałożywszy go, wymaszerował z kwatery razem ze swymi oficerami i adiutantami, by zająć miejsce na wieży obserwacyjnej.

Tanis jednakże nie ruszył się z miejsca, ani nawet nie odpowiedział na spóźnione zaproszenie Gunthara, żeby im towarzyszył. Jego wewnętrzny głos brzmiał coraz donośniej, coraz natrętniej. Zamknąwszy oczy, półelf odwrócił się od okna. Zagłuszył pozbawiający sił smoczy strach, zapomniał o widoku tej ponurej fortecy śmierci i starał się za wszelką cenę skupić na głosie rozlegającym się we wnętrzu.

I wreszcie posłyszał go.

- Na bogów, nie! - szepnął. - Jacy byliśmy głupi! Jacy zaślepieni! Wszystko, co zrobiliśmy, było wodą na jej młyn!

Nagle plan Kitiary stał się przejrzysty, jakby stała tu przy nim i objaśniała mu wszystkie szczegóły. Czując jak strach ściska mu serce, Tanis otworzył oczy i skoczył do okna. Uderzył pięścią w rzeźbiony, kamienny parapet, kalecząc się przy tym. Stłukł kubek z herbatą, strąciwszy go na podłogę. Nie zauważył jednak ani krwi, która popłynęła z jego zranionej ręki, ani rozlanej herbaty. Wbił wzrok w upiorne, zaciągnięte ciemnymi chmurami niebo i obserwował nadciąganie latającej cytadeli, która z każdą chwilą była coraz bliżej.

Była w zasięgu strzału z łuku.

Była w zasięgu rzutu włócznią.

Kiedy niemal oślepiiony piorunami Tanis podniósł głowę, ujrzał szczegóły pancerzy smokowców, wykrzywione w uśmiechu twarze ludzkich najemników, którzy walczyli jako pospolici żołnierze i błyszczące łuski latających w górze smoków.

A potem forteca znikła.

Nie poleciała ani jedna strzała, nie padło ani jedno zakłęcie. Khirsah i pozostałe spizowe smoki krążyły niespokojnie, mierząc swych złych kuzynów wściekłym spojrzeniem, niemniej jednak obowiązywała je przysięga nieatakowania tych, którzy wcześniej ich nie

zaatakowali. Rycerze stali na murach obronnych i wykręcali szyje, by przyjrzeć się, jak olbrzymia, budząca lęk konstrukcja przelatuje nad nimi, po drodze ocierając się o najwyższą iglicę Wieży Najwyższego Klerysta i zrzuca kilka kamieni, które roztrzaskały się na dziedzińcu w dole.

Klnąc pod nosem, Tanis rzucił się w stronę drzwi i zderzył się z Guntharem w chwili, gdy rycerz wchodził do środka ze zdumioną miną.

- Nic nie rozumiem - mówił Gunthar do swych adiutantów. - Dlaczego nas nie zaatakowała? Co ona robi?

- Człowieku, ona atakuje bezpośrednio miasto! - Tanis złapał Gunthara za ramiona, potrząsając nim. - O tym właśnie cały czas mówił Dalamar! Kitiara szykuje natarcie na Palanthis! Nie zamierza zadzierać z nami i wcale nie musi! Przelatuje właśnie nad Wieżą Najwyższego Klerysta!

Oczy Gunthara, ledwo widoczne za wizurą hełmu, zwęziły się. - To szaleństwo - stwierdził chłodno, szarpiąc się za wąsy. Wreszcie zerwał z irytacją hełm z głowy. Na bogów, Półelfie, cóż to za wojskowa strategia? Kitiara zostawiła tył armii odsłonięty! Nawet jeśli zajmie Palanthis, nie będzie miała dość sił, by je utrzymać. Utknie między murami miasta i nami. Nie! Musi pokonać nas tutaj, a później zaatakować miasto! Inaczej my zniszczymy ją z łatwością. Nie ma dla niej ucieczki!

Gunthar zwrócił się do adiutantów: - Może to tylko zmyłka, żeby nas wywieść w pole. Przygotujcie się lepiej na atak cytadeli z przeciwnej strony...

- Posłuchajcie mnie! - wrzeszczał rozgorączkowany Tanis. - To nie jest zmyłka. Ona naciera prosto na Palanthis! Do czasu, gdy wraz z rycerzami dotrzesz do miasta, jej brat wróci przez portal! A ona będzie czekać na niego, opanowawszy wpierw miasto!

- Bzdury! - Gunthar spojrzał na niego ze złością. Nie może zdobyć Palanthis tak szybko. Dobre smoki ruszą do boju... Do licha, Tanisie, nawet jeśli mieszkańcy Palanthis nie są najlepszymi żołnierzami, zdołają powstrzymać ją samą liczebnością! - Parsknął. - Rycerze mogą wymaszerować natychmiast. Będziemy na miejscu w przeciągu czterech dni.

- Zapomniałeś o jednym - warknął Tanis, stanowczo, lecz uprzejmie przeciskając się obok rycerza. Odwróciwszy się na pięcie, zawołał: - Wszyscy zapomnieliśmy o jednym elemencie, który wyrównuje szansę w tej bitwie o lordzie Sothu!

Rozdział XII

Odbiwszy się potężnymi tylnymi nogami, Khirsah skoczył w niebo i wzbił się ponad mury Wieży Najwyższego Klerysta z wdziękiem i bez trudu. Potężne uderzenia smoczycich skrzydeł wkrótce sprawiły, że smok wraz z jeźdźcem dogonił powoli sunącą cytadelę. A jednak, zauważył ponuro Tanis, forteca porusza się wystarczająco szybko, by dotrzeć do Palanthis przed jutrzejszym świtem.

- Nie za blisko - ostrzegł Khirsaha.

Nadleciał czarny smok i krążył nad ich głowami, zataczając leniwie wielkie spirale, by mieć ich na oku. Inne czarne smoki szybowały w oddali. Teraz, gdy Tanis znajdował się na tym samym poziomie, co cytadela, zobaczył również niebieskie smoki, które fruwały dookoła szarych wieżyczek latającego zamczyska. W jednym ze szczególnie wielkich niebieskich smoków Tanis rozpoznał wierzchowca Kitiary, Skie.

Gdzie jest Kit?, zastanawiał się Tanis, bezskutecznie próbując zajrzeć do okien pełnych kłębiących się smokowców, którzy pokazywali na niego i szydzili. Nagle zdjął go lęk, że jeśli ona patrzy, może go poznać, toteż naciągnął na głowę kaptur swej peleryny. Potem uśmiechnął się żałośnie i podrapał się po brodzie. Z tej odległości Kitiara zobaczyłaby jedynie samotnego jeźdźca na smoku, prawdopodobnie posłańca rycerzy.

Potrafił sobie jasno wyobrazić, co działałoby się we wnętrzu cytadeli.

- Moglibyśmy strącić go z nieba strzałą, pani Kitiaro - powiedziała by jeden z jej dowódców.

Utrwalony w pamięci śmiech Kitiary dzwonił Tanisowi w uszach. - Nie, niech zanieśe nowiny do Palanthis, niech im powie, czego się mają spodziewać. Da im czas, żeby się napocili.

Napocili. Tanis wytarł twarz. Mimo chłodnego powietrza nad górami jego koszula pod skórzaną bluzą i pancerzem była wilgotna i lepka. Zatrząsł się z zimna i opatulił ściślej peleryną. Bolały go mięśnie; był przyzwyczajony do podróżowania w powozie, a nie na smoku, toteż przez krótką chwilę pomyślał z tęsknotą o swojej ciepłej karecie. Potem zaśmiał się drwiąco z samego siebie. Potrząsnąwszy głową, by mu się w niej przejaśniło (Dlaczego brak jednej nocy snu tak na niego podziałał?), postarał się zapomnieć o niewygodach i zamiast tego skupić uwagę na czekającym go trudnym problemie.

Khirsah robił co mógł, żeby ignorować czarnego smoka, który wciąż unosił się w przestworzach w ich pobliżu. Spiżowy smok przyspieszył i wreszcie czarny smok, którego wysłano tylko po to, by miał ich na oku, zawrócił. Cytadela została daleko w tyle, szybując

bez trudu nad górskimi szczytami, które zatrzymałyby armię w miejscu.

Tanis starał się ułożyć jakiś plan, lecz wszystko, o czym myślał, wiązało się z uczynieniem wpierw czegoś ważniejszego, aż w końcu zaczął się czuć jak jedna z tych tresowanych myszek na jarmarkach, które biegają bez przerwy w małych karuzelach, zdążając donikąd w niezmiernym pośpiechu. Przynajmniej lord Gunthar rzeczywiście zdołał prośbą i groźbą zmusić generałów Amothusa do zmobilizowania lokalnych sił samoobrony. (Generał był honorowym tytułem w Palanthas, przyznawanym za wyjątkowe zasługi dla społeczności; ani jeden z obecnie będących na służbie generałów nie był w rzeczywistości na wojnie). Na nieszczęście mobilizację dotychczas traktowano wyłącznie jako pretekst do urzędnienia święta.

Gunthar i jego rycerze stali, zaśmiewając się i trącąc nawzajem łokciami na widok żołnierzy-cywilów, którzy potykali się podczas musztry. Następnie lord Amothus wygłosił dwugodzinne przemówienie, a oddziały samoobrony dumne ze swych bohaterskich wyczynów - spiły się na umór i wszyscy bawili się doskonale.

Tanis o mało co nie popłakał się z czystej frustracji, kiedy ujrzał w myślach pulchnych oberżystów i spoconych kupców, fircykowatych krawców i kowali o pięściach jak bochny chleba, wszystkich tych ludzi, którzy potykali się o swój oręż i siebie nawzajem, wykonując rozkazy, jakie nie padły, natomiast nie słuchając wydanych. I to oni właśnie, pomyślał ponuro, staną jutro u bram Palanthas twarzą w twarz z upiornym rycerzem i jego wojskiem szkieletowych wojowników.

- Gdzie jest lord Amothus? - zapytał stanowczym tonem Tanis, wpychając się za ogromne drzwi pałacu, zanim jeszcze zostały otworzone, i niemal przewracając zdumionego lokaja.

- S-śni, wielmożny panie - zaczął lokaj - jeszcze jest wczesnie rano...

- Zbudź go. Kto tu dowodzi rycerstwem? Lokaj wybałuszył oczy i coś wyjąkał.

- Do licha! - warknął Tanis. - Kto tu jest najwyższy rangą wśród rycerzy, kretynie!

- To będzie pan Markham, jasnie panie, Rycerz Róży - oświadczył Charles spokojnym, pełnym godności tonem, wyłaniając się z jednego z przedsionków. - Czy mam posłać...

- Tak! - krzyknął Tanis, a potem zobaczył, że wszy - scy zebrani w wielkiej sieni pałacowej patrzą na niego jak na wariata. Przypomniał sobie, że panika z całą pewnością nie pomoże w obecnej sytuacji, półelf zasłonił oczy dłonią, zaczerpnął tchu dla uspokojenia i postarał się mówić rozsądnie.

- Tak - powtórzył cicho - proszę posłać po pana Markhama, a także po maga,

Dalamara.

To ostanie życzenie wydawało się zbliżyć do tropu nawet Charlesa. Służący zastanawiał się nad nim przez chwilę, a następnie ze zbolalym wyrazem twarzy ośmielił się wyrazić protest: - Jest mi nadzwyczaj przykro, jaśnie panie, ale w żaden sposób nie mogę przesłać wiadomości do... do Wieży Najwyższej Magii. Żadna żywa istota nie może postawić nogi w tym przeklętym gaju, nawet kender!

- Do diabła! - pieniał się Tanis. - Ja muszę z nim porozmawiać! - W głowie kłębiło mu się od pomysłów.

- Macie przecież chyba wziętych do niewoli goblinów? Niech któryś z nich podejmie próbę przedostania się przez zagajnik. Sprowadź jednego z tych stworów, obiecaj mu wolność, pieniądze, połowę królestwa, samego Amothusa, cokolwiek! Tylko niech wejdzie do tego przeklętego gaju...

- To nie będzie konieczne, Półelfie - powiedział ktoś płynnie. W sieni pałacu zmaterializowała się ciemna postać, zaskakując Tanisa i wprawiając lokajów w popłoch oraz sprawiając, że nawet Charles uniósł brwi.

- Rzeczywiście twoja moc jest wielka - zauważył Tanis, podchodząc do czarnego elfa. Charles wydawał polecenia różnym służącym, jednego wysyłając, by zbudził lorda Amothusa, a drugiego, by odszukał pana Markhama.

- Musimy porozmawiać na osobności. Chodźmy tędy. Idąc w ślad za Tanisem, Dalamar uśmiechnął się chłodno.

- Chciałbym móc przyjąć twój komplement, Półelfie, lecz zauważyłem twe przybycie dzięki zwykłej obserwacji, a nie jakiemuś czarodziejskiemu czytaniu w myślach. Z okna swego laboratorium dostrzegłem, jak twój spiżowy smok ląduje na dziedzińcu pałacu. Zobaczyłem, że zsiadasz i wchodzisz do pałacu. Muszę z tobą porozmawiać nie mniej pilnie niż ty ze mną. Dlatego tu jestem.

Tanis zamknął drzwi. - Szybko, zanim przyjdą pozostali. Wiesz, co zmierza ku nam?

- Wiedziałem już zeszłej nocy. Posłałem ci wiadomość, lecz ciebie już nie było. - Dalamar skrzywił się w uśmiechu. - Moi szpiedzy latają na szybkich skrzydłach.

- Jeśli w ogóle latają na skrzydłach - mruknął Tanis. Westchnął i podrapał się po zaroście, a potem podniósł głowę i spojrzał wnikliwie na Dalamara. Opanowany i spokojny czarny elf stał, chowając dłonie w fałdach swej czarnej szaty. Sprawiał wrażenie kogoś, po kim można było się spodziewać, iż w trudnej chwili spisze się doskonale i zachowa zimną krew. Na nieszczęście kwestią sporną pozostawało właśnie to, dla kogo to robi.

Tanis potarł czoło. Jakież to było mylące! O ileż łatwiej było w dawnych czasach -

zaczynał mówić jak czyjś dziadek! - kiedy zło i dobro było wyraźnie rozgraniczone i każdy wiedział po czyjej stronie walczy i przeciwko komu. Teraz był sprzymierzony ze złem w walce ze złem. Jak to możliwe? Zło obraca się przeciwko samemu sobie, to wyczytał Elistan z Dysków Mishakal. Potrząsnąwszy głową ze złością, Tanis uświadomił sobie, że marnuje czas. Musi zaufać temu Dalamarowi - przynajmniej musiał zaufać jego ambicji.

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby powstrzymać lorda Sotha? Dalamar powoli pokiwał głową. - Szybko myślisz, Pół - elfie. Więc ty też uważasz, że upiorny rycerz zaatakuje Palanthas?

- To oczywiste, czyż nie? - warknął Tanis. - Taki musi być plan Kit. To właśnie wyrównuje szansę.

Czarny elf wzruszył ramionami. - Odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie można nic zrobić. W każdym razie nie teraz.

- A ty? Możesz go powstrzymać?

- Nie odważyłbym się opuścić swego posterunku przy portalu. Tym razem przybyłem, ponieważ wiem, że Raistlin jest wciąż daleko od niego. Mimo to z każdym naszym oddechem on się zbliża. To będzie moja ostatnia okazja, by opuścić Wieżę. Dlatego właśnie przybyłem porozmawiać z tobą - żeby cię ostrzec. Nie ma wiele czasu.

- On wygrywa! - Tanis z niedowierzaniem wlepił oczy w Dalamara.

- Zawsze go nie doceniałeś - stwierdził szyderczo Dalamar. - Mówiłem ci, on jest teraz silny, potężny, jest największym czarodziejem, jaki kiedykolwiek żył. Oczywiście, że wygrywa! Jednak jakim kosztem... jak wielkim kosztem.

Tanis zmarszczył czoło. Nie podobała mu się nuta dumy w głosie Dalamara, kiedy mówił o Raistlinie. Nie zabrzmiało to jak zdanie ucznia, który jest gotów zabić swego shalofi, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Wracając jednakże do lorda Sotha - rzekł chłodno Dalamar, wyczytując z twarzy półelfa więcej myśli, niż Tanis zamierzał okazać. - Kiedy tylko zdałem sobie sprawę, że niezwłocznie skorzysta z tej okazji, by samemu zemścić się na mieście i ludziach, których od dawna nienawidził - jeśli dawać wiarę starym legendom o jego upadku - skontaktowałem się z Wieżą Najwyższej Magii w lesie Wayreth...

- Oczywiście! - Tanis sapnął z ulgą. - Par-Salian! Konklawe. Oni...

- Nie otrzymałem odpowiedzi na wiadomość - dokończył Dalamar, nie zwracając uwagi na przerywanie mu.

- Tam się dzieje coś dziwnego. Nie wiem, co. Mojego posłańca nie wpuszczono, co w przypadku kogoś jego - powiedzmy - lekkiej i ulotnej natury - nie jest łatwą rzeczą.

- Ale...

- Och - Czarno odziany Dalamar wzruszył ramionami - nadal będę próbował. Nie możemy jednak na nich liczyć, a oni są jedynymi wystarczająco potężnymi czarodziejami, żeby poradzić sobie z upiornym rycerzem.

- Kapłani Paladine'a...

- ...są nowi w swej wierze. Powiada się, że za czasów Humy prawdziwie potężni kapłani potrafili wezwać pomoc Paladine'a i użyć pewnych świętych słów przeciwko upiornym rycerzom - lecz jeśli to prawda - nikt dziś na Krynnie nie posiada takiej mocy.

Tanis zamyślił się przez chwilę.

- Celem Kit będzie Wieża Najwyższej Magii. Chce tam się spotkać ze swym bratem i udzielić mu pomocy, czyż nie tak?

- I spróbować mnie powstrzymać - rzekł Dalamar pełnym napięcia głosem i pobladł na twarzy.

- Czy Kitiara zdoła przebyć zagajnik Shoikan? Dalamar ponownie wzruszył ramionami, lecz Tanis zauważył, że jego chłodny sposób bycia wydał się nagle wymuszony i pełen napięcia. - Zagajnik znajduje się pod moją kontrolą. Odpędzi on wszystkie istoty, żywe i martwe. - Dalamar znów się uśmiechnął, lecz tym razem niewesoło. - Przy okazji, twój goblin nie wytrzymałby pięciu sekund. Niemniej jednak Kitiara ma amulet wręczony jej przez samego Raistlina. Jeśli wciąż go posiada i ma dość odwagi, żeby go użyć, a lord Soth będzie jej towarzyszył, może się przedostać. Aczkolwiek kiedy już znajdzie się wewnątrz, będzie musiała zmierzyć się ze strażnikami Wieży, nie mniej groźnymi od tych w zagajniku. Tym niemniej to mój kłopot - nie twój...

- Kłopotcesz się o zbyt wiele rzeczy! - warknął Tanis. - Daj mi talizman! Wpuść mnie do Wieży! Poradzę sobie z nią...

- O, tak - odparł rozbawiony Dalamar - dobrze wiem, jak doskonale radziłeś sobie z nią w przeszłości. Posłuchaj, Pólelfie, będziesz miał pełne ręce roboty podczas prób obronienia miasta. Oprócz tego zapomniałeś o jednym prawdziwym celu Sotha, jaki się za tym kryje. On pragnie śmierci Kitiary. Pragnie jej dla siebie. Powiedział mi o tym. Oczywiście musi postarać się, żeby to dobrze wyglądało. Jeśli uda mu się doprowadzić do jej śmierci i zemścić się na Palanthis, osiągnie swój cel. Raistlin go absolutnie nie obchodzi.

Tanis poczuł nagle chłód przenikający go do samej duszy i nie potrafił odpowiedzieć. Rzeczywiście zapomniał o za - miarach Sotha. Pólelf wzdrygnął się. Kitiara uczyniła wiele złego. Sturm zginął od grota jej włócznie, niezliczeni ludzie zginęli z jej rozkazów, a jeszcze więcej cierpiało niegdyś i cierpi nadal. Czy jednak zasługiwała na to? Na życie wypełnione

wieczną udręką, w chłodzie i ciemności, na wieki związana jakimś przeklętym węzłem małżeńskim z tym upiorem z Otchłani?

Zasłona ciemności zapadła przed oczami Tanisa. Oszołomiony i osłabiony półelf zobaczył, że chwieje się na krawędzi ziejącej przepaści i poczuł, że spada...

Jak przez mgłę doznał wrażenia, że jest spowijany w miękką, czarną tkaninę. Poczul silne ręce, które podtrzymywały go, kierowały nim...

A potem nic.

Zimna, gładka krawędź kieliszka dotknęła warg Tanisa, brandy zaszczypało go w język i ogrzało jego gardło. Podniósł mętny wzrok i ujrzał Charlesa, który wisiał nad nim.

- Czarny elf powiedział mi, że odbyłeś daleką podróż bez jedzenia i picia, wielmożny panie. - Za Charlesem unosiło się blade, zatroskane oblicze lorda Amothusa. Owinięty w biały szlafrok lord niezmiernie przypominał zrozpaczonego ducha.

- Tak - wymamrotał Tanis, odsuwając od siebie kieliszek i próbując podnieść się na nogi. Czując jednakże, że pokój kręci mu się przed oczami, postanowił nie wstawać. - Masz rację, powinienem coś zjeść. - Rozejrzał się, szukając wzrokiem czarnego elfa. - Gdzie jest Dalamar? Charles przybrał surową minę. - Któż to wie, jasnie panie? Zbiegł do swej siedziby mroku, jak przypuszczam. Oświadczył, że jego rozmowy z tobą dobiegły końca. Za pozwoleniem jasnie pana, pójdę polecić kucharzowi przygotować panu śniadanie. - Skłoniwszy się, Charles wyszedł, wpierw odsunawszy się na bok, by wpuścić młodego pana Markhama.

- Czy jadłeś już dziś śniadanie, panie Markhamie? spytał z wahaniem lord Amothus, który nie całkiem orientował się, co się dzieje i był wzburzony faktem, że czarny elf pozwolił sobie po prostu pojawiać się i znikać w jego domu. - Nie? W takim razie będzie nas już trzech. Jak lubisz przyrządzone jajka?

- Może nie powinniśmy w tej chwili dyskutować o jajkach, milordzie - rzekł pan Markham, zerkając na Tanisa z lekkim uśmiechem. Brwi półelfa były ściągnięte alarmująco, a jego niechlujny wygląd i ogólne wyczerpanie wskazywało na to, że za chwilę usłyszą jakieś straszne wieści.

Amothus westchnął i Tanis zorientował się, że lord po prostu starał się odsunąć nieuniknioną konieczność.

- Dziś rano wróciłem z Wieży Najwyższego Klerysta... - zaczął.

- Aha - przerwał pan Markham, siadając niedbale na krześle i nalewając sobie kieliszek brandy. - Otrzymałem wiadomość od lorda Gunthara, że spodziewa się starcia z wrogiem dziś rano. Jak tam bitwa? - Markham był bogatym, młodym szlachcicem,

przystojnym, miłym, beztroskim i niefrasobliwym. Odznaczył się podczas wojny lancy, walcząc pod dowództwem Laurany i został mianowany Rycerzem Róży. Tanis jednakże przypomniał sobie słowa Laurany mówiącej mu, że odwaga owego nonszalanckiego młodzieńca była prawie nieobliczalna - i nigdy nie można było jej zawierzyć. „Zawsze odnosiłam wrażenie” - stwierdziła kiedyś pogrążona w zadumie Laurana - „że brał udział w boju tylko dlatego, że w tym czasie nie było nic ciekawszego do roboty”.

Przypominając sobie jej opinię o młodym rycerzu i słysząc jego pogodny, beztroski ton, Tanis skrzywił się z niezadowolenia.

- Nie doszło do niej - oświadczył nagle. Na obliczu Amothusa odmalował się niemal komiczny wyraz nadziei i ulgi. Na ten widok Tanis omal się nie roześmiał, lecz w obawie, iż mógłby się to okazać histeryczny śmiech zdołał się opanować. Posłał spojrzenie panu Markhamowi, który uniósł brew.

- Nie było bitwy? W takim razie wróg nie przyszedł...

- Ależ przyszedł - rzekł z goryczą Tanis - przyszedł i poszedł sobie. Tuż pod naszym nosem. - Machnął ręką w powietrzu. - Siiup.

- Siiup? - Amothus zbladł. - Nie rozumiem.

- Latająca cytadela!

- Na Otchłań! - Pan Markham zagwizdał cicho. - Latająca cytadela. - Zamyślił się, z roztargnieniem przyglądając swój elegancki strój do konnej jazdy. - Nie zaatakowali Wieży Najwyższego Klerysta. Lecą nad górami. To oznacza, że...

- Zamierzają rzucić przeciwko Palanthas wszystko, co mają - dokończył Tanis.

- Jak to, ja nic nie rozumiem! - Lord Amothus miał oszołomioną minę. - Rycerze nie powstrzymali ich?

- To byłoby niemożliwe, milordzie - stwierdził pan Markham, niedbale wzruszając ramionami. - Jedynym sposobem zaatakowania latającej cytadeli, który ma jakieś szansę powodzenia, jest natarcie oddziałów smoków.

- A na mocy traktatu o poddaniu się dobre smoki nie ruszą do ataku, póki same nie zostaną napadnięte. W Wieży Najwyższego Klerysta mieliśmy tylko jeden oddział spiżowych smoków. Trzeba znacznie większej liczby - i to również złotych i srebrnych smoków - żeby zatrzymać cytadelę - powiedział znużonym tonem Tanis.

Rozparty w fotelu pan Markham pogrążył się w zadumie. - W okolicy jest kilka srebrnych smoków, które oczywiście natychmiast staną w gotowości, kiedy tylko złe smoki zostaną zauważone. Nie ma ich jednakże zbyt wiele. Być może dałoby się postać po więcej...

- Cytadela nie stanowi dla nas największego zagrożenia - oświadczył Tanis. Zamknął

oczy i starał się zrobić coś, żeby pokój tak nie wirował. Co jest? Chyba się starzeje.

- Doprawdy? - Lord Amothus sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł zemdleć z powodu tego dodatkowego ciosu, lecz będąc przecież człowiekiem szlachetnie urodzonym, robił wszystko, co mógł, by odzyskać spokój.

- Jest absolutnie pewne, że lord Soth jedzie wraz z panią Kitiarą.

- Upiorny rycerz! - szepnął pan Markham z lekkim uśmiechem. Lord Amothus zbłądził tak wyraźnie, że Charles, który wrócił właśnie z jeźdźnictwem, odstawił je natychmiast i podbiegł do swego pana.

- Dziękuję ci, Charlesie - rzekł sztywno i nienaturalnie Amothus. - Może trochę brandy.

- Dużo brandy byłoby znacznie sensowniejszą decyzją - stwierdził wesoło pan Markham, opróżniając swój kieliszek. - Równie dobrze można spać się solidnie i na umór. Niewiele tu pomoże trzeźwość. Nie w walce z upiornym rycerzem i jego legionami... - Młody rycerz ucichł.

- Wielmożni panowie powinni teraz coś zjeść - oświadczył stanowczo Charles, zatroszczywszy się o swego pana. Łyk brandy przywrócił Amothusowi trochę rumieńców. Zapach jedzenia uświadomił Tanisowi, że rzeczywiście jest głodny, toteż nie zaprotestował, gdy krzątający się po pokoju Charles przyniósł stół i podał posiłek.

- C-co to wszystko znaczy? - rzekł drżącym głosem lord Amothus, odruchowo rozkładając serwetkę na kolanach.

- Słyszałem już wcześniej o tym upiornym rycerzu. Mój pra-pra-pra-dziadek był jednym z dostojników obecnych przy sądzie Sotha w Palanthas. I to ten Soth porwał Lauranę, nieprawdaż, Tanisie?

Półelf spochmurniał. Nie odpowiedział.

Amothus podniósł ręce w błagalnym geście. - Ale cóż on może zrobić przeciwko miastu?

Wciąż nikt nie odpowiadał. Nie było jednakże takiej potrzeby. Amothus przeniósł spojrzenie z zaciętej, wyczerpanej twarzy półelfa na oblicze młodego rycerza, który uśmiechał się z goryczą, metodycznie wybijając maleńkie dziurki w obrusie swoim nożem. Lord otrzymał swą odpowiedź.

Wstając od nie tkniętego śniadania, nie patrząc na serwetkę, która nie zauważona zsunęła mu się z kolan na podłogę, Amothus przeszedł przez urządzone z przepychem pokój i stanął przy wysokim, misternej roboty oknie z ręcznie ciętego szkła. Duża, owalna szyba pośrodku stanowiła ramę dla widoku pięknego miasta Palanthas. Niebo nad nim było ciemne i

wypełnione dziwnymi, kłębiącymi się obłokami, lecz burza na nieboskłonie wydawała się tylko zwiększać urodę i pozorny spokój miasta w dole.

Lord Amothus stał tam z dłonią na ałtuszowej zasłonie i spoglądał na miasto. Był dzień targowy. Ludzie przechodzili obok pałacu w drodze na rynek, gawędząc na temat złowieszczego nieba, dźwigając kosze i karcąc swe niesforne dzieci.

- Wiem, o czym myślisz, Tanisie - powiedział wreszcie lord Amothus łamiącym się głosem. - Myślisz o Tarsis i Solące, o Silvanesti i Kalamanie. Myślisz o swym przyjacielu, który zginął w Wieży Najwyższego Klerysta. Myślisz o tych wszystkich, którzy zginęli i cierpieli podczas ostatniej wojny, podczas gdy nas w Palanthis to ominęło.

Tanis wciąż nie odpowiadał. Jadł w milczeniu.

- A ty, panie Markhamie... - westchnął Amothus. Słyszałem, jak ty i twoi rycerze śmiałyście się tamtego dnia. Słyszałem wasze komentarze, jakoby mieszkańcy Palanthis wybierali się na wojnę z trzosiakami pełnymi pieniędzy, zamierzając pokonać wroga rozsypywaniem monet i wołaniem: „Idźcie precz! Idźcie precz!” - Przeciwno lordowi Sothowi to pomoże tyle samo, co miecze! - Wzruszywszy ramionami i zaśmiaawszy się krótko i sardonicznie, Markham podsunął swój kieliszek Charlesowi, by ten znów go napełnił brandy.

Amothus oparł czoło o szybę. - Nigdy nie przypuszczaliśmy, że wojna dotrze do nas! Nigdy tak nie było! Przez wszystkie wieki Palanthis pozostawało miastem pokoju, miastem pięknym i światłym. Bogowie oszczędzili nas nawet podczas Kataklyzmu. A teraz, kiedy na świecie zapanował pokój, przytrafia nam się coś takiego! - Odwrócił się, a jego poblądłe oblicze było ściągnięte i pełne cierpienia. - Dlaczego? Ja tego nie rozumiem!

Tanis odsunął swój talerz. Odchylił się do tyłu i prze - ciągnął, próbując rozluźnić dręczone kurczami mięśnie. Rzeczywiście robię się stary, pomyślał, stary i odzwyczajony od niewygód. Brakuje mi snu w nocy. Pomiąłem posiłek i zasnąłem. Tęsknię za dawno minionymi dniami. Tęsknię za przyjaciółmi, którzy dawno umarli. I niedobrze mi się robi na widok ludzi, którzy umierają na jakiejś głupiej, bezsensownej wojnie! Westchnąwszy, przetarł zmęczone oczy, a następnie oparł łokcie o stół i schował twarz w dłoniach.

- Mówisz o pokoju. Jakim pokoju? - spytał. - Zachowujemy się jak dzieci w domu, w którym bez przerwy od wielu dni ojciec i matka kłócili ze sobą, a teraz wreszcie uspokoili się i są grzeczni. Dużo się uśmiechamy, staramy się być weseli, jeść podane nam jarzyny i chodzić na paluszkach, bojąc się narobić hałasu. Wiemy bowiem, że jeśli tak się stanie, kłótnie znów się zaczną, a to nazywamy pokojem! - Tanis zaśmiał się z goryczą. - Powiedz jedno fałszywe słowo, panie, a Porthios z elfami siądzie ci na karku. Pogłaszcz się po brodzie

w niewłaściwy sposób, a krasnoludowie znów zatrzasną bramy swego królestwa.

Rzuciwszy spojrzenie na lorda Amothusa, Tanis dostrzegł, że mężczyzna spuścił głowę, zgarbił się i otarł oczy delikatną dłonią. Złość Tanisa przygasła. W końcu na kogo był zły? Na los? Bogów?

Wstając z trudem, zmęczony Tanis podszedł do okna i stanął przy nim, żeby popatrzeć na spokojne, piękne, skazane na zagładę miasto.

- Nie znam odpowiedzi, wielmożny panie - rzekł cicho. - Sądzę, że gdybym znał, kazałbym wybudować sobie świątynię, a cały zastęp kapłanów byłby na każde moje skinienie. Wiem tylko, że nie wolno nam się poddawać. Musimy się starać.

- Jeszcze jedną brandy, Charlesie - powiedział pan Markham, znów podstawiając kieliszek. - Toast, panowie. - Wzniósł kieliszek. - Za staranie... Rymuje się z „umieranie”.

Rozdział XIII

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Zajęty pracą Tanis drgnął. - Tak, kto tam? - zawołał.

Drzwi otworzyły się. - Charles, jasnie panie. Prosiłeś, żebym cię zawołał, gdy będzie odbywać się zmiana warty.

Tanis odwrócił głowę i wyjrzał przez okno. Otworzył je, by wpuścić trochę powietrza. Wiosenna noc była jednakże ciepła, duszna i nie wiał najmniejszy wiatr. Niebo było ciemne z wyjątkiem czasami pojawiających się smug upiornych, różowawych piorunów, które błyskały od chmury do chmury. Teraz, kiedy jego uwaga została ku temu przyciągnięta, usłyszał zegar bijący na godzinę Głębokiej Straży i głosy gwardzistów, którzy dopiero co przyszli objąć posterunki, do jego uszu doszedł też równy krok tych, którzy oddalali się na spoczynek.

Ich odpoczynek nie potrwa długo.

- Dziękuję ci, Charlesie - powiedział Tanis. - Zechciej wejść na chwilę.

- Oczywiście, jasnie panie.

Służący wszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Tanis jeszcze przez chwilę wpatrywał się w papier leżący na biurku. Następnie, zacisnąwszy wargi, dopisał jeszcze dwie linijki stanowczym, elfim pismem. Posypawszy atrament piaskiem, aby go wysuszyć, zaczął uważnie czytać list raz jeszcze. Oczy mu jednak zasłyły mgłą i litery rozpląły się. W końcu zrezygnował. Podpisał się imieniem, zwinął pergamin i siedział, ściskając go w dłoni.

- Panie - rzekł Charles - czy dobrze się czujesz?

- Charlesie... - zaczął Tanis, obracając pierścień ze złota i stali, jaki nosił na palcu. Ucichł.

- Tak, jasnie panie? - zachęcił go Charles.

- Charlesie, to list do mojej żony - dokończył Tanis przyciszonym głosem, nie patrząc na służącego. - Ona jest w Silvanesti. Trzeba to posłać dziś wieczorem, zanim...

- Doskonale rozumiem, jasnie panie - rzekł Charles, podchodząc i biorąc list.

Tanis zaczerwienił się z poczucia winy. - Wiem, że jest wiele ważniejszych dokumentów, które trzeba wysłać - rozkazy dla rycerzy i tak dalej, ale...

- Mam właśnie odpowiedniego posłańca, jasnie panie. Jest elfem, dokładnie biorąc z Silvanesti. Jest lojalny i prawdę powiedziawszy, ogromnie się ucieszy z możliwości opuszczenia miasta w jakiejś honorowej misji.

- Dziękuję ci, Charlesie. - Tanis westchnął i przeczesał dłonią włosy. - Gdyby coś się stało, chciałbym, żeby wiedziała...

- Ależ oczywiście, jaśnie panie. To całkowicie rozumiałe. Proszę więcej o to się nie troszczyć. Mimo to, może pańska pieczęć?

- Och, tak, oczywiście. - Tanis zdjął sygnet i przycisnął go do gorącego laku, jaki Charles nakapał na pergamin, pozostawiając w nim odcisk osikowego liścia.

- Przybył lord Gunthar, jaśnie panie. Właśnie rozmawia z panem Markhamem.

- Lord Gunthar? - Czoło Tanisa wygładziło się. Doskonale. Czy mam...

- Prosili, żebyś zechciał się z nimi spotkać, jeśli nie będzie ci to przeszkadzało, jaśnie panie - oświadczył z niewzruszonym spokojem Charles.

- Och, zupełnie nie będzie - stwierdził Tanis, wstając. - Sądzę, że nie było żadnego znaku cyta...

- Jeszcze nie, jaśnie panie. Zastaniesz lordów w letnim saloniku, który teraz przerobiony został na pokój „wojenny”.

- Dziękuję, Charlesie - powiedział Tanis, zdumiony tym, że wreszcie zdołał wypowiedzieć kompletne zdanie.

- Czy życzysz sobie czegoś jeszcze, jaśnie panie?

- Nie, dziękuję. Znam...

- Doskonale, jaśnie panie. - Charles skłonił się z listem w dłoni, otworzył drzwi Tanisowi, a potem je za nim zamknął. Po odczekaniu chwili, by upewnić się, czy w ostatnim momencie Tanis nie będzie miał jakiś życzeń, znów się skłonił i oddalił.

Wciąż rozmyślając o liście, Tanis stał samotnie, wdzięczny za mroczną ciszę słabo oświetlonego korytarza. Potem z drzeniem zaczerpnął tchu i ruszył stanowczym krokiem w poszukiwaniu saloniku śniadaniowego - obecnie pokoju „wojennego”.

Tanis położył już dłoń na klamce i miał zamiar wejść do komnaty, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwróciwszy głowę, ujrzał materializującą się znikąd postać utkaną z mroku.

- Dalamar? - rzekł zdumiony Tanis, zostawiając zamknięte drzwi do pokoju „wojennego” i idąc korytarzem w stronę czarnego elfa. - Sądziłem...

- Tanis. Właśnie cię szukam.

- Masz jakieś wieści?

- Nic, co chciałbyś usłyszeć - odparł Dalamar, wzruszając ramionami. - Nie mogę zostać długo, bowiem właśnie ważą się nasze losy. Przyniosłem ci jednak to. Sięgnąwszy do woreczka z czarnego aksamitu, jaki nosił u boku, wyjął srebrną bransoletę i podał ją Tanisowi.

Tanis wziął ją do ręki i przyjrzał jej się z ciekawością. Bransoleta miała jakieś

dwanaście centymetrów szerokości i wykonana była z czystego srebra. Z jej szerokości i ciężaru Tanis domyślił się, że miała pasować na męski nadgarstek. Była lekko spatynowana i wysadzana czarnymi kamieniami, których polerowana powierzchnia błyszczała w migotliwym blasku pochodni na korytarzu. I pochodziła z Wieży Najwyższej Magii.

Tanis ostrożnie trzymał ją w dłoni. - Czy jest... zawahał się, nie będąc pewny, czy chce się dowiedzieć.

- Magiczna? Tak - odparł Dalamar.

- Raistlina? - Tanis zmarszczył czoło.

- Nie. - Dalamar uśmiechnął się zgryźliwie. Shalafi nie potrzebuje takich czarodziejskich osłon. Ta należy do kolekcji podobnych przedmiotów w Wieży. Jest bardzo stara, bez wątplenia pochodzi z czasów Humy.

- Co ona robi? - Tanis przyglądał się bransolecie pełnym powątpiewania wzrokiem, wciąż marszcząc czoło.

- Sprawia, że noszący ją staje się odporny na czary. Tanis podniósł głowę. - Czary lorda Sotha?

- Jakiegokolwiek czary. Aczkolwiek owszem, ochroni ona noszącego ją przed słowami mocy upiornego rycerza: „giń”, „ogłuszenie”, „oślepienie”. Sprawia, że właściciel nie odczuje skutków rozsiewanego przezeń strachu. Obroni też właściciela przed jego zaklęciami dotyczącymi zarówno ognia, jak i lodu.

Tanis zmierzył Dalamara wnikliwym spojrzeniem. To prawdziwie bezcenny dar! Daje nam szansę.

- Noszący ją może podziękować mi, kiedy wróci żywy, jeśli w ogóle wróci. - Dalamar wsunął dłonie w rękawy.

- Nawet bez czarów lord Soth jest groźnym przeciwnikiem, nie wspominając o jego świcie, która zobowiązana jest mu służyć przysięgą, której nie może zerwać sama śmierć. Tak, Półelfie, podziękujesz mi po powrocie.

- Ja? - rzekł osłupiały Tanis. - Ależ... ja nie władałem mieczem od ponad dwóch lat! - Skierował na Dalamara uważne, nagle podejrzliwe spojrzenie. - Czemu ja?

Dalamar uśmiechnął się szerzej. W skośnych oczach dało się zauważyć rozbawienie. - Daj ją jednemu z rycerzy, półelfie. Niech któryś z nich ją potrzyzyma. Zrozumiesz wtedy. Pamiętaj, ona pochodzi z mrocznego miejsca. Poznaj swoich.

- Zaczekaj! - Widząc, że czarny elf szykuje się do odejścia, Tanis schwycił czarnego elfa za ramię. - Jeszcze sekundę. Powiedziałeś, że są wieści...

- To nie twoja sprawa.

- Powiedz mi.

Dalamar zatrzymał się i ściągnął brwi w grymasie irytacji z powodu opóźnienia. Tanis poczuł, że ramię młodego elfa naprężyło się. Jest przerażony, zdał sobie nagle sprawę Tanis. Jednakże w tej samej chwili, gdy ta myśl przebiegła mu przez głowę, zobaczył, jak Dalamar odzyskuje panowanie nad sobą. Jego przystojne oblicze wyrażało teraz spokój i obojętność.

- Kapłanka Crysania została śmiertelnie zraniona. Udało się jej jednak uchronić Raistlina. On nie odniósł obrażeń i ruszył w dalsze poszukiwanie Królowej. Tak powiedział mi Jej Mroczny Majestat.

Tanis poczuł, jak coś go ściska za gardło. - A co z Crysania? - wychrypiał. - Zostawił ją tak po prostu, żeby umarła?

- Oczywiście. - Dalamar sprawiał wrażenie lekko zdziwionego tym pytaniem. - Ona już mu nie może się przydać.

Patrząc na bransoletę w garści, Tanis doznał chęci, by cisnąć nią w błyszczące zęby czarnego elfa. W samą porę jednak pomyślał, że nie może pozwolić sobie na gniew. Cóż za obłądna, pokręcona sytuacja! Jakby dla kontrastu przyszedł mu na myśl Elistan idący do Wieży i niosący pociechę arcymagowi...

Tanis odwrócił się na pięcie i odmaszerował ze złością. Ściskał jednak bransoletę mocno w dłoni.

- Magia uaktywnia się z chwilą, kiedy ją nałożysz. Cichy głos Dalamara dotarł do Tanisa przez mgłę jego wściekłości. Mógłby przysiąc, że czarny elf się śmiał.

- Co się stało, Tanisie? - spytał lord Gunthar półelfa wchodzącego do pokoju „wojennego”. - Mój drogi, jesteś blady jak płótno...

- Nic takiego. Właśnie... właśnie usłyszałem pewne niepokojące nowiny. Nic mi nie będzie. - Tanis zaczerpnął głęboko tchu, a potem spojrzął na rycerzy. - Sami nie wyglądacie najlepiej.

- Kolejny toast? - rzekł pan Markham, unosząc kieliszek brandy.

Lord Gunthar posłał mu srogie, pełne dezaprobaty spojrzenie, które młody rycerz zignorował, niedbale wychylając szklanicę jednym tchem.

- Dostrzeżono cytadelę. Przebyła góry. Będzie tu o świcie.

Tanis skinął głową. - Domyślałem się tego. - Podrapał się po brodzie, a potem przetarł zmęczone oczy. Zerknął na butelkę brandy i potrząsnął głową. Nie, prawdopodobnie od razu usnąłby od tego.

- Co tam trzymasz? - spytał Gunthar i wyciągnął rękę, żeby wziąć bransoletę. - Jakiś elfi amulet na szczęście?

- Nie radziłbym dotykać... - zaczął Tanis.

- Do licha! - wykrzyknął Gunthar, raptownie odsuwając rękę. Bransoleta spadła na podłogę i wylądowała na puszystym, ręcznie tkanym dywanie. Rycerz ścisnął dłoń z bólu.

Tanis nachylił się i podniósł bransoletę. Gunthar śledził go pełnym niedowierzania wzrokiem. Pan Markham dławił się ze śmiechu.

- Przyniósł nam ją ten mag, Dalamar. Pochodzi z Wieży Najwyższej Magii - rzekł Tanis, nie zważając na niezadowoloną minę lorda Gunthara. - Ochroni ona jej właściciela przed skutkami czarów. Jest to jedyna rzecz, jaka da komuś szansę zbliżenia się do lorda Sotha.

- Komuś! - powtórzył Gunthar. Popatrzył na swoją dłoń. Jego palce były poparzone w miejscach, gdzie dotknął bransolety. - Na dokładkę przeszła mnie prądem, który omal nie zatrzymał mojego serca! Kto, na Otchłań, mógłby nałożyć coś takiego?

- Na przykład ja - odparł Tanis. Ona pochodzi z mrocznego miejsca. Poznaje swoich. - To ma coś wspólnego z rycerstwem i składaniem świętych ślubów Paladine'owi - wymamrotał, czując jak mu płonie twarz.

- Precz z nią! - warknął lord Gunthar. - Nie potrzebujemy pomocy, jaką ofiarowują nam Czarne Szaty!

- Wydaje mi się, wielmożny panie, że przyda nam się każda pomoc, jaką otrzymamy - wypalił Tanis. - Chciałbym ci również przypomnieć, że choć może to wydaje ci się dziwne, jesteśmy po tej samej stronie! A teraz, panie Markhamie, jak tam plany obrony miasta?

Wsuwając bransoletę do sakwy i udając, że nie widzi wściekłego wzroku lorda Gunthara, Tanis zwrócił się do pana Markhama, który choć poczuł się dość zaskoczony tym nagłym wezwaniem, szybko przybył Tanisowi z odsieczą ze swym raportem.

Rycerze solamnijscy wymaszerowali z Wieży Najwyższego Klerysta. Upłynie co najmniej kilka dni, zanim zdołają dotrzeć do Palanthis. Posłał gońca, by powiadomił dobre smoki, lecz wydawało się mało prawdopodobne, by one również zdążyły przybyć do Palanthis w porę.

Całe miasto było postawione w stan gotowości. W krótkim, zwięzłym przemówieniu lord Amothus powiedział obywatelom, co ich czeka. Nie wywołało to paniki, w co Guntharowi trudno było uwierzyć. Och, kilku bogaczy usiłowało przekupić kapitanów statków, by ich przewieźli, lecz wszyscy kapitanowie jak jeden mąż odmówili wypłynięcia w morze, widząc groźbę tak złowieszczo wyglądających obłoków. Otworzono bramy Starego Miasta. Ci, którzy chcieli uciekać na pustkowia, oczywiście mogli. Niewielu zaryzykowało. W Palanthis mieli przynajmniej mury miejskie i rycerzy do obrony.

Zdaniem Tanisa, gdyby mieszczenie wiedzieli, z jakimi okropnościami będą mieli do czynienia, zaryzykowałiby. Jednakże w zaistniałej sytuacji kobiety zdjęły bogate stroje i zaczęły napełniać wodą wszystkie dostępne naczynia, by mieć czym gasić pożary. Ci, którzy mieszkali w Nowym Mieście (nie chronionym murami), zostali ewakuowani do Starego Miasta, którego mury umacniano najlepiej, jak można było w tak krótkim czasie, jaki pozostał. Dzieci położono spać w schronach przeciwburzowych i w piwnicach, w których przechowywano wino. Kupcy otworzyli sklepy i wydawali potrzebny sprzęt. Płatnerze rozdawali broń, a w kuźniach palił się ogień do późna w nocy, żeby naprawiać miecze, tarcze i pancerze.

Spoglądając na miasto, Tanis zobaczył światła w większości domów - ludzie przygotowywali się na poranek, do którego, jak podpowiadało mu doświadczenie, nigdy nie można było się przygotować.

Westchnął, pomyślał o liście do Laurany i podjął trudną decyzję. Wiedział jednak, że pociągnie ona za sobą spory. Musiał położyć wcześniej fundamenty... Odwrócił się raptownie i przerwał Markhamowi. - Jak sądzisz, jaki będzie ich plan ataku? - spytał lorda Gunthara.

- Myślę, że to dość proste. - Gunthar szarpnął się za wąsy. - Zrobią to samo, co w Kalamanie. Podprowadzą cytadelę najbliżej, jak to będzie możliwe. W Kalamanie nie było to zbyt blisko. Nie dopuściły ich smoki. Aczkolwiek...

- wzruszył ramionami - nie mamy tylu smoków, co oni. Kiedy cytadela minie mury, zeskoczą z niej smokowcy i spróbują zająć miasto od środka. Złe smoki zaatakują...

- A lord Soth wtargnie przez bramę - dokończył Tanis.

- Rycerze powinni przynajmniej dotrzeć na czas, by nie pozwolić mu obrabować naszych trupów - stwierdził pan Markham, znów opróżniając kieliszek.

- A Kitiara - rozmyślał na głos Tanis - spróbuje dotrzeć do Wieży Najwyższej Magii. Dalamar twierdzi, że żadna żywa istota nie przedostanie się przez zagajnik Shoikan, ale powiedział też, że Kit ma amulet, jaki dał jej Raistlin. Może również poczekać na Sotha przed wejściem, domyślając się, że może jej pomóc.

- Jeśli Wieża jest jej celem - rzekł Gunthar z naciskiem na „jeśli”; było oczywiste, że wciąż nie dowierzał tej historii o Raistlinie. - Sądzę, że bitwa posłuży jej jako przykrywką, żeby przelecieć na swym smoku nad murami i wylądować najbliżej, jak to tylko możliwe, Wieży. Może moglibyśmy ustawić posterunki rycerzy wokół zagajnika, żeby spróbować jej nie wpuścić...

- Nie dotrą wystarczająco blisko - przerwał pan Markham, dodając spóźnione - „milordzie”. Zagajnik odbiera odwagę każdemu, kto zbliży się do niego na parę kilometrów.

- Poza tym, rycerze są nam potrzebni do rozprawienia się z legionami Sotha - rzekł Tanis. Zaczepnął głęboko tchu. - ...Mam pewien plan, jeśli będzie wolno mi go przedstawić...

- Ależ proszę bardzo, Półelfie.

- Jesteś przekonany, że cytadela zaatakuje z góry, a lord Soth wejdzie przez frontową bramę, tworząc zamieszanie, które da Kit szansę dotarcia do Wieży. Zgadza się?

Gunthar pokiwał głową.

- W takim razie posadźmy wszystkich rycerzy, jakich możemy, na spiżowych smokach. Mnie daj Błysk Ognia. Ponieważ ta bransoleta zapewnia mi najlepszą ochronę przed Sothem, ja się nim zajmę. Reszta rycerzy może się skupić na jego drużynie. Ja i tak mam prywatne rachunki do wyrównania z Sothem - dodał Tanis, widząc, że Gunthar już kręci głową.

- Absolutnie nie. Doskonale się spisałeś w ostatniej wojnie, ale nigdy nie odebrałeś wyszkolenia! Jeśli zmierzysz się z rycerzem solamnijskim...

- Nawet martwym rycerzem solamnijskim! - wtrącił pan Markham z pijackim chichotem.

Wąsy zadrżały Guntharowi z gniewu, lecz mężczyzna opanował się i dokończył chłodno: - Rycerzem wyszkolonym, tak jak Soth, zginiesz z pewnością - z bransoletą, albo bez niej.

- Mimo to bez bransolety, milordzie, wyszkolenie szermiercze na wiele się nie zda - zauważył pan Markham, wypijając kolejną brandy. - Facet, który potrafi wskazać na ciebie i powiedzieć „giń”, ma wyraźną przewagę.

- Proszę, wielmożny panie - interweniował Tanis przyznając, że mój formalny trening jest ograniczony, niemniej noszę miecz prawie dwa razy dłużej od ciebie, wielmożny panie. Moja elfia krew...

- Do Otchłani, z twoją elfią krwią - mruknął Gunthar, patrząc wściekle na pana Markhama, który zapamiętale ignorował swego przełożonego i znów podnosił butelkę brandy.

- Jeśli będę do tego zmuszony, odwołam się do swej rangi, wielmożny panie - oświadczył cicho Tanis.

Gunthar poczerwieniał na twarzy. - Do diabła, to był tylko honorowy tytuł!

Tanis uśmiechnął się. - Kodeks nie czyni takich rozróżnień. Honorowy, czy nie, jestem Rycerzem Róży, a mój wiek - dobrze ponad setkę, panie - zapewnia mi starszeństwo.

Pan Markham zaśmiał się. - Och, na miłość boską, Guntharze, daj mu pozwolenie na to, by mógł zginąć. Na Otchłań, i tak cóż to za różnica?

- On jest pijany - mruknął Gunthar, posyłając zjadliwe spojrzenie panu Markhamowi.

- On jest młody - odparł Tanis. - I cóż, wielmożny panie?

Oczy lorda Gunthara błysnęły gniewnie. Kiedy mierzył półelfa wściekłym wzrokiem, cisnęły mu się na wargi ostre słowa nagany. Nie zostały jednakże wypowiedziane. Gunthar wiedział - lepiej niż kto inny - że ten, kto wyjdzie naprzeciw Sothowi, postawi się w sytuacji grożącej niemal pewną śmiercią - z magiczną bransoletą, czy bez niej. Początkowo zakładał, że Tanis jest albo zbyt naiwny, albo zbyt lekkomyślny, by zdawać sobie z tego sprawę. Kiedy jednakże zajrzał w ciemne, posępne oczy półelfa, uświadomił sobie, że znów pomylił się w jego ocenie.

Z mrukliwym kasznięciem lord Gunthar przełknął słowa i machnął ręką w stronę pana Markhama. - Zobacz, czy uda ci się go otrzeźwić, Półelfie. Potem, jak sądzę, powinienes już chyba zająć swą pozycję. Rozkażę rycerzom czekać.

- Dziękuję, panie - wyszeptał Tanis.

- I niech bogowie ci towarzyszą - dodał Gunthar cichym, zdławionym głosem. Ścisnąwszy dłoń Tanisowi, odwrócił się i wyszedł z komnaty długim krokiem.

Tanis zerknął na pana Markhama, który z kwaśnym uśmiechem uważnie zaglądał do pustej butelki po brandy. On nie jest tak pijany, jak udaje, doszedł do wniosku Tanis. Ani tak, jak chciałby być.

Odwróciwszy się od młodego rycerza, półelf podszedł do okna. Wyglądając przez nie, czekał na świt.

Laurano,

Moja ukochana żono, kiedy rozstawaliśmy się tydzień temu, nie sądziliśmy, że to rozstanie może potrwać bardzo, bardzo długo. Przez większą część naszego życia byliśmy trzymani z dala od siebie. Muszą jednak przyznać, że nie potrafili smucić się, że teraz nie jesteśmy razem. Otuchą napawa mnie myśl, że nic ci nie grozi, choć jeśli plany Raistlina powiodą się, boją się, iż już nigdzie na Krynnie nie będzie bezpiecznych miejsc.

Muszą być szczerzy, moja najdroższa. Nie mam nadziei, aby ktokolwiek z nas przeżył. Bez strachu przyjmują świadomość, że zapewne polegną - sądzą, że mogą to powiedzieć uczciwie. Nie potrafili jednakże wyjść na spotkanie śmierci bez zacieklego gniewu. Podczas ostatniej wojny mogłem sobie pozwolić na dzielność. Nic nie miałem, więc nie miałem nic do stracenia. Nigdy jednak nie pragnąłem żyć tak bardzo, jak teraz. Jak ten skąpiec zachłannie pożądam radości i szczęścia, jakie znaleźliśmy, i za nic nie chcą się go wyrzekać. Myślą o naszych planach, o dzieciach, jakie mamy nadzieją mieć. Myślą o tobie, moja ukochana, a także o żalu, jaki musi przynieść moja śmierć, i nie widzą tej kartki przez łzy smutku.

Mogą tylko prosić cię o to, byś i ty przyjął to pocieszenie, jako i ja je przyjmuję - że to rozstanie będzie naszym ostatnim. Świat nas już nigdy więcej nie rozdzieli. Bada czekał na ciebie, Laurano, w tym królestwie, gdzie sam czas umiera.

I pewnego wieczoru, w tym królestwie wiecznej wiosny, wiecznego zmierzchu, spojrzą na ścieżkę i ujrzą, jak idziesz ku mnie. Widzą cię tak wyraźnie, moja ukochana. Ostatnie promienie zachodzącego słońca lśnią w twoich złotych włosach, twoje oczy błyszczą miłością, jaka przepętnia i moje serce.

Podejdiesz do mnie.

Ja wezmę cię w ramiona.

Zamkniemy oczy i zaczniemy śnić nasz wieczny sen.

Księga trzecia

Powrót

Strażnik bramy siedział rozparty w głębokim cieniu wartowni przy wrotach prowadzących do Starego Miasta. Słyszał dochodzące z zewnątrz głosy innych gwardzistów, którzy dodawali sobie odwagi rozmową, czując napięcie i zdenerwowanie wywołane podnieceniem i strachem. Musi być ich tam ze dwudziestu, pomyślał zgryźliwie stary strażnik. Nocna warta została podwojona, albowiem schodzący ze służby woleli zostać, anizeli wracać do domu. Na murach nad jego głową rozbrzmiewały powolne, ciche kroki rycerzy solamnijskich. Co jakiś czas słyszał dobiegające z dużej wysokości skrzypienie i łopotanie skrzydeł smoków, albo ich rozmowy w tajnym, smoczym języku. Były to spiżowe smoki sprowadzone z Wieży Najwyższego Klerysta przez lorda Gunthara, które trzymały straż w powietrzu, tak jak istoty ludzkie na ziemi.

Zewsząd dookoła dochodziły go odgłosy - odgłosy nadciągającej zagłady.

Taka myśl zaświtała wartownikowi w głowie, choć oczywiście, nie dokładnie te słowa - bowiem ani „nadciągająca”, ani „zagłada” nie należały do jego słownictwa. Niemniej i tak wiedział, co się święci. Gwardzista przy bramie był starym najemnikiem i miał za sobą wiele takich nocy. Kiedyś był młody jak ci na zewnątrz i przechwalał się wielkimi czynami, jakich dokona rano. W pierwszej bitwie był tak przerażony, że do dnia dzisiejszego niczego nie mógł sobie z niej przypomnieć.

Potem jednak przyszło wiele innych starć. Człowiek przyzwyczajają się do strachu. Strach staje się częścią siebie samego, zupełnie jak twój miecz. Nie inaczej myślał strażnik o zbliżającej się bitwie. Nadejdzie poranek, a jeśli los się do ciebie uśmiechnie, tak samo wieczór.

Nagły stukot pik, różnorodność głosów i ogólne zamieszanie wyrwało starego wartownika z filozoficznych rozmyślań. Mamrocząc pod nosem, lecz mimo to czując cień dawnego podniecenia, mężczyzna wysunął głowę z wartowni. - Coś usłyszałem! - wysapał młody strażnik, podbiegając zdyszany. - O tam! Tam! Brzmiało jak brzęk pancerzy całego oddziału!

Inni gwardziści wbijali wzrok w ciemność. Nawet rycerze solamnijscy zaprzestali swego kroczenia i spojrzeli z góry na szeroką aleję, jaka biegła przez bramę od Nowego Miasta do Starego. Pośpiesznie dodano nowe pochodnie do tych, które już płonęły na murach. Rzuciły one jasny krąg światła na ziemię w dole. Blask jednak kończył się w odległości około sześciu metrów, przez co mrok za nim wydawał się jeszcze czarniejszy. Stary

wartownik teraz też już słyszał te dźwięki, lecz nie wpadał w panikę. Był wystarczająco doświadczonym wojakiem, by wiedzieć, że ciemność i lęk potrafią sprawić, że jeden człowiek narobi hałasu jak cały pułk.

Wymaszerował z wartowni i pomachał rękoma, dodając opryskliwie: - Wracać na posterunki!

Młodszy strażnik wrócił na swe stanowiska, mamrocząc pod nosem, ale trzymając broń w pogotowiu. Stary gwardzista stanął zdecydowanie na środku ulicy z dłonią zaciśniętą na rękojeści miecza i czekał.

No i oczywiście, w krąg światła wszedł - nie pułk smokowców - lecz jeden mężczyzna (ale tak ogromny, że mógł wystarczyć za dwóch) i ktoś, kto wyglądał jak kender.

Obaj stanęli, mrużąc oczy w świetle pochodni. Stary wartownik ocenił ich wygląd. Ogromny mężczyzna nie nosił płaszcza i gwardzista widział refleksy światła na zbroi, która niegdyś może lśniła jasno, lecz teraz była pokryta szarym błotem i nawet poczerniała w kilku miejscach. Kender był też wysmarowany błotem - choć wydawało się, że zadał sobie nieco trudu, by oczyścić z niego swe jaskrawoniebieskie nogawice. Wielki mężczyzna utykał podczas marszu i zarówno on, jak i kender sprawiali wrażenie kogoś, kto niedawno brał udział w walce.

Dziwne, pomyślał wartownik. Walki jeszcze się nie zaczęły, a przynajmniej o żadnych jeszcze nie słyszeliśmy.

- Ależ oni obaj opanowani - mruknął stary gwardzista, zauważając, że podczas rozglądania się i oceniania sytuacji olbrzymi mężczyzna spokojnie trzymał dłoń na rękojeści miecza. Kender gapił się na wszystko ze zwykłą kenderską ciekawością. Strażnika przy bramie jednakże nieco zaskoczył widok wielkiej, oprawionej w skórę księgi, którą kender trzymał w objęciach.

- Podać cel przybycia - rzekł wartownik, wychodząc naprzód i stając przed nimi oboma.

- Ja jestem Tasslehoff Burrfoot - powiedział kender, któremu po chwili zmagania się z księgą udało się uwolnić jedną rączkę. Wyciągnął ją do strażnika. - A to mój przyjaciel, Caramon. Jesteśmy z Soi...

- Nasz cel zależy od tego, gdzie jesteśmy - oświadczył z poważną miną, lecz przyjaznym głosem mężczyzna nazwany Caramonem.

- Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, gdzie jesteś? spytał podejrzliwie strażnik.

- Nie pochodzimy z tej części kraju - odparł z całym spokojem ogromny mężczyzna. - Zgubiliśmy mapę. To oczywiste, że kiedy ujrzeliśmy światła miasta, ruszyliśmy w jego

kierunku.

Aha, a ja jestem lord Amothus, pomyślał gwardzista. Jesteście w Palanthas.

Potężny mężczyzna spojrzął za siebie, a potem znów na wartownika, który sięgał mu zaledwie do ramienia. - Więc za nami musi być Nowe Miasto. Gdzie są wszyscy? Przeszliśmy przez całe miasto. Nigdzie nie ma śladu nikogo.

- Jesteśmy w stanie gotowości. - Wartownik machnął głową. - Wszyscy zostali ściągnięci tu, za mury. Uwa - żarn, że chwilowo nie musisz wiedzieć więcej. A teraz, mówże, co was tu sprowadza? I jak to możliwe, że nie wiecie, co się dzieje? Myślałem, że wieść zdążyła się już rozejść na połowę kraju.

Ogromny mężczyzna dotknął swej nie ogolonej szczęki i uśmiechnął się z żalem. - Pełna butelka krasnoludzkiej gorzałki potrafi zatrzeć pamięć o wszystkim. Prawda, kapitanie?

- Prawda - burknął wartownik. Prawdą było też, że oczy tego człowieka były bystre, przenikliwe i wyrażające wytrwałe dążenie do celu oraz zdecydowane postanowienie. Spojrzawszy w te oczy, strażnik pokiwał głową. Widział już takie kiedyś - oczy człowieka, który idzie na śmierć, który wie o tym, i który pogodził się zarówno z wyrokami bogów, jak i ze sobą.

- Wpuścisz nas? - spytał wielki mężczyzna. - Z tego, co widać, domyślam się, że przydałoby wam się jeszcze dwóch wojowników.

- Przydałby nam się ktoś twojej postury - odparł gwardzista. Popatrzył nieprzychylnym wzrokiem na kendera. Ale myślę, że tego tu powinniśmy po prostu zostawić sępom na pożarcie.

- Ja też jestem wojownikiem! - zaprotestował urażony kender. - Raz nawet ocalałem Caramonowi życie! Twarz mu się rozpromieniła. - Czy chciałbyś o tym posłuchać? To precudowna historia. Znajdujemy się w magicznej fortecy. Raistlin zabrał mnie tam po tym, jak zabił mojego przy... Ale mniejsza z tym. W każdym razie, było tam dwóch czarnych krasnoludów i oni napadli na Caramona, a ten się poślizgnął i...

- Otworzyć wrota! - krzyknął stary gwardzista.

- Chodźże, Tas - powiedział ogromny wojownik.

- Ale właśnie dotarłem do najciekawszej części!

- Och, a tak przy okazji - potężny mężczyzna odwrócił się, wpierw zręcznie przyduszając ręką kendera czy możesz mi powiedzieć, którego dziś mamy?

- Trójdzień piątego miesiąca trzysta pięćdziesiątego szóstego roku - rzekł strażnik. - I powinienes poszukać jakiegoś kapłana, żeby zajął się twoją nogą.

- Kapłani - wymamrotał pod nosem zwalisty mężczyzna. - No tak. Zapomniałem.

Teraz już istnieją kapłani. Dziękuję - zawołał, przechodząc przez bramę wraz z kenderem. Wartownik usłyszał jeszcze, jak kender znów zapiszczał, zdoławszy uwolnić się od ręki potężnego mężczyzny.

- Faj! Naprawdę powinieneś się umyć, Caramonie. Mam... blee! O, kurka, błoto w ustach! O czym to ja mówiłem? A, tak, powinieneś być mi pozwolić dokończyć! Właśnie doszedłem do tego fragmentu, gdzie poślizgnąłeś się na krwi i...

Potrząsając głową, wartownik odprowadzał ich obu wzrokiem. - To ci dopiero historia - mruknął, kiedy wielkie wierzeje znów się zatrzasnęły - i założę się, że nawet kender nie potrafiłby wymyślić lepszej.

Rozdział I

Co tam jest napisane, Caramonie? - Tas stanął na palcach, starając się zajrzeć wielkiemu mężczyźnie przez ramię.

- Szszsz! - szepnął poirytowany Caramon. - Czytam. - Potrząsnął ręką. - Puszczaj. - Zwalisty mężczyzna kartkował pośpiesznie Kroniki, które zabrał Astinusowi. Przesłał jednakże odwracać strony i teraz przyglądał się uważnie jednej.

Tas westchnął - w końcu to on niósł tę księgę! - oparł się ciężko o ścianę i powiódł wzrokiem dookoła. Obaj stali pod jednym z tych płonących koszy z węglami, jakimi mieszkańcy Palanthis mieli zwyczaj oświetlać nocą ulice. Był już prawie świt, jak domyślał się kender. Burzowe chmury zasłaniały słońce, lecz miasto nabierało przygnębiającego, szarego koloru. Uliczkami snuła się i wiła mgła unosząca się znad zatoki i przynosząca chłód.

Choć w większości okien paliły się światła, na ulicy było niewielu ludzi. Obywatelom polecono nie wychodzić z domów, chyba że byli członkami oddziałów samoobrony. Tas widział jednakże przyciśnięte do szyb twarze wyczekujących kobiet. Od czasu do czasu przebiegał obok nich jakiś mężczyzna, który ścisnął broń w garści i zmierzał w kierunku frontowej bramy miasta. Raz otworzyły się drzwi domu dokładnie naprzeciwko Tasa. Wyszedł z nich mężczyzna z zardzewiałym mieczem w dłoni. Za nim podążała zapłakana kobieta. Mężczyzna nachylił się i pocałował ją czule, a potem także małe dziecko, które trzymała na rękach. Następnie odwrócił się raptownie i szybko oddalił ulicą. Kiedy mijał Tasa, kender dostrzegł łzy płynące mu po twarzy.

- Och, nie! - mruknął Caramon.

- Co? Co? - krzyknął Tas, podskakując i starając się zobaczyć stronę, którą czytał Caramon.

- Posłuchaj tego: „Rankiem trzeciodnia na niebie nad Palanthis pojawiła się latająca cytadela, którą otaczały oddziały niebieskich i czarnych smoków. A wraz z jej pojawieniem się w przestworzach przed bramami Starego Miasta ukazała się zjawa, na której widok niejeden z weteranów licznych kampanii zbladł ze strachu i odwrócił twarz, pojawił się tam bowiem, jakby stworzony z ciemności samej nocy, lord Soth, Rycerz Czarnej Róży, dosiadający nocnej mary o oczach i kopytach z płomieni. Wartownicy pierzchnęli przed nim w popłochu, a on bez przeszkód podjechał do bram miasta. I tam się zatrzymał.

«Władco Palanthis - zawołał upiorny rycerz głuchym głosem, który dobiegał z królestwa zmarłych - poddaj swe miasto dostojnej pani Kitarze. Oddaj jej klucze do Wieży Najwyższej Magii, nadaj jej miano władczyni Palanthis, a ona pozwoli wam dalej żyć w

pokoju. Oszczędzimy waszemu miastu zniszczeń».

Lord Amothus stanął na murach i spojrzął w dół na upiornego rycerza. Wiele z obecnych przy nim osób tak trzęsło się ze strachu, że nie mogło nawet patrzeć. Niemniej jednak lord - choć sam blady jak trup - stał dumny i wyprostowany, a jego słowa dodawały odwagi tym, którzy ją stracili.

«Zanieś tę odpowiedź swej smoczey władczyni. Palanthas żyło wśród pokoju i piękna od wielu wieków. Nie kupimy jednakże ani pokoju, ani piękna za cenę naszej wolności*.

«W takim razie kupicie je za cenę waszego życia!» krzyknął lord Soth. Jego legiony zmaterializowały się pozornie znikąd - trzynastu szkieletowych wojowników dosiadających koni o oczach i kopytach z płomieni zajęło pozycję za nim. Dalej pokazały się w zaprzężonych w wyverny rydwanach z ludzkich kości banshee - duchy elfich kobiet, które z rozkazu bogów musiały służyć lordowi Sothowi. Trzymały w rękach lodowe miecze, a sam dźwięk ich zawodzenia oznaczał śmierć.

Unosząc dłoń widzialną tylko dzięki rękawicy ze stalowej kolczugi, lord Soth wskazał na zamknięte bramy miasta, które zagrażały mu drogę. Wyrzekł czarnoksiężskie słowo i na jego dźwięk straszliwy ziąb przeniknął wszystkich patrzących, zmrażając bardziej duszę niż krew. Żelazo wrót pobieleło od szronu, potem zmieniło się w lód, a następnie - na kolejny rozkaz Sotha - lodowa brama rozsypała się.

Soth opuścił rękę. Wjechał galopem przez skruszone wrota, a za nim jego legiony.

Po drugiej stronie bramy czekał na niego Tanis Półelf, Bohater Lancy, na grzbiecie spiżowego smoka imieniem Błysk Ognia. Kiedy tylko upiorny rycerz spostrzegł swego przeciwnika, natychmiast chciał go zabić, wykrzykując magiczne słowo mocy «giń!» Tanis Półelf, którego chroniła srebrna bransoleta odporności na magię, nie odczuł skutków owego zaklęcia. Mimo to bransoleta, która ocaliła mu życie podczas pierwszego ataku, nie mogła pomóc mu dłużej...” - Jak to nie mogła pomóc mu dłużej! - wykrzyknął Tas, przerywając czytającemu Caramonowi. - Co to ma znaczyć?

- Cicho! - syknął Caramon i ciągnął dalej: „...pomóc mu dłużej. Dosiadany przezeń spiżowy smok, który nie posiadał magicznej osłony, zginął z rozkazu Sotha, zmuszając Tanisa Półelfa do pieszej walki z upiornym rycerzem. Lord Soth zsiadł ze swego rumaka, by spotkać przeciwnika zgodnie z ustalonymi przez rycerzy solamnijskich regułami walki, które wciąż zobowiązywały upiornego rycerza, choć od dawna już znajdował się poza ich jurysdykcją. Tanis Półelf walczył dzielnie, lecz nie mógł sprostać lordowi Sothowi. Padł śmiertelnie ranny, ugodzony w pierś mieczem upiornego rycerza...” - Nie! - Tas wciągnął powietrze. - Nie! Nie możemy pozwolić, żeby Tanis zginął! - Podniósł rękę i szarpnął

Caramona za ramię. - Chodźmy! Jeszcze jest czas! Możemy go znaleźć i ostrzec...

- Nie mogę, Tas - oświadczył cicho Caramon. - Muszę iść do Wieży. Wyczuwam bliską obecność Raistlina. Nie mam czasu.

- Chyba naprawdę tak nie myślisz! Nie możemy pozwolić, żeby Tanis zginął! - szepnął Tas, wlepiając w Caramona szeroko rozwarte oczy.

- Nie, Tas, my nie możemy - stwierdził Caramon, mierząc kendera poważnym wzrokiem. - To ty go ocalisz.

Ta myśl dosłownie zaparła Tasowi dech w piersi. Kiedy wreszcie odzyskał zdolność mówienia, wydał z siebie zaledwie pisk. - Ja? Ależ, Caramonie, ja nie jestem wojownikiem! Och, wiem, powiedziałem strażnikowi, że...

- Tasslehofie Burrfoot - zaczął surowo Caramon. Przypuszczam, że istnieje taka możliwość, że bogowie zaaranżowali całą tę sprawę wyłącznie dla twojej prywatnej zabawy. Możliwość istnieje - aczkolwiek w to wątpię. Jesteśmy częścią świata i musimy wziąć za niego trochę odpowiedzialności. Teraz to rozumiem. Rozumiem bardzo jasno. - Westchnął tak smutno, że Tas poczuł, że coś go dławi w gardle.

- Wiem, że jestem częścią świata, Caramonie - rzekł żałośnie Tas - i z chęcią wezmę za niego tyle odpowiedzialności, ile wydaje mi się, że zdołam. Ale... chodzi mi tylko o to, że jestem taką niską częścią świata... jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A lord Soth jest taką wysoką i brzydką częścią. Do tego...

Zagrała jedna trąbka, potem druga. Tas i Caramon umilkli i słuchali, dopóki ostre dźwięki surm nie przebrzmiały.

- Już czas, prawda? - powiedział cicho Tas.

- Tak - odparł Caramon. - Pośpiesz się lepiej. Zamknąwszy księgę, włożył ją ostrożnie do starego plecaka, jaki Tasowi udało się „zdobyć” podczas pobytu w opuszczonym Nowym Mieście. Kender zdołał też zdobyć dla siebie kilka nowych sakiewek, jak również parę interesujących przedmiotów, co do których Caramon nie wiedział, że znajdują się w jego posiadaniu i zapewne tak było lepiej. Potem ogromny mężczyzna wyciągnął rękę i położył ją na głowie Tasa, przyglądając jego śmiesznie sterczącą kitkę włosów.

- Żegnaj, Tas. Dziękuję ci.

- Ależ, Caramonie! - Tas przyglądał mu się, poczuwszy się nagle bardzo osamotniony i wprawiony w rozterkę.

- G-gdzie ty będziesz?

Caramon zerknął na niebo, gdzie wznosiła się Wieża Najwyższej Magii niczym czarna wyrwa w burzowych chmurach. W górnych oknach wieży - gdzie znajdowało się

laboratorium - i portal - paliło się światło.

Tas poszedł za jego spojrzeniem i spojrzał w górę na Wieżę. Zobaczył kłębiące się wokół niej burzowe chmury i upiorne błyskawice, które tańczyły wokół niej, bawiąc się nią. Przypomniał sobie swoje jedyne spojrzenie z bliska na zagajnik Shoikan...

- Och, Caramonie! - krzyknął, chwytając wielkiego mężczyznę za rękę. - Caramonie, nie rób tego... zaczekaj...

- Żegnaj, Tas - powiedział Caramon, stanowczo odrywając od siebie uczonego kendera. - Muszę to zrobić. Wiesz, co się stanie, jeśli tego nie uczynię. Ty też wiesz, co do ciebie należy. Pośpiesz się już. Cytadela pewnie jest już nad bramą.

- Ale, Caramonie... - załkał Tas.

- Tas, musisz to zrobić! - wrzasnął Caramon i jego gniewny głos rozniósł się echem po pustej uliczce. - Chcesz pozwolić, żeby Tanis zginął? Nie spróbujesz mu pomóc?

Tas odsunął się od niego. Nigdy przedtem nie widział rozgniewanego Caramona, przynajmniej rozgniewanego na niego. A podczas wszystkich przygód, jakie przeżyli razem, Caramon nigdy nie podniósł na niego głosu. - Nie, Caramonie - powiedział potulnie. - Tylko, że... nie jestem pewny, co ja mogę zrobić...

- Już ty coś wymyślisz - mruknął Caramon i zrobił groźną minę. - Zawsze coś wymyślasz. - Odwrócił się i odszedł, zostawiając niepokieszonego Tasa, który odprowadzał go wzrokiem.

- Do-do widzenia, Caramonie - zawołał do oddalającej się postaci. - Nie-nie zawiodę cię.

Olbrzymi mężczyzna odwrócił się. Kiedy odezwał się, jego głos zabrzmiał śmiesznie. Tas miał wrażenie, jakby wojownik się czymś krztusił. - Wiem, że nie, bez względu na to, co się wydarzy. - Pomachał ręką i znów ruszył ulicą.

Tas widział w oddali głęboki mrok zagajnika Shoikan, mrok, jakiego nigdy nie rozproszy światło dnia, mrok, w którym czają się strażnicy Wieży.

Tas stał przez chwilę i obserwował Caramona, póki nie stracił go z oczu w ciemności. Prawdę mówiąc, żywił nadzieję, że Caramon nagle zmieni zdanie, odwróci się i krzyknie: „Zaczekaj, Tas! Pójdę z tobą ocalić Tanisa!” Jednakże tak nie zrobił.

- Co oznacza, że wszystko zależy ode mnie? - zastanawiał się Tas. - I jeszcze krzyczał na mnie! - Pociągając trochę nosem, odwrócił się i pomaszerował w przeciwnym kierunku, w stronę bramy. Serce uciekło mu w pięty ubłoconych butów, przez co jego trzewiki wydawały się jeszcze cięższe. Absolutnie nie miał pojęcia, jak ma się zabrać do ratowania Tanisa z rąk upiornego rycerza, a im dłużej o tym myślał, tym bardziej niezwykle wydawał mu się fakt, iż

Caramon obciążył go taką odpowiedzialnością.

- Mimo to rzeczywiście ocaliłem życie Caramonowi mruknął Tas. - Może zaczął uświadamiać sobie... Nagle zatrzymał się i stanął na środku ulicy jak wryty.

- Caramon pozbył się mnie! - wykrzyknął. - Tasslehoffie Burrfoot, jesteś mądry jak serce kapusty, co wiele razy powtarzał ci Flint. Pozbył się mnie! On idzie tam zgi - nać! Wysłanie mnie na ratunek Tanisowi było tylko wymówką! - Zrozpaczony i oszalały Tas spojrzął w górę i w dół ulicy. - No i co ja mam teraz zrobić? - wymamrotał. Zrobił krok w stronę Caramona. Wtedy znów usłyszał granie trąbki, tym razem grzmiącej przenikliwą nutą alarmu. Wydawało mu się też, że słyszy, jak przebija się przez nie głos wykrzykujący rozkazy - głos Tanisa.

- Ale jeśli pójde do Caramona, Tanis zginie! - Tas zatrzymał się. Na wpół odwrócony, zrobił krok w stronę Tanisa. Potem znów się zatrzymał, skręcając swą kitkę w korkociąg. Był niezdecydowany. Jeszcze nigdy w życiu kender nie czuł się tak sfrustrowany.

- Obaj mnie potrzebują! - lamentował w udęce. Jak mam dokonać wyboru?

I wtedy - Już wiem! - Czoło mu się wygładziło. Właśnie!

Z wielkim wetchnieniem ulgi Tas odwrócił się gwałtownie i ruszył w kierunku bramy, tym razem biegiem.

- Ocalę Tanisa - wysapał, biegnąc na skróty przez zaułek - a potem wrócę i uratuję Caramona. Tanis może nawet mi się przydać.

Mknąc zaułkiem i płosząc przerażone koty, Tas z irytacją ściągnął brwi. - Ciekawe, ilu to już razem bohaterów musiałem uratować - mruknął do siebie wzgardliwie. - Szczerze mówiąc, zaczynam mieć ich wszystkich trochę dość!

Latająca cytadela pokazała się na niebie nad Palanthas w chwili, gdy zagrzmiały surmy na zmianę warty. Wysokie, kruszące się wieżyczki i blanki, potężne, kamienne mury, rozświetlone okna pełne po brzegi smokowców - wszystko to było wyraźnie widać, gdy spoczywająca na fundamentach z wrzącej, magicznej chmury twierdza zniżyła swój lot.

Na murze otaczającym Stare Miasto stali stłoczeni ludzie - mieszczanie, rycerze, najemnicy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Wszyscy ściskali broń i spoglądali w niebo w zaciekle milczeniu.

W końcu jednak na widok fortecy padło jedno słowo albo raczej kilka.

- Och! - westchnął przejęty Tas, składając ręce i podziwiając widok. - Czyż to nie zachwycające! Zapomniałem już, jak prawdziwie wspaniałą i cudowną rzeczą są latające twierdze! Dałbym wszystko, wszystko, żeby móc przejechać się jedną z nich. - Potem westchnął i otrząsnął się. - Nie teraz, Burrfoot - upomniał się surowo głosem Flinta. - Masz

robotę do wykonania. Patrz - rozejrzał się - tu jest brania. Tam jest cytadela. A tam idzie lord Amothus... Ojej, ależ on okropnie wygląda! Widziałem lepiej wyglądających nieboszczyków. Ale gdzie jest... Ach!

Z głębi ulicy wyłoniła się idąca w stronę Tasa ponura procesja - grupa rycerzy solamnijskich, którzy szli pieszo, prowadząc swe konie. Nikt nie wiwatował, nikt nie rozmawiał. Twarz każdego mężczyzny była poważna i pełna napięcia, każdy z nich wiedział, że maszeruje - zapewne prosto w objęcia śmierci. Wiódł ich człowiek, którego brodate oblicze ostro odcinało się od tła gładko ogolonych, wąsatych twarzy otaczających go rycerzy. Chociaż zakuty był w zbroję Rycerza Róży, nie nosił jej z równą lekkością, co inni.

- Tanis nigdy nie cierpiał zbroi płytowych - rzekł Tas, przyglądając się zbliżającemu przyjacielowi. - A teraz, proszę, nosi zbroję rycerza solamnijskiego. Ciekawe, co by o tym pomyślał Sturm! Chciałbym, żeby Sturm był tu teraz! - Tasowi zaczęła drzeć dolna warga. Łza spłynęła mu ukradkiem po nosie, zanim zdążył ją wytrzeć. - Chciałbym, żeby był tu teraz ktoś dzielny i mądry!

Kiedy rycerze podeszli do bramy, Tanis zatrzymał się i odwrócił do nich, wydając polecenia cichym głosem. Z góry dochodził łopot smoczycy skrzydeł. Tasslehoff podniósł głowę i spostrzegł Khirsaha, który zataczając kręgi, przewodził grupie innych spizowych smoków. No i jeszcze zobaczył cytadelę, która była coraz bliżej murów i ciągle obniżala lot.

- Sturm tu nie ma. Caramona tu nie ma. Nikogo nie ma, Burrfoot - wymamrotał Tas, rezolutnie wycierając oczy. - Znów jesteś zdany na własne siły. I co ja mam teraz robić?

Szalone pomysły przebiegły kenderowi przez głowę od przytknięcia Tanisowi czubka miecza do piersi („Tanisie, ja nie żartuję, trzymaj ręce w górze!”) do uderzenia go w głowę ostrym kamieniem („Ee, wiesz co, Tanisie, może zechciałbyś zdjąć na chwilę hełm?”). Tas był na tyle zdesperowany, że rozważał nawet możliwość powiedzenia prawdy („Widzisz, Tanisie, cofnęliśmy się w czasie, potem poleciliśmy w przyszłość, gdzie Caramon wyrwał tę księgę Astinusowi w chwili, gdy świat się kończył, i w przedostatnim rozdziale jest opisane, jak zginąłeś i...”). Nagle Tas zobaczył, że Tanis podnosi prawą rękę. Coś błysnęło srebrzyście...

- Właśnie - rzekł Tas, wzdychając z niezmierną ulgą. - Właśnie tak zrobię... to, co robię najlepiej...

- Bez względu na to, co się stanie, rozprawienie się z lordem Sothem zostawcie mnie - oświadczył Tanis, patrząc posepnie na rycerzy, którzy go otaczali. - Chcę, żebyście złożyli przysięgę na kodeks i regułę.

- Wielmożny panie Tanisie... - zaczął pan Markham.

- Nie, nie zamierzam się spierać, panie rycerzu. W walce z nim bez magicznej ochrony nie masz najmniejszej szansy. Każdy z was będzie potrzebny do walki z jego legionami. Teraz złożcie przysięgę, albo rozkażę wam opuścić pole walki. Przysięgnijcie!

Zza zamkniętych wrót dobiegł ich głęboki, głuchy głos domagający się poddania Palanthas. Rycerze zerknęli na siebie nawzajem, czując, jak ich przechodzą ze strachu ciarki na dźwięk tego nieludzkiego głosu. Zapadła chwila ciszy, przerywana tylko łopotem smoczycy skrzydeł w górze, bowiem olbrzymie stworzenia - spiżowe, srebrne, niebieskie i czarne krążyły po niebie i mierzyły się wrogim wzrokiem, czekając na sygnał do boju. Smok Tanisa, Khirsah, unosił się w powietrzu w pobliżu swego jeźdźcy, gotów wylądować na jego rozkaz.

I wtedy usłyszeli głos lorda Amothusa - spięty i drżący, lecz silny i stanowczy - udzielający odpowiedzi upiornemu rycerzowi. - Zanieś tę odpowiedź swej smoczej władczyni. Palanthas żyło wśród pokoju i piękna od wielu wieków. Nie kupimy jednakże ani pokoju, ani piękna za cenę naszej wolności.

- Przysięgam - powiedział cicho pan Markham - na kodeks i regułę.

- Przysięgamy - krzyknęli rycerze zgromadzeni za nim.

- Dziękuję wam - rzekł Tanis, spoglądając na każdego ze stojących przed nim młodych mężczyzn i myśląc, że większość długo już nie pożyje... Myśląc, że on sam... Gniewnie pokręcił głową. - Błysku Ognia... - Tanis miał już na wargach słowa, które miały wezwać jego smoka, gdy usłyszał zamieszanie, które wybuchło na tyłach szeregu rycerzy.

- Auu! Zejdź mi z nogi, ty wielki bydlaku!

Zarżał koń. Tanis usłyszał przekleństwa jednego ze swoich rycerzy, a potem piskliwy głos odpowiadający niewinnie: - Cóż, to nie moja wina! Twój koń nadepnął na mnie! Flint miał rację co do tych głupich zwierzaków...

Pozostałe konie, czując wiszącą w powietrzu bitwę i już będąc zarażone niepokojem swych jeźdźców, zastrzygły uszami i parsknęły nerwowo. Jeden wyłamał się z szeregu i przebiegał nogami, podczas gdy jego jeździec szarpał za wodze.

- Uspokójcie te konie! - zawołał zdenerwowany Tanis. - Co tam się dzieje...

- Przepuście mnie! Zejdźcie mi z drogi. Co? Ten sztylet jest twój? Musiałeś go upuścić...

Tanis usłyszał za bramą głos upiornego rycerza.

- Zapłacicie za nie swym życiem!

A z przodu szeregu odezwał się inny głos.

- Tanisie, to ja, Tasslehoff!

Serce zamarło półelfowi. W tym momencie wcale nie był pewien, który głos przejął go większym chłodem.

Wyglądało jednak na to, że nie ma czasu na rozmyślanie ani zastanawianie się. Obejrzawszy się przez ramię, Tanis zobaczył, jak wrota zmieniają się w lód i rozsypują...

- Tanisie! - Ktoś złapał go za rękę. - Och, Tanisie! - Tas trzymał go w kurczowym uścisku. - Tanisie! Musisz pójść szybko i uratować Caramona! On idzie do zagajnika Shoikan!

Caramon? Caramon nie żyje!, taka była pierwsza myśl Tanisa. Ale przecież Tas też nie żyje. Co tu się dzieje? Czyżbym oszalał ze strachu?

Ktoś krzyknął. Rozglądając się w oszołomieniu, Tanis spostrzegł, że twarze rycerzy pod hełmami bledną śmiertelnie i wiedział już, że lord Soth ze swymi legionami przekroczył bramę.

- Na koń! - zawołał, rozpaczliwie starając się uwolnić od kendera, który uczeplił się go jak rzep psiego ogona.

- Tas! To nie jest czas na... precz stąd, do diabła!

- Caramon zginie!-zawodził Tas. - Musisz go uratować!

- Caramon... już... nie żyje! - warknął Tanis. Khirsah wylądował obok niego z bojowym okrzykiem.

Pozostałe smoki - złe i dobre - wrzasnęły gniewnie, rzucając się na siebie. Błysnęły szpony. W jednej chwili zaczęła się bitwa. Przystworza wypełnił błysk piorunów i zapach kwasu. W górze rozległo się granie rogów latającej cytadeli. Słysząc było radosne okrzyki smokowców, które z zapalem zaczęły zeskakiwać do miasta, rozpościerając skórzaste skrzydła, by złagodzić upadek.

A lord Soth zbliżał się coraz bardziej, rozsiewając chłód śmierci bijący od jego niematerialnego ciała.

Jednakże jakkolwiek Tanis by się starał, nie potrafił pozbyć się Tasa. Wreszcie półelf zaklął pod nosem i złapał wijącego się kendera. Chwyciwszy Tasa wpół, Tanis cisnął go w kąt pobliskiego zaułku, tak zły, że dosłownie dusił się z wściekłości.

- I nie wychodź stamtąd! - ryknął.

- Tanisie! - błagał Tas. - Nie możesz tam pójść! Zginiesz. Ja wiem!

Posławszy mu ostatnie, pełne złości spojrzenie, Tanis obrócił się na pięcie i oddalił biegiem. - Błysku Ognia! krzyknął. Smok podleciał i wylądował przy nim na ulicy.

- Tanisie! - wrzasnął przenikliwie Tas. - Nie możesz walczyć z lordem Sothem bez bransolety!

Rozdział II

Bransoleta! Tanis popatrzył na swój nadgarstek. Bransoleta znikła! Obracając się gwałtownie, Tanis rzucił się w stronę kendera. Jednakże było już za późno. Tasslehoff pędził drogą w takim tempie, jakby jego życie zależało od tego. (Co było pewnie prawdą, jak domyślił się Tas po zauważeniu wścieklej miny Tanisa.) - Tanisie! - zawołał pan Markham.

Tanis odwrócił się. Lord Soth siedział na swej nocnej marze obramowany szczątkami strzaskanych wrót Palanthas. Spojrzenie jego płomiennych oczu padło na Tanisa i zatrzymało się. Nawet z tej odległości Tanis czuł, jak jego dusza kona ze strachu otaczającego żywe trupy.

Co mógł zrobić? Nie miał bransolety. Bez niej nie będzie miał żadnej szansy. Absolutnie żadnej! Dzięki niech będą bogom, pomyślał Tanis w tym ułamku sekundy, dzięki bogom, że nie jestem rycerzem zobowiązanym zginąć z honorem.

- Uciekajcie! - rozkazał wargami tak zdrtwiałymi, że ledwo mógł mówić. - Uciekajcie! Niczego nie zdzia - łacie przeciwko nim! Pamiętajcie o swej przysiędze! Wycofajcie się! Oddajcie życie w walce z żywymi...

W chwili gdy to mówił, wylądował przed nim smokowiec, którego gadzią twarz wykrzywił krwiożerczy grymas. Przypomniawszy sobie w samą porę, żeby nie dźgać potwora, którego ohydne ciało zmieni się w kamień i uwięzi miecz swego zabójcy, Tanis uderzył go w twarz ręką i kopnął w brzuch, a następnie przeskoczył nad walącym się na ziemię stworem.

Za swymi plecami słyszał kwik przerażonych koni i stukot kopyt. Miał nadzieję, że rycerze wykonali jego ostatni rozkaz, ale nie miał dość czasu, żeby się obejrzeć. Jeszcze istniała szansa. Jeśli tylko zdoła złapać Tasa i magiczną bransoletę... - Kender! - krzyknął do smoka, pokazując na biegnącą szybko maleńką postać w głębi ulicy.

Khirsah zrozumiał i natychmiast wzbił się w powietrze, czubkami skrzydeł muskając budynki podczas lotu szeroką ulicą i zwalając kamienie oraz cegły w trakcie pościgu.

Tanis biegł za smokiem. Nie rozglądał się. Nie musiał. Przejmujące krzyki i wrzaski, które słyszał, mówiły mu, co się działo.

Tego poranka śmierć jechała ulicami Palanthas. Armia upiorów z lordem Sothem na czele wpadła przez bramę niczym zimny wicher, mroząc wszystko, co stało na jej drodze.

Do czasu gdy Tanis dogonił smoka, Khirsah miał już Tasa w zębach. Trzymając kendera głową do dołu za siedzenie niebieskich portek, smok potrząsał nim jak najgorliwszy z więziennych strażników. „Zdobyczne” sakwy Tasa pootwierały się i wysypały się z nich na

ulicę deszcz pierścionków i łyżek, uchwyt do serwetek oraz pół gomółki sera.

Ale nie srebrna bransoleta.

- Gdzie ona jest, Tas? - spytał rozwścieczony Tanis, sam mając ochotę potrząsnąć kenderem.

- N-n-ni-g-g-d-dy... n-n-ni-e... z-z-n-naj-d-dzie-sz-sz j-je-ej-jj - odparł kender, podzwaniając zębami.

- Postaw go na ziemi - polecił smokowi Tanis. Błysku Ognia, stań na straży.

Latająca cytadela zatrzymała się nad murami miasta, a czarodzieje i kapłani ciemności toczyli bój z atakującymi ich srebrnymi i spiżowymi smokami. Trudno było cokolwiek zobaczyć z powodu oślepiających błysków piorunów i rozprzestrzeniającej się zasłony dymu, lecz Tanis był pewny, że na ułamek sekundy mignął mu w oczach niebieski smok opuszczający cytadelę. Kitiara, pomyślał - ale nie miał czasu, żeby się o nią martwić.

Khirsah upuścił Tasa (prawie na głowę), rozłożył skrzydła i odwrócił się ku południowej części miasta, gdzie gromadził się nieprzyjaciel i gdzie obrońcy miasta dzielnie stawiali mu opór.

Zbliżywszy się, Tanis popatrzył z góry na małego winowajcę, który wstał i odpowiedział mu wyzywającym spojrzeniem.

- Tasslehoffie - rzekł Tanis głosem drżącym od powstrzymanego gniewu - tym razem posunąłeś się za daleko. Ta psota może kosztować życie setki niewinnych ludzi. Oddaj mi bransoletę i wiedz, że od tej pory nasza przyjaźń się kończy!

Spodiewając się jakiś głupich wykretów albo chlipania i przeprosin, półelf nie był przygotowany na widok Tasa, który stał dumnie naprzeciwko niego z bladym obliczem i drżącymi wargami.

- To bardzo trudno wyjaśnić, Tanisie, i naprawdę nie mam na to czasu. Jednakże twoja walka z lordem Sothem niczego nie zmieniłaby. - Popatrzył szczerze na półelfa. Musisz mi uwierzyć. Mówię prawdę. Nie miałyby żadnego znaczenia. Wszyscy ci ludzie, którzy polegą, i tak polegliby, i ty też zginąłbyś, a - co gorsza - zginąłby cały świat. Ale nie zginąłeś, więc może tak się nie stanie. A teraz powiedział stanowczo Tas, poprawiając i obciążając swoje ubranie oraz sakwy - musimy uratować Caramona.

Tanis wlepił wzrok w Tasa, LI potem zmęczonym gestem podniósł rękę i ścia_gnął nagrany słońcem, stalowy hełm z głowy. Nie miał zielonego pojęcia, co tu się dzieje. W porządku, Tas - rzekł znużonym głosem. - Opowiedz mi o Caramonie. Żyje? Gdzie jest?

Twarz Tasa wykrzywił grymas z troskania. - Właśnie o to chodzi. On może nie żyć. Przynajmniej już wkrótce. Próbuje wejść do zagajnika Shoikan!

- Do zagajnika! - Tanis miał przerażoną minę. To niemożliwe!

- Wiem! - Tas szarpał się nerwowo za kitkę. - Ale on próbuje dostać się do Wieży Najwyższej Magii, żeby powstrzymać Raistlina...

- Rozumiem - mruknął Tanis, rzucając hełm na ulicę. - Albo przynajmniej zaczynam rozumieć. Chodźmy. Którędy?

Tas rozpromienił się. - Idziesz? Wierzysz mi? Och, Tanisie! Tak się cieszę! Nie masz pojęcia, jaką ogromną odpowiedzialnością jest opiekowanie się Caramonem. Tędy! wykrzyknął, z zapalem pokazując ręką właściwy kierunek.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie uczynić, Półelfie? - spytał Khirsah, machając skrzydłami i z niecierpliwością wznosząc oczy ku niebu, na którym toczyła się bitwa.

- Nie, chyba że potrafisz wejść do zagajnika. Khirsah potrząsnął głową. - Przykro mi, Półelfie. Nawet smoki nie mogą wejść do tego przekłętego lasu. Życzę ci powodzenia, lecz nie spodziewaj się, że zastaniesz przyjaciela żywego.

Z łopotem skrzydeł smok odbił się od ziemi i poleciał w tę stronę, gdzie rozgrywała się bitwa. Potrząsnawszy głową z powagą, Tanis ruszył ulicą szybkim krokiem, a Tas biegł za nim, żeby dotrzeć mu tempa.

- Może Caramon nawet nie dotarł do celu - powiedział z nadzieją w głosie Tas. - Ja nie zdołałem, kiedy byłem tu ostatni raz z Flintem. A kenderzy nie boją się niczego!

- Twierdzisz, że on próbuje zatrzymać Raistlina? Tas pokiwał głową.

- W takim razie dotrze - rzekł ponuro Tanis.

Samo zbliżenie się do zagajnika Shoikan wymagało już od Caramona odwagi i tupetu. Tak się złożyło, że zdołał podejść bliżej niż jakikolwiek inny żywy śmiertelnik, który nie posiadał amuletu pozwalającego na bezpieczne przejście. Teraz Caramon stał przed tymi ciemnymi, milczącymi drzewami, dygocąc, oblewając się potem i starając zdobyć się na jeszcze jeden krok.

- Tam czeka mnie śmierć - szepnął do siebie, oblizując spierzchnięte wargi. - Ale cóż to za różnica? Patrzyłem już przedtem śmierci w oczy setki razy! - Zacisnąwszy w garści rękojeść miecza, Caramon wysunął stopę naprzód.

- Nie, nie zginę! - krzyknął do lasu. - Nie mogę zginąć. Zbyt wiele zależy ode mnie. I nie zatrzymaj ą mnie... drzewa!

Wysunął do przodu drugą stopę.

- Przemierzałem już mroczniejsze zakątki - nie przestawał przemawiać wyzywająco - kroczyłem przez las Wayreth. Chodziłem po umierającym Krynnie. Widziałem koniec świata. Nie - ciągnął stanowczo - w tym lesie nie ma takich potworów, których nie umiałbym

pokonać.

Z tymi słowami Caramon zrobił krok naprzód i zanurzył się w zagajnik Shoikan.

Natychmiast pogrzyżył się w ciemności. To było tak, jakby znów był w Wieży, kiedy oślepiło go zaklęcie Crysanii. Tylko tym razem był sam. Ogarnęła go panika. W tym mroku istniało życie! Okropne, przeklęte życie, które nie było wcale życiem, lecz żyjącą śmiercią... Mięśnie mu zwiotczały. Wojownik osunął się na czworaki, szlochając i trzęsąc się z przerażenia.

- Jesteś nasz! - szeptały ciche, syczące głosy. - Twoja krew, twoje ciepło, twoje życie! Nasze! Nasze! Podejdź bliżej. Przynies nam swoją słodką krew, swoje ciepłe ciało. Nam jest zimno, zimno, tak nieznośnie zimno. Podejdź bliżej, podejdź bliżej.

Caramona ogarnęła zgroza. Wystarczyłoby tylko, żeby zawrócił i zaczął biec, a zdołałby uciec... - O, nie - rzu - cił w głąb syczącej i duszącej go ciemności - muszę zatrzymać Raistlina! Muszę... iść... dalej.

Po raz pierwszy w życiu Caramon sięgnął głęboko do swego wnętrza i znalazł tam tę samą niezłomną siłę, jaka pozwoliła jego bliźniakowi pokonać słabość, ból, a nawet samą śmierć, żeby osiągnąć swój cel. Zaciskając zęby, nie mogąc ustać na nogach, a jednocześnie zdecydowany iść dalej, Caramon zaczął pełzać po ziemi, odpychając się kolanami i rękoma.

Była to śmiała próba, lecz nie zaprowadziła go daleko. Wbijając wzrok w ciemność, Caramon patrzył z paraliżującą fascynacją, jak spod ziemi wynurza się bezcielesna ręka. Zimne i gładkie jak marmur palce zacisnęły się na jego ręce i zaczęły go ciągnąć w dół. Rozpaczliwie starał się wyrwać, lecz pochwyciły go następne dłonie, których paznokcie rozrywały mu ciało. Poczuł, że jest wciągany pod powierzchnię ziemi. Syczące głosy szeptały mu do uszu, kościste wargi przyciskały się do jego ciała. Chłód zmroził mu serce.

- Zawiodłem...

- Caramonie - rozległ się zatroskany głos. Caramon drgnął.

- Caramonie? - A potem: - Tanisie, on odzyskuje przytomność!

- Dzięki niech będą bogom!

Caramon otworzył oczy. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał twarz brodatego półelfa, który przyglądał mu się z wyrazem ulgi zmieszanej z zaskoczeniem, zdumieniem i podziwem.

- Tanisie! - Siadając chwiejnie, wciąż jeszcze zdrętwiały ze zgrozy, Caramon pochwycił przyjaciela w silne ramiona i uściskał go mocno, szlochając z ulgi.

- Mój przyjacielu! - powiedział Tanis, a potem jemu samemu łyzy ścisnęły gardło i uniemożliwiły powiedzenie czegokolwiek więcej.

- Dobrze się czujesz, Caramonie? - spytał wiszący w pobliżu Tas.

Ogromny mężczyzna zaczerpnął urywany oddech. - Tak - rzekł, spuszczać głowę w drżące dłonie. - Chyba tak.

- To był najdzielniejszy czyn, jaki widziałem - oświadczył z całą powagą Tanis, odchylając się do tyłu, by przykucnąć na piętach, i przyglądając się uważnie Caramonowi. - Najdzielniejszy... i najgłupszy.

Caramon zaczerwienił się. - Aha - mruknął - no wiesz, znasz mnie.

- Kiedyś' owszem - rzekł Tanis, drapiąc się po brodzie. Obrzucił spojrzeniem wspaniałą sylwetkę ogromnego mężczyzny, jego opaloną na złoto skórę i zauważył na jego twarzy wyraz spokojnej, zdecydowanej stanowczości. Do licha, Caramonie! Miesiąc temu zwałeś mi się pod nogi pijany jak bela! Brzuch praktycznie włókł ci się po podłodze! A teraz...

- Minęły wieki, Tanisie - odparł Caramon, powoli wstając z pomocą Tasa. - Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Co się jednak stało? Jak się wydostałem z tego okropnego miejsca? - Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył cienie drzew daleko, na końcu ulicy i nie mógł powstrzymać drżenia.

- Znalazłem cię - powiedział Tanis, wstając. - Oni... te stwory... wciągały cię pod ziemię. Nie zaznałbyś tam spokojnego odpoczynku, mój przyjacielu.

- Jak się tam dostałeś?

- Dzięki temu - oświadczył Tanis, uśmiechając się i podnosząc srebrną bransoletę.

- Pozwoliła ci wejść? W takim razie może...

- Nie, Caramonie - powiedział Tanis, starannie chowając bransoletę za pasek i zerkając kątem oka na Tasa, który robił nadzwyczaj niewinną minę. - Jej magia wystarczyła zaledwie na tyle, bym mógł dojść do obrzeża tego przeklętego lasu. Czułem, jak jej moc gaśnie...

Z oblicza Caramona znikł pełen zapału wyraz. - Próbowałem też naszego magicznego urządzenia - oświadczył, patrząc na Tasa. - Ono również nie działa. Nie spodziewałem się jednak po nim wiele. Nie chciało nas przenieść nawet przez las Wayreth. Musiałem jednak spróbować. Nawet... nawet nie potrafiłem sprawić, żeby się przemieniło!

Niemal rozsypało mi się w rękach, więc zostawiłem je w spokoju. - Milczał przez chwilę, a potem wykrzyknął głosem drżącym z rozpaczy: - Tanisie, ja muszę dotrzeć do Wieży! - Zaciśnął pięści. - Nie potrafię tego wyjaśnić, ale widziałem przyszłość! Muszę wejść do portalu i zatrzymać Raistlina. Jestem jedyną osobą, która może to zrobić!

Zaskoczony Tanis położył dłoń na ramieniu wielkiego mężczyzny i poklepał go. - Tyle mi powiedział Tas. Ale tam jest Dalamar... i... jak, na bogów, w ogóle mógłbyś wejść do

portalu?

- Tanisie - rzekł Caramon, spoglądając na przyjaciela z tak poważną i stanowczą miną, że półelf zamrugał oczami ze zdumienia - ty nie potrafisz tego zrozumieć, a ja nie mam czasu na wyjaśnienia. Musisz mi jednak uwierzyć. Ja muszę wejść do tej Wieży!

- Masz rację - stwierdził skonsternowany Tanis po chwili przyglądania się Caramonowi w osłupieniu - nie rozumiem. Jednak pomogę ci, jeśli potrafisz i jeśli jest to w ogóle możliwe.

Caramon westchnął ciężko, spuszczać głowę i zwieszając ramiona.- Dziękuję ci, przyjacielu - odrzekł po prostu. - Przez cały ten czas byłem taki osamotniony. Gdyby nie Tas...

Obejrzał się na kendera, ale Tas nie słuchał. Z ogromną fascynacją wlepił wzrok w latającą cytadelę, która wciąż unosiła się nad murami miasta. Bitwa gorzała w otaczających ją przestworzach wypełnionych smokami, a także w dole na ziemi, co można było wywnioskować z grubych słupów dymu wznoszącego się znad południowej części miasta, krzyków i wrzasków, zgiełku oręża i stukotu końskich kopyt.

- Mogę się założyć, że tą fortecą dałoby się dolecieć do Wieży - stwierdził Tas, przyglądając jej się z zaciekawieniem. - Siuup! Nad samym zagajnikiem. W końcu jej magia jest zła i magia zagajnika jest zła i jest całkiem duża - to znaczy cytadela, nie magia. Pewnie trzeba byłoby sporo czarów, żeby ją zatrzymać i...

- Tas!

Kender odwrócił się i stwierdził, że zarówno Caramon, jak i Tanis wbijają w niego wzrok.

- Co? - krzyknął zaniepokojony. - Ja tego nie zrobiłem! To nie moja wina...

- Gdybyśmy tylko mogli tam się dostać! - Tanis popatrzył na cytadelę.

- Urządzenie magiczne! - wykrzyknął z podnieceniem Caramon, wydobywając je z wewnętrznej kieszeni koszuli, jaką nosił pod zbroją. - To nas tam zabierze!

- Gdzie nas zabierze? - Tasslehoff nagle uświadomił sobie, że coś się dzieje. - Zabierze... - Poszedł za spojrzeniem Tanisa. - Tam? Tam! Do latającej fortecy! Ale cudownie! Jestem gotów. Chodźmy! - Jego spojrzenie padło na magiczny przedmiot, który Caramon trzymał w ręku. Ale to może zabrać tylko dwie osoby. Jak Tanis tam się dostanie?

Caramon chrząknął z zakłopotaniem i kenderowi zaświtała w głowie odpowiedź.

- Och, nie! - jęknął Tas. - Nie!

- Przykro mi, Tas - rzekł Caramon, drżącymi dłońmi zmieniając mały, nie rzucający się w oczy wisior w lśniące, wysadzone klejnotami berło - ale czeka nas dość ciężka walka,

żeby dostać się tam do środka...

- Musisz mnie zabrać, Caramonie! - krzyknął Tas. To był mój pomysł! Potrafię się bić! - Poszukawszy czegoś przy pasku, wyciągnął swój mały nożyk. - Ocaliłem ci życie! Ocaliłem życie Tanisowi!

Zgadując po minie Caramona, że wielki mężczyzna będzie się upierać, Tas zwrócił się do Tanisa i objął go błagalnie. - Zabierzcie mnie ze sobą! Może to urządzenie uniesie trzech ludzi, a raczej dwóch ludzi i kendera. Jestem mały. Może mnie nie zauważy! Proszę!

- Nie, Tas - oświadczył zdecydowanie Tanis. Wyplątawszy się z uścisku kendera, podszedł do Caramona i stanął obok niego. Uniósł grożąco palec i ostrzegł kendera spoj - rzeniem, które Tas dobrze znał. - I tym razem mówię naprawdę serio!

Tas stał z miną tak żalną, że Caramonowi serce się krajało. - Tas - powiedział cicho, przyklękając obok zrozpaczonego kendera - widziałeś, co się stanie, jeśli nam się nie uda! Tanis jest mi potrzebny. Potrzebuję jego siły, jego miecza. Rozumiesz, prawda?

Tas starał się uśmiechnąć, lecz drżała mu dolna warga. - Tak, Caramonie, rozumiem. Przepraszam.

- Ale muszę przyznać, że to rzeczywiście był twój pomysł - dodał z całą powagą Caramon, wstając.

Chociaż ta myśl zdawała się pocieszyć kendera, dodała niewiele pewności półelfowi. - Z jakiegoś powodu - mruknął Tanis - mnie to niepokoi. Tak samo mina kendera. Tas - Tanis przybrał swój najsurowszy wyraz twarzy, gdy Caramon znów stanął obok niego - obiecuj mi, że poszukasz jakiegoś bezpiecznego miejsca, zostaniesz tam i będziesz się trzymał z dala od kłopotów! Obiecujesz?

Oblicze Tasa odzwierciedlało jego wewnętrzny konflikt - kender przygryzał wargi, ściągnął brwi i skręcił kitkę aż do czubka głowy. Potem - niespodziewanie - oczy mu się rozszerzyły. Tas uśmiechnął się i wypuścił włosy, które spadły mu na plecy. - Oczywiście, że obiecuję, Tanisie - powiedział z wyrazem tak szczerzej niewinności, że półelf aż jęknął.

Nic na to jednak nie mógł teraz poradzić. Caramon już recytował zaklęcie i manipulował urządzeniem. Ostatnią rzeczą, jaką Tanis ujrzał, zanim rozpuścili się w skłębionych oparach magii, był Tasslehoff, który stał na jednej nodze, pocierając tył łydki drugą stopą i z radosnym uśmiechem na twarzy machał im na pożegnanie.

Rozdział III

Błysk Ognia! - powiedział Tas do siebie, gdy tylko Tanis i Caramon zniknęli mu z oczu.

Kender zawrócił i pobiegł ulicą w kierunku południowej części miasta, gdzie toczyły się najcięższe walki. - Bo z pewnością tam - rozumował - biją się smoki.

I wtedy do Tasa dotarło, że jego plan ma jedną wadę.

- Do licha! - mruknął, zatrzymując się i gapiąc w niebo, na którym roiło się od warczących, drapiących, gryzących i zionących na siebie nawzajem wściekle smoków. - Jak ja go teraz znajdę w tym zamieszaniu?

Nabierając głęboko tchu w przyływie rozpacz, Tas natychmiast się zakrztusił i zakaszał. Po rozejrzeniu się stwierdził, że w powietrzu unosi się okropnie dużo dymu i że uprzednio szare od świtu wstającego pod burzowymi chmurami niebo jarzy się ognistą łuną.

Palanthas płonęło. - To raczej nie jest bezpieczne miejsce - mruknął Tas.

- A Tanis kazał mi poszukać bezpiecznego miejsca. A naj - bezpieczniejsze miejsce, jakie znam, jest przy nim i Caramonie, którzy są teraz tam na górze, na cytadeli i pewno pakują się bez przerwy w tarapaty, a ja tu utkwilem w płonącym, plądrowanym i obracanym w perzynę mieście. Kender mocno się zastanowił. - Już wiem! - stwierdził nagle. - Pomodłę się do Fizbana! Parę razy pomogło, w każdym razie, wydaje mi się, że pomogło. Niemniej jednak nie może zaszkodzić.

Zauważywszy patrol smokowców idący ulicą i nie życząc sobie, żeby mu przeszkadzano, Tas czmychnął w zaułek, gdzie skulił się za stertą odpadków i spojrzał w niebo. Fizbanie - rzekł z namaszczeniem - już pora! Jeśli się z tego nie wydostaniemy, to możemy równie dobrze wrzucić srebro do studni i zamieszkać kątem u kurczaków, jak zwykła mawiać moja mama, a - choć nie jestem zbyt pewien, co miała na myśli - brzmi to z całą pewnością groźnie. Muszę znaleźć się tam, gdzie Tanis i Caramon. Ty wiesz, że oni sobie beze mnie nie poradzą. A żeby tego dokonać, potrzebuję smoka. To w końcu nie tak wiele. Mógłbym zażyczyć sobie o wiele więcej - na przykład, żebyś darował sobie pośrednictwo i zaniósł mnie tam osobiście. Jednak tego nie zrobiłem. Proszę tylko o jednego smoka. Nic więcej.

Tas czekał.

Nic się nie stało.

Westchnąwszy z irytacją, Tas spojrzał groźnym okiem na niebo i poczekał jeszcze chwilę.

Wciąż nic.

Tas znów westchnął. - Dobrze, przyznaję się. Oddałbym zawartość jednej sakiewki, no może nawet dwóch, za szansę polatania tą fortecą. Oto cała prawda. W każdym razie reszta prawdy. No i zawsze znajdowałem ci kapelusz...

Jednakże pomimo tak wielkodusznego gestu nie pojawił się żaden smok.

Wreszcie Tas zrezygnował. Kiedy zdał sobie sprawę, że patrol smokowców już go wyminął, wstał zza sterty śmieci i wyszedł z zaułka na ulicę.

- Cóż, Fizbanie - wymamrotał - przypuszczam, że jesteś zajęty i...

W tym momencie ziemia pod nogami Tasa zadrżała, w powietrze wzbity się odłamki potrzaskanych kamieni, cegieł i gruzu; dźwięk przypominający grzmot ogłuszył kendera, a potem... zapadła cisza.

Tas pozbierał się, otrzepał kurz ze swych nogawic i starał się rozejrzeć wśród dymu i gruzów, by zobaczyć, co się stało. Przez chwilę podejrzewał, że mógł zawalić się na niego kolejny budynek, jak w Tarsis. Wtedy jednak spostrzegł, że to nie była prawda.

Na środku ulicy leżał na grzbiecie spiżowy smok. Broczył krwią. Jego rozłożone na długość przecznicy skrzydła zgmiotły parę gmachów, a ogon spoczywał na kilku następnych. Ślepia miał zamknięte, boki oznaczone licznymi śladami oparzeń i wydawał się nie oddychać.

- No wiesz - stwierdził poirytowany Tas, patrząc na smoka - nie o to mi chodziło!

W tej chwili jednakże smok poruszył się. Jedno oko drgnęło, otworzyło się i zdawało się przyglądać kenderowi, jakby rozpoznając go przez mgłę.

- Błysk Ognia! - wysapał Tas, obiegając jedną z olbrzymich łap, by spojrzeć rannemu smokowi w oko. - Szukałem cię! Czy... czy jesteś ciężko ranny?

Młody smok zamierzał odpowiedzieć, gdy obu ich przykrył głęboki cień. Khirsah gwałtownie otworzył oba ślepia, warknął cicho i z trudem próbował unieść łeb, lecz wysiłek okazał się dla niego zbyt wielki. Tas podniósł głowę i zobaczył wielkiego, czarnego smoka, który leciał ku nim najwyraźniej z zamiarem dobicia swej ofiary.

- O, nie, jeszcze czego! - mruknął Tas. - To mój spiżowy smok! Fizban mi go zesłał. Tylko jak się walczy ze smokami?

Kenderowi przyszły na myśl historie o Humie, ale dużo mu to nie pomogło, bowiem nie miał smoczej lancy ani nawet miecza. Wyciągnąwszy swój nożyk, popatrzył nań z nadzieją, a później potrząsnął głową i znów schował go za pasek. Cóż, będzie musiał poradzić sobie najlepiej, jak umie.

- Błysku Ognia - polecił smokowi podczas wspinaczki po szerokim, pokrytym łuskami

brzuchu stworzenia ty tylko leż i bądź cicho, dobrze? Tak, dobrze wiem, że chcesz zginąć z honorem w walce z wrogiem. Miałem przyjaciela, który był rycerzem solamnijskim. W tej chwili jednakże nie możemy sobie pozwolić na honor. Mam jeszcze dwóch innych przyjaciół, którzy żyją, ale mogą wkrótce przestać, jeśli nie pomożesz mi się do nich dostać. Poza tym, raz już ci ocaliłem życie dziś rano, choć zapewne w tym momencie to nie jest takie oczywiste, i jesteś mi coś za to winny.

Tas nie miał pewności, czy Khirsah zrozumiał i był posłuszny rozkazowi, czy po prostu stracił przytomność. W każdym razie nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Stanąwszy na szczycie smoczego brzucha, sięgnął głęboko do jednej ze swoich kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma tam coś przydatnego i natrafił na srebrną bransoletę Tanisa.

- Kto by przypuszczał, że tak niedbale będzie się z nią obchodził - mruknął pod nosem Tas, nakładając ją sobie na ramię. - Musiał ją upuścić, kiedy zajmował się Caramonem. Całe szczęście, że ją podniosłem. A teraz... Uniósł rękę i wymierzył nią w czarnego smoka, który wisiał nad jego głową z rozdziawioną paszczą, gotowy splunąć na swą ofiarę morderczym kwasem.

- Stój! - krzyknął kender. - Te smocze zwłoki należą do mnie! Znalazłem je. Właściwie... poniekąd one znalazły mnie. Prawie wgniotły mnie w ziemię. Więc zmykaj stąd i nie psuj ich tym swym paskudnym zionięciem!

Zdumiona czarna smoczyca zatrzymała się i popatrzyła w dół. Zdarzało się dość często, że odstępowała tę czy inną zdobycz smokowcom lub goblinom, lecz - do licha - nigdy jeszcze kenderowi! Ona również została ranna w walce i kręciło jej się w głowie z powodu dużego upływu krwi oraz uderzenia w nos, lecz jakiś głos jej podpowiadał, że coś tu jest nie tak. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek - wiek spotkała złego kendera. Mimo to musiała przyznać, że kiedyś może nastąpić pierwszy raz. Ten rzeczywiście nosił bransoletę, której magia była bez wątpienia czarna i której moc wyczuwalnie odpierała jej czary.

- Czy wiesz, co w dzisiejszych czasach mogę dostać w Sanction za smocze zęby? - krzyczał kender. - Nie wspominając o pazurach. Znam pewnego czarodzieja, który płaci po trzydzieści sztuk stali tylko za jeden szpon!

Czarna smoczyca skrzywiła się. To była głupia rozmowa. Czowała się obolała i rozżłoszczona. Postanowiwszy po prostu unicestwić tego denerwującego kendera wraz ze swym wrogiem, otworzyła paszczę... gdy niespodziewanie została zaatakowana od tyłu przez kolejnego spiżowego smoka. Wrzeszcząc z wściekłości, czarna smoczyca zapomniała o swej ofierze. Walczyła o swe życie i rozpaczliwie wymachiwała łapami, by wzbic się w przestworza, gdzie podążył za nią spiżowy smok.

Tas westchnął głęboko i siadł na brzuchu Khirsaha.

- Byłem pewny, że już po nas - wymamrotał kender, ściągając srebrną bransoletę i chowając ją do kieszeni. Poczuł, że smok porusza się pod nim, nabierając głęboko tchu. Tas ześlizgnął się po łuskowatym boku smoka i wylądował na ziemi.

- Błysku Ognia? Bardzo... bardzo jesteś ranny? A jak się w ogóle leczy smoka? zastanawiał się. - Mógłbym pójść poszukać kapłana, choć przypuszczam, że wszyscy są teraz bardzo zajęci z powodu trwających walk i w ogóle...

- Nie, kenderze - odrzekł Khirsah głębokim głosem - to nie będzie konieczne. - Otworzywszy oczy, smok potrząsnął wielkim łbem i wykręcił długą szyję, by rozejrzeć się dookoła. - Ocaliłeś mi życie - rzekł, przyglądając się kenderowi z pewnym zakłopotaniem.

- Dwukrotnie - zauważył wesoło Tas. - Po raz pierwszy dziś rano przy lordzie Sothu. Mój przyjaciel Caramon - ty go nie znasz - ma taką książkę, która mówi, co się wydarzy w przyszłości, albo raczej co się nie wydarzy w przyszłości, bo już ją zmieniamy. W każdym razie, ty i Tanis walczyli - byście z lordem Sothem i obaj zginęlibyście, tylko że ukradłem bransoletę, więc nie zrobiliście tego. To znaczy nie zginęliście.

- Doprawdy. - Przewróciwszy się na bok, Khirsah wyciągnął w zadymione niebo jedno skrzydło i zbadał je uważnie. Było pokaleczone i krwawiło, lecz nie zostało rozdarte. Następnie zabrał się do badania w podobny sposób drugiego skrzydła, podczas gdy zauroczony Tas przyglądał się temu.

- Wydaje mi się, że chciałbym być smokiem - stwierdził kender i westchnął.

- Oczywiście. - Khirsah powoli manewrował swym złocistym cielskiem, by stanąć na pazurzystych łapach, wpierywając długi ogon spod gruzów domu, który zmiażdżył. - Jesteśmy wybrańcami bogów. Żyjemy tak długo, że żywoty elfów wydają się nam krótkie niczym spalanie się świecy, a życie ludzi i kenderów zaledwie spadającymi gwiazdami. Nasz oddech niesie śmierć, a nasza magia jest tak potężna, że jedynie najwięksi czarodzieje są od nas silniejsi.

- Wiem - powiedział Tasslehoff, starając się ukryć zniecierpliwienie. - Czy jesteś pewny, że wszystko gra?

Khirsah ukrył uśmiech. - Tak, Tasslehoffie Burrfoot powiedział z namaszczeniem smok, wymachując skrzydłami - wszystko, hm... gra, jak powiedziałaś. - Pokręcił głową. - Czuję się tylko nieco oszołomiony, nic więcej. Tak więc, skoro ocaliłeś mi życie...

- Dwa razy.

- Dwa razy - poprawił się smok - jestem zobowiązany uczynić ci jakąś przysługę. O co chcesz mnie prosić?

- Zanieś mnie do latającej cytadeli! - powiedział Tas, już przygotowany do wspinaczki na grzbiet smoka. Nagle poczuł, że jest unoszony w powietrze za kołnierz koszuli, który był zaczepiony na jednym z olbrzymich pazurów Khirsaha. - Och, dziękuję za podniesienie. Chociaż mogłem tam wejść o własnych siłach...

Nie został jednakże umieszczony na smoczym grzbiecie. Zamiast tego znalazł się oko w oko z Khirsahem.

- To byłoby niezmiernie niebezpieczne dla ciebie, ken - derze, jeśli wręcz nie zabójcze - oświadczył surowo Khirsah. - Nie mogę na to się zgodzić. Pozwól, że zaniosę cię do rycerzy solamijskich, którzy są w Wieży Najwyższego Klerysta... - Ja już byłem w Wieży Najwyższego Klerysta! - zawył Tas. - Ja muszę się dostać do latającej fortecy! No bo widzisz... ee... widzisz... Tanis Półelf! Znasz go? On jest teraz tam na górze i... ee... zostawił mnie tu, żebym zdobył dla niego pewną ważną... em... informację i... - Tas dokończył w pośpiechu - już ją mam i teraz muszę mu ją zanieść.

- Przekaż mnie tę informację - rzekł Khirsah. - Powtórzę mu ją.

- N-nie, nie, to... ee... nic z tego nie będzie - wyjąkał Tas, rozpaczliwie kombinując. - To... jest... ee... po kendersku! I... i... nie da się tego przełożyć na... em... wspólną mowę. Ty chyba nie mówisz... ee... po kendersku, prawda, Błysku Ognia?

- Oczywiście - miał zamiar powiedzieć smok. Jednakże spojrzawszy w przepelnione nadzieją oczy Tasslehoffa, Khirsah parsknął. - Oczywiście, żenię! - oświadczył z pogardą. Powoli i ostrożnie posadził kendera na swoim grzbiecie pomiędzy skrzydłami. - Zaniosę cię do Tanisa Półelfa, skoro takie jest twoje życzenie. Nie mam siodła, ponieważ nie towarzyszą nam w walce jeźdźcy, więc trzymaj się mocno mojej grzywy.

- Jasne, Błysku Ognia - wrzasnął radośnie Tas, poprawiając swe sakwy i chwytając złocistą grzywę smoka obiema rączkami. Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie.

- Słuchaj, Błysku Ognia - krzyknął - ty nie zamierzasz przypadkiem robić czegoś niezwykłego w górze - na przykład przewracać się do góry nogami albo nurkować wprost ku ziemi - prawda? Bo chociaż jest to niewątpliwie interesujące, może mi być troszkę niewygodnie, skoro nie jestem przypięty pasami ani niczym w tym rodzaju...

- Nie - odparł ze śmiechem Khirsah. - Zaniosę cię do celu najszybciej, jak to możliwe, żebym mógł wrócić na plac boju.

- Gotów do startu! - wykrzyknął Tas, wbijając pięty w boki Khirsaha, gdy spiżowy smok odbił się od ziemi. Chwyciwszy prądy powietrzne, smok wzniósł się w niebo i poszybował nad Palanthas.

Nie była to przyjemna przejażdżka. Kiedy Tas spojrzął w dół, wstrzymał oddech.

Niemal całe Nowe Miasto stało w płomieniach. Ponieważ zostało ewakuowane, smokowcy szli przez nie bez przeszkód, systematycznie plądrując i podpalając. Dzięki dobrym smokom niebieskie i czarne smoki nie zdołały całkowicie zniszczyć Starego Miasta - tak jak zniszczyły Tarsis - a obrońcy miasta stawiali opór smokowcom. Mimo to szarża lorda Sotha poczyniła wiele szkód. Ze swego punktu obserwacyjnego na wysokościach Tas widział ciała rycerzy i ich koni rozrzucone po ulicach jak ołowiane żołnierzyki zgniecione przez mściwe dziecko. Widział, jak lord Soth jedzie naprzód bez przeszkód, jego wojownicy mordują każdą żywą istotę, jaka stanie im na drodze, i słyszał, jak przerażające zawodzenie banshee przebija się przez krzyki konających.

Tas przełknął ślinę. - Ojej - szepnął - a jeśli to moja wina? W końcu tak naprawdę nie wiem... Caramon nie doczytał dalej w tej księdze! Po prostu założyłem... Nie odpowiedział sobie stanowczo Tas - gdybym nie uratował Tanisa, wtedy Caramon zginąłby w zagajniku. Zrobiłem, co musiałem zrobić, a ponieważ to takie poplątane, nie będę więcej o tym myślał.

Żeby oderwać się od kłopotów - i okropnych rzeczy, jakie na jego oczach działy się w dole - Tas rozejrzał się dookoła; próbował przebić się wzrokiem przez dym, żeby zobaczyć, co się dzieje na niebie. Zauważył za sobą jakiś ruch i spostrzegł olbrzymiego niebieskiego smoka, który wznosił się w niebo znad ulic w pobliżu zagajnika Shoikan. - Smok Kitiary! - szepnął Tas, poznając wspaniałego, groźnego Skie. Smok jednakże nie miał jeźdźca, a Kitiary nigdzie nie było widać.

- Błysku Ognia! - zawołał ostrzegawczo Tas i odwrócił się, by obserwować niebieskiego smoka, który dostrzegł ich i zmieniał kierunek lotu, by pośpieszyć w ich stronę.

- Wiem, że on tam jest - rzekł spokojnie Khirsah, oglądając się na Skie. - Nie martw się, jesteśmy w pobliżu twego celu podróży. Zostawię cię, kenderze, a potem wrócę, by rozprawić się z moim wrogiem.

Kiedy Tas odwrócił się, ujrzał, że rzeczywiście byli już bardzo blisko latającej cytadeli. Natychmiast wywietrzały mu z głowy wszystkie myśli o Kitiarze i niebieskich smokach. Forteca była jeszcze wspanialsza z bliska, niż z dołu. Widział całkiem wyraźnie wiszące pod nią ogromne, poszczerbione fragmenty skał - resztki tego, co niegdyś stanowiło opokę, na której ją zbudowano.

Wokół niej kłębiły się podtrzymujące ją magiczne obłoki, a trzeszczące i skwierczące błyskawice były wśród wież. Przyglądając się samej cytadeli, Tas dostrzegł olbrzymie pęknięcia na ścianach kamiennej twierdzy - uszkodzenia struktury spowodowane potworną siłą konieczną do wyszarpięcia budowli z objęć ziemi. Z okien trzech wysokich wież forticy i zza frontowej bramy, w której podniesiono kratę, padało światło, lecz poza tym Tas nie

widział żadnych oznak życia.

- Gdzie chciałbyś wylądować? - spytał Khirsah z nutą niecierpliwości w głosie.

- Dziękuję, wszędzie będzie dobrze - odparł uprzejmie Tas, rozumiejąc, że smokowi śpieszyło się z powrotem do walki.

- Nie sądzę, by główne wejście było godne polecenia - stwierdził smok, nagle skręcając w locie. Przechylił się gwałtownie i okrążył twierdzę. - Zaniosę cię na tyły.

Tas powiedziałby „dziękuję”, lecz przy zakręcaniu żołądek i serce jednocześnie podeszły mu do gardła. Następnie Khirsah wyrównał lot, podleciał nisko i wylądował gładko na opustoszałym dziedzińcu. Zajęty przez chwilę sortowaniem wnętrzności, Tas ledwo był w stanie ześlizgnąć się z grzbietu smoka i zeskoczyć w cień bez dbania o uprzejmości towarzyskie.

Kiedy jednak już znalazł się na twardym gruncie (a raczej, tak jakby twardym gruncie), kender poczuł się sobą w znacznie większym stopniu niż przed chwilą.

- Do widzenia, Błysku Ognia! - zawołał, machając małą rączką. - Dziękuję ci! Powodzenia!

Khirsah szybko nabierał wysokości, wzbijając się w przestworza. Za nim mknął Skie, którego czerwone oczy gorzały nienawiścią. Ze wzruszeniem ramion i cichym westchnieniem Tas zostawił walczących sobie. Odwrócił się i zbadał wzrokiem otoczenie.

Stał na tyłach fortecy na połowie dziedzińca, bowiem druga połowa najwyraźniej została porzucona tam, skąd cytadelę wyrwano z ziemi. Zauważywszy, że znajduje się niebezpiecznie blisko krawędzi wyszerbionego bruku dziedzińca, Tas pośpieszył w stronę ściany samej twierdzy. Szedł cicho, trzymając się cieni z nieświadomie wprawną zdolnością zakradania się, z jaką rodzą się wszyscy kenderzy.

Zatrzymał się i rozejrzał. Na dziedziniec wiodły tylne drzwi, ale były to wielkie, drewniane wrota okute żelaznymi sztabami. Poza tym, pomimo iż rzeczywiście posiadały nadzwyczaj interesująco wyglądający zamek, na widok którego Tasa zaswędziały palce, kender domyślił się, że zapewne miały także bardzo interesująco wyglądającego strażnika po drugiej stronie. Znacznie lepiej będzie, jeśli zakradnie się przez okno, a właśnie nad nim przypadkiem znalazło się oświetlone okno.

Wysoko nad nim.

- Do licha! - mruknął Tas. Okno znajdowało się co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów nad ziemią. Rozejrzawszy się, Tas znalazł odłupany kawał skały i po długim pchaniu i turlaniu udało mu się ustawić go tuż pod oknem. Wspiął się na głąz i ostrożnie zajrzał do środka.

Dwaj smokowcy z rozbitymi głowami leżeli na podłodze w stercie kamieni. W ich pobliżu leżał kolejny smokowiec z głową zupełnie odciętą od tułowia. Poza tymi trupami w komnacie nie było nikogo ani niczego. Tas wspiął się na palce i wsunął głowę do środka, żeby posłuchać. Z niezbyt wielkiej odległości doszedł go brzęk metalu, szorstkie okrzyki, wołanie, a także straszliwy ryk.

- Caramon! - przypomniał sobie o nich Tas. Przeczłogał się przez okno i zeskoczył na posadzkę, z zadowoleniem stwierdzając, że cytadela ciągle stoi w miejscu. Znow nadstawił uszu i posłyszał rosnący w siłę znajomy ryk zmieszany z przekleństwami Tanisa. - Jak to miło z ich strony - stwierdził Tas, kiwając głową z zadowoleniem podczas skradania się. - Czekają na mnie.

Wychodząc na korytarz o pustych, kamiennych ścianach, Tas zatrzymał się na moment, żeby się zorientować co do kierunku. Odgłosy bitwy dochodziły z góry. Zaglądając w głąb oświetlonego pochodniami korytarza, Tas ujrzał schody i poszedł w ich kierunku. Na wszelki wypadek wyciągnął swój nożyk, ale nikogo nie spotkał. Korytarz był pusty, tak samo zresztą jak i wąskie, strome schody.

- Uff - mruczał Tas - z całą pewnością jest tu teraz dużo bezpieczniej niż w mieście. Muszę pamiętać, żeby wspomnieć o tym Tanisowi. Skoro już o nim mowa, gdzie on może być razem z Caramonem i jak tam się dostać?

Po prawie pionowej wspinaczce trwającej około dziesięciu minut Tas zatrzymał się i spojrzał w rozświetlony pochodniami mrok. Zdał sobie sprawę, że wchodzi po wąskich stopniach wciśniętych pomiędzy wewnętrzny i zewnętrzny mur jednej z wież cytadeli. Wciąż słyszał toczącą się walkę - teraz miał wrażenie, jakby Tanis i Caramon znajdowali się dokładnie po drugiej stronie ściany - lecz nie widział żadnego sposobu dostania się do nich. Sfrustrowany - i ze zbolałymi nogami - zatrzymał się, żeby pomyśleć.

Mogę zejść na dół i spróbować innej drogi, rozmyślał, albo pójdę dalej. Droga w dół - jest lżejsza dla nóg najprawdopodobniej będzie też bardziej zatłoczona. A tam na górze muszą być jakieś drzwi, bo po co inaczej schody?

Ponieważ ta druga możliwość spodobała mu się bardziej, Tas postanowił iść dalej pod górę, choć teraz dźwięki bitwy zdawały się dochodzić spod jego nóg, zamiast znad jego głowy. Nagle, gdy zaczynał już myśleć, że te głupie schody wybudował pijany krasnolud z wypaczonym poczuciem humoru, dotarł na szczyt i znalazł drzwi.

- Ach, zamek! - rzekł, zacierając ręce. Od dawna nie miał okazji użyć wytrycha i bał się, że mógł stracić trochę wprawy. Przyjrząwszy się zamkowi wprawnym okiem, ostrożnie i delikatnie położył dłoń na klamce. Ku jego wielkiemu rozczarowaniu drzwi otworzyły się z

łatwością.

- Och, cóż - westchnął - i tak nie miałem przy sobie wytrychów. Ostrożnie pchnął drzwi i zajrzał do wnętrza. Przed nim nie było niczego, prócz drewnianej poręczy. Tas otworzył drzwi odrobinę szerzej i kiedy przestąpił ich próg, znalazł się na wąskim balkonie okalającym całą wieżę.

Zgiełk bitwy słyhać było teraz o wiele wyraźniej, gdyż odbijał się głośnym echem od kamieni. Przebiegłszy po drewnianym balkonie, Tas wychylił się przez barierkę i spojrział w dół na źródło trzasków pękającego drewna, brzęku mieczy, krzyków i łomotów.

- Cześć, Tanisie! Cześć, Caramonie! - zawołał z podnieceniem. - Hej, czy już doszliście do tego, jak się tym lata?

Rozdział IV

Uwięzieni na kolejnym balkonie kilka pięter poniżej tego, z którego wychylał się Tas, Tanis i Caramon toczyli śmiertelny bój po przeciwnej stronie wieży. Na schodach poniżej nich tłoczyła się gromada smokowców i goblinów, która na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie małej armii.

Dwaj wojownicy zabarykadowali się za olbrzymią, drewnianą ławą ustawioną w poprzek schodów. Za ich plecami znajdowały się drzwi i Tas podejrzewał, że przyjaciele próbowali uciec schodami w ich kierunku, lecz zostali zatrzymani, zanim zdążyli się wydostać.

Caramon, który miał ręce od ramion aż po łokcie zbroczone zieloną krwią, rozbijał wrogom łby wyrwanym z balkonu kawałkiem drewna - a był to znacznie skuteczniejszy od miecza oręż w walce ze stworami, których ciała zmieniały się w kamień. Tanis miał wyszczerbiony miecz - używał go uprzednio jako maczugi - krwawił przez rozdartą kolczugę z kilku cięć na ramionach, a na jego napierśniku widać było wielkie wgniecenie. Z tego, co Tas zdążył wywnioskować z pierwszego, rozgorączkowanego rzutu okiem, sytuacja wyglądała na patową. Smokowcy nie mogli dostać się wystarczająco blisko ławy, żeby ją usunąć z drogi, ani też by nad nią przejść. Niemniej jednak, kiedy tylko Caramon i Tanis opuszczają swą pozycję, wróg przedrze się przez barykadę.

- Tanisie! Caramonie! - krzyknął Tas. - Tu, ugory! Obaj zaskoczeni mężczyźni obejrzeni się na dźwięk głosu kendera. Potem Caramon chwycił Tanisa i wskazał.

- Tasslehoffie! - zawołał Caramon, którego dudniący głos poniósł się echem we wnętrzu wieży. - Tas! Te drzwi, za nami! Są zamknięte! Nie możemy się wydostać!

- Zaraz tam będę! - zawołał podekscytowany Tas, wspinając się na barierkę i przygotowując się do skoku w sam środek wydarzeń.

- Nie! - wrzasnął Tanis. - Otwórz je z drugiej strony! Z drugiej strony! - Pokazywał rozpaczliwie.

- Och - westchnął rozczarowany Tas. - Jasne, nie ma sprawy.

Zszedł z powrotem i właśnie odwracał się ku drzwiom, gdy zobaczył, że smokowcy na schodach poniżej Tanisa i Caramona nagle przestali walczyć. Coś najwyraźniej odwróciło ich uwagę. Padł chrapliwy rozkaz i smokowcy zaczęli szturchać się i spychać nawzajem na jedną stronę, wykrzywiając w uśmiechu zębate oblicza. Zaskoczeni chwilą ciszy w bitwie Tanis i Caramon odważyli się ostrożnie wyjrzieć zza ławy, podczas gdy Tas zaglądał w dół przez barierkę balkonu.

Po schodach wchodził smokowiec w czarnych szatach ozdobionych tajemnymi znakami. W szponiastej łapie trzymał laskę wyrzeźbioną w kształcie atakującego węża.

Bozak czarodziej! Tas poczuł, jak serce mu staje w gardle prawie tak samo gwałtownie, jak wtedy, gdy smok zniżył się do lądowania. Żołnierze smokowców chowali broń, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że walka już dobiegła końca. Ich czarodziej zakończy sprawę szybko i bez kłopotu.

Tas zobaczył, że Tanis szuka czegoś za paskiem... i nie znajduje. Twarz Tanisa pobladała pod zarostem. Półelf sięg - nął do innej części paska. Tam też nic. Rozpaczliwie rozejrzał się po podłodze.

- Wiesz - powiedział do siebie Tas - mógłbym się założyć, że ta bransoleta odporności na magię przydałaby się teraz. Być może właśnie jej szuka. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że ją zgubił. - Sięgnął do sakwy i wydobył srebrną bransoletę.

- Tu jest, Tanisie! Nie martw się! Upuściłeś ją, ale ja ją znalazłem! - krzyknął, wymachując nią w powietrzu.

Półelf wściekle spojrzał w górę i ściągnął brwi w tak niepokojący sposób, że Tas czym prędzej zrzucił mu bransoletę. Po chwili czekania, by sprawdzić, czy Tanis mu podziękuje (nie zrobił tego), kender westchnął.

- Zaraz tam będę! - wrzasnął. Odwrócił się, wybiegł przez drzwi i zbiegł po schodach.

- Nie mogę powiedzieć, żeby zachowywał się jak ktoś bardzo wdzięczny - sapał Tas podczas biegu. - Zupełnie nie przypomina dawnego, beztroskiego Tanisa. Wydaje mi się, że bycie bohaterem mu nie służy.

Usłyszał za sobą stłumioną przez ścianę chrapliwą recytację i kilka wybuchów. Smokowcy krzyknęli w głos ze złości i rozczarowania.

- Bransoleta powstrzyma ich przez jakiś czas - wymamrotał Tas - ale nie na długo. Teraz, jak dostać się do nich na drugą stronę wieży? Chyba nie ma innego wyjścia, jak zejść z powrotem na sam dół.

Zbiegłszy po schodach, dotarł na parter, minął komnatę, przez którą wszedł do cytadeli i pędził dalej, aż natrafił na korytarz biegnący pod kątem prostym do tego, w którym się znajdował. Kender żywił nadzieję, że prowadzi on na drugą stronę wieży, gdzie byli uwięzieni Tanis i Caramon.

Rozległ się kolejny huk eksplozji i tym razem cała wieża się zatrzęsała. Tas przyspieszył. Skręciwszy ostro w prawo, kender wybiegł zza rogu.

Bam! Zderzył się z czymś krępy i ciemnym, co przewróciło się, wydając odgłos: „Uff!” Siła impetu sprawiła, że Tas runął jak długi. Leżał cał - kiem nieruchomo, sądząc

wyraźnie - po zapachu - że został uderzony tobołkiem gnijących śmieci. Był nieco wstrząśnięty, niemniej jednak zdołał podnieść się na nogi, wydobyć nożyk i przygotować się do obrony przed niską, ciemną istotą, która również wstała.

Przyłożywszy dłoń do czoła, istota powiedziała zbolalym tonem: - Ooch. - Potem rozejrzała się w oszołomieniu i ujrzała Tasa, który stał przed nią z ponurą i zdecydowaną miną. W świetle pochodni błysnęło ostrze noża kendera. „Ooch” zmieniło się w „AAAAACH”. Cuchnący stwór jęknął i natychmiast zemdlął.

- Krasnolud żlebowy! - stwierdził Tas, marszcząc z odrazą nos. Schował nóż do pochwy i chciał już odejść. Potem zatrzymał się. - Ty wiesz co - stwierdził, mówiąc do siebie - to może się nawet przydać. - Nachyliwszy się, złapał krasnoluda żlebowego za garść łachmanów i potrząsnął nim. - Hej, obudź się!

Krasnolud żlebowy odetchnął z drzeniem i otworzył oczy. Ujrzawszy srogo wyglądającego kendera, który nachylał się nad nim groźnie, krasnolud zbladł jak płótno, czym prędzej znów zamknął oczy i próbował udawać nieprzytomnego.

Tas jeszcze raz potrząsnął tobołkiem.

Wzdychając trwożliwie, krasnolud żlebowy rozwarł jedno oko i zobaczył, że Tas wciąż tam jest. Mógł zrobić tylko jedno - udawać nieżywego. Osiąga się to (wśród krasnoludów żlebowych) przez zatrzymanie oddechu i natychmiastowe zeszywnienie.

- Daj spokój - rzekł poirytowany Tas, potrząsając krasnoludem żlebowym. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Ty iść sobie - oświadczył krasnolud głębokim, grobowym głosem. - Moja nie żyć.

- Jeszcze nie umarłeś - powiedział Tas najstraszniejszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć - ale wkrótce tak będzie, jeśli mi nie pomożesz! - Podniósł nóż.

Krasnolud żlebowy przełknął ślinę i szybko usiadł, drapiąc się w zakłopotaniu po głowie. Potem ujrzawszy Tasa, uściskał go. - Ty uzdrawiać! Moja wrócić z za grobu! Ty wielki i potężny kapłan!

- Nie, nie jestem kapłanem! - warknął Tas, poważnie zaskoczony tą reakcją. - No, puśćże. Nie, zaplątałeś się w sakwę. Nie tędy...

Po kilku chwilach udało mu się wreszcie uwolnić od krasnoluda żlebowego. Postawiwszy stworzenie na nogi, Tas zmierzył je srogim spojrzeniem. - Próbuje dostać się na drugą stronę wieży. Czy to właściwa droga?

Krasnolud żlebowy spojrział w górę i w dół korytarza, zamyślił się, po czym zwrócił się do Tasa. - Tu właściwa droga - oświadczył wreszcie, pokazując kierunek, w jakim szedł Tas.

- Świetnie! - Tas ruszył w drogę.

- Jaka wieża? - wymamrotał krasnolud żlebowy, drapiąc się po głowie.

Tas zatrzymał się. Odwrócił się i spojrzał wściekle na krasnoluda, wydobywając nóż.

- Moja iść z wielkim kapłanem - zaproponował pośpiesznie krasnolud. - Moja prowadzić.

- To może być niezły pomysł - zastanowił się kender. Złapał krasnoluda żlebowego za brudną rękę i pociągnął go za sobą. Wkrótce znaleźli kolejne schody wiodące na górę. Odgłosy walki brzmiały teraz znacznie głośniejsze - na dźwięk czego krasnolud żlebowy wybałuszył oczy.

Próbował wyrwać rękę. - Moja raz już nie żyć - krzyknął krasnolud, rozpaczliwie starając się wyrwać. - Kiedy ty nie żyć dwa razy, oni cię włożyć do pudełka i wrzucić do dziury. Mnie się to nie podobać.

Choć ta koncepcja wydawała się ciekawa, Tas nie miał czasu na jej zbadanie. Nie wypuszczając krasnoluda z uścisku, Tas wciągnął go na schody. Odgłosy walki po drugiej stronie ściany z każdą chwilą stawały się głośniejsze, a strome schody kończyły się drzwiami. Za nimi słychać było łoskoty, jęki i przekleństwa Caramona. Tas pociągnął za klamkę. Drzwi były zamknięte także od tej strony. Kender uśmiechnął się, znów zacierając ręce.

- Najwyraźniej solidnie zbudowane drzwi - oświadczył, przyglądając im się. Schylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza. - Jestem tutaj! - wrzasnął.

- Otwórz drzwi! - ryknął donośnym głosem Caramon.

- Robię, co mogę! - odkrzyknął Tas, trochę poirytowany. - Wiesz, że nie mam narzędzi. Ano, trzeba będzie coś zaimprovizować. Ty, zostań tutaj! - Złapał krasnoluda żlebowego, który ukradkiem szedł ku schodom. Wyjął nóż i uniósł go w groźnym geście. Krasnolud żlebowy padł bezwładnie na ziemię.

- Moja zostać! - zaskomlał, kuląc się na podłodze. Odwracając się ku drzwiom, Tas wetknął czubek noża w zamek i zaczął nim ostrożnie kręcić. Wydawało mu się, że prawie już czuje ustępujący mechanizm, gdy coś uderzyło z łomotem w drzwi. Nóż wyslizgnął się z zamka.

- Nie pomagacie mi! - krzyknął przez drzwi. Wzdychając, Tas znów wsunął nóż do zamka.

Krasnolud żlebowy przyczołgał się bliżej i przyglądał się teraz Tasowi z podłogi. - Dużo ty wiedzieć. Moja myśleć ty nie być taki wielki kapłan.

- Co masz na myśli? - mruknął Tas, zastanawiając się.

- Nóż nie otwierać drzwi - oświadczył z ogromną pogardą krasnolud. - Klucz otwierać

drzwi.

- Wiem, że drzwi otwiera klucz - powiedział Tas, oglądając się w przypiływie rozpaczyny - ale nie mam... Daj mi to!

Tas ze złością pochwycił klucz, który krasnolud żlebowy trzymał w dłoni. Włożył go do zamka, usłyszał trzask i otworzył szarpnięciem drzwi. Wpadł zza nich Tanis, lądując na kenderze, a Caramon wybiegł w ślad za nim. Ogromny mężczyzna zatrzasnął ciężkie wierzeje, odłamując czubek miecza, wsuniętego właśnie w drzwi przez smokowca. Oparłszy się plecami o drzwi, popatrzył w dół na Tasa, ciężko dysząc.

- Zamknij je! - zdołał wy sapać.

Tas szybko znów przekręcił klucz w zamku. Za drzwiami słycać było krzyki, kolejne łomoty i trzask drewna.

- Wydaje mi się, że przez jakiś czas wytrzymają stwierdził Tanis, przyglądając się drzwiom.

- Ale nie długo - rzekł ponuro Caramon. - Szczególnie, że tam na dole jest bozacki czarodziej. Chodźmy stąd!

- Dokąd? - zapytał Tanis, wycierając pot z twarzy. Krwawił z rozcięcia na ręce i licznych draśnień na ramionach, to było chyba wszystko. Caramon był zalany krwią, przede wszystkim zieloną, więc Tas zakładał, że to posoka nieprzyjaciela. - Wciąż nie dowiedzieliśmy się, gdzie znajduje się urządzenie kierujące lotem tej twierdzy!

- Założę się, że on wie - powiedział Tas, pokazując krasnoluda żlebowego. - Dlatego go przyprowadziłem dodał kender, dumny z siebie.

Rozległ się przerażający huk. Drzwi zadygotały.

- Chodźmy stąd! - mruknął Tanis. - Jak masz na imię? - spytał krasnoluda żlebowego, kiedy pośpiesznie zbiegali po schodach.

- Rounce - oświadczył krasnolud.

- Doskonale, Rounce - powiedział Tanis, zatrzymując się na chwilę na ciemnym półpiętrze, żeby odsapnąć - pokaż nam pokój, gdzie jest urządzenie, które kieruje tą cytadelą.

- Krzesło kapitana wiatru - dodał Caramon, mierząc krasnoluda groźnym i surowym wzrokiem. - Słyszeliśmy, że jeden z goblinów tak je nazwał.

- To tajemnica! - powiedział z namaszczeniem Rounce. - Moja nie powiedzieć! Moja zrobić obietnica!

Caramon warknął tak groźnie, że brudna twarz Rounce zbladła jak płachta i Tas wtrącił się czym prędzej w obawie, że krasnolud może znów zemdleć. - Phi! Założę się, że on nic nie wie! - rzekł Tas, robiąc oko do Caramona.

- Moja wiedzieć! - oświadczył wyniośle Rounce. A wy próbować mnie nabrać, żeby ja wam powiedzieć. Moja nie nabrać się na głupia sztuczka.

Tas westchnął i oparł się o ścianę. Caramon znów warknął, lecz krasnolud żlebowy, kuląc się trochę, wciąż spoglądał na niego wyzywająco.

- Dzikie świnie nie wydobyć tajemnicy ze mnie! ogłosił Rounce, zakładając brudne ręce na zatłuszczonej i upapranej jedzeniem piersi.

Na górze dał się słyszeć donośny huk i głosy smokowców.

- Wiesz, Rounce - szepnął poufale Tanis, przykucając przy krasnoludzie - a tak dokładnie, to właściwie czego masz nie mówić?

Rounce zrobił przebiegłą minę. - Moja ma nie mówić, że krzesło kapitana wiatru jest na czubku środkowej wieży. Właśnie tego moja ma nie mówić! - Krasnolud zmierzył Tanisa złym wzrokiem i uniósł zaciśniętą piąstkę. - I wy nie zmusić mnie!

Dotarli do korytarza prowadzącego do komnaty, gdzie nie znajdowało się krzesło kapitana wiatru (według Rounce[^], który prowadził ich cały czas, mówiąc: „To nie są drzwi, co prowadzi do schody, co prowadzi do tajne miejsce”). Weszli do środka ostrożnie, przekonani, że jest odrobinę za cicho. Mieli rację. Kiedy znaleźli się mniej więcej w połowie korytarza, drzwi rozpadły się. Rzuciło się na nich dwudziestu smokowców z bozackim czarodziejem z tyłu.

- Stańcie za mną! - powiedział Tanis, wydobywając miecz. - Wciąż mam bransoletę...
- Przypomniawszy sobie, że Tas jest z nimi, dodał: - Tak sędzę - i pośpiesznie spojrział na swą rękę. Bransoleta nadal była na miejscu.

- Tanisie - rzekł Caramon, sięgając po broń i powoli cofając się, gdy smokowcy zawahali się podczas oczekiwania na rozkazy bozaka - czas ucieka! Wiem o tym! Wyczuwam to! Muszę dostać się do Wieży Najwyższej Magii! Ktoś musi tam wejść i pokierować tą fortecą!

- Jeden z nas nie zatrzyma tak wielu! - odparł Tanis.

Nie zostanie nikt, kto mógłby pokierować krzesłem kapitana... - Słowa zamarły mu na wargach. Popatrzył na Caramona. - Ty chyba żartujesz...

- Nie mamy wyboru - odwarknął Caramon, słysząc wypowiedane zaklęcie. Obejrzał się na Tasslehoffa.

- Nie - zaczął Tanis - absolutnie nie...

- Nie ma innego sposobu! - nalegał Caramon.

Tanis westchnął, potrząsając głową.

Kender, który przyglądał im się obu, zamrugnął zdezorientowany. Wtedy nagle

zrozumiał.

- Och, Caramonie! - wyszeptał, składając ręce i o mały włos nie nadziewając się na własny nóż. - Och, Tanisie! Jak cudownie! Będziecie ze mnie dumni! Zawiozę was do Wieży! Nie pożałujecie! Rounce, będę potrzebował twojej pomocy.

Złapawszy krasnoluda za ramię, Tas popędził korytarzem do spiralnych schodów, na które wskazywał Rounce, upierając się, że „Te schody nie prowadzi do tajne miejsce!” Zaprojektowane przez lorda Ariakasa, byłego dowódcę sił Królowej Ciemności podczas wojny lancy, służące do sterowania latającą cytadelą krzesło kapitana wiatru dawno przeszło do historii jako jedno z najniezwyklejszych dzieł jego genialnego, aczkolwiek mrocznego i pokrętnego umysłu.

Krzesło znajdowało się w komnacie specjalnie zbudowanej w tym celu na samym szczycie fortecy. Przebywszy wąskie, spiralne schody, kapitan wiatru wspina się po żelaznej drabince wiodącej do klapy w suficie. Po otwarciu klapy kapitan wchodzi do małego, okrągłego pomieszczenia bez okien. Pośrodku znajduje się podwyższenie. Na platformie stoją dwa piedestały, oddalone od siebie o jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów.

Na ich-widok Tas - ciągnący Rounce'a za sobą wciągnął głęboko powietrze. Piedestały zrobione były ze srebra, miały około metra dwudziestu centymetrów wysokości i były najpiękniejszymi rzeczami, jakie kiedykolwiek widział. Ich powierzchnia grawerowana była w zawile wzory i magiczne symbole. Każda najmniejsza kreseczka była wypełniona złotem, które lśniło w blasku pochodni padającym ze schodów na dole. Na szczycie każdego piedestału stała olbrzymia kula zrobiona z błyszczącego, czarnego kryształu.

- Twoja nie wchodzić na platforma - rzekł srogo Rounce.

- Rounce - powiedział Tas, włączając na podwyższe - nie, mające jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów - czy wiesz, jak to działa?

- Nie - oświadczył spokojnie Rounce, zakładając ręce na piersi i gromiąc wzrokiem Tasa. - Moja nie być tu wiele. Moja nie biegać na posługi dla wielki szef czarodziej. Mnie tu nigdy nie przyprowadzać i kazać przynosić, co czarodziej chce. Moja nigdy nie patrzeć, jak szef czarodziej latać wiele razy.

- Wielki szef czarodziej? - powtórzył Tas, marszcząc czoło. Rozejrzał się spieszenie po małym pomieszczeniu, zaglądając do ciemnych kątów. - Gdzie jest wielki szef czarodziej?

- On nie być na dole - twierdził uparcie Rounce. On nie gotować się roznieść przyjacieli na drobne kawałeczki.

- Och, ten wielki szef czarodziej - rzekł z ulgą Tas. Potem kender zastanowił się. - Ale skoro go tu nie ma, kto tym kieruje?

- Rozumiem - powiedział Tas, stając na czarnych kółkach umieszczonych w podłodze pomiędzy piedestałami. W korytarzu na dole rozległ się kolejny wybuch i kolejne krzyki rozwścieczonych smokowców. Najwyraźniej bransoleta Tanisa wciąż broniła przyjaciół przed magią czarodzieja.

- Teraz - powiedział Rounce - twoja nie patrzy na kółko na suficie.

Kiedy Tas podniósł głowę, westchnął z podziwu. Kółko nad jego głową, tych samych rozmiarów i średnicy, co platforma, na której stał, zaczęło się jarzyć niesamowitym, błękitnobiałym światłem.

- W porządku, Rounce - rzekł Tas głosem piszczącym z podniecenia - czego nie powinienem teraz robić?

- Ty nie kłaść ręce na kulach z czarny kryształ. Ty nie mówić kule, gdzie iść - odparł Rounce, smarkając. - Ha. Twoja nigdy nie domyśleć się taka duża magia!

- Tanisie! - Tas krzyknął w dół przez otwór w podłodze - którędy stąd wiedzie droga do Wieży Najwyższej Magii?

Przez chwilę słyszał jedynie brzęk mieczy i kilka wrzasków. Potem usłyszał głos Tanisa, który dobiegał z coraz mniejszej odległości w miarę, jak pól elf wraz Caramonem posuwał się w głąb korytarza. - Północny zachód! Niemal prosto na północny zachód!

- Jasne! - Wsparłszy stopy mocno w zagłębieniach z czarnego kryształu, Tas nabrał tchu z drżeniem, po czym unióś ręce, by położyć je na kryształowych kulach...

- O kurczę! - krzyknął z rozpacz, spoglądając w górę. - Jestem za niski!

Popatrzył w dół na Rounce'a i machnął ręką. - Jak przypuszczam, ręce nie muszą być jednocześnie na kulach, a stopy na czarnych kółkach?

Tas miał wrażenie, że zna już odpowiedź na to pytanie, co się dobrze składało, pytanie bowiem wprowadziło Rounce'a w taką konsternację, że krasnolud jedynie wybałuszył oczy na Tasa i stał z otwartymi ustami.

Spojrząwszy na krasnoluda wściekle, dlatego po prostu, że musiał na kimś wyładować w ten sposób frustrację, Tas postanowił spróbować dosięgnąć kuł podskokiem. Wtedy mógł ich dotknąć, lecz - gdy jego stopy oderwały się od kręgów z czarnego kryształu - białobłękitny blask przygasł.

- No i co teraz? - jęknął. - Caramon albo Tanis dosięgnęliby bez trudu, ale oni są na dole, i sądząc z odgłosów, przez jakiś czas jeszcze tu nie przyjdą. Co mogę zrobić? Mogę... Rounce! - powiedział nagle. - Chodź tu na górę!

Rounce zmrużył podejrzliwie oczy. - Mnie nie wolno - powiedział, zaczynając się oddalać od platformy.

- Zaczekaj! Rounce! Nie uciekaj! - krzyknął Tas. Spójrz, możesz mi pomóc! Pokierujemy tym razem!

- Ja? - sapnął Rounce. Oczy zrobiły mu się okrągłe jak spodki. - Latać jak wielki szef czarodziej?

- Tak, Rounce! Chodź. Wejdz tutaj, stań mi na ramionach i...

Na obliczu Rounce'a wykwitł wyraz zdumienia i, wy - dając głębokie westchnienie przepojone ekstazą, krzyknął: - Moja latać jak wielki szef czarodziej!

- Tak, Rounce, tak - rzucił niecierpliwie Tas - a teraz pośpiesz się, zanim... zanim wielki szef czarodziej nas przyłapie.

- Moja się śpieszyć - oświadczył Rounce, gramoląc się na podwyższenie, a stamtąd na barki Tasa. - Moja się śpieszyć. Moja zawsze chce latać...

- Dobra, trzymam cię za kostki. Teraz, auu! Puść moje włosy! Szarpiesz! Nie upuszczę cię. Nie, wyprostuj się. Wyprostuj się, Rounce. Tylko wstawaj powoli. Nic ci nie będzie. Widzisz, trzymam cię za kostki. Nie upuszczę cię. Nie! Nie! Musisz balanso...

Kender i krasnolud żlebowy polecili na łeb na szyję.

- Tas! - rozległ się na schodach ostrzegawczy krzyk Caramona.

- Jeszcze chwilę! Prawie mam! - odkrzyknął Tas, stawiając Rounce'a na nogi i solidnie nim potrząsając. Utrzymuj równowagę, rozumiesz, równowagę!

- Równowagę, równowagę - wymamrotał Rounce, podzwaniając zębami.

Tas ponownie zajął miejsce na kółkach z czarnego kryształu, a Rounce znów wdrapał mu się na ramiona. Tym razem krasnolud żlebowy po kilku nerwowych chwilach chybotania zdołał się wyprostować. Tas odetchnął z ulgą. Wyciągnąwszy przed siebie brudne ręce, Rounce - po paru nieudanych próbach - ostrożnie położył je na czarnych kulach z kryształu.

W tej samej chwili ze lśniącego kręgu na suficie spadła świetlana zasłona, tworząc wokół Tasa i krasnoluda żlebowego olśniewającą ścianę. Na sklepieniu pojawiły się runy, świecąc na fioletowo i czerwono.

Latająca cytadela ruszyła z miejsca z szarpnięciem, od którego zamarło serce w piersi.

Piętro niżej, na korytarzu pod krzesłem kapitana wiatru, wstrząs przewrócił smokowców i ich czarodzieja na podłogę.

Tanis uderzył plecami w ścianę, a Caramon wpadł na niego z impetem.

Bozak czarodziej wstawał z trudem, wrzeszcząc i klnąc przy tym. Depcząc po swych zaścielających posadzkę towarzyszach i kompletnie nie zważając na Tanisa i Caramona, smokowiec pobiegł ku schodom, które wiodły na górę do krzesła kapitana wiatru.

- Zatrzymaj go! - warknął Caramon, odpychając się od ściany, gdy cytadela

przechyliła się na bok niczym tonący okręt.

- Spróbuję - wyrzucił Tanis, któremu zabrakło tchu - ale wydaje mi się, że bransoleta jest prawie wyczerpana.

Rzucił się na bozaka, lecz cytadela niespodziewanie przechyliła się w przeciwnym kierunku. Tanis chybił i upadł na podłogę. Bozak przejęty wyłącznie myślą o zatrzymaniu złodziei, którzy kradną mu cytadelę, wciąż szedł chwiejnie ku schodom. Caramon wyciągnął sztylet i cisnął nim w plecy bozaka. Nóż jednakże natrafił na magiczną, niewidzialną barierę wokół czarnych szat i spadł niegroźnie na posadzkę.

Bozak właśnie dotarł do pierwszego stopnia krętych schodów, które prowadziły do krzesła kapitana wiatru, pozostali smokowcy wreszcie zaczęli wstawać, a Tanis właśnie znów zbliżył się do bozaka, gdy cytadela podskoczyła nagle do góry. Bozak padł do tyłu wprost na Tanisa, smokowcy polecili na wszystkie strony, a Caramon, który ledwo trzymał się na nogach, skoczył na bozackiego czarodzieja.

Nagłe obroty wieży przerwały skupienie maga i ochronne zaklęcie bozaka przestało działać. Smokowiec walczył rozpaczliwie pazurzastymi rękoma, lecz Caramon - ściągnawszy stwora z Tanisa - przebił go mieczem w chwili, gdy czarodziej zaczynał wypowiadać kolejne zaklęcie.

Ciało smokowca natychmiast zamieniło się w ohydną, żółtą kałużę, z której buchnęły na całą komnatę kłęby cuchnącego, jadowego dymu.

- Uciekaj! - krzyknął Tanis, kaszląc i potykając się podczas biegu do otwartego okna. Wychylił się, zaczerpnął świeżego powietrza, a potem jęknął.

- Tas! - zawołał. - Lecimy w złym kierunku! Powiedziałem na północny zachód!

Usłyszał w odpowiedzi piskliwy krzyk kendera: - Myśl o północnym zachodzie, Rounce! Północny zachód.

- Rounce? - wymamrotał Caramon, kaszląc, i spojrzał na Tanisa z nagłym niepokojem.

- Jak moja myśleć o dwa kierunki na raz? - spytał krasnolud. - Ty chcesz na północ, czy ty chcesz na zachód? Ty się zdecydować.

- Na północny zachód! - krzyknął Tas. - To jeden kierun... Och, nieważne. Posłuchaj, Rounce, ty myśl o północy, a ja pomyślę o zachodzie. To może podziałać.

Zamykając oczy, Caramon westchnął z rozpaczą i oparł się bezwładnie o mur.

- Tanisie - powiedział - może byłoby lepiej, gdybyś...

- Nie ma czasu - odparł ponuro Tanis, ściskając miecz w garści. - Już nadchodzą.

Jednakże smokowcy, którzy wpadli w popłoch po śmierci swego przywódcy i którzy zupełnie nie mogli zrozumieć, co się dzieje z cytadelą, spojrzeli krzywo na siebie nawzajem i

na swych nieprzyjaciół. W tej samej chwili latająca forteca znów zmieniła kierunek i poleciała na północny zachód, jednocześnie opadając w dół o jakieś sześć metrów.

Smokowcy odwrócili się i uciekli korytarzem, popychając się, potykając i ślizgając przy tym, a potem znikli w tajnym przejściu, którym przyszli.

- Wreszcie lecimy we właściwym kierunku - oznajmił Tanis, wyglądając przez okno. Caramon podszedł do niego i ujrzał w bliskiej odległości od nich Wieżę Najwyższej Magii.

- Doskonale! Zobaczmy, co się dzieje - mruknął Caramon i chciał już wejść na schody.

- Nie, zaczekaj - Tanis powstrzymał go. - Tas najwyraźniej nie widzi. Musimy nim pokierować. Poza tym ci smokowcy mogą w każdej chwili wrócić.

- Chyba masz rację - rzekł Caramon, spoglądając z powątpiewaniem na schody.

- Powinniśmy być na miejscu za kilka minut - stwierdził zmęczony Tanis, opierając się o parapet okna. - Sądzę jednak, że mamy dość czasu, żebyś wyjaśnił mi, o co tu chodzi.

- Trudno w to uwierzyć - powiedział cicho Tanis, znów wyglądając przez okno - nawet jeśli chodzi o Raistlina.

- Wiem - rzekł Caramon. - Sam przez dłuższy czas nie chciałem w to wierzyć. Kiedy jednakże zobaczyłem go stojącego przed portalem i usłyszałem, jak mówi, co zamierza zrobić z Crysanią, wiedziałem, że zło wreszcie przeżarło jego duszę.

- Masz rację, musisz go powstrzymać - oświadczył Tanis, wyciągając rękę, by ucisnąć dłoń wielkiemu mężczyźnie. - Ale czy to oznacza, że będziesz musiał wejść jego śladem do Otchłani? Dalamar jest w Wieży i czeka przy portalu. Obaj chyba zdolicie nie dopuścić do tego, by Raistlin z niego nie wyszedł. Nie musisz sam wchodzić do portalu...

- Nie, Tanisie - powiedział Caramon, potrząsając głową. - Pamiętaj. - Za pierwszym razem Dalamarowi nie udało się zatrzymać Raistlina. Coś musi się przydarzyć czarnemu elfowi... coś, co uniemożliwi mu wypełnienie zadania.

- Caramon sięgnął do plecaka i wydobyl stamtąd oprawione w skórę Kroniki.

- Może zdołamy przybyć na czas, żeby temu zapobiec zasugerował Tanis, dziwnie się czując podczas mówienia o przyszłości, która już została opisana.

Caramon otworzył księgę na zaznaczonej stronie, przebiegł ją spieszenie wzrokiem, a potem wciągnął powietrze z cichym świstem.

- Co tam? - spytał Tanis, nachylając się, by popatrzeć. Caramon prędko zatrzasnął księgę.

- O tak, coś mu się przydarzy - wymamrotał ogromny mężczyzna, unikając spojrzenia Tanisowi w oczy. - Zabije go Kitiara.

Rozdział V

Dalamar siedział samotnie w laboratorium mieszczącym się w Wieży Najwyższej Magii. Strażnicy Wieży stali na swych posterunkach przy wejściu, czekając... obserwując.

Za oknem Dalamar widział płonące Palanthas. Czarny elf śledził postępy bitwy ze swego punktu obserwacyjnego na szczycie Wieży. Widział, jak lord Soth minął bramę, widział, jak rycerze rozpierchli się i padli, widział, jak smokowcy sfrunęli z cytadeli. Przez cały ten czas smoki toczyły bój na niebie, a smocza krew spadała na ulice miasta niczym deszcz.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, nim wznoszący się dym zasłonił mu pole widzenia, była latająca cytadela, która ruszyła w jego stronę powoli i chwiejnie. Przez chwilę wydawało się, że chce zawrócić w kierunku gór. Zdumiony Dalamar przyglądał jej się przez kilka chwil, zastanawiając się, czego to może być znakiem. Czyżby w ten sposób Kitiara zamierzała dostać się do Wieży?

Czarny elf zląkł się. Czy forteca mogła przelecieć nad zagajnikiem Shoikan? Uświadomił sobie, że mogła! Zacisnął pięść. Dlaczego nie przewidział tej możliwości? Wyjrzał przez okno, przeklinając dym, który coraz bardziej przesłaniał mu widok. Na jego oczach cytadela znów zmieniła kierunek, zataczając się po niebiosach jak pijak, który szuka swego domostwa.

Znów zmierzała w stronę Wieży, jednak w ślimaczym tempie. Co tam się dzieje? Czy pilot jest ranny? Wbił wzrok w fortecę, starając się coś zobaczyć. I wtedy gęsty, czarny dym przesłonił mu widok cytadeli. Czuć było silny zapach płonących paków i smoły. Magazyny, pomyślał Dalamar. Kiedy z przekleństwem odwracał się od okna, jego uwagę przyciągnął krótki rozbłysk ognia w gmachu niemal naprzeciwko - w świątyni Paladine'a. Widział przez gęstniejący dym, że blask się nasila i oczyma wyobraźni widział odzianych na biało kapłanów, którzy wymachiwali buławami i pałkami, wzywając pomocy Paladine'a i uśmiercając swych wrogów.

Dalamar uśmiechnął się posępnie, potrząsając głową i szybko przechodząc obok ogromnego kamiennego stołu, zastawionego butlami, słojami i menzurkami. Odepchnął wcześniej większość z nich na bok, by zrobić miejsce na swe księgi czarów, zwoje i magiczne przedmioty. Zerknął na nie po raz setny, upewniając się, że wszystko jest gotowe, po czym pośpieszył dalej, mijając półki pełne oprawionych na błękitno czarnoksięskich ksiąg Fistantilusa oraz półki zastawione należącymi do Raistlina księgami w czarnych okładkach. Po dojściu do drzwi laboratorium Dalamar otworzył je i wypowiedział jedno

słowo w głąb czającej się za nimi ciemności.

Natychmiast zajarzyła się przed nim para oczu, a widmowe ciało migotało w polu jego widzenia, jakby poruszał nim gorący wiatr.

- Niech strażnicy staną na szczycie Wieży - polecił Dalamar.

- Gdzie, uczniu?

Dalamar pomyślał. - W drzwiach prowadzących ze Ścieżki Śmierci. Tam ich ustaw.

Oczy przygasły krótko na znak potwierdzenia, a następnie znikły. Dalamar wrócił do laboratorium i zamknął za sobą drzwi. Potem zatrzymał się i zawahał. Mógł rzucić na drzwi zaklęcia uniemożliwiające komukolwiek ich otworzenie. Raistlin często tak postępował, kiedy dokonywał delikatnych eksperymentów magicznych, podczas których najmniejsze zakłócenia mogłyby okazać się tragiczne w skutkach. Oddech zaczerpnięty w niewłaściwym momencie mógł oznaczać uwolnienie sił magicznych, które zniszczyłyby nawet Wieżę. Dalamar stał nieruchomo ze słowami na ustach, delikatnymi palcami dotykając drzwi.

Potem pomyślał: Nie. Mogę potrzebować pomocy. Strażnicy muszą mieć wolny dostęp na wypadek, gdybym nie był w stanie usunąć zaklęć. Przeszedłszy znów przez pokój, siadł w wygodnym fotelu, który najbardziej lubił - fotelu, który przyniósł ze swoich własnych komnat, by wygodniej spędzić nużący czas oczekiwania.

Na wypadek, gdybym nie był w stanie usunąć zaklęć. Zasiadłszy na miękkich, aksamitnych poduszkach fotela, Dalamar pomyślał o śmierci, o konaniu. Jego spojrzenie powędrowało ku portalowi. Wyglądał tak jak zawsze - pięć smoczycich głów zwróconych do środka, każda innego koloru, z pięcioma paszczami rozwartymi w pięciu bezgłośnych hołdach składanych Królowej Ciemności. Wyglądał tak jak zawsze - głowy ciemne i nieruchome, czeluść wewnątrz portalu pusta i niezmienna. Czyżby? Dalamar mrugnął oczyma. Może to jego wyobraźnia, lecz wydawało mu się, że oczy każdej z głów zaczęły lekko świecić.

Czarny elf poczuł ścisk w gardle i wytarł o szaty spocone dłonie. Śmierć, konanie. Czy do tego dojdzie? Palcami musnął srebrne runy wyszyte na czarnym materiale, runy, które zablokują lub rozproszą pewne magiczne ataki. Spojrzał na swoją rękę, na której iskrzył się przepiękny, zielony kamień w pierścieniu uzdrawiania - potężnym magicznym przedmiocie. Mimo to jego mocy można było użyć tylko raz.

Dalamar pośpiesznie powtórzył w myślach udzielane mu przez Raistlina lekcje oceny tego, czy rana jest śmiertelna i wymaga natychmiastowego uleczenia, czy należy oszczędzać moc uzdrowicielskiego przedmiotu.

Dalamar wzdrygnął się. Słyszał głos shalafiego, który na chłodno omawia rozmaite stopnie bólu. Czuł, jak te pływające dziwnym, wewnętrznym żarem palce przesuwają się nad

różnymi częściami jego ciała, wskazując najważniejsze obszary. Dalamar odruchowo dotknął piersi, gdzie pięć dziur wypalonych w jego ciele przez Raistlina wiecznie krwawiło i jątrzyło się. Jednocześnie w jego myślach zapłonęły oczy Raistlina - podobne do luster, złote, obojętne, groźne.

Dalamar skulił się. Otacza mnie i chroni potężna magia, powiedział sobie w duchu. Jestem utalentowany w sztuce i choć nie tak utalentowany, jak on, shalafi wyjdzie z tego portalu poraniony, słaby, o krok od śmierci! Łatwo będzie go zabić! Dalamar zacisnął dłoń. Dlaczego więc drzę z trwogi? zadawał sobie pytanie.

Rozległ się pojedynczy dźwięk srebrnego dzwoneczka. Pełen obaw Dalamar wstał z fotela, a jego lęk przed rzeczami wymyślonymi został zastąpiony przez lęk przed czymś bardzo realnym. Wraz ze strachem przed czymś konkretnym i namacalnym Dalamar poczuł, jak jego ciało spręża się, w żyłach płynie zimna krew, a mroczne cienie w jego umyśle znikają. Znow był u władzy.

Srebrny dzwonek oznaczał intruza. Ktoś przedostał się przez zagajnik Shoikan i stał u wejścia do Wieży. Zwykle Dalamar używając zaklęcia, natychmiast opuściłby laboratorium, by samemu rozprawić się z nieproszonym gościem. Nie miał jednak odwagi zostawić portalu. Obejrzawszy się za siebie, czarny elf pokiwał powoli głową. Nie, to nie była jego wyobraźnia, oczy smoków rzeczywiście jarzyły się. Sądził nawet, że pustka wewnątrz portalu drgnęła i poruszyła się, jakby po jej powierzchni przebiegła zmarszczka.

Nie, nie odważy się odejść. Musi zaufać strażnikom. Podeszedł do drzwi i spuścił głowę, nasłuchując. Wydawało mu się, że słyszy niewyraźne odgłosy - stłumiony krzyk, zgrzyt stali. Potem nic, prócz ciszy. Czekał z zapartym tchem, słysząc tylko bicie swego serca.

Nic więcej.

Dalamar westchnął. Strażnicy musieli uporać się z problemem. Oddalił się od drzwi i przemierzył laboratorium, by znow wyrzeć przez okno, lecz nic nie widział. Dym był gęsty jak mgła. Usłyszał odległe grzmienie, a może był to wybuch. Zaczął się zastanawiać nad tym, kto tam był na dole? Może jakiś smokowiec, żądny kolejnych mordów, kolejnych grabieży? Jeden z nich mógł się przedrzeć...

To i tak nieważne, powiedział sobie chłodno. Kiedy wszystko się skończy, zejdzie, żeby zbadać trupa...

- Dalamarze!

Serce mu podskoczyło, jednocześnie ze strachu i nadziei, jaka ogarnęła go na dźwięk tego głosu.

- Ostrożnie, ostrożnie, mój przyjacielu - szepnął do siebie. - Ona zdradziła swego brata. Zdradziła ciebie. Nie ufaj jej.

Mimo to stwierdził, że ręce mu drżą, gdy powoli szedł przez laboratorium w stronę drzwi.

- Dalamarze! - Znów jej głos, drżący z cierpienia i trwogi. Słysząc było uderzenie o drzwi i odgłos ciała zsuwającego się po nich. - Dalamarze - znów zawołała słabym głosem.

Dalamar położył dłoń na klamce. Za jego plecami oczy smoków jarzyły się na czerwono, biało, niebiesko, zielono, czarno.

- Dalamarze - wyszeptała ledwo słyszalnie Kitiara przyszłam... przyszłam ci pomóc.

Dalamar powoli otworzył drzwi do laboratorium.

Kitiara leżała na podłodze u jego stóp. Na jej widok Dalamar wstrzymał oddech. Jeśli przedtem miała na sobie zbroję, zerwały ją z niej teraz nieludzkie ręce. Widział ślady ich pazurów na jej ciele. Czarne, obcisłe odzienie, jakie nosiła pod pancerzem, było podarte prawie na strzępy, obnażając jej opaloną skórę i białe piersi. Krew ciekła ze strasznej rany na nodze, a jej skórzane, wysokie buty były porozdzierane. Mimo to spoglądała na niego przytomnymi oczyma, które nie wyrażały obawy. W ręce ścisnęła klejnot nocy, amulet, jaki dał jej Raistlin dla ochrony przed zagajnikiem.

- Ledwo starczyło mi sił - wyszeptała, rozwierając wargi w krzywym uśmiechu, na widok którego krew zawrzała Dalamarowi w żyłach. Uniosła ramiona. - Przyszłam do ciebie. Pomóż mi wstać.

Dalamar schylił się i postawił Kitiare na nogi. Wsparła się na nim bezwładnie. Czuł drżenie jej ciała i pokręcił głową, wiedząc, że jad już rozchodzi się w jej krwi. Objąwszy ją ramieniem, elf zaniósł ją do laboratorium i zamknął za sobą drzwi.

Jej spoczywający na nim ciężar wzrósł, a oczy jej uciekły w głąb głowy. - Och, Dalamarze - szepnęła. Elf miał wrażenie, że kobieta za chwilę zemdleje. Chwyił ją w oba ramiona. Oparła głowę na jego piersi i westchnęła z ulgą i wdzięcznością.

Czuł zapach jej włosów - tę dziwną woń, mieszaninę perfum i stali. Jej ciało dygotało w jego ramionach. Ścisnął ją mocniej. Otworzyła oczy i ich spojrzenia skrzyżowały się.

- Już czuję się lepiej - szepnęła. Jej ręce ześlizgnęły się...

Dalamar za późno dostrzegł błysk w brązowych oczach. Za późno zobaczył, jak jej uśmiechnięte wargi wykrzywiają się. Za późno poczuł szarpnięcie jej rąk i szybkie dźgnięcie, gdy jej nóż zagłębił się w jego ciele.

- Cóż, udało nam się - zawołał Caramon, patrząc w dół z rozsypującego się dziedzińca latającej cytadeli, która unosiła się nad czubkami ciemnych drzew zagajnika Shoikan.

- Tak, przynajmniej do tej pory - mruknął Tanis. Nawet z tego punktu, wysoko ponad przeklętym lasem, czuł zimne fale nienawiści i żądy krwi, jakie się wznosiły ku nim, jakby strażnicy nawet teraz mogli ich ściągnąć na dół. Tanis zadrżał i zdobył się na to, by spojrzeć na majaczący w pobliżu szczyt Wieży Najwyższej Magii. - Jeśli uda nam się podejść wystarczająco blisko - krzyknął do Caramona przez świst wiatru w uszach - będziemy mogli zeskoczyć na ten taras, który otacza czubek wieży.

- Ścieżkę Śmierci - rzekł posepnie Caramon.

- Co takiego?

- Ścieżka Śmierci! - Caramon przysunął się bliżej, patrząc pod nogi, gdy ciemne drzewa przepływały pod nimi, niczym fale czarnego oceanu. - Tam stał ten zły czarodziej podczas rzucania klątwy na Wieżę. Tak powiedział mi Raistlin. Stamtąd ten czarodziej właśnie skoczył.

- Przyjemne, wesołe miejsce - mruknął pod nosem Tanis, przyglądając się tarasowi posepnym wzrokiem. Dym kłębił się wokół nich, zasłaniając drzewa. Pótlef starał się nie myśleć o tym, co dzieje się w mieście. Już zauważył, że świątynia Paladinea stoi w płomieniach.

- Wiesz, oczywiście - krzyknął, łapiąc Caramona za ramię, gdy stanęli na krawędzi dziedzińca cytadeli - że istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że Tas zderzy się z Wieżą!

- Zaszliśmy tak daleko - rzekł cicho Caramon. Bogowie są przy nas.

Tanis zamrugał oczami, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał. - To zupełnie niepodobne do dawnego, jowialnego Caramona - stwierdził i pokazał zęby w uśmiechu.

- Ten Caramon umarł - odparł beznamiętnie wojownik, nie odrywając oczu od będącej coraz bliżej Wieży.

Uśmiech Tanisa złagodniał i przeszedł w westchnienie. Przykro mi. - Nie przychodziło mu do głowy nic innego, co mógłby powiedzieć. Niezgrabnie położył dłoń na ramieniu Caramona.

Caramon spojrział na niego byстрыm wzrokiem. - Nie, Tanisie - rzekł. - Par-Salian powiedział mi, kiedy odsyłał mnie w przeszłość, że wracam, by „ocalić duszę. Nic więcej. Nic mniej”. - Caramon uśmiechnął się smutno. - Myślałem, że ma na myśli duszę Raistlina. Teraz wiem już, że nie. Miał na myśli moją własną. - Ogromny mężczyzna sprężył się. - Chodźmy - powiedział, nagle zmieniając temat. - Jesteśmy już wystarczająco blisko, by skoczyć.

Wtedy ukazał się pod nimi ledwo widoczny w kłębach dymu balkon otaczający szczyt Wieży. Tanis spojrział w dół i zrobiło mu się niedobrze. Choć wiedział, że to niemożliwe, i tak

odnosił wrażenie, że to Wieża podskakuje pod nim, podczas gdy on stoi idealnie nieruchomo. Podczas zbliżania się wydawała się taka olbrzymia. Teraz równie dobrze mógłby planować zeskok z drzewa vallen na dach zamku z klocków.

Co gorsza, cytadela wciąż się zbliżała do Wieży. Czerwone jak krew czubki zwieńczających ją czarnych minaretów tańczyły Tanisowi przed oczami, gdy cytadela szarpała się w przód i w tył i kołysała w górę i w dół.

- Skacz! - krzyknął Caramon, rzucając się w przestrzeń.

Pasmo dymu zakłębiło się wokół Tanisa. Przez chwilę nic nie widział. Cytadela wciąż się ruszała. Nagle tuż przed nim wyrosła olbrzymia czarna kolumna z kamienia. Musi skoczyć, albo zostanie zmiążdżony. Tanis skoczył rozpaczliwie, słysząc okropny zgrzyt i chrupot nad sobą. Spadał w nicość w kłębach dymu, a potem miał tylko ułamek sekundy, by wziąć się w garść, gdy kamienie Ścieżki Śmierci zmaterializowały mu się pod nogami.

Wylądował z łomotem, który potrząsnął wszystkimi jego kośćmi, ogłuszył go i pozbawił tchu. Miał dość rozumu, by przewrócić się na brzuch i zasłonić sobie głowę ramionami przed nawałem kamieni, które posypały się wokół niego.

Caramon był już na nogach i wrzeszczał: - Na północ! Prosto na północ!

Tanisowi wydawało się, że słyszy bardzo słabiotko piskliwy głos krzyczący z cytadeli w górze: - Północ! Północ! Północ! Musimy lecieć prosto na północ!

Zgrzyty i chrzęsty ustały. Podnosząc ostrożnie głowę, Tanis spostrzegł przez przerwę w zasłonie dymu, że latająca forteca zmieniła kierunek, kołysząc się lekko i sunąc wprost ku pałacowi lorda Amothusa.

- Nic ci nie jest? - Caramon pomógł Tanisowi wstać.

- Nie - powiedział drżącym głosem półelf. Wylał krew z ust. - Przygryzłem sobie język. Do licha, to boli!

- Jedyna droga na dół wiedzie tędy - rzekł Caramon, prowadząc po Ścieżce Śmierci. Doszli do łuku wykutego w czarnym kamieniu Wieży. Małe drewniane wrota były zamknięte na sztaby.

- Pewno będą tu strażnicy - zauważył Tanis, gdy Caramon cofnął się, by wyważyć drzwi.

- Aha - mruknął olbrzymi mężczyzna. Wziął krótki rozbieg i rzucił się z impetem na drzwi. Wrota zadrzały i zaskrzypiały, a drewno wzdłuż żelaznych sztab popękało, lecz całość wytrzymała. Rozcierając bark, Caramon cofnął się. Przyjrzał się drzwiom, zebrał wszystkie swe siły i znów rzucił się na nie. Tym razem pękły z donośnym hukiem i Caramon wpadł do środka razem z nimi.

Wchodząc szybko do środka i rozglądając się w zadymionym mroku, Tanis znalazł Caramona leżącego na podłodze wśród sterty drzazg. Półelf zamierzał nachylić się i dotknąć przyjaciela, gdy zatrzymał się, by się czemuś przyjrzeć.

- Na Otchłań! - zaklął i oddech uwiązał mu w krtani. Caramon czym prędzej wstał. - Aha - powiedział ostrożnie. - Już przedtem zetknąłem się z nimi.

W powietrzu przed nimi unosiły się dwie pary pozbawionych ciał oczu, które jarzyły się upiornym, zimnym światłem.

- Nie pozwól, żeby cię dotknęły - ostrzegł cicho Caramon. - Wysysają z człowieka życie.

Oczy podleciały bliżej.

Caramon spiesznie zasłonił sobą Tani sę i stanął naprzeciwko oczu. - Jestem Caramon Majere, brat Fistantilusa - oświadczył cicho. - Znacie mnie. Widzieliście mnie już w dawno minionych czasach.

Oczy zatrzymały się. Tanis czuł ich zimne, uważne spojrzenie. Powoli podniósł rękę. Chłodne światło oczu strażnika zabłyszczało na srebrnej bransoletce.

- Jestem przyjacielem twojego mistrza, Dalamara - powiedział, starając się nadać swemu głosowi pewne brzmienie. - On dał mi tę bransoletę. - Tanis niespodziewanie poczuł uścisk zimnej ręki na ramieniu. Skrzywił się z bólu, który wydawał się niemal świdrować do głębi serca. Zachwiał się i prawie upadł. Caramon złapał go.

- Bransoleta znikła! - wycedził przez zaciśnięte zęby Tanis.

- Dalamarze! - wrzasnął Caramon, a jego głos zahuczał i zadudnił echem w komnacie. - Dalamarze! To ja, Caramon! Brat Raistlina! Muszę dostać się do portalu! Mogę go powstrzymać! Odwołaj strażników, Dalamarze!

- Może już jest za późno - rzekł Tanis, wpatrując się w blade oczy, które wciąż im się przyglądały. - Może Kit była tu przed nami. Może on już nie żyje...

- W takim razie my też - stwierdził cicho Caramon.

Rozdział VI

A niech cię wszyscy diabli, Kitiaro! - wykrztusił Dalamar, zwijając się z bólu. Zatoczył się do tyłu, przyciskając dłoń do boku i czując ciepłą krew, spływającą mu między palcami.

Na twarzy Kitiary nie było uśmiechu podniecenia. Raczej malował się na niej strach, ujrzawszy bowiem, że jej cios, który powinien był zabić, chybił. Dlaczego? zadawała sobie pytanie z wściekłością. Zabiła już w ten sposób setkę mężczyzn! Dlaczego miałyby chybić właśnie teraz?, Upuściwszy nóż, wyciągnęła miecz, rzucając się w przód tym samym ruchem.

Miecz zaświszczał od siły jej ciosu, lecz trafił w litą ścianę. Iskry posypały się, gdy metal zetknął się z magiczną tarczą, jaką wyczarował wokół siebie Dalamar, a paralizujący wstrząs przebiegł przez ostrze do rękojeści i wzdłuż ręki Kitiary. Miecz wyślizgnął się jej z bezwładnej dłoni. Trzymając się za rękę, osłupiała Kitiara padła na kolana.

Dalamar miał czas na przyjście do siebie po wstrząsie wywołanym raną. Obronne zaklęcia, jakie rzucił, były odruchową reakcją, wynikiem lat szkolenia. Nawet już nie musiał o nich myśleć. Teraz jednakże przyglądał się ponuro kobiecie leżącej na podłodze przed nim, która lewą ręką sięgała po miecz, a prawą poruszała, starając się odzyskać czucie.

Bitwa właśnie się rozpoczęła.

Kitiara wstała zwinnie niczym kot, a jej oczy gorzały szaleństwem bitewnym i tym nieomal seksualnym pożądaniem, jakim pałała podczas walki. Dalamar już wcześniej widział ten wyraz oczu - u Raistlina pogrążonego w ekstazie swej magii. Czarny elf przełknął ślinę, pozbywając się uczucia ucisku w gardle i postarał się przegonić z umysłu ból i strach, pragnąc się skupić wyłącznie na swych czarach.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił, Kitiaro - rzekł, grając na zwłokę i czując, jak z każdą chwilą wracają mu siły. Musiał oszczędzać tę siłę! Nic mu to nie da, jeśli pokona Kitiarę, tylko po to, by zginąć z rąk jej brata.

Pierwszą jego myślą było wezwać strażników. Odrzucił jednakże ten pomysł. Raz już przedarła się przez nich, zapewne używając klejnotu nocy. Cofając się przed władczynią smoków, Dalamar przysunął się bliżej do kamiennego biurka, gdzie leżały jego magiczne przedmioty. Kątem oka dostrzegł, jak coś błysnęło, złoto - magiczna różdżka. Musi doskonale zgrać każdy ruch, bowiem żeby użyć różdżki przeciw Kitiarze, będzie musiał rozproszyc magiczną osłonę. Poznał po oczach Kitiary, że ona o tym wie. Czekwała cierpliwie, aż opuści tarczę.

- Zostałaś oszukana, Kitiaro - powiedział cicho Dalamar w nadziei, że odwróci jej

uwagę.

- Przez ciebie! - parsknęła szyderczo. Podniosła srebrny, wieloramienny świecznik i rzuciła nim w Dalamara. Lichtarz odbił się niegroźnie od magicznej osłony i spadł u jego stóp. Znad dywanu wzbiła się smuzka dymu, lecz niewielki pożar zgasł prawie natychmiast, zalany topniejącym woskiem.

- Przez lorda Sotha - oświadczył Dalamar.

- Ha! - zaśmiała się Kitiara, ciskając szklaną menzurką w magiczną tarczę. Naczynie roztrzaskało się na tysiąc lśniących odłamków. Za nim poleciał kolejny świecznik. Kitiara już przedtem walczyła z czarodziejami. Wiedziała, jak ich pokonać. Jej pociski nie miały ranić, a jedynie osłabić maga, zmusić go do zużywania sił na podtrzymywanie osłony i zastanowienia się dobrze przed jej rozproszeniem.

- Jak sądzisz, dlaczego zastałaś Palanthas gotowe do obrony? - ciągnął Dalamar, cofając się i skradając coraz bliżej stołu. - Spodziewałaś się tego? Soth powiedział mi o twoich planach! Powiedział mi, że zamierzasz napaść na Palanthas, żeby spróbować pomóc swemu bratu! „Kiedy Raistlin wyjdzie z portalu, wabiąc za sobą Królową Ciemności, Kitiara wyjdzie mu na spotkanie jak kochająca siostra!” Kitiara zatrzymała się i opuściła miecz o ułamek cala. - Soth ci o tym powiedział?

- Tak - rzekł Dalamar, z ulgą wyczuwając jej wahanie i konsternację. Ból zelżał trochę. Zaryzykował spojrzenie na ranę. Szata przyklepiła mu się do niej, tworząc prymitywny opatrunek. Krwotok niemal ustał.

- Dlaczego? - Kitiara uniosła drwiąco brwi. - Dlaczego Soth miałby mnie zdradzić, czarny elfie?

- Ponieważ cię pragnie, Kitiaro - powiedział cicho Dalamar. - Pragniecie w jedyny sposób, jaki możecie mieć...

Kitiarę zdjęła zgroza. Przypomniała sobie osobliwą nutę w głuchym głosie Sotha. Przypomniała sobie, że to on poradził jej zaatakować Palanthas. Czując, jak opuszcza ją złość, Kitiara zadrzała, wstrząsana dreszczami. Rany są śmiertelne, uświadomiła sobie z goryczą, patrząc na długie zadrapania na ramionach i nogach, i znów czując zimne szpony tych, którzy je jej zadali. Jad. Lord Soth. Nie mogła myśleć. Kiedy podniosła głowę w oszołomieniu, zobaczyła, że Dalamar się uśmiecha.

Gniewnie odwróciła się od niego, by ukryć emocje, by wziąć się w garść.

Nie spuszczając jej z oczu, Dalamar przysunął się jeszcze bliżej kamiennego stołu, zerkając na różdżkę, której potrzebował.

Kitiara zgarbiła się i spuściła głowę. Trzymała niepewnie miecz w prawej ręce i

podtrzymywała go lewą, udając, że jest ciężko ranna. Cały czas czuła, że odzyskuje siły w zdrętwiałym ramieniu. Niech myśli, że wygrał. Usłyszę go, kiedy zaatakuję. Na dźwięk pierwszego magicznego słowa rozplątam go na dwoje! Ścisnęła w dłoni rękojeść miecza.

Nadstawiała uszu, lecz nic nie słyszała, jedynie cichy szelest czarnych szat i urywane dyszenie elfa. Czy to prawda, zastanawiała się, co mówił o lordzie Sothu? Jeśli tak, czy to ważne? Kitiarę raczej rozbawiła ta myśl. Bywało, że mężczyźni robili więcej, żeby ją zdobyć. Wciąż była wolna. Później rozprawi się z Sothem. To, co Dalamar powiedział o Raistlinie, zaintrygowało ją bardziej. Czyżby mógł wygrać?

Czy sprowadziłby Królową Ciemności na tę płaszczyznę? Ta myśl wzbudziła przerażenie Kitiary, przerażenie i trwogę. - Kiedyś byłam ci pomocna, nieprawdaż, Mroczny Majestacie? - szepnęła. - Kiedyś, kiedy byłaś słaba i byłaś jedynie cieniem po tej stronie lustra. Kiedy jednakże będziesz potężna, jakie znajdzie się dla mnie miejsce na tym świecie? Żadne! Nienawidzisz mnie bowiem i boisz się mnie tak samo, jak ja nienawidzę i boję się ciebie.

A co do mojego brata, tego biadolącego robaka, ktoś będzie na niego czekał - Dalamar! Należysz do swego shalafiego ciała i duszą! To ty zamierzasz mu pomóc, a nie przeszkodzić, gdy przestąpi próg portalu! Nie, miły kochanku. Ja ci nie ufam! Nie odważę ci się zaufać!

Dalamar spostrzegł, że Kitiara trzęsie się, i że rany na jej ciele sinieją. Bez wątpienia słabła. Zobaczył, jak zbladła, a jej oczy rozszerzyły się ze strachu kiedy wspomniał o Sothu. Z pewnością musi zdawać sobie sprawę, że została zdradzona. Z pewnością musi teraz uświadamiać sobie swe wielkie szaleństwo. Teraz zresztą nie miało to już żadnego znaczenia. Nie ufał jej, nie odważyłby się jej zaufać...

Dalamar raptownie wyciągnął rękę za siebie. Chwyciwszy różdżkę, uniósł ją w górę i wypowiedział słowo zaklęcia, które rozpraszało magiczną tarczę, chroniącą go. W tym momencie Kitiara odwróciła się. Ściskając miecz w obu rękach, zamachnęła się nim z całych sił. Cios strąciłby Dalamarowi głowę z ramion, gdyby mag nie obrócił się podczas sięgania po różdżkę.

A tak ostrze trafiło go w tył prawego barku i wbiło się głęboko w ciało, miażdżąc łopatkę i omal nie odcinając mu ramienia. Czarodziej z przeraźliwym krzykiem upuścił różdżkę, lecz jej magiczna moc została już uwolniona. Strzeliła rozdwojona błyskawica i wyładowanie z trzaskiem trafiło Kitiarę w pierś, odrzucając jej wijące się ciało do tyłu i ciskając je z impetem na posadzkę.

Dalamar padł bezwładnie na stół, czując, jak mu się kręci w głowie z bólu. Krew

tryskała mu rytmicznie z ramienia. Przez chwilę patrzył na nią tępym wzrokiem, a potem przypomniały mu się lekcje anatomii Raistlina. Broczył krwią serdeczną. W przeciągu kilku minut będzie martwy. Pierścień uzdrawiania znajdował się na jego prawym ręku, tym zranionym. Z wysiłkiem wyciągnął lewe ramię, chwycił kamień i wypowiedział proste słowo uaktywniające zaklęcie. Potem stracił przytomność i jego ciało zsunęło się na podłogę, gdzie spoczęło w kałuży własnej krwi.

- Dalamarze! - wołał go ktoś po imieniu. Czarny elf poruszył się sennie. Przeszył go ból. Jęknął i starał się ponownie zatonać w ciemności. Ktoś jednakże znów zawołał. Wróciły wspomnienia, a wraz ze wspomnieniami strach.

Strach przywrócił mu przytomność. Mag próbował usiąść, lecz targnął nim ból, omal nie sprawiając, że znów zemdłał. Słyszał chrupot trących o siebie końców połamanych kości, a prawe ramię i dłoń zwisły mu bezwładnie. Pierścień zatrzymał krwotok. Przeżyje, lecz czyżby tylko po to, by zginać z rąk shalafiego!

- Dalamarze! - znowu ktoś wołał. - Tu Caramon! Dalamar zaszlochał i odetchnął z ulgą. Uniósł głowę - był to ruch, który wymagał ogromnego wysiłku - i spoj - rżał na portal. Oczy smoków jarzyły się jeszcze jaśniej, a blask zdawał się nawet rozprzestrzenić na ich szyje. Pustka wyraźnie już drżała. Czuł na policzku podmuch gorącego wiatru, a może to była tylko trawiąca go gorączka.

Usłyszał szmer, dochodzący z ciemnego kąta po drugiej stronie komnaty i znów padł na niego strach. Nie! To niemożliwe, żeby przeżyła! Zaciskając zęby z cierpienia, odwrócił głowę. Widział jej ciało w zbroi odbijającej blask smoczycy oczu. Leżała w mroku cicho i nie ruszała się. Czuł zapach spalonego ciała. Jednakże ten dźwięk...

Zmęczony Dalamar zamknął oczy. Ciemność wirowała mu w głowie, grożąc wciągnięciem w jej otchłań. Nie mógł jeszcze odpocząć! Walcząc z cierpieniem, zmusił się do powrotu do przytomności, zastanawiając się, czemu Caramon nie przybył. Znów słyszał jego wołanie. O co chodziło? Wtedy Dalamar przypomniał sobie - strażnicy! Oczywiście, nigdy nie pozwolą mu przejść!

- Strażnicy, usłyszcie me słowa i bądźcie posłuszni zaczął Dalamar, skupiając myśli i siły oraz wyszeptując słowa, które pomogą Caramonowi wyminąć martwych obrońców Wieży i wejść do komnaty.

Za plecami Dalamara smocze głowy zaświeciły jeszcze jaśniej, a tymczasem przed nim, w tym ciemnym kącie, czyjaś ręka sięgnęła do zakrwawionego paska i resztkami sił zacisnęła się na rękojeści sztyletu.

- Caramonie - rzekł cicho Tanis, przyglądając się oczom, które przyglądały się jemu -

moglibyśmy odejść, znów pójść na górę schodami... Może gdzieś jest inna droga...

- Nie ma innej. Ja nigdzie nie idę - oświadczył uparcie Caramon.

- Na bogów, Caramonie! Nie możesz walczyć z tymi przeklętymi stworami!

- Dalamarze! - Caramon wciąż go rozpaczliwie wołał. - Dalamarze, ja...

Świecące oczy zgasły tak nagle, jakby zostały zdmuchnięte.

- Nie ma ich! - powiedział Caramon, ruszając gwałtownie naprzód. Jednakże Tanis zatrzymał go.

- To sztuczka...

- Nie. - Caramon pociągnął go za sobą. - Można ich wyczuć, nawet jeśli nie są widzialni. Ja ich już nie czuję. A ty?

- Coś wyczuwam! - mruknął Tanis.

- Ale to nie oni. A to coś nie jest zainteresowane nami! - oświadczył Caramon, zbiegając w dół po krętych schodach Wieży. Następne drzwi na dole schodów były otwarte. Caramon zatrzymał się tam i ostrożnie zajrzał do wnętrza głównego budynku.

W środku panowała ciemność, taka ciemność, jakby światło nie zostało jeszcze stworzone. Pochodnie były zgaszone. Nie było okien. Tanis nagle wyobraził sobie, że wchodzi w ten mrok i ginie w nim na zawsze, spadając w gęste, żarłoczne zło, jakim przesycony był każdy kamień i kawałek skały. Słyszał coraz szybszy oddech stojącego obok Caramona i wyczuł, jak olbrzymi mężczyzna się spręża.

- Caramonie, co tam jest?

- Nic. Jedynie długi spadek na dno. Środek Wieży jest pusty. Schody prowadzą dookoła ściany, a od tych schodów w bok są pokoje. Stoję teraz na wąskim podeście, o ile mnie pamięć nie myli. Laboratorium znajduje się jakieś dwa piętra niżej. - Głos załamał się Caramonowi. - Musimy iść dalej! Tracimy czas! On się zbliża! - Chwyciwszy kurczowo Tanisa, dokończył spokojniej: - Chodźmy. Tylko trzymaj się blisko ściany. Schody wiodą do laboratorium...

- Jeden fałszywy krok w tym przeklętym mroku i nie będzie już dla nas ważne, co zrobi twój brat! - stwierdził Tanis. Wiedział jednakże, że słowa na nic się nie dadzą. Choć był ślepy w tej otaczającej go ciemności, zauważył, jak twarz Caramona ściąga grymas zdecydowania. Usłyszał, jak wielki mężczyzna robi krok naprzód, powłócząc nogami i starając się po omacku znaleźć drogę wzdłuż ściany. Tanis westchnął i przygotował się, by pójść jego śladem...

I wtedy wróciły wpatrzone w nich oczy.

Tanis sięgnął po miecz - był to głupi, na nic się nie zdający gest. Oczy jednakże tylko

im się przyglądały. Rozległ się głos. - Chodźcie. Tędy.

W ciemności machnęła ręka. - Nic nie widzimy, do licha! - warknął Tanis.

Pojawiło się upiorne światełko, trzymane w owej wychudzonej ręce. Tanis wzdrygnął się. Z dwojga złego wolał już ciemność. Mimo to nic nie rzekł, Caramon pędził bowiem już naprzód, zbiegając po długich, krętych schodach. Na dole oczy, ręka i światełko zatrzymały się. Przed nimi były otwarte drzwi do pokoju. W środku paliło się jasne światło, które padało na korytarz. Caramon wskoczył pierwszy, a Tanis za nim, spieszenie zatraskując za sobą drzwi, żeby te okropne oczy nie podążyły ich śladem.

Odwróciwszy się, stanął i rozejrzał po pokoju, nagle uświadamiając sobie, gdzie jest - w laboratorium Raistlina. Stojąc zdrewniał, przyciśnięty do drzwi, Tanis przyglądał się Caramonowi, który szybko podbiegł i ukląkł obok postaci skulonej w kałuży krwi na podłodze. To Dalamar, stwierdził Tanis, dostrzegając czarne szaty. Nie mógł jednakże nic zrobić, nie mógł się ruszyć.

Zło w ciemności za drzwiami było duszne, zakurzone, prastare. Jednakże tutaj zło żyło, oddychało, tętniło i pulsowało. Jego chłód płynął od oprawionych w błękit nocy ksiąg zaklęć na półkach, jego ciepło buchało od nowego zestawu oprawionych na czarno ksiąg ze znakiem klepsydry, które stały obok nich. Tanis popatrzył ze zgrozą na stoje i ujrzał udreżone oczy, które przyglądały mu się. Zakrzuszył się wonią korzeni, pleśni, grzybów, róż oraz dochodzącym skądś słodkim zapachem spalonego ciała.

Wtedy jego spojrzenie przyciągnął i pochwyił narastający blask, jaki promieniował z kąta. Światło było piękne, jednakże jego widok zdjął go bogobojnym lękiem i przerażeniem, przypominając mu żywo o spotkaniu z Królową Ciemności. Wpatrywał się w tę jasność jak zauroczony. Składała się ze wszystkich kolorów, jakie widział, zmiesza - nych w jedno. Kiedy jednak tak patrzył przepełniony zgrozą, zafascynowany i nie będący w stanie oderwać od tego oczu, spostrzegł, że światło dzieli się i staje się wyraźne, przybierając kształt pięciu smoczycich głów.

Brama!, uświadomił sobie nagle Tanis. Pięć smoczycich łbów wyrastało ze złotego podwyższenia, tworząc swymi szyjami owal. Wszystkie były nachylone do wewnątrz, a ich paszcze były rozwarłe w niemym wrzasku. Tanis spojrział w pustkę wewnątrz owalu. Była tam nicość, lecz ta nicość poruszała się. Wszystko było puste i żywe. Nagle instynktownie pojął, dokąd prowadzą te wrota i ta świadomość sprawiła, że poczuł chłód przebiegający mu przez ciało.

- To portal - rzekł Caramon, widząc blade oblicze Tanisa i jego wytrzeszczone oczy. - Chodź, pomożesz mi.

- Ty tam chcesz wejść? - szepnął gwałtownie Tanis, zdziwiony spokojem zwalistego mężczyzny. Przeszedł przez pokój i stanął obok przyjaciela. - Caramonie, nie bądź głupi!

- Nie mam innego wyjścia - powiedział Caramon z tym nowym wyrazem spokojnego zdecydowania na twarzy. Tanis chciał się sprzeciwić, lecz Caramon znów odwrócił się od niego, spoglądając teraz na rannego czarnego elfa.

- Wiedziałem, co się stanie - przypomniał Tanisowi. Przełknąwszy słowa, które dławili go, Tanis ukląkł przy Dalamarze. Czarny elf zdołał podciągnąć się do pozycji siedzącej, aby mógł patrzeć na portal. Upřednio znów stracił przytomność, lecz na dźwięk ich głosów gwałtownie otworzył oczy.

- Caramonie! - wysapał, wyciągając drżącą rękę. Ty musisz zatrzymać...

- Wiem, Dalamarze - rzekł łagodnie Caramon. Wiem, co muszę zrobić. Potrzebuję jednak twojej pomocy! Powiedz mi...

Dalamarowi opadły powieki, jego skóra była trupio blada. Tanis nachylił się nad klatką piersiową Dalamara, by poszukać tętna na szyi młodego elfa. Właśnie dotknął skóry czarodzieja, gdy rozległ się jakiś brzęk. Coś targnęło jego ramieniem, trafiając w zbroję, odbijając się od niej i spadając na podłogę z grzechotem. Tanis spuścił wzrok i zobaczył zakrwawiony sztylet.

Spłoszony, zerwał się i odwrócił z mieczem w rękę.

- Kitiara! - wyszeptał Dalamar, słabo wskazując głową. Zajrzawszy w mrok laboratorium, Tanis dostrzegł ciało leżące w kącie.

- Oczywiście - mruknął Caramon. - Tak go zabiła. - Podniósł sztylet. - Tym razem, Tanisie, ty zasłoniłeś jej cel.

Tanis jednak nie usłyszał. Wsunąwszy miecz ponownie do pochwy, przebył długość pokoju, nie zwracając uwagi, że stąpa po potłuczonym szkłe, kopniakiem odtrącił srebrny świecznik, który poturlał mu się pod nogi.

Kitiara leżała na brzuchu z policzkiem przyciśniętym do pokrytej krwią posadzki i ciemnymi włosami spadającymi jej na oczy. Wydawało się, że rzut sztyletem wyczerpał jej ostatnie siły. Kiedy Tanis zbliżał się, targany sprzecznymi uczuciami, był przekonany, że ona nie żyje.

Jednakże niespożyta siła woli, która jednego brata pchała przez ciemność, a drugiego ku światłu, wciąż tkwiła w Kitiarze.

Usłyszała kroki... jej wróg...

Ostatkiem sił złapała za miecz. Podniosła głowę, spoglądając szybko zachodzącymi mgłą oczami.

- Tanis? - Patrzyła na niego ze zdumieniem i konsternacją. Gdzie ona jest? We Flotsam? Czyżby znów byli razem? Oczywiście! Wrócił do niej! Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

Tanis wstrzymał oddech i poczuł ściskanie w dołku. Kiedy Kitiara poruszyła się, zobaczył osmoloną dziurę ziejącą w jej klatce piersiowej. Ciało było spalone i widział biel kości pod spodem. Był to makabryczny widok i Tanis zmuszony był odwrócić głowę, zemdlony i przygnieciony ciężarem wspomnień.

- Tanisie! - wychrypiała. - Chodź do mnie.

Z sercem przepelnionym litością Tanis ukląkł przy niej, by wziąć ją na rękę. Spojrzała mu w twarz... i ujrzała w jego oczach swoją śmierć. Targnął nią strach. Wyrywała się, chcąc wstać.

Mimo to wysiłek był zbyt wielki. Upadła.

- Jestem... ranna - wyszeptała ze złością. - Jak... ciężko? - Podniosła rękę i chciała dotknąć rany.

Zerwawszy swój płaszcz, Tanis otulił nim poszarpane ciało Kitiary. - Odpoczywaj spokojnie, Kit - rzekł łagodnie.

- Nic ci nie będzie.

- Jesteś cholernym łgarzem! - wykrzyknęła, zaciskając pięści i powtarzając, gdyby tylko o tym wiedziała, słowa konającego Elistana. - On mnie zabił! Ten nędzny elf! Na jej twarz wypełził upiorny uśmiech. Tanis wzdrygnął się.

- Ale ja go też załatwiłam! Teraz nie może pomóc Raistlinowi. Królowa Ciemności zabije go, zabije ich wszystkich!

Jęcząc, zwinęła się w boleściach i złapała kurczowo Tanisa. On objął ją mocno. Kiedy ból osłabł, podniosła na niego oczy. - Ty mięczaku - szepnęła tonem, który w połowie wyrażał gorzką pogardę, a w połowie gorzki żal - świat mógł należeć do nas, ciebie i mnie.

- Świat należy do mnie, Kitiaro - rzekł cicho Tanis, którego sercem targała odraza i smutek.

Potrząsnęła gniewnie głową, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, gdy oczy jej wyszły na wierzch, a spojrzenie padło na coś na drugim końcu komnaty.

- Nie! - wydała z siebie okrzyk przerażenia, jakiego żadna tortura ani cierpienie nie potrafiło z niej wydrzeć. Nie! - Kuląc się i wtulając w objęcia Tanisa, szeptała rozpaczliwym, rozgorączkowanym głosem. - Nie pozwól mu mnie zabrać! Tanisie, nie! Trzymaj go z dala ode mnie! Zawsze cię kochałam, półelfie! Zawsze... cię... kochałam...

Zaniepokojony Tanis podniósł głowę. Drzwi były jed - nakże puste. Nikogo tam nie

było. Czyżby miała na myśli Dalamara? - Kto? Kitiaro! Nie rozumiem...

Ona go jednakże nie słyszała. Jej uszy były już na wieki głuche na głosy śmiertelników. Jedyne głosy, jakie teraz słyszała i będzie zawsze słyszeć, przez całą wieczność...

Tanis poczuł, że ciało w jego ramionach zwiótchało. Przyglądając ciemne, kędzierzawe włosy, szukał na jej twarzy jakiegoś znaku, że śmierć przyniosła spokój jej duszy. Jednakże na jej obliczu malował się wyraz zgrozy - brązowe oczy były wytrzeszczone ze strachu, a krzywy, uroczy uśmiech zmienił się w grymas.

Tanis obejrzał się na Caramona. Wielki mężczyzna, blady i poważny, pokręcił głową. Tanis powoli położył zwłoki Kitiary na podłodze. Nachyliwszy się, zamierzał pocałować zimne czoło, lecz stwierdził, że nie może. Wyraz na twarzy trupa był zbyt ponury, zbyt upiorny.

Naciągnąwszy Kitiarze pelerynę na głowę, Tanis pozostał jeszcze przez chwilę przy ciele, klęcząc w ciemności. Potem usłyszał kroki Caramona i poczuł dłoń na ramieniu. - Tanisie...

- Nic mi nie jest - odburknął półelf, wstając. W myślach jednakże wciąż słyszał jej błaganie w agonii...

Trzymaj go z dala ode mnie!

Rozdział VII

Cieszę się, że jesteś ze mną, Tanisie - rzekł Caramon.

Stał przed portalem i wpatrywał się weń, obserwując każde drgnienie i falę pustki w jego wnętrzu. Obok niego siedział na fotelu podparty poduszkami Dalamar z twarzą bladą i ściągniętą cierpieniem oraz ręką na prymitywnym temblaku. Tanis nerwowo krążył po komnacie. Smocze łby jarzyły się teraz tak jaskrawo, że raziły oczy, kiedy patrzyło się wprost na nie.

- Caramonie - zaczął - proszę...

Caramon obejrzał się na niego z tym samym, nie zmienionym wyrazem powagi i spokoju.

Tanis był zbity z tropu. Jak można sprzeczać się z granitem? Westchnął. - W porządku. Jednakże jak zamierzasz tam wejść? - spytał raptownie.

Caramon uśmiechnął się. Wiedział, co Tanis zamierzał powiedzieć i był wdzięczny, że nie powiedział tego.

Obejrzawszy się ponuro na portal, Tanis uczynił gest w stronę otworu. - Z tego, co powiedziałaś mi wcześniej, Raistlin musiał studiować latami, stać się Fistantilusem, zwabić panią Crysanię, aby poszła z nim i nawet wtedy ledwo mu się udało! - Tanis przeniósł spojrzenie na Dalamara. - Czy ty możesz wejść do portalu, czarny elfie?

Dalamar potrząsnął głową. - Nie. Jak powiedziałaś, trzeba kogoś o wielkiej mocy, by przestąpić ten straszliwy próg. Nie mam takiej mocy, być może nigdy nie będę miał. Nie patrz jednak tak kosym okiem, Półelfie. Nie marnujemy czasu. Jestem pewien, że Caramon nie podjąłby się tego, gdyby nie wiedział, że zdoła wejść. - Dalamar popatrzył uważnie na ogromnego wojownika. - On musi wejść albo wszyscy jesteśmy zgubieni.

- Kiedy Raistlin będzie walczył z Królową Ciemności i jej sługami w Otchłani - rzekł spokojnie i beznamiętnie Caramon - będzie musiał skupić się na nich całkowicie, pomijając wszystko inne. Czyż nie tak, Dalamarze?

- Możesz być tego pewny. - Czarny elf zadygotał i zdrową ręką otulił się ciaśniej połami czarnej szaty. Jeden oddech, jedno zmrużenie oka, jedno drgnięcie, a zostanie rozdarty na strzępy i pożarty.

Caramon pokiwał głową.

Jak on może zachowywać taki spokój?, zastanawiał się Tanis. Odpowiedział mu wewnętrzny głos, że jest to spokój kogoś, kto zna swe przeznaczenie i się z nim godzi.

- W księdze Astinusa - ciągnął Caramon - jest napisane, że Raistlin, świadom tego, iż

będzie musiał skupić swe magiczne siły na walce z Królową, otworzył portal przed wyruszeniem do boju, by mieć pewną drogę ucieczki. Tak więc, kiedy przybędzie, zostanie wrota gotowe na jego powrót do tego świata.

- Bez wątplenia wiedział także, że do tego czasu będzie zbyt osłabiony, by samemu je otworzyć - mruknął Dalamar. - Musi być przy tym u szczytu swych sił. Tak, masz rację. Otworzy je i to wkrótce. A kiedy to uczyni, każdy, kto jest obdarzony siłą i odwagą konieczną do przestąpienia granicy, będzie mógł wejść do środka.

Czarny elf zamknął oczy, przygryzając wargę, by nie krzyknąć. Odmówił przyjęcia napoju uśmierzającego ból. - Jeśli ty zawiedziesz - powiedział wówczas Caramonowi ja jestem naszą ostatnią nadzieją.

Nasza ostatnia nadzieja, pomyślał Tanis - czarny elf. To obłąd! To nie może się dziać. Wsparłszy się o blat kamiennego stołu, schował głowę w dłoniach. Na bogów, ale był zmęczony! Był cały zbolący, rany piekły go i szczypały. Zdjął napierśnik swej zbroi - ciążył mu na szyi niczym nagrobek. Bez względu jednak, jak bolało go ciało, bardziej cierpiała jego dusza.

Wspomnienia krążyły wokół niego jak strażnicy Wieży i starały się dotknąć go swymi zimnymi rękoma. Caramon kradnący jedzenie z talerza Flinta, gdy krasnolud się odwrócił... Raistlin wyczarowujący cudowne i przepiękne wizje dla dzieci we Flotsam... Roześmiana Kitiara, która zarzuca mu ramiona na szyję i szepcze do ucha... Serce Tanisowi się krajało, a oczy zasłyły łzami z udręki. Nie! Wszystko jest nie tak! Z pewnością to się nie powinno skończyć w taki sposób!

Przed jego zmaconymi oczami pojawiła się księga księga Caramona leżąca na kamiennym stole, ostatnia księga Astinusa. A może tak właśnie ma się skończyć? Uświadomił sobie wtedy, że Caramon spogląda na niego z niepokojem. Gniewnie wytarł oczy i twarz i wstał, wzdychając.

Widma jednakże nie opuszczały go, unosząc się w jego pobliżu. W pobliżu niego... i w pobliżu tego spalonego, martwego ciała, które leżało w kącie, nakryte jego płaszczem.

Człowiek, półelf i czarny elf w milczeniu obserwowali portal. Wodny zegar na kominku odmierzał czas - krople wody spadały jedna za drugą z regularnością bijącego serca. Napięcie w pokoju narosło do takiego stopnia, że wydawało się, że musi wreszcie trzasnąć i osmagać laboratorium z tak wielką furją, że... Dalamar zaczął coś mruzczyć w języku elfów. Tanis spojrział na niego szybko w obawie, że półelf może majaczyć. Oblicze maga było trupio blade, a fioletowe sińce otaczały zapadnięte głęboko oczy, które nie poruszały się i cały czas były wlepione w wirującą pustkę.

Wydawało się, że spokój opuszcza nawet Caramona. Wojownik zaciskał i rozwierał nerwowo ogromne dłonie, a jego ciało zroszone było potem lśniącym w blasku pięciu smoczych głów. Zaczęły nim wstrząsać mimowolne dreszcze. Muskły jego ramion drżały i napinały się spazmatycznie.

Wtedy Tanis poczuł, że ogarnia go osobliwe uczucie. Powietrze było nieruchome, zbyt nieruchome. Odgłosy bitwy szalejącej w mieście za murami Wieży - odgłosy, które słyszał nawet nie uświadamiając sobie tego - nagle ucichły. We wnętrzu Wieży również zapadła cisza. Słowa, jakie mamrotał Dalamar, zamarły elfowi na wargach.

Spowiała ich cisza, gęsta i duszna jak ciemność na korytarzu, jak zło wewnątrz pokoju. Kapanie wody w zegarze stało się głośniejsze, wzmocnione, a odgłos każdej kropli zdawał się wstrząsać Tanisem do kości. Oczy Dalamara raptownie się rozwarły, a jego dłoń drgnęła, nerwowo ściskając czarną szatę palcami o pobielających kostkach.

Tanis przysunął się do Caramona tylko po to, by stwierdzić, że zwalisty mężczyzna wyciąga do niego rękę.

Obaj odezwali się jednocześnie. - Caramonie...

- Tanisie... - Caramon rozpaczliwie chwycił Tanisa za ramię. - Zaopiekujesz się Tiką, dobrze?

- Caramonie, nie pozwolę ci tam wejść samemu! Tanis przytrzymał go. - Pójdę...

- Nie, Tanisie. - Głos Caramona był zdecydowany. - Jeśli mnie się nie powiedzie, Dalamar będzie potrzebował twojej pomocy. Pożegnaj ode mnie Tikę i postaraj się wszystko jej wyjaśnić. Powiedz jej, że bardzo ją kocham, tak bardzo, że... - Głos mu się załamał. Nie mógł dalej mówić. Tanis trzymał go mocno.

- Wiem, co jej powiedzieć - powiedział, przypominając sobie swój własny pożegnalny list.

Caramon skinął głową, strząsając łzy z oczu i biorąc głę - boki, urywany oddech. - I pożegnaj Tasa. Nie sędzę, nie sędzę, żeby on kiedykolwiek to zrozumiał. Nie tak do końca. - Zdobył się na uśmiech. - Oczywiście wpierv będziesz musiał wyciągnąć go z tego latającego zamku.

- Wydaje mi się, że on wiedział - rzekł cicho Tanis. Smocze głowy zaczęły wydawać przenikliwy dźwięk, słaby krzyk, który dobiegał z wielkiej oddali.

Caramon sprężył się.

Wrzask stał się głośniejszy, bliższy i bardziej przenikliwy. Portal pałał kolorami, każdy smoczy łeb lśnił jasno.

- Przygotuj się - ostrzegł Dalamar łamiącym się głosem.

- Żegnaj, Tanisie. - Caramon mocno ścisnął mu dłoń.

- Żegnaj, Caramonie.

Wypuściwszy przyjaciela z objęć, Tanis odsunął się do tyłu.

Pustka rozwarła się. Portal otworzył się.

Tanis zająrzył w jego głąb - wiedział, że zająrzył, bowiem nie mógł oderwać wzroku. Nigdy jednakże nie zdołał przypomnieć sobie wyraźnie, co w nim zobaczył. Śniło mu się to nawet wiele lat później. Wiedział, że śnił o tym, bowiem zawsze budził się w nocy zlany potem. Obraz jednak zawsze wymykał się świadomości i nigdy nie pozwalał się pochwycić na jawie. Leżał później przez długie godziny, drżąc i wpatrując się w ciemność.

To było jednakże później. Teraz wiedział tylko, że musi zatrzymać Caramona! Ale nie był w stanie się ruszyć. Nie mógł krzyknąć. Osłupiały i zdjęty zgrozą przyglądał się, jak Caramon, posławszy mu ostatnie, spokojne spojrzenie, odwrócił się i wspiał na złote podwyższenie.

Smoki zakrzyknęły ostrzegawczo, triumfalnie, nienawistnie... Tanis nie wiedział dokładnie. Jego własny krzyk, który wydarł mu się z gardła, został zagłuszony przez ten przenikliwy, ogłuszający dźwięk.

Błysnęła oślepiająca, wirująca, spieniona fala wielobarwnego światła.

A potem zapadła ciemność. Caramon zniknął.

- Niech Paladine będzie z tobą - szepnął Tanis i usłyszał, ku swej konsternacji, chłodny głos Dalamara powtarzający niczym echo: - Niech Takhisis, moja królowa, będzie przy tobie.

- Widzę go - rzekł po chwili Dalamar. Przypatrując się wnikliwie portalowi, podniósł się do połowy, by lepiej widzieć. Z ust wyrwał mu się jęk bólu, o którym zapomniał w podnieceniu. Zaklął i ze spoconym, bladym obliczem osunął się ponownie na poduszki.

Tanis zaprzestał niespokojnego krążenia i stanął przy Dalamarze. - Tam - wskazał czarny elf, dysząc przez zaciśnięte zęby.

Wciąż odczuwając jeszcze skutki szoku, trwające od chwili, gdy po raz pierwszy zająrzył do portalu, Tanis niechętnie spojrział znów w jego głąb. Z początku nie widział niczego, prócz ponurego i jałowego krajobrazu, który rozciągał się pod rozpalonym niebem. Wtedy ujrzał, jak czerwonawe światło odbija się w błyszczącej zbroi. Zobaczył małą postać stojącą w pobliżu portalu z mieczem w ręku, odwróconą od nich i czekającą...

- Jak on je zamknie? - spytał Tanis, starając się mówić spokojnie, choć żal dusił go za gardło.

- Nie może tego zrobić - odparł Dalamar.

Tanis posłał mu zaniepokojone spojrzenie. - W takim razie, co powstrzyma Królową od ponownego wejścia?

- Ona nie zdoła przejść, chyba, że ktoś wyjdzie przed nią, półelfie - odparł Dalamar z pewną irytacją. - Inaczej dawno by już weszła. Raistlin trzyma wrota otwarte. Jeśli przejdzie przez nie, ona podąży za nim. Brama zamknie się wraz z jego śmiercią.

- Więc Caramon musi zabić go - swego brata?

- Tak.

- I sam również musi zginąć - wyszeptał Tanis.

- Módl się, aby zginął! - Dalamar oblizwał wargi. Ból przyprawiał go o mdłości i zawroty głowy. - On bowiem również nie może wrócić przez portal. A choć śmierć z rąk Królowej Ciemności może być bardzo powolna i bardzo nieprzyjemna, wierz mi, Półelfie, jest znacznie lepsza od życia!

- On wiedział o tym...

- Tak, wiedział. Jednakże świat zostanie ocalony, Półelfie - zauważył cynicznie Dalamar. Osunąwszy się w głąb swego fotela, nadal wbijał wzrok w portal, na zmianę marszcząc, a następnie wygładzając fałdy swej czarnej, wyszywanej w runy szaty.

- Nie, nie świat, ale duszę - zamierzał odpowiedzieć z goryczą Tanis, gdy usłyszał, jak za jego plecami zaskrzypiały drzwi do laboratorium.

Dalamar natychmiast odwrócił wzrok. Z błyskiem oczu sięgnął po zwój z zaklęciami, który wsunął wcześniej za pasek.

- Nikt nie może wejść - rzekł cicho do Tanisa, który odwrócił się na dźwięk skrzypnięcia. - Strażnicy...

- Jego nie zatrzymają - powiedział Tanis, patrząc na drzwi z wyrazem przerażenia, który przez chwilę stanowił zwierciadlane odbicie grymasu strachu, jaki zastygł na martwej twarzy Kitiary.

Dalamar uśmiechnął się ponuro i znów osunął się na fotel. Nie musiał się oglądać. Chłód śmierci wypełniał komnatę niczym wstrętna mgła.

- Wejdz, lordzie Soth - powiedział Dalamar. - Spodziewałem się ciebie.

Rozdział VIII

Caramona oślepiło jaskrawe światło, które wdzierało się nawet pod zamknięte powieki. Potem otuliła go ciemność i kiedy po otwarciu oczu przez chwilę nic nie widział, wpadł w panikę, przypominając sobie chwile, gdy był ślepy i zagubiony w Wieży Najwyższej Magii.

Stopniowo jednakże i ciemność ustąpiła, i jego oczy przyzwyczyły się do upiornego światła otoczenia. Płonęło ono osobliwą, różowawą poświatą, jakby właśnie zaszło sionce, jak powiedział mu Tasslehoff. Ziemia też była taka, jaką opisywał kender - rozległa, pusta przestrzeń pod rozległym, pustym niebem. Niebo i ziemia miały ten sam kolor w każdym kierunku, w którym sięgnął wzrokiem.

Z wyjątkiem jednego. Odwracając głowę, Caramon teraz widział za sobą portal. Stanowił jedyną plamę koloru w tej jałowej krainie. Otoczony owalną framugą z pięciu głów smoka, wydawał mu się mały i oddalony, choć wojownik wiedział, że musi być bardzo blisko. Caramonowi przyszło do głowy, że portal wygląda jak obraz powieszony na ścianie - nie. Choć widział Tanisa i Dalamara całkiem wyraźnie, mężczyźni nie poruszali się. Równie dobrze mogli być namalowanymi postaciami, uchwyconymi w ruchu i skazanymi na wpatrywanie się w nicość przez całą wieczność.

Odwrócił się od nich stanowczym ruchem i zastanowił z bólem serca, czy oni widzą go tak, jak on widzi ich. Caramon wyciągnął miecz z pochwy i postawiwszy mocno stopy w falujący grunt, stanął, by czekać na swego brata.

Nie miał wątpliwości, zupełnie żadnych wątpliwości, że walka z Raistlinem musi zakończyć się jego śmiercią. Nawet osłabiony Raistlin będzie władał potężnymi czarami. A Caramon znał brata wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Raistlin nigdy - jeśli tylko było to możliwe - nie dopuści do tego, by być bezbronnym. Zawsze zostawi sobie jedno zaklęcie, albo - w najgorszym wypadku - będzie miał srebrny sztylet ukryty na nadgarstku.

Jednak choć ja zginę, mój cel zostanie osiągnięty, pomyślał ze spokojem Caramon. Jestem silny i zdrowy, a wystarczy jedno pchnięcie mieczem w to chude, wątłe ciało...

Wiedział, że zdoła to uczynić, zanim czary brata spalą go tak, jak spaliły go dawno temu w Wieży Najwyższej Magii...

Łzy zaszczyptały go w oczy i spłynęły mu do gardła. Przełknął je i postarał się pomyśleć o czymś innym, by uwolnić umysł od strachu... i smutku.

Pani Crysania.

Biedna kobieta. Caramon westchnął. Miał nadzieję, że umarła szybko... nie

dowiedziawszy się...

Caramon zamrugał oczami i popatrzył przed siebie. Co tam się dzieje? Tam, gdzie nie było niczego aż do różowego, jarzącego się horyzontu, teraz pojawił się jakiś przedmiot. Ostro odcinał się czernią od różowego nieba i sprawiał wrażenie płaskiego, jakby wycięto go z papieru. Znow nasunęły mu się słowa Tasa. Mimo to poznał go - był to drewniany pal. Taki... taki, przy jakim w dawnych czasach palono czarownice!

Naszły go wspomnienia. Widział Raistlina przywiązanego do pala, widział wiązki drewna ułożone w stos wokół swego brata, który gwałtownie starał się uwolnić i krzyczał do tych, których próbował ocalić przed własną głupotą przez ujawnienie matactw rzekomego duchownego. Oni jednakże uznali go za czarownika.

- Sturm i ja ledwo zdążyliśmy tam na czas - mruknął Caramon, przypominając sobie, jak miecz rycerza lśnił w słońcu i jak sam jego blask odpędzał zabobonnych wieśniaków.

Przyjrząwszy się bliżej słupowi - który zdawał się z własnej woli zbliżyć do niego - Caramon spostrzegł jakąś postać leżącą u jego stóp. Czyżby to był Raistlin? Pal przysuwał się coraz bliżej - a może to on podchodził do niego? Caramon znow odwrócił głowę. Portal był dalej, lecz wciąż go widział.

Ogarnięty niepokojem, iż może zostać zmieciony z powierzchni, postarał się zatrzymać i natychmiast tak się stało. Wtedy znow posłyszał głos kendera. Jeśli chcesz dokąś pójść, wystarczy, że pomyślisz o tym miejscu. Żeby mieć cokolwiek zechcesz, wystarczy, żebyś o tym pomyślał, tylko bądź ostrożny, bo Otchłań potrafi wypaczyć i zniekształcić to, co widzisz - Spojrzawszy na drewniany pal, Caramon pomyślał, żeby tam się znaleźć i natychmiast stał już przy słupie. Znow się odwrócił, zerknął w stronę portalu i zobaczył, że wisi on niczym miniaturowe malowidło pomiędzy niebem i ziemią. Stwierdziwszy z zadowoleniem, że w każdej chwili może wrócić, Caramon pośpieszył w stronę postaci leżącej u stóp pala.

Początkowo sądził, że ubrana jest w czarne szaty i serce mu podskoczyło. Teraz jednakże widział już, że tylko wydawała się czarną sylwetką na tle gorejącego gruntu. Szaty, jakie miała na sobie, były białe. I wtedy już wiedział.

Oczywiście, myślał o niej...

- Crysanio - powiedział.

Otworzyła oczy i odwróciła głowę w kierunku, skąd dochodził głos, lecz nie skupiła na Caramonie wzroku. Patrzyła gdzieś obok niego i zdał sobie sprawę, że jest ślepa.

- Raistlin? - szepnęła głosem przepełnionym taką nadzieją i tęsknotą, że Caramon oddałby wszystko, nawet swoje życie, żeby potwierdzić tę nadzieję.

Mimo to potrząsnął głową, ukląkł i wziął ją za rękę. Jestem Caramon, pani Crysanio.

Odwrociła niewidzące oczy w stronę jego głosu, słabo chwytając go za dłoń. Była zakłopotana. - Caramon? Gdzie jesteśmy?

- Wszedłem do portalu - odrzekł.

Westchnęła, zamykając oczy. - Więc jesteś w Otchłani wraz z nami...

- Tak.

- Byłam głupia, Caramonie - szepnęła - lecz płacę teraz za swą głupotę. Szkoda... szkoda, że nie wiedziałam... Czy jakaś krzywda stała się komuś oprócz mnie? I niego? - Ostatnie słowo było prawie niedosłyszalne.

- Pani... - Caramon nie wiedział, co odpowiedzieć. Crysania jednakże przerwała mu. Wyczuwała żal w jego głosie. Zamknęła oczy i ze łzami płynącymi po twarzy przycisnęła jego dłoń do swych warg. - Oczywiście. Rozumiem! - wyszeptała. - Dlatego przybyłeś. Przykro mi, Caramonie! Tak mi przykro!

Zaczęła płakać. Caramon wziął ją w ramiona, przytulił do piersi i kołysał uspokajająco jak dziecko. Domyślił się wtedy, że ona umiera. Czuł, że życie z niej ulatuje, kiedy jeszcze trzymał ją w ramionach. Co ją zraniło i jakie rany odniosła, nie potrafił sobie wyobrazić, bowiem na jej skórze nie było śladu.

- Nie ma czego żałować, pani - powiedział, przyglądając gęste, błyszczące, czarne włosy, które spadały na jej śmiertelnie bladą twarz. - Kochałaś go. Jeśli to twoja głupota, jest także moja i płacę za nią chętnie.

- Gdyby to tylko była prawda! - jęknęła. - Jednak to moja pycha, moja ambicja mnie tu przywiodły!

- Czyżby, Crysanio? - spytał Caramon. - Jeśli tak, to czemu Paladine wysłuchał twych modłów i otworzył ci portal, gdy odmówił spełnienia żądań króla-kapłana? Dlaczego pobłogosławił cię tym darem, jeśli nie dlatego, że widział, co naprawdę kryło się w twym sercu?

- Paladine odwrócił ode mnie swe oblicze! - krzyknęła. - Biorąc medalion do ręki, próbowała go zerwać z szyi. Jednakże była zbyt słaba. Jej dłoń zacisnęła się na medalionie i tam już została. A kiedy to uczyniła, na jej twarzy wykwitł wyraz spokoju. - Nie - rzekła, mówiąc cicho do siebie - on tu jest. Trzyma mnie. Widzę go tak wyraźnie...

Caramon wziął ją na rękę i wstał. Spuściła głowę na jego ramię i rozluźniła się w jego mocnych objęciach. - Wracamy przez portal - powiedział jej.

Nie odpowiedziała, lecz uśmiechnęła się. Słyszała go, czy słuchała innego głosu?

Stając twarzą do portalu, który błyszczał w oddali jak wielobarwny klejnot, Caramon

zażyczył sobie w myślach znaleźć się przy nim i portal szybko ruszył do przodu.

Nagle powietrze wokół niego rozdarło się i pękło. Z nieba strzelił piorun, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Tysiące purpurowych, trzaskających odgałęzień uderzyło w ziemię, zamykając go na ułamek sekundy w więzieniu, którego kratami była śmierć. Sparaliżowany od wstrząsu Caramon nie mógł się ruszyć. Nawet kiedy błyskawica znikła, czekał z głową wtuloną w ramiona na eksplozję huku gromu, który ogłuszy go na wieki.

Słychać było jednakże tylko ciszę, ciszę i dobiegający z bardzo daleka przejmujący krzyk bólu.

Crysanía otworzyła oczy. - Raistlin - powiedziała. Zacisnęła medalion w dłoni.

- Tak - odparł Caramon.

Łzy spływały jej po policzkach. Zamknęła oczy i przcisnęła się do Caramona. Wojownik ruszył dalej w stronę portalu, idąc teraz powoli, bowiem straszliwa i niepokojąca myśl zaczęła mu świtać w głowie. Pani Crysanía bez wątpienia konała. Puls na jej szyi był słaby i ledwo wyczuwalny pod jego palcami, niczym serce ptasiego maleństwa. Mimo to nie umarła, jeszcze nie. Może przeżyje, jeśli zdoła wynieść ją przez portal.

Czy jednakże uda mu się przełożyć ją na drugą stronę bez opuszczania go samemu?

Caramon zbliżał się do portalu z Crysaníą w ramionach.

A właściwie to portal zbliżał się do niego, skacząc ku niemu podczas jego marszu. Był coraz większy, smocze głowy wbijały w niego swe błyszczące oczy, a paszcze były rozwarte, aby pochwycić go i pożreć.

Wciąż widział, co jest po jego drugiej stronie; widział Tanisa i Dalamara - jednego stojącego, drugiego siedzącego. Żaden z nich nie poruszał się, obaj zastygli w czasie. Czy mogli mu pomóc? Czy mogli odebrać Crysaníę?

- Tanisie! - krzyknął. - Dalamarze!

Jednakże żaden z nich, nawet jeśli któryś usłyszał, nie zareagował na jego wołanie.

Delikatnie położył panią Crysaníę na kołyszącym się gruncie przed portalem. Wtedy już wiedział, że nie ma nadziei. Cały czas o tym wiedział. Mógł ją przenieść i wtedy przeżyłaby. Oznaczałoby to jednak, że Raistlin też przeżyje i ucieknie, ciągnąc za sobą Królową i skazując świat oraz ludzi na zagładę.

Osunął się na dziwną ziemię. Siadając obok pani Crysanii, wziął ją za rękę. W pewien sposób cieszył się, że jest tu przy nim. Nie czuł się taki osamotniony. Dotyk jej dłoni dodawał otuchy. Gdyby tylko mógł ją ocalić...

- Co zamierzasz uczynić Raistlinowi? - spytała po chwili Crysanía.

- Nie pozwolić mu wyjść z Otchłani - odrzekł Caramon głosem zrównoważonym i

pobawionym wyrazu.

Pokiwała głową ze zrozumieniem, trzymając go mocno za rękę i spoglądając w górę na niego ślepyimi oczyma.

- On cię zabije, prawda?

- Tak - odpowiedział spokojnie Caramon - lecz wcześniej sam padnie.

Skurcz bólu przebiegł przez twarz Crysanii. Chwyciła Caramona za rękę. - Zaczekam na ciebie! - Zakrztusiła się, a jej głos słabł. - Zaczekam na ciebie. Kiedy będzie po wszystkim, będziesz moim przewodnikiem, bowiem ja nie widzę. Zaprowadzisz mnie do Paladine'a. Wyprowadzisz mnie z ciemności.

Zamknęła oczy. Głowa opadła jej powoli, jakby osuwała się na poduszkę. Wciąż jednakże nie wypuszczała dłoni Caramona. Pierś jej wznosiła się i opadała wraz z oddechem. Przyłożył palce do jej szyi i poczuł pod nimi puls życia.

Był przygotowany skazać siebie na śmierć, gotów był skazać na nią swego brata. To było takie proste!

Ale - czy potrafił skazać ją?

Być może wciąż ma czas... Być może mógłby wynieść ją przez portal i wrócić...

Przepełniony nadzieją Caramon wstał i zaczął znów brać Crysanię na rękę. Wtedy kątem oka zauważył jakiś ruch.

Odwrócił się i zobaczył Raistlina.

_ ejdź, Rycerzu Czarnej Róży - powtórzył Dalamar.

Płomienne oczy spojrzały na Tanisa, który położył dłoń na rękojeści miecza. W tej samej chwili smukłe palce dotknęły jego ramienia, wprawiając go w popłoch.

- Nie wtrącaj się, Tanisie - rzekł cicho Dalamar. Jemu nie zależy na nas. Przychodzi tylko po jedno.

Migotliwe, płomienne spojrzenie omiotło Tanisa. Blask świec padał na starożytną, staromodną, bogato zdobioną zbroję, która nosiła wciąż pod śladami sadzy i plamami jego własnej krwi - która dawno temu obróciła się w proch - niewyraźne zarysy Róży, symbolu rycerzy solamnijskich. Stopy w wysokich butach, które nie czyniły szmeru, przebyły pokój. Pomarańczowe oczy znalazły w ciemnym kącie obiekt swych poszukiwań - skulony kształt nakryty płaszczem Tanisa.

Nie pozwól mu się zbliżyć.¹ Tanis słyszał rozpaczliwy głos Kitiary. Zawsze cię kochałam, Pólelfie!

Lord Soth zatrzymał się i ukląkł przy zwłokach. Wydawało się jednakże, że nie może ich dotknąć, jakby przeszkła - dążyła mu w tym jakaś niewidzialna siła. Wstał i odwrócił się, a

jego pomarańczowe oczy gorzały w pustej ciemności pod hełmem, jaki nosił.

- Oddaj mi ją, Tanisie Półelfie - odezwał się głuchy głos. - Twoja miłość przywiązuje ją do tej płaszczyzny. Zrezygnuj z niej.

Tanis ścisnął miecz i zrobił krok naprzód.

- On cię zabije - ostrzegł Dalamar. - Zabije cię bez wahania. Pozwól jej odejść do niego. W końcu był chyba jedynym z nas, który ją naprawdę rozumiał.

Pomarańczowe oczy rozbłyły. - Rozumiał ją? Ja ją podziwiałem! Jej przeznaczeniem, jak i moim własnym, było rządzić i dokonywać podbojów! Ona była jednakże silniejsza ode mnie. Potrafiła odrzucić miłość, która groziła jej spętaniem. Gdyby nie kaprys losu, rządziłaby całym Ansalonem!

Głuchy głos dźwięczał donośnie w komnacie, zaskakując Tanisa swą pasją i nienawiścią.

- I oto gdzie była! - Dłoń w kolczudze zacisnęła się. Zamknięta w Sanction niczym bestia w klatce, układała plany wojny, której nie mogła wygrać. Jej odwaga i zdecydowanie zaczynały słabnąć. Dała się nawet przykuć jak niewolnica do swego kochanka, czarnego elfa! Lepiej, żeby zginęła w walce, niż żeby jej życie miało wypalić się jak gasnąca świeca.

- Nie! - szepnął Tanis, ściskając miecz w ręku. Nie...

Dalamar chwycił go za nadgarstek. - Ona cię nigdy nie kochała, Tanisie - powiedział oziębło. - Wykorzystywała cię tak samo, jak nas wszystkich, nawet jego. - Czarny elf obejrzał się na lorda Sotha. Wyglądało na to, że Tanis chciał coś powiedzieć, lecz Dalamar przerwał mu. Wykorzystywała cię do samego końca, Półelfie. Nawet teraz wyciąga do ciebie ręce zza grobu w nadziei, że ją ocalisz.

Tanis wciąż się wahał. W myślach płonął mu obraz jej przepełnionej zgrozą twarzy. Obraz płonął, strzelały płomienie...

Płomienie stanęły Tanisowi przed oczami. Kiedy spojrzał w nie, ujrzał zamek, niegdyś dumny i szlachetny, teraz czarny i rozsypujący się, objęty płomieniem. Zobaczył prześliczną, delikatną elfkę z maleńkim dzieckiem na rękach, oddającą się na pastwę płomieni. Ujrzał wojowników, uciekających i ginących w płomieniach. I z tych płomieni doszedł go głos Sotha. - Ty masz po co żyć, Półelfie. Masz wiele, dla czego warto żyć. Wśród żywych są tacy, którzy polegają na tobie. Wiem, ponieważ wszystko, co masz, ja też kiedyś miałem. Odrzuciłem to i zdecydowałem się żyć w ciemności zamiast w świetle. Czy chcesz pójść za mną? Chcesz odrzucić wszystko, co masz, dla kogoś, kto dawno postanowił kroczyć ścieżkami nocy?

Świat należy do mnie, Tanis usłyszał swe własne słowa. Twarz Laurany uśmiechnęła

się do niego.

Zamknął oczy... Oblicze Laurany, piękne, mądre, kochające. Od jej złotych włosów biło światło, dostrzegł także błyski w jej bystrych, elfich oczach. Blask zaświecił jaśniej, jak gwiazda. Pałał czysto i olśniewająco, zsyłając na niego taką jasność, że nie widział już we wspomnieniach tej zimnej twarzy pod peleryną.

Powoli Tanis odsunął dłoń od miecza.

Lord Soth odwrócił się. Przyklękawszy, wziął na niewidzialne ręce ciało, zawinięte w płaszcz poplamiony teraz ciemną krwią. Wypowiedział magiczne słowo. Tanisowi nagle wydało się, że widzi mroczną przepaść, otwierającą się pod nogami upiornego rycerza. W pokoju powiało mrozącym duszę zimnem, którego podmuch zmusił go do odwrócenia głowy, jakby walczył z przenikliwym wiatrem.

Kiedy znów popatrzył, ciemny kąt był pusty.

- Znikli - Dalamar puścił jego przegub. - Tak samo Caramon.

- Znikł? - Zlany zimnym potem Tanis dygotał cały i odwrócił się chwiejnie ku portalowi. Płonący krajobraz był pusty.

Słysząc było echo głuchego głosu. Chcesz odtrącić wszystko, co masz, dla kogoś', kto dawno postanowił kroczyć ścieżkami nocy?

Pieśń lorda Socha

*Odrąć na bok zbędne światło
Świec, pochodni, próchna w lesie
I posłuchaj nurtu nocy,
Który tętno twej krwi niesie.*

*Jak cichy jest północy głos, najdroższa,
Jak ciepły wiatr, gdzie lata kruk we mroku,
Gdzie księżyc zmienny blask, najdroższa,
Blednie w twym gasnącym oku.*

*Jak głośny jest zew twego serca, najdroższa,
Jak bliska twej piersi jest ciemności toń,
Jak wzburzone są rzeki, najdroższa,
Płynące przez twą konającą dłoń.*

*O, najdroższa, jakież ciepło skrywa twa wątpa skóra,
Czyste niczym sól, słodkie jak śmierć we mchu,
A w ciemności rdzawego księżyc chmura
Mknie przez fosforescencję twego tchu.*

Rozdział X

Przed nim portal. Za nim Królowa. Za nim ból, cierpienie...

Przed nim zwycięstwo.

Wsparty na lasce Magiusa, tak słaby, że ledwo mógł utrzymać się na nogach, Raistlin miał przed oczyma obraz portalu. Wydawało się, że szedł, brnął, czołgał się nieskończenie dłużącymi się kilometrami, by do niego dojść. Teraz był blisko. Widział jego lśniące, przepiękne kolory, kolory życia - zieleń trawy, błękit nieba, biel obłoków, czerń nocy, czerwien krwi...

Krew. Popatrzył na swe ręce splamione krwią, swą własną krwią. Miał zbyt wiele ran, by je zliczyć. Uderzany maczugami, dźgany mieczami, porażony piorunami, spalony ogniem, znosił ataki kapłanów ciemności, czarodziejów mroku, legionów ghoulów i demonów - wszystkich, którzy służyli Jej Mrocznemu Majestatowi. Czarne szaty wisiały na nim w brudnych strzępach. Nie mógł zaczerpnąć oddechu, który nie byłby dla niego straszną męką. Dawno przestał wymiotować krwią. I choć kaszłał, kaszłał tak długo, aż nie mógł ustać na nogach i targany skurczami zmuszony był paść na kolana, niczego już nie było w jego wnętrzu. Niczego.

Wytrzymał to wszystko.

Uniesienie krążyło w jego żyłach niczym gorączka. Wytrzymał, przetrwał. Przeżył... ledwo, ale żył. Wściekłość Królowej grzmiała za nim. Czuł, jak ziemia i niebo pulsują tą nienawiścią. Pokonał jej najlepszych wysłanników i nie został już nikt, kto mógłby się z nim zmierzyć. Nikt, prócz jej samej.

Portal migotał niezliczonymi barwami w jego klepsydrowych oczach. Był blisko, coraz bliżej. Za nim - Królowa, którą wściekłość pozbawiała ostrożności i rozwagi. Mag ucieknie z Otchłani, a ona nie zdoła już go powstrzymać. Padł na niego jakiś cień, ziębiąc go. Podniósł głowę i ujrzał palce zaciemniającej niebo gigantycznej dłoni o błyszczących krwawoczerwono paznokciach.

Raistlin uśmiechnął się i szedł dalej. To był tylko cień, nic więcej. Ręka, która rzucała cień, sięgała po niego nadaremno. Był zbyt blisko, a ona, licząc na to, iż jej słudzy go zatrzymają, była zbyt daleko. Dłoń pochwyci go za poły podartej czarnej szaty w chwili przestępowania przez próg portalu, a on resztkami sił wciągnie je przez wrota.

A wtedy, na tej płaszczyźnie, kto okaże się silniejszy?

Raistlin kaszlnął, lecz kiedy kaszłał, kiedy targał nim ból, jednocześnie uśmiechał się - nie, szczyrzył zęby - w złośliwym, splamionym krwią uśmiechu. Nie miał wątpliwości.

Zupełnie żadnych.

Przyciskając jedną dłoń do piersi, a w drugiej trzymając laskę Magiusa. Raistlin szedł przed siebie, starannie manipulując w miarę potrzeb resztką życia, rozkoszując się każdym palącym oddechem niczym skąpiec, który napawa się widokiem miedziaka. Zbliżająca się bitwa będzie wspinała. Teraz przyjdzie jego kolej wezwać swe zastępy, by za niego walczyły. Sami bogowie odpowiedzą na jego wezwanie, bowiem Królowa pojawiająca się na świecie w całej swej potędze i majestacie ściągnie gniew niebios. Spadną księżycy, planety przesuną swe orbity, gwiazdy zmienią swe drogi. Żywioły będą posłuszne jego rozkazom - wichry, powietrze, woda, ogień - wszystko na jego usługi.

A teraz przed nim widnieje portal, którego smocze głowy wrzeszczą w bezsilnej furii, wiedząc, iż brak im mocy, by go zatrzymać.

Tylko jeszcze jeden oddech, jedno gwałtowne uderzenie serca, jeden krok...

Raistlin podniósł zakapturzoną głowę i zatrzymał się.

Jakaś postać, niewidoczna wcześniej, zasłonięta mgłą cierpienia, krwi i cieniami śmierci, wyłoniła się przed nim i stała przed portalem z błyszczącym mieczem w dłoni. Raistlin patrzył na nią przez chwilę z całkowitym brakiem zrozumienia. Potem radość zawrzała w jego poranionym ciele.

- Caramon!

Wyciągnął drżącą rękę. Jaki to cud, nie wiedział. Niemniej jego bliźniak był tu, czekał jak zawsze, by walczyć u jego boku...

- Caramonie! - wysapał Raistlin. - Pomóż mi, bracie. Ogarniało go znużenie, cierpienie odnosiło nad nim zwycięstwo. Szybko tracił zdolność myślenia i skupiania się. Magia już nie iskrzyła się w nim niczym żywe srebro, lecz płynęła powoli, krzepnąc jak krew na jego ranach.

- Caramonie, podejdź do mnie. Nie mogę iść o własnych siłach...

Caramon jednakże nie poruszył się. Stał tylko z mieczem w garści i przyglądał mu się oczyma pełnymi miłości zmieszanej ze smutkiem, głębokim, palącym smutkiem. Smutkiem, który przedarł się przez mgłę udreki i odsłonił nagą, pustą duszę Raistlina. I wtedy mag zrozumiał. Wiedział, dlaczego jego bliźniaczy brat jest tutaj.

- Zagradzasz mi drogę, bracie - rzekł oziębło Raistlin.

- Wiem.

- Odsuń się więc na bok, jeśli nie chcesz mi pomóc! Głos Raistlina, wydobywający się ze zdartego gardła, załamywał się z wściekłości.

- Nie.

- Ty głupcze! Zginiesz! - To był szept, cichy lecz groźny.

Caramon wziął głęboki oddech. - Tak - powiedział spokojnie - i tym razem ty też.

Niebo nad ich głowami pociemniało. Wokół nich zapadał zmrok, jakby coś powoli wysysało światło. Powietrze ochłodziło się, gdy blask przygasł, lecz Raistlin wyczuwał za swymi plecami bezmiar płomienistego żaru, gniew swej Królowej.

Strach skręcił mu kiszki, gniew ścisnął żołądek. Słowa magii same się cisnęły na jego wargi i miały smak krwi. Chciał już rzucić nimi w swego brata, lecz zakrztusił się, kaszlnął i osunął na kolana. Mimo to słowa go nie opuściły, nadal mógł władać magią. Ujrzy swego brata stojącego w płomieniach, jak kiedyś, dawno temu, widział jego złudny wizerunek płonący w Wieży Najwyższej Magii. Gdyby tylko, gdyby tylko mógł złapać oddech...

Spazm minął. Magiczne słowa kotłowały mu się w głowie. Podniósł twarz wykrzywioną groteskowym grymasem, wznosił rękę...

Caramon stał przed nim z mieczem w ręku i przyglądał mu się litościwie.

Litość! Ten wyraz ugodził Raistlina z siłą setek mieczy. Tak, jego bliźniak zginie, lecz nie z taką miną!

Wspierając się na lasce, Raistlin wstał. Podniósł rękę i zsunął czarny kaptur z głowy, aby brat mógł zobaczyć swój obraz - obraz osoby zgubionej - który odbijał się w jego złotych oczach.

- Więc litujesz się nade mną, Caramonie - zasyczał.

Ty niechlujny, głupi niedojdo. Ty, który nie jesteś w stanie zrozumieć potęgi, jaką zdobyłem, cierpień, jakie pokonałem, zwycięstw, jakie stały się moim udziałem. Ty masz czelność litować się nade mną? Zanim cię zabiję - a zabiję cię, mój bracie - chcę, żebyś umarł ze świadomością w sercu, że idę w świat stać się bogiem!

- Wiem, Raistlinie - odparł z całym spokojem Ca - ramon. Litość nie zniknęła z jego oczu, ale jeszcze bardziej pogłębiła się. - I dlatego żał mi ciebie, bowiem widziałem przyszłość. Znam ją.

Raistlin przypatrywał się bratu, wietrząc jakiś' podstęp. Czerwonawe niebo nad nim pociemniało jeszcze mocniej, a wyciągnięta ręka zatrzymała się. Czuł, że Królowa waha się. Odkryła obecność Caramona. Raistlin wyczuł jej konsternację, jej strach. Resztki wątpliwości, że Caramon może być jakimś widmem wyczarowanym dla powstrzymania go, rozwiały się. Raistlin zbliżył się o krok do brata.

- Widziałeś przyszłość? Jak?

- Kiedy wszedłeś przez portal, magiczne pole wpłynęło na urządzenie, rzucając mnie i Tasa w przyszłość.

Raistlin pożerał brata głodnym wzrokiem. - I co? Co się stanie?

- Zwycięzysz - powiedział po prostu Caramon. - Odniesiesz zwycięstwo nie tylko nad Królową Ciemności, lecz nad wszystkimi bogami. Twoja konstelacja będzie świecić na niebie sama... przez jakiś czas...

- Przez jakiś czas? - Raistlin zwięził oczy. - Mów! Co się stanie? Kto mi zagraża? Kto mnie zrzuci z tronu?

- Ty sam - odrzekł Caramon głosem przepełnionym smutkiem. - Rządzisz martwym światem, Raistlinie, światem szarego popiołu, kopcących ruin i wzdętych trupów. Jesteś sam w tych niebiosach. Chcesz tworzyć, lecz nie zostało w twym wnętrzu niczego, z czego mógłbyś czerpać, więc wysysasz życie z gwiazd, ale i one w końcu wybuchają i umierają. Niedługo nie będzie już niczego wokół ciebie i niczego wewnątrz...

- Nie! - warknął Raistlin. - Kłamiesz! Bądź przeklęty! Kłamiesz! - Odrzucając precz łaskę Magiusa, Raistlin rzucił się do przodu, wyciągniętymi rękoma chwytając brata. Zaskoczony Caramon podniósł miecz, lecz oręż padł na kołyszącą się ziemię na dźwięk jednego słowa Raistlina. Zwalisty mężczyzna zacisnął konwulsyjnie ręce na ramionach swego bliźniaka. On mógłby zgnieść mnie bez trudu, pomyślał drwiąco Raistlin, ale nie zrobi tego. Jest słaby. Waha się. Jest zagubiony. A ja dowiem się prawdy!

Przycisnąwszy rozpaloną, zbroszoną krwią dłoń do czoła brata, Raistlin przemieścił wizje Caramona z jego umysłu do swego.

I Raistlin zobaczył.

Zobaczył kości świata, kikuty drzew, szary muł i popiół, wypaloną skałę, wznoszący się dym, rozkładające się ciała zmarłych...

Zobaczył siebie wiszącego w zimnej próżni, otoczonego pustką i wypełnionego pustką. Pustka przygniatała go i zżerała. Wił się i rzucał na samego siebie, rozpaczliwie szukając pokarmu - kropli krwi, strzępka bólu. Jednakże niczego nie było. I nigdy niczego nie będzie. A on nadal będzie się zwijał i wpełzał do wnętrza, znajdując jedynie nicość... nicość... nicość.

Raistlin zwiesił głowę. Dłoń, zaciśnięta z bólu, zsunęła się z czoła jego brata. Wiedział, że tak się stanie, był o tym przekonany każdą cząstką swego pokaleczonego ciała. Wiedział o tym, bowiem pustka już tam była. Była w nim od dawna, od tak bardzo dawna. Och, nie pożarła go zupełnie - jeszcze nie. Mimo to już niemal widział swą przerażoną, samotną duszę skuloną w ciemnym i pustym kącie.

Z przeraźliwym krzykiem Raistlin odepchnął brata od siebie. Rozejrzał się. Mrok pogłębił się. Królowa nie wahała się dłużej. Gromadziła siły.

Raistlin spuścił wzrok, starając się zebrać myśli, starając się znaleźć w sobie gniew, starając się rozniecić palący ogień magii - lecz nawet one konały. Zdjęty strachem próbował uciekać, lecz był zbyt słaby. Zrobił krok i przewrócił się, padając na kolana i dłonie. Trząsł się ze strachu. Szukał pomocy, wyciągał rękę...

Usłyszał jakiś dźwięk, jęk, wołanie. Jego dłoń natrafiła na białą tkaninę, poczuła ciepłe ciało!

- Bupu - szepnął Raistlin. Ze zdławionym szlochem popęzł naprzód.

Przed nim leżała krasnoludka źlebowa. Jej twarz była wychudzona i zagłodzona, oczy wytrzeszczone z przerażenia. Wynędziała i wystraszona krasnoludka kuliła się i uciekała od niego.

- Bupu! - krzyknął Raistlin, chwytając ją w przyływie rozpacz. - Bupu, nie pamiętasz mnie? Dałaś mi kiedyś książkę. Książkę i szmaragd. - Pogrzebał w jednej ze swoich toreb i wyciągnął błyszczący, świecący zielony kamień. - Masz, Bupu. Popatrz, „ładny kamyk”. Weź go, zatrzymaj go! On cię ochroni!

Wyciągnęła po niego rękę, lecz wtedy jej palce zastygły w śmiertelnym skurczu.

- Nie! - krzyknął Raistlin i poczuł dłoń Caramona na swym ramieniu.

- Zostaw ją w spokoju! - krzyknął szorstko Caramon, łapiąc swego bliźniaka i odpychając go z całych sił. - Czy nie skrzywdziłaś jej już wystarczająco?

Caramon znów trzymał w ręku miecz. Jego jasny blask raził oczy Raistlina. W jego świetle Raistlin spostrzegł nie Bupu - lecz patrzącą na niego niewidzącymi oczyma Crysanię, której skóra była zwęglona i pokryta pęcherzami.

Pustka... pustka. Niczego w nim nie ma? Tak... Coś jest. Coś, niewiele, jednak coś. Jego dusza... Wyciągnął rękę i dotknął poparzonej skóry Crysanii. - Ona nie umarła, jeszcze nie - powiedział.

- Nie, jeszcze nie umarła - odrzekł Caramon, wznosząc miecz. - Zostaw ją w spokoju! Przynajmniej pozwól jej spokojnie skonać!

- Będzie żyła, jeśli przeniesiesz ją przez portal.

- Tak, ona będzie żyła - powiedział z goryczą Caramon - i ty też, prawda, Raistlinie? Przeniosę ją przez portal, a ty wyjdiesz tuż za nami...

- Zabierz ją.

- Nie! - Caramon pokręcił głową. Choć łyzy błyszczały mu w oczach, a jego twarz była blada z żalu i udreki, zrobił krok w stronę brata. W ręku wciąż trzymał broń.

Raistlin podniósł dłoń. Caramon nie mógł poruszyć się, a jego miecz zawisł w gorącym, drgającym powietrzu.

- Zabierz ją i weź również to.

Raistlin wyciągnął rękę i chwycił laskę Magiusa, która leżała u jego boku. Światło jej kryształu pałało jasno i mocno w pogłębiającej się ciemności, rzucając swą magiczną poświatę na ich troje. Podnosząc laskę, Raistlin podał ją bratu.

Caramon zawahał się, marszcząc czoło.

- Bierz ją! - warknął Raistlin, czując, jak opuszczają go siły. Kaszlnął. - Bierz ją! - szepnął, dysząc z trudem.

- Weź ją i Crysanię, i przejdźcie przez portal. Użyj laski, by go za sobą zamknąć.

Caramon wlepił w niego zdumiony wzrok, a potem zmrużył oczy.

- Nie, nie kłamię - warknął Raistlin. - Okłamywałem cię wcześniej, lecz nie teraz. Spróbuj. Sam zobacz. Patrz, uwalniam cię z mocy zaklęcia. Nie mogę rzucić kolejnego czaru. Jeśli stwierdzisz, że kłamię, możesz mnie zabić. Nie będę potrafił cię powstrzymać.

Dłoń w której Caramon trzymał miecz, została oswobodzona. Wojownik mógł nią poruszyć. Wciąż ściskając oreż i nie spuszczać bliźniaka z oczu, wyciągnął z wahaniem drugą rękę. Palcami dotknął laski i spojrzał bojaźliwie na światło w kryształach, spodziewając się, że zgaśnie i pograży ich wszystkich w narastającej ciemności i chłodzie.

Jednakże jasność nie zgasła. Caramon zacisnął dłoń na lasce nad ręką brata. Światło paliło się jasno, rzucając swój blask na poszarpane i pokryte krwią czarne szaty oraz matową, zabłoconą zbroję.

Raistlin wypuścił laskę z dłoni. Pomału, niemal padając, podźwignął się na nogi i wyprostował, stojąc samodzielnie, stojąc sam. Laska w ręku Caramona nie przestała świecić.

- Pośpiesz się - rzekł chłodno Raistlin. - Ja zatrzymam Królową, by za tobą nie wyszła. Jednak moich sił nie starczy na długo.

Caramon przyglądał mu się przez chwilę, a potem spoj - rzał na laskę, która wciąż jarzyła się silnym blaskiem. Wreszcie westchnął i schował broń.

- Co się stanie... z tobą? - spytał ochryple, przyklękając, by wziąć Crysanię na ręce.

Będziesz torturowany na ciele i umyśle. Pod koniec każdego dnia umrzesz z bólu. Z początkiem każdej nocy będą cię wskrzeszać. Nie będziesz mógł usnąć, lecz będziesz leżeć przytomny i z drżeniem wyczekiwać nastania brzasku. Rankiem moja twarz będzie pierwszą rzeczą, jaką ujrzysz.

Te słowa owinięły się wokół umysłu Raistlina jak wąż. Za jego plecami rozbrzmiewał gwałtowny, drwiący śmiech.

- Idź, Caramonie - powiedział. - Ona się zbliża. Crysania wsparła głowę na szerokiej piersi Caramona.

Ciemne włosy spadły jej na bladą twarz, a dłoń wciąż ścisnęła medalion Paladine'a. Patrząc na nią, Raistlin spostrzegł, że rany zadane przez ogień znikły, nie zostawiając śladu na jej twarzy, na której malował się łagodny wyraz słodkiej, spokojnej błogości. Raistlin przeniósł spojrzenie na oblicze brata i zobaczył na nim tę samą głupią minę, jaką Caramon miał zawsze - ten wyraz zdumienia, zakłopotania.

- Ty idioto! A co cię obchodzi, co się ze mną stanie? - warknął Raistlin. - Idź precz!

Wyraz twarzy Caramona zmienił się, a może nie zmienił się. Może przez cały czas był taki. Siły bardzo szybko opuszczały Raistlina, oczy zachodziły mu mgłą. Dostrzegł jednak w oczach Caramona zrozumienie...

- Żegnaj... mój bracie - powiedział Caramon.

Z Crysania w ramionach i laską Magiusa w ręce, Caramon odwrócił się i odszedł. Poświata laski tworzyła krąg wokół niego, krąg srebra, który lśnił w mroku niczym księżycowe promienie Solinari, połyskujące na spokojnej toni jeziora Crystalmir. Srebrne promienie padły na smocze głowy i zamroziły je, zmieniły je w srebro, uciszając ich wrzaski.

Caramon przeszedł przez portal. Raistlin, który obserwował go, dostrzegł zmałowany przebłysk kolorów i życia, a także poczuł przelotny ciepły powiew, który musnął jego zapadnięty policzek.

Słyszał, jak szyderczy śmiech rozbrzmiewający za nim zmienia się w ochryple, syczące sapanie. Słyszał szelest gigantycznego, łuskowatego ogona i łopot skrzydeł. Za jego plecami pięć łbów szeptało o mękach i przerażeniu.

Raistlin stał bez ruchu, patrząc w głąb portalu. Zobaczył, jak Tanis biegnie Caramonowi z pomocą, jak bierze Crysanię na ręce. Oczy zasły mu łzami. Chciał pójść za nim! Chciał, żeby Tanis dotknął jego dłoni! Chciał trzymać Crysanię w objęciach... Zrobił krok naprzód.

Zobaczył, jak Caramon odwraca się ku niemu z laską w ręku.

Caramon patrzył na portal, patrzył na swego bliźniaka, patrzył na to, co było za nim. Raistlin ujrzał, jak jego bratu oczy wychodzą na wierzch z przerażenia.

Raistlin nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że jego brat zobaczył Takhisis przyczajoną tuż za nim. Czuł, jak chłód bijący od jej ohydneho, gadziego ciała ogarnia go i przedostaje się przez jego szaty. Wyczuwał jej obecność za swymi plecami, jednakże ona nie myślała o nim. Widziała wrota stojące otworem na świat...

- Zamknij je! - wrzasnął Raistlin.

Podmuch żaru sparzył ciało Raistlina. Szponiasta łapa ugodziła go w plecy. Mag potknął się i zwałił na kolana. Cały czas jednakże nie spuszczał portalu z oczu i zobaczył, że

Caramon z twarzą pełną udręki robi krok naprzód, krok ku niemu!

- Zamknij je, głupcze! - krzyknął Raistlin, zaciskając pięści. - Daj mi spokój! Nie jesteś mi już potrzebny! Nie potrzebuję cię!

I wtedy światło zgasło. Portal został zatrzaśnięty, a ciemność rzuciła się na niego z rozszalałą, nieskończoną furią. Pazury rozdarły mu ciało, kły wgrzyły się w mięśnie i skruszyły kości. Krew płynęła mu z piersi, lecz życie nie wypływało wraz z nią.

Krzyczał i będzie krzyczał bez końca, nieustannie...

Coś go dotknęło... dłoń... Chwycił ją kurczowo, gdy potrząsnęła nim delikatnie. Czyjś głos zawolał: „Raist! Obudź się! To tylko sen. Nie bój się. Nie pozwolę im cię skrzywdzić! Patrz... zaraz cię rozśmieszę”.

Zwoje smoczego ciała zacisnęły się, dławiąc jego oddech. Lśniące czarne kły wyjadały mu żywe narządy, pożerały jego serce. Wgryzając się w ciało, szukały duszy.

Mocne ramię otoczyło go i przycisnęło do piersi. Podniosła się ręka promieniująca srebrnym światłem i tworząca dziecinne obrazki w ciemności nocy, a ledwo słyszalny głos wyszeptał: „Spójrz Raistlinie, zajączki...” Uśmiechnął się, nie bojąc się już. Caramon był przy nim.

Ból ustąpił. Sen został odpędzony. Gdzieś daleko słyszał wycie pełne gorzkiego rozczarowania i gniewu, ale to nie było ważne. Nic już nie było ważne. Teraz czuł się tylko zmęczony, tak bardzo, bardzo zmęczony...

Wsparłszy głowę na ramieniu brata, Raistlin zamknął oczy i zapadł w czarny, pozbawiony snów, nieskończony sen.

Rozdział XI

Krople wody w zegarze wodnym kapały miarowo, nieubłaganie, rozbrzmiewając echem w laboratorium. Tanis, który wpatrywał się w portal oczyma piekącymi z wysiłku, miał wrażenie, że padają, jedna po drugiej, na jego naprężone do granic nerwy.

Trąc oczy, odwrócił się od portalu z gorzkim grymasem i poszedł wyjrzeć przez okno. Ku swemu zdumieniu zobaczył, że jest dopiero późne popołudnie. Po tym, co przeszedł, nie byłby zaskoczony stwierdzeniem, że wiosna przyszła i odeszła, lato rozkwitło i zwiędło, i nadchodzi jesień.

Za oknem nie było już kłębow gęstego dymu. Pożary gasły, pochłonawszy wszystko, czym mogły się żywić. Tanis spojrzał w niebo. Smoki znikły z oczu, tak samo dobre jak i złe. Nadstawił uszu. Z miasta w dole nie dochodził żaden dźwięk. Wciąż wisały nad nim opary z mgły, burzy i dymu, przyciemnione jeszcze przez mrok zagajnika Shoikan.

Bitwa dobiegła końca, uświadomił sobie. Skończyła się. A my wygraliśmy. Zwycięstwo. Puste, żalosne zwycięstwo.

Wtem jego uwagę przyciągnęło łopotanie czegoś niebieskiego. Spojrzawszy na miasto, Tanis wciągnął powietrze.

W polu widzenia niespodziewanie pojawiła się latająca cytadela. Spadła znad burzowych chmur i kołysała się wesoło, zdobywszy gdzieś po drodze jaskrawoniebieski proporzec, który powiewał na wietrze. Tanis przyjrzał się uważniej i wydawało mu się, że poznaje nie tylko ten proporzec, lecz także sterczącą wariacko z wieży cytadeli iglicę, na której łopotał.

Półelf potrząsnął głową i nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Flaga - i iglica - niegdyś stanowiły część pałacu lorda Amothusa.

Wychylając się przez okno, Tanis dalej przyglądał się cytadeli, która zagarnęła straż honorową składającą się ze spizowych smoków. Poczul, że opuszcza go czarny humor, żal i trwoga, a napięcie słabnie. Bez względu na to, co się dzieje na świecie, czy w płaszczyznach położonych z dala od niego, pewne rzeczy - a kenderzy wśród nich - nigdy się nie zmieniają.

Tanis przyglądał się, jak zamek chwiejnie wylatuje nad zatokę, a potem mocno zdziwił się, widząc, że cytadela niespodziewanie odwróciła się i zawisła w powietrzu do góry nogami.

- Co ten Tas robi? - mruknął.

Już się domyślał. Cytadela zaczęła skakać szybko w górę i w dół jak solniczka. Coś czarnego o błoniastych skrzydłach wysypywało się z okien i drzwi. Cytadela podskakiwała do

góry i do dołu, do góry i do dołu, i wypadło z niej coraz więcej czarnych kształtów. Tanis wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tas pozbywał się straży! Następnie, kiedy nie było już widać wysypujących się do wody smokowców, cytadela przyjęła prawidłową pozycję i poleciała dalej... gdy nagle, kiedy tak sobie wesoło podskakiwała z niebieskim proporcem rozwianym na wietrze, zanurkowała szalonym, niefortunnym skokiem prosto w ocean!

Tanis wstrzymał oddech, lecz prawie natychmiast forteca pokazała się znowu, wyskakując z wody niczym delfin z niebieską flagą, by ponownie wzbić się w przestworza - tryskając wodą z każdego otworu - i zniknąć wśród burzowych obłoków.

Potrząsając głową i uśmiechając się, Tanis odwrócił się i zobaczył, że Dalamar wskazuje na portal. - Jest. Caramon wraca.

Półelf szybko przeszedł przez pokój i znów stanął przed portalem.

Widział Caramona, który nadal zdawał się maleńką figurką w błyszczącej zbroi. Tym razem jednakże niósł kogoś na rękach.

- Raistlin? - spytał zdumiony Tanis.

- Pani Crysania - odparł Dalamar.

- Może ona wciąż żyje?

- Byłoby dla niej lepiej, gdyby umarła - oznajmił chłodno Dalamar. Gorycz uczyniła jego głos i wyraz twarzy jeszcze bardziej ponurym. - Lepiej dla nas wszystkich! Teraz Caramon musi dokonać trudnego wyboru.

- Co masz na myśli?

- Nieuchronnie zaświta mu w głowie myśl, że zdoła ją ocalić, przenosząc ją przez portal. Co zostawi nas na łasce jego brata, Królowej, albo ich obojga.

Tanis zamilkł, wciąż patrząc. Caramon był coraz bliżej portalu z odzianą na białą kobietą w ramionach.

- Co ty o nim wiesz? - spytał raptownie Dalamar. - Jaką decyzję podejmie? Ostatni raz, kiedy go widziałem, był pijanym durniem, lecz zdaje się, że przeżycia zmieniły go.

- Nie wiem - rzekł zaniepokojony Tanis, mówiąc bardziej do siebie, niż do Dalamara.

- Caramon, którego znałem, był tylko połówką osoby, bowiem druga połowa należała do jego brata. Teraz jest inny. Zmienił się. - Tanis podrapał się po zaroście, marszcząc brwi. - Biedny człowiek. Sam nie wiem...

- Ach, zdaje się, że wyboru dokonano za niego - oznajmił Dalamar, a w jego głosie słychać było ulgę zmieszaną z lękiem.

Oglądając się na portal, Tanis spostrzegł Raistlina. Był świadkiem ostatniego spotkania bliźniaków.

Tanis nikomu nie powiedział o tym spotkaniu. Choć obraz, jaki zobaczył, i słowa, jakie usłyszał, zostały niezatarte piętno w jego pamięci, stwierdził, że nie może o nich mówić. Wyrażenie ich głosem zdawało się umniejszać je, odbierać im ich straszliwą zgrozę i ich straszliwe piękno. Niemniej, kiedy czuł się przygnębiony lub nieszczęśliwy, przypominał sobie ostatni podarunek pogrążonej w mroku duszy i zamykał oczy, dziękując bogom za zesłane mu łaski.

Caramon przeniósł panią Crysanię przez portal. Podbiegając, by mu pomóc, Tanis wziął Crysanię na ręce i otworzył ze zdumienia oczy na widok ogromnego mężczyzny niosącego magiczną laskę, której światło wciąż jasno płonęło.

- Zostań z nią, Tanisie - powiedział Caramon - ja muszę zamknąć portal.

- Zrób to szybko! - Tanis usłyszał gwałtowny wdech Dalamara. Zobaczył, że czarny elf spogląda z przerażeniem w głąb portalu. - Zamknij go! - krzyknął.

Trzymając Crysanię w ramionach, Tanis spojrzał na nią i uświadomił sobie, że ona umiera. Oddech jej słabł, skóra była trupio blada, wargi sine. Nic jednakże nie mógł dla niej zrobić, prócz zabrania jej w bezpieczne miejsce.

Bezpieczne miejsce! Rozejrzał się i jego wzrok padł na ciemny kąt, gdzie leżała inna konająca kobieta. Będzie tam bezpieczna - nie mniej niż gdziekolwiek indziej, podejrzewał ze smutkiem. Ułożywszy ją najwygodniej, jak było to możliwe, prędko wrócił do otworu w pustce.

Tanis zatrzymał się, zahipnotyzowany widokiem, jaki rozpościerał się przed jego oczyma.

Cień zła wypełniał portal, a głowy metalowych smoków, które tworzyły wrota, wyły triumfalnie. Żywe głowy smoka po drugiej stronie portalu wiły się nad ciałem swej ofiary, kiedy arcyomag wpadł w jego pazury.

- Nie! Raistlinie! - Twarz Caramona wykrzywiła udręka. Zrobił krok w stronę portalu.

- Stój! - wrzasnął wściekle Dalamar. - Zatrzymaj go, Półelfie! Zabij, jeśli będziesz musiał! Zamknij portal!

Kobieca ręka wysunęła się gwałtownie w stronę otworu i na ich, osłupiałych z przerażenia oczach, ta ręka zmieniła się w smoczą łapę o pazurach zakończonych czerwienią, o palcach unurzanych we krwi. Coraz bliżej portalu przysuwała się ręka Królowej, zamierzając nie dopuścić do zamknięcia wrót do świata, aby znów mogła nań wejść.

- Caramonie! - wykrzyknął Tanis, rzucając się naprzód. Jednak cóż mógł uczynić? Nie był wystarczająco silny, by pokonać olbrzymiego mężczyznę. On pójdzie do niego, pomyślał

Tanis z bólem. Nie pozwoli bratu umrzeć...

Nie, odezwał się głos w duszy półelfa. Nie pozwoli... i w tym tkwi zbawienie świata.

Caramon stanął, zauroczony mocą tej zbroczonej krwią ręki. Wyciągnięta smocza łapa była już blisko, a za nią błyszczały roześmiane, zwycięskie, złowrogie oczy. Pomału, zmagając się ze złą siłą, Caramon uniósł laskę Magiusa.

Nic się nie stało!

Fanfara smoczyc paszcz w owalnych wrotach rozdarła ciszę, ogłaszając wejście ich Królowej na świat.

Wtedy obok Caramona pojawiła się widmowa postać. Odziany w czarne szaty Raistlin o białych włosach, spływających na ramiona, uniósł złotoskórą rękę, wyciągnął ją przed siebie i chwycił laskę Magiusa, a jego dłoń spoczęła tuż przy dłoni bliźniaczego brata.

Laska rozbłysła czystym, srebrzystym światłem.

Wielobarwny blask w portalu zawirował, zakręcił się i za wszelką cenę starał się przetrwać, lecz srebrzyste światło pałało nieugiętą jasnością wieczornej gwiazdy, która błyszczy na niebie o zmierzchu.

Portal zamknął się.

Krzyk metalowych smoczyc głów urwał się tak nagle, że teraz nowa cisza dzwoniła im w uszach. Wewnątrz portalu nie było niczego, ani ruchu, ani znieruchomienia, ani ciemności, ani światła. Po prostu niczego.

Caramon stał przed portalem sam, trzymając w dłoni laskę Magiusa, Kryształ jaśniał olśniewająco jeszcze przez chwilę.

Potem zamigotał.

I zgasł.

Komnatę spowiła ciemność, słodka ciemność, ciemność dająca ukojenie oczom po oślepiającym blasku.

W tej ciemności rozległ się szept. - Żegnaj, mój bracie.

Rozdział XII

Astinus z Palanthis siedział w swym gabinecie w wielkiej bibliotece i spisywał dzieje wyraźnymi, ostrymi, czarnymi znakami, jakimi zapisywał całą historię Krynnu od pierwszego dnia, gdy bogowie spojrzeli na świat, do ostatniego, kiedy to ta wielka księga zamknie się na wieki. Astinus pisał, nieświadom zamętu wokół siebie lub raczej - taka była natura owego człowieka - sprawiając wrażenie, że zmusza zamęt dookoła, by był nieświadom jego osoby.

Upłynęły zaledwie dwa dni od zakończenia tego, co Astinus w swych Kronikach nazywa „Próba bliźniaków” (a co wszyscy inni nazywali „Bitwą o Palanthis”). Miasto leżało w gruzach. Jedynymi dwoma gmachami, które ocalały, była Wieża Najwyższej Magii i wielka biblioteka, a i biblioteka nie wyszła całkiem bez szwanku.

Fakt, że w ogóle jeszcze stała, należało przypisać w dużej mierze odwadze estetyków. Estetycy pod dowództwem pulchnego Bertrema, którego odwagę, jak powiadano, rozpałił widok smokowca, który ośmielił się położyć szponiastą łapę na jednej ze świętych ksiąg, ruszyli do ataku na wroga z takim zapalem i taką szaloną pogardą dla własnego życia, że niewiele gadzich stworów ocalało.

Jednak podobnie jak reszta Palanthis, estetycy zapłacili słoną cenę za zwycięstwo. Wielu z ich zakonu poległo w bitwie. Tych opłakiwali ich bracia, a ich prochy zostały złożone na zaszczytny spoczynek pomiędzy księgami, w obronie których oddali życie. Dzielnym Bertrem nie poległ jednakże. Odniósł tylko lekkie rany i ujrzał swe imię zapisane obok imion innych bohaterów Palanthis w jednej z wielkich ksiąg. Życie nie mogło już niczym więcej nagrodzić Bertrema. Nie było takiego przypadku, żeby mijając tę szczególną księgę na półce, nie ściągnął jej ukradkiem, nie otworzył na tej stronie i nie rozkoszował się blaskiem swej chwały.

Przepiękne Palanthis było teraz zaledwie wspomnieniem i kilkoma słowami opisu w księgach Astinusa. Sterty spalonych i osmolonych gruzów znaczyły groby pałaców. Bogate magazyny z beczkami wina, zapasami bawełny i pszenicy oraz skrzyniami cudów z wszelkich zakątków Krynnu zmieniły się w zgliszcza. Wypalone wraki statków unosiły się na wodzie w zasypanym popiołem porcie. Kupcy grzebali w ruinach swych sklepów, ratując, co się dało. Rodziny spoglądały na pogorzeliska swych domów, obejmując się nawzajem i dziękując bogom, że przynajmniej uszli z życiem, bowiem wielu poległo.

Z rycerzy solamnijskich w mieście nie ocalał prawie żaden. Zginęli w bitwie z lordem Sothem i jego groźnymi zastępami. Jednym z pierwszych, którzy padli martwi, był śmiały pan Markham. Wierny przysiędze złożonej Tanisowi, nie walczył z lordem Sothem, lecz zebrał

swych rycerzy i poprowadził ich do natarcia na szkieletowych wojowników Sotha. Przeszyty licznymi ranami, walczył dzielnie, raz za razem prowadząc swych okrwawionych, wyczerpanych ludzi do ataku na nieprzyjaciela, aż wreszcie spadł z konia martwy.

Dzięki odwadze rycerzy przeżyło w Palanthis wielu ludzi, którzy inaczej polegliby od zimnych jak lód mieczy żywych trupów, które zniknęły tajemniczo - jak powiadano - kiedy pojawił się wśród nich ich przywódca ze spowitym w całun ciałem na rękach.

Ciała opłakiwanych bohaterów rycerzy solamijskich zostały zabrane przez ich towarzyszy do Wieży Najwyższego Klerysta. Tam pochowano je w grobowcu, w którym spoczywał Sturm Brightblade, Bohater Lancy.

Po otwarciu grobowca, którego nie ruszano od czasu bitwy o Wieżę Najwyższego Klerysta, rycerze osłupieli na widok ciała Sturma, które spoczywało całe, nietknięte przez upływ czasu. Sądono, że odpowiedzialny za ów cud był pewien elfi klejnot, który błyszczał na jego piersi. Wszyscy, którzy weszli do grobowca tego dnia w żałobie po swych drogich zmarłych, kiedy popatrzyli na ten wytrwale świecący klejnot, poczuli spokój, łagodzący dotkliwy ból ich żalu.

Rycerze nie byli jedynymi, których opłakiwano. W Palanthis poległo również wielu zwykłych mieszczan. Mężczyźni broniący miasta i rodzin, kobiety broniące domów i dzieci... Mieszkańcy Palanthis spalili swych zmarłych zgodnie z odwiecznym zwyczajem i rozsypali prochy swych najdroższych na morzu, gdzie mieszały się z popiołami ich ukochanego miasta.

Astinus zapisywał wszystko na bieżąco. Nie przerwał pisania - jak to estetycy opowiadali z lękiem i podziwem w głosie - nawet wtedy, gdy Bertrem własnoręcznie zatłukł na śmierć smokowca, który ośmielił się wdrzeć do gabinetu jego mistrza. Nadal pisał, gdy stopniowo zdał sobie sprawę - wśród stuków, szelestów, łomotów i szurania że Bertrem zasłania mu światło.

Podniósł głowę i zmarszczył czoło.

Bertrem, który nie zbladł ani razu w obliczu wroga, teraz zbladł jak ściana i natychmiast cofnął się, pozwalając słońcu znów padać na stronicę.

Astinus ponownie zabrał się do pisania. - Cóż tam? spytał.

- Caramon Majere przybył z... kenderem, żeby się z tobą zobaczyć, mistrzu. - Gdyby Bertrem powiedział, że na spotkanie z Astinusem przybył demon z Otchłani, jego głos nie mógłby wyrażać większej zgrozy, niż kiedy wymawiał słowo „kender”.

- Wprowadź ich - odrzekł Astinus.

- Ich, mistrzu? - Wstrząśnięty Bertrem nie mógł powstrzymać się od powtórzenia.

Astinus uniósł wzrok, marszcząc brwi. - Ten smokowiec chyba nie uszkodził ci słuchu, co, Bertremie? Czy nie zostałeś uderzony w głowę?

- N-nie, mistrzu. - Bertrem zaczerwienił się i wyszedł z pokoju tyłem, płacząc się po drodze o swe szaty.

- Caramon Majere i... Tassle-f-foot B-burr-hoof - oznajmił wzburzony Bertrem chwilę później.

- Tasslehoff Burrfoot - powiedział kender, wyciągając rączkę do Astinusa, który uściskał ją z powagą. - A ty jesteś Astinus z Palanthas - ciągnął Tas, potrząsając kitką z podniecenia. - Spotkałem cię już wcześniej, ale ty tego nie pamiętasz, bo to się jeszcze nie wydarzyło, albo raczej, jeśli się nad tym zastanowić, nie wydarzy się już, prawda Caramonie?

- Prawda - odparł ogromny mężczyzna. Astinus przeniósł spojrzenie na Caramona i przyglądał mu się wnikliwie.

- Nie jesteś podobny do swego bliźniaka - zauważył chłodno Astinus - ale też Raistlin przeżył wiele niedoli, które odcisnęły swe piętno zarówno na jego ciele, jak i umyśle. Niemniej w twoich oczach jest coś, co go przypomina...

Historyk zmarszczył czoło, zdumiony. Nie rozumiał tego, a nie było takiej rzeczy na Krynnie, której by nie rozumiał. W konsekwencji wpadł w gniew.

Astinus rzadko bywał rozgniewany. Sama jego irytacja siała postrach wśród estetyków. Teraz jednakże był zły. Najeżył siwiejące brwi i zacisnął wargi, a jego oczy miały taki wyraz, że kender obejrzał się nerwowo z myślą, czy przypadkiem nie zostawił na korytarzu za drzwiami czegoś, co było mu natychmiast potrzebne!

- Co tu się dzieje! - zażądał wreszcie odpowiedzi historyk, uderzając ręką w księgę, aż pióro podskoczyło, wylał się atrament, a Bertrem - który czekał na korytarzu uciekł tak szybko, jak mu na to pozwalały klapiące sandały.

- Skrywasz tajemnicę, Caramonie Majere, a przede mną nie ma tajemnic! Wiem o wszystkim, co się dzieje na powierzchni Krynnu. Znam myśli każdej żywej istoty! Widzę ich czyny! Czytam w ich najskrytszych pragnieniach! A mimo to nie potrafię niczego wyczytać z twych oczu!

- Tas już ci powiedział - rzekł niewzruszony Caramon. Sięgnąwszy do plecaka, który miał za sobą, olbrzymi mężczyzna wyciągnął wielki, oprawny w skórę tom, który położył ostrożnie na biurku przed historykiem.

- To jedna z moich ksiąg! - oświadczył Astinus, spojrzawszy na nią z jeszcze bardziej nieprzychylną miną. Podniósł głos aż do krzyku. - Skąd ona się wzięła?! Żadna z moich ksiąg nie opuszcza tego miejsca bez mojego zezwolenia! Bertremie...

- Proszę spojrzeć na datę.

Astinus przez chwilę spoglądał wściekle na Caramona, a potem spuścił gniewny wzrok na księgę. Popatrzył na datę na woluminie, gotowy znów zawołać Bertrema. Krzyk jednakże zagrzechotał mu w gardle i ucichł. Historyk popatrzył na datę i oczy mu wyszły na wierzch. Osunąwszy się na krzesło, przeniósł wzrok z tomu na Caramona, a potem znów na tom.

- Czy to przyszłość widzę w twoich oczach?

- Przyszłość, która jest w tej księdze - oświadczył Caramon, patrząc na nią z pełnym powagi namaszczeniem.

- Byliśmy tam! - powiedział Tas, podskakując energicznie. - Chciałbyś o tym posłuchać? To przewspaniała historia. Widzisz, wróciliśmy do Solące, tylko ono nie wyglądało jak Solące. Prawdę mówiąc, myślałem, że to księżyc, bo właśnie myślałem o księżycu, kiedy magiczne urządzenie zostało uruchomione i...

- Cicho, Tas - powiedział łagodnie Caramon. Wstał, położył rękę na ramieniu kendera i spokojnie opuścił pokój. Tas, stanowczo popychany w stronę wyjścia, obejrzał się. - Do widzenia - zawołał, machając ręką. - Miło było cię spotkać ponownie... ee... przedtem... hm... potem... cóż, kiedykolwiek.

Astinus jednakże ani tego nie słyszał, ani nie zauważył. Dzień, kiedy otrzymał księgę od Caramona Majere, był jedynym dniem w całej historii Palanthas, w którym nie zapisano niczego więcej, prócz jednej uwagi:

Tego dnia, jak powyżej, godziny Postrażniczej wznoszącej 14, Caramon Majere przyniósł mi Kroniki Krynnu, tom 2000, napisany przeze mnie tom, którego nigdy nie napiszę.

Pogrzeb Elistana był dla mieszkańców Palanthas pogrzebem również ich ukochanego miasta. Ceremonia odbyła się o brzasku zgodnie z życzeniem Elistana i obecni byli wszyscy - starzy, młodzi, bogaci i ubodzy. Ranni, których można było ruszać, zostali przyniesieni z domów, a ich nosze ustawiono na spalonej i szerniałej murawie niegdyś przepięknych trawników świątynnych.

Wśród nich był Dalamar. Nikt nie szepnął nawet słowa, gdy Tanis i Caramon pomagali czarnemu elfowi iść przez trawnik, by zajął swe miejsce pod kępą spalonych, zwęglonych osik. Wieść bowiem głosiła, że młody adept sztuk czarnoksięskich walczył z Czarną Panią - jak nazywano Kitiarę - i pokonał ją, w ten sposób doprowadzając do klęski jej wojsk.

Elistan pragnął być pochowany w świątyni, lecz było to teraz niemożliwe - ze świątyni została jedynie, wypalona do gołych ścian, skorupa z marmuru. Lord Amothus zaoferował swój rodzinny grobowiec, lecz pani Crysania odmówiła. Mając w pamięci fakt, że Elistan nawrócił się w kopalniach Pax Tharkas, gdzie był niewolnikiem, wielebna córka - obecnie głowa kościoła - rozkazała złożyć jego ciało na wieczny spoczynek w jednej z podziemnych jaskiń pod świątynią, gdzie dawniej były magazyny.

Choć niektórzy byli tym zszokowani, nikt nie kwestionował poleceń Crysanii. Groty oczyszczono i poświęcono, a marmurowy sarkofag wybudowano z gruzów świątyni. Od tej pory, nawet w wielkich czasach kościoła, jakie miały nastąpić, wszystkich kapłanów chowano w tych skromnych podziemiach, które stały się jednym z najbardziej świętych miejsc na Krynnie.

Ludzie w milczeniu usadowili się na trawnikach. Ptaki, które nic nie wiedziały o śmierci, wojnie czy żalu, lecz wiedziały, że wstaje słońce, i że żyją pełnią życia w ten pogodny poranek, wypełniały przestworza swym śpiewem. Promienie słońca, które malowały czubki gór na złoto, przepędzały mrok nocy, wnosząc jasność do przepelnionych smutkiem serc.

Tylko jedna osoba wstała, by wygłosić mowę na cześć Elistana i wszyscy uważali, że powinna tak uczynić. Nie tylko dlatego, że zajmowała teraz jego miejsce - zgodnie z jego życzeniem - głowy kościoła, lecz dlatego, że mieszkańcom Palanthis wydawała się uosobieniem ich strat i cierpień.

Tego poranka, jak powiadano, wstała z posłania po raz pierwszy od chwili, gdy Tanis Półelf zaniósł ją z Wieży Najwyższej Magii na schody wielkiej biblioteki, gdzie kapłani zajmowali się rannymi i konającymi. Sama była o krok od śmierci. Jednakże jej wiara i modlitwy kapłanów wróciły ją do życia. Niemniej jednak kapłani nie umieli przywrócić jej wzroku.

Crysania stała przed nimi tego poranka, patrząc prosto w słońce, którego jej oczy nigdy już nie ujrzą. Jego promienie lśniły w jej czarnych włosach okalających oblicze, które czynił pięknym wyraz głębokiego, wytrwałego współczucia i wiary.

- Kiedy stoję pogrążona w mroku - rzekła, a jej dźwięczny głos zabrzmiał słodko i czysto pośród śpiewu skowronków - czuję ciepło światła na swej skórze i wiem, że jestem zwrócona twarzą do słońca. Mogę spojrzeć w słońce, moje oczy bowiem są na wieki zaćmione ciemnością. Lecz jeśli wy, widzący, będziecie patrzeć zbyt długo w słońce, oślepniecie, tak samo jak pomału tracą wzrok ci, którzy żyją zbyt długo w mroku.

Tego uczył Elistan - że przeznaczeniem śmiertelników nie jest żyć wyłącznie w słońcu

ani w cieniu, lecz w jednym i drugim. Oba mają swe groźne strony, gdyby ich nadużyć, i oba mają zalety. Przeszliśmy próby krwi, ciemności i ognia... - W tym miejscu głos jej zadrżał i załamał się. Ci, którzy byli najbliżej, zauważyli łzy na jej policzkach. Niemniej, kiedy znów się odezwała, jej głos odzyskał moc. Przeszliśmy te próby, tak jak Huma swoje, ponosząc wielkie straty i wielkie ofiary, lecz jesteśmy silni wiarą, że nasz duch promieniuje jasnością i że być może lśnimy największym blaskiem spośród wszystkich gwiazd na nieboskłonie.

I powiadam wam, choć niektórzy mogą postanowić stąpać ścieżkami nocy, oczekując przewodnictwa od czarnego księżyca, a inni chodzą ścieżkami dnia, strome i usiane głazami ścieżki obu może uczynić lżejszymi dotyk dłoni czy głos przyjaciela. Zdolność kochania, dbania o siebie nawzajem, jest dana nam wszystkim - i jest to największy dar bogów dla wszystkich ras.

Nasze piękne miasto zginęło w pożodze. - Jej głos przycichł. - Straciliśmy wielu z naszych najdroższych i może się wydawać, że nie udźwigniemy brzemienia, jakim stało się dla nas życie, lecz wyciągnijcie tylko rękę, a dotknie ona dłoni kogoś, kto wyciąga ją do was i - razem - znajdziecie siłę i nadzieję potrzebną wam do dalszego życia.

Po obrzędach, kiedy duchowni znieśli zwłoki Elistana na miejsce ich wiecznego spoczynku, Caramon i Tas odszukali panią Crysanię. Zastali ją pośród kapłanów, trzymającą rękę na ramieniu młodej kobiety, która była jej przewodniczką. - Przyszły dwie osoby, które chciałyby z tobą porozmawiać, wielbna córko - powiedziała młoda kapłanka.

Pani Crysania odwróciła się, wyciągając rękę. - Pozwólcie mi dotknąć was - rzekła.

- To Caramon - zaczął niezdarnie ogromny mężczyzna - i...

- Ja - odezwał się Tas potulnym, pokornym głosem.

- Przyszliście się pożegnać. - Crysania uśmiechnęła się.

- Tak. Dziś wyjeżdżamy - oświadczył Caramon, biorąc ją za dłoń.

- Jedziesz prosto do domu, do Solące?

- Nie, nie, niezupełnie - powiedział cicho Caramon. - Wracamy do Solanthas z Tanisem. Potem, kiedy... kiedy wrócę trochę do siebie, użyję magicznego urządzenia, żeby wrócić do Solące.

Crysania chwyciła go mocno za rękę, przyciągając bliżej do siebie. - Raistlin zaznał spokoju, Caramonie - rzekła cicho. - A ty?

- Tak, pani - odparł stanowczo i zdecydowanie Caramon. - Odzyskałem spokój ducha. Nareszcie. - Westchnął. - Muszę tylko porozmawiać z Tanisem i poukładać sobie wszystko w życiu, ponaprawiać. Na przykład dodał, rumieniąc się i szczerząc zęby w uśmiechu zażenowania - muszę dowiedzieć się, jak się buduje dom! Byłem pijany jak bela przez

większość czasu, kiedy pracowałem nad naszym domem i nie mam zielonego pojęcia, co robiłem.

Popatrzył na nią, a ona - świadoma jego wzroku, choć nie mogła tego widzieć - uśmiechnęła się i zarumieniła delikatnie. Ujrzawszy ten uśmiech i łzy, które płynęły mimowolnie, Caramon przygarnął ją do piersi. - Przepraszam. Żałuję, że nie byłem w stanie ci tego oszczędzić...

- Nie, Caramonie - powiedziała cicho. - Teraz dopiero przejrzałam na oczy. Widzę wyraźnie, co obiecywał Loralon. - Ucałowała jego dłoń, przyciskając ją do swego policzka. - Żegnaj, Caramonie. Niech Paladine będzie z tobą.

Tasslehoff pociągnął nosem. - Do widzenia, Crysa - ni... to znaczy, wielebna córko, - odezwał się cichutko, czując się nagle osamotniony i mały. - Przykro mi z powodu kłopotów, jakich narobiłem...

Jednakże pani Crysania przerwała mu. Odwracając się od Caramona, wyciągnęła rękę i pogłaskała kendera po kitce włosów. - Większość z nas stąpa w blasku i w cieniu, Tasslehoffie - rzekła - lecz istnieją wybrańcy, którzy chodzą po świecie, niosąc swe własne światelko, by rozpromieniało zarówno dzień i noc.

- Naprawdę? To muszą być okropnie zmęczeni, skoro dźwigają ze sobą światło? Czy to pochodnia? Bo nie może to być świeca. Wosk by się stopił i nakapałby im do butów i - jak myślisz - mógłbym spotkać kogoś takiego? spytał zaciekawiony Tas.

- Ty jesteś kimś takim - odparła pani Crysania. - I nie sądzę, żebyś musiał się kiedykolwiek martwić o wosk kapiący ci do butów. Żegnaj, Tasslehoffie Burrfoot. Nie muszę prosić Paladine'ą o błogosławieństwo dla ciebie, bo wiem, że jesteś jednym z jego bliskich, osobistych przyjaciół...

- No i co - spytał nagle Caramon, przepychając się przez tłum wraz z Tasem. - Postanowiłeś już, gdzie chcesz się wybrać? Masz latającą cytadelę, lord Amothus ci ją podarował. Możesz polecieć do dowolnego miejsca na Krynnie. Może nawet na księżyc, jeśli chcesz.

- Ach, to. - Tas, który po rozmowie z panią Crysania wyglądał na nieco wstrząśniętego, wydawał się mieć kłopoty z przypomnieniem sobie, o czym Caramon mówi. - Nie mam już cytadeli. Była okropnie duża i nudna, kiedy już zabrałem się do jej zwiedzania. A na księżyc nie polecę. Próbowałem. Czy wiesz - stwierdził, wlepiając w Caramona wytrzeszczone oczy - że jeśli wzniesiesz się wystarczająco wysoko, to krew ci pocieknie z nosa? Do tego tam jest strasznie zimno i nieprzyjemnie. Poza tym wygląda na to, że księżyc jest dalej, niż sobie wyobrażałem. Wiesz, gdybym miał to magiczne urządzenie... - Kątem oka

zerknął na Caramona.

- Nie - powiedział surowo Caramon. - Absolutnie nie. Ono wraca do Par-Saliana.

- Mógłbym mu je odnieść - zaproponował usłużnie Tas. - Dzięki temu miałbym szansę wyjaśnienia, jak to się stało, że Gnimsh je zreperował, a ja zakłóciłem zaklęcie i... Nie? - Westchnął. - No tak. Cóż, w każdym razie, postanowiłem zostać z tobą i Tanisem, oczywiście, jeśli chcecie mnie? - Spojrzał troszkę żałośnie na Caramona.

Caramon odpowiedział, wyciągając ramiona i biorąc kendera w uścisk, którym zgniół w jego sakwach kilka interesujących przedmiotów o nieustalonej wartości.

- A przy okazji - dodał po namyśle - co zrobiłeś z latającą cytadelą?

- Och - Tas nonszalancko machnął ręką - podarowałem ją Rounce'owi.

- Krasnoludowi żlebowemu! - Caramon zamarł ze zgrozy.

- On nią nie potrafi latać, w każdym razie nie sam jeden! - zapewnił go Tas. - Chociaż - dodał po chwili głębokiego zamyślenia - przypuszczam, że mógłby, gdyby nakłonił jeszcze kilku krasnoludów do pomocy. Nie pomyślałem o tym...

Caramon jęknął. - Gdzie ona jest?

- Postawiłem mu ją w ładnym miejscu. Bardzo ładnym miejscu. Lecieliśmy nad naprawdę bogatą dzielnicą miasta. Spodobała się Rounce'owi - cytadela, nie dzielnica. Właściwie, to podejrzewam, że dzielnica też, gdyby się nad tym zastanowić. W każdym razie, bardzo mi pomógł, więc spytałem go, czy chce tę cytadelę, a on powiedział, że tak, więc po prostu wylądowałem na tej pustej działce. Ale zrobił się szum! - dodał rozradowany. - Wybiegł jakiś facet z takiego wielgachnego zamku, który stał na wzgórzu dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie postawiłem cytadelę, i zaczął wydzierać się, że to jego posiadłość i jakim prawem spu - ściliśmy mu na nią zamek. Urządził wspaniałą awanturę. Zaważyłem, że jego zamek bez wątpienia nie pokrywa terenu całej posiadłości i wspomniałem o kilku rzeczach dotyczących dzielenia się, które z pewnością pomogłyby mu, gdyby tylko ich wysłuchał. Wtedy Rounce zaczął opowiadać, jak to zamierza sprowadzić cały klan Burpów, czy coś w tym rodzaju, i że zamieszkają w tej cytadeli, a ten facet dostał ataku i wynieśli go, i za chwileczkę zbiegło się całe miasto. Przez jakiś czas było naprawdę fajnie, ale potem zaczęło mi się nudzić. Ucieszyłem się, że Błysk Ognia postanowił lecieć ze mną. To on mnie odwiózł.

- Nic mi o tym nie powiedziałaś! - rzekł Caramon, gromiąc kendera wzrokiem i bardzo starając się zrobić złą minę.

- Wy-wydaje mi się, że wypadło mi z głowy - wymamrotał Tas. - Wiesz, ostatnio miałem strasznie dużo do myślenia.

- Wiem, Tas - powiedział Caramon. - Martwiłem się o ciebie. Widziałem, jak rozmawiałeś wczoraj z jakimś innym kenderem. Mógłbyś przecież wrócić do domu. Mówiłeś kiedyś, że zastanawiałeś się nad tym, nad powrotem do Kenderówka.

Tas spowaźniał jak rzadko kiedy. Wsuwając rączkę w dłoń Caramona, przysunął się bliżej i popatrzył na niego uważnie. - Nie, Caramonie - rzekł cicho. - Już nie jest tak samo. Wydaje mi się, że nie potrafię już rozmawiać z innymi kenderami. - Pokręcił głową, mając kitkę włosów. - Próbowałem im opowiedzieć o Fizbanie i jego kapeluszu, o Flincie i jego drzewie i... i o Raistlinie i biednym Gnimshu. - Tas poczuł ściskanie w gardle i wyciągnąwszy skądś chusteczkę, wytarł oczy. - Wydaje mi się, że oni nie rozumieją. Ich to po prostu... wiesz... nie obchodzi. To trudne - troszczyć się o kogoś - prawda, Caramonie? Czasami to boli.

- Prawda, Tas - odrzekł cicho Caramon. Weszli do cienistego gaju. Cekał tam na nich Tanis pod wysoką, wdzie - czną osiką, której nowe, wiosenne liście połyskiwały złoto w porannym słońcu. - Boli przez większość czasu. Jednak ten ból jest lepszy od pustki w środku.

Podchodząc do nich, Tanis położył jedną rękę na szerokich barkach Caramona, a drugą na ramionach Tasa. - Gotowi? - spytał.

- Gotowi - odparł Carmon.

- Doskonale. Konie są tam. Pomyślałem, że pojedziemy wierzchem. Moglibyśmy wziąć powóz, ale - jeśli mam być zupełnie szczery - nie cierpię być zamknięty w tym przeklętym kojcu. Tak samo Laurana, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Krajobraz jest piękny o tej porze roku. Będziemy jechać pomału i napawać się jego urodą.

- Mieszkasz w Solanthis, prawda, Tanisie? - spytał Tas, kiedy dosiedli koni i pojechali spaloną, zasypaną gruzami ulicą. Ludzie wracający z pogrzebu, którzy przyszli pozbierać szczątki swego dawnego życia, słyszeli echo wesołego głosu kendera, które rozbrzmiewało na ulicy jeszcze długo po jego odjeździe.

- Byłem kiedyś w Solanthis. Mają tam niesamowicie miłe więzienie. Jedno z najmiłszych, w jakich siedziałem. Oczywiście, posłano mnie tam przez pomyłkę. Nieporozumienie dotyczące srebrnego imbryka, który wpadł, całkiem przez przypadek, do jednej z moich toreb...

Dalamar wspinał się po stromych, krętych schodach, które prowadziły do laboratorium na szczycie Wieży Najwyższej Magii. Wchodził po schodach, zamiast magicznie się przetransportować, ponieważ miał przed sobą długą drogę. Choć kapłani Elistana uleczyli jego obrażenia, nadal był słaby i nie zamierzał nadwerężyć swych sił.

Później, kiedy czarny księżyc stanie na niebie, uda się w podróż przez eter do Wieży Najwyższej Magii w Wayreth, by wziąć udział w konklawe czarodziejów - jednego z najważniejszych w tej epoce. Par-Salian ustępował ze stanowiska przewodniczącego zgromadzenia kapłanów. Trzeba wybrać jego następcę. Prawdopodobnie zostanie nim mag Czerwonych Szat, Justarius. Dalamar nie miał nic przeciwko temu. Wiedział, że nie jest jeszcze wystarczająco silny, by zostać nowym arcymagiem. W każdym razie jeszcze nie teraz. Miał jednak pewne przecucia, że zostanie wybrany również nowy mistrz zakonu Czarnych Szat. Dalamar uśmiechnął się. Nie miał wątpliwości, kto nim zostanie.

Poczynił wszystkie przygotowania do odejścia. Strażnicy otrzymali polecenia: Nikomu - żywemu ani martwemu nie wolno wejść do Wieży pod jego nieobecność. Zresztą było to mało prawdopodobne. Zagajnik Shoikan nadal trzymał ponurą wartę, nietknięty przez pożar, który spustoszył resztę Palanthas. Jednakże mroczna samotność, którą Wieża znała od tak dawna, wkrótce się skończy.

Na rozkaz Dalamara wysprzątano i umeblowano kilka pokoi w Wieży. Mag zamierzał sprowadzić ze sobą kilku własnych uczniów - oczywiście z Czarnych Szat, ale być może również jednego lub dwóch z Czerwonych, jeśli znajdzie się ktoś odpowiedni. Z przyjemnością myślał o przekazywaniu umiejętności, jakich nabył, wiedzy, jaką sobie przyswoił. A także - przyznał się przed samym sobą - z przyjemnością myślał o towarzystwie.

Wpierw jednak musiał zrobić coś jeszcze.

Wszedł do laboratorium i zatrzymał się na progu. Nie był w tym pokoju od chwili, gdy Caramon wyniósł go stamtąd tego ostatniego, decydującego dnia. Teraz była noc. W pomieszczeniu panował mrok. Dalamar wypowiedział słowo i zapaliły się świece, wypełniając pokój delikatnym światłem. Cienie jednak nie znikły i czały się w kątach niczym żywe istoty.

Dalamar powoli obchodził komnatę ze świecznikiem uniesionym w rękę, wybierając poszczególne przedmioty - zwoje, magiczną różdżkę, kilka pierścieni - i słowem rozkazu odsyłał je na dół do swego gabinetu.

Minął ciemny kąt, gdzie skoła Kitiara. Jej krew wciąż była na posadzce. To miejsce było zimne, tchnęło chłodem i Dalamar nie zatrzymał się tu na dłużej. Minął kamienny stół ze słojami i butlami, z których wciąż spoglądały na niego błagalnie oczy. Jednym słowem sprawił, że zamknęły się - na wieki.

Wreszcie doszedł do portalu. Pięć wiecznie odwróconych ku pustce głów smoka wciąż wykrzykiwało bezgłośnie hymn pochwalny na cześć Królowej Ciemności. Jedynym światłem, jakim połyskiwały ciemne, martwe, metaliczne łby, była odbita poświata świec

Dalamar. Mag zajrzał w głąb portalu. Niczego w nim nie było. Dalamar patrzył nań przez dłuższy czas. Potem podniósł rękę i pociągnął za złoty, jedwabny sznurek, który zwisał z sufitu. Spadła gruba kotara i portal został zasłonięty ciężkim, purpurowym aksamitem.

Kiedy Dalamar odwrócił się, stwierdził, że stoi naprzeciw półek z książkami, które stały na samym końcu laboratorium. Światło świec padało na rzędy oprawionych na niebiesko ksiąg, zdobionych srebrnymi runami. Bił od nich chłód.

Księgi zaklęć Fistandantylusa - teraz należały do niego.

A tam, gdzie kończyły się rzędy tych książek, zaczynały się nowe - tomy w czarnych okładkach ze srebrnymi runami. Każdy z tych woluminów pałał wewnętrznym żarem, który sprawiał, że książki wydawały się osobliwie żywe w dotyku.

Księgi czarów Raistlina - teraz jego własność.

Dalamar przyjrzał się wnikliwie każdej książce. Każda zawierała własne cuda, własne tajemnice, każda miała moc. Czarny elf przespacerował się wzdłuż półek. Kiedy dotarł do końca - w pobliże drzwi - odstawił świecznik na ogromny, kamienny stół. Trzymając już dłoń na klamce, spojrzał na ostatni przedmiot.

W ciemnym kącie stała oparta o ścianę laska Magiusa. Dalamar wstrzymał oddech na chwilę, sądząc, że widzi światło bijące z kryształu na główce laski - kryształy, który był zimny i ciemny od owego dnia. Wtedy jednakże uświadomił sobie, że to tylko odbity blask świec. Odetchnął z ulgą i jednym słowem zgasił płomyk, pogrążając komnatę w mroku.

Popatrzył uważnie na kąt, w którym stała laska. Panowała w nim ciemność i nie płonęła żadna drobina światła.

Dalamar wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze z westchnieniem i wyszedł z laboratorium. Stanowczo zamknął za sobą drzwi. Sięgnął do drewnianego puzderka z wypisanymi potężnymi runami, wyjął srebrny klucz i włożył go do ozdobnego, srebrnego zamka - nowego zamka, którego nie zrobił żaden ślusarz na Krynnie. Szepcząc magiczne słowa, Dalamar przekręcił klucz w zamku. Rozległ się trzask. Drugi trzask odpowiedział mu jak echo. Mordercza pułapka została zastawiona.

Dalamar odwrócił się i wezwał jednego ze strażników. Bezcielesne oczy przyleciały na jego rozkaz.

- Weź ten klucz - rzekł Dalamar - i trzymaj przy sobie przez całą wieczność. Nie dawaj go nikomu - nawet mnie samemu. Od tej pory twoim zadaniem jest strzec tych drzwi. Nikomu nie wolno wejść. Niech tych, którzy spróbują, spotka szybka śmierć.

Strażnik zamknął oczy na znak zgody. Kiedy Dalamar schodził po schodach, zobaczył oczy - znów otwarte w obramowaniu drzwi, pałające chłodnym blaskiem, wpatrzony w głąb

nocy.

Czarny elf pokiwał głową z zadowoleniem i poszedł w swoją stronę.

Powrót do domu

Łup, łup, łup.

Tika Waylan Majere zerwała się i siadła na łóżku.

Wyteżając słuch, próbując nie słyszeć bicia swego wystraszonego serca, nasłuchiwała i czekała, aż rozpozna odgłos, który ją wyrwał z głębokiego snu.

Nic.

Czyżby jej się przyśniło? Odsunawszy gęstwę rudych loków, jakie spadały jej na twarz, Tika wyjrzała sennie przez okno. Było wcześniej rano. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz głęboki cień nocy już umykał z czystego i niebieskiego nieba, pogrążonego w słabym świetle brzasku. Ptaki już się obudziły i zaczęły codzienne obowiązki, gwizdząc i wesoło przekomarzając się ze sobą. Jednak w Solące nikt jeszcze nie był na nogach. Nawet nocny stróż zazwyczaj ulegał urokowi ciepłej, łagodnej, wiosennej nocy i spał o tej godzinie z głową spuszczoną na pierś, błogo chrapiąc.

Musiało mi się przyśnić, pomyślała ponuro Tika. Ciekawe, czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do spania samotnie? Każdy najmniejszy hałas wyrywa mnie ze snu. Zakopawszy się z powrotem w pościeli, Tika naciągnęła kołdrę na głowę i próbowała zasnąć. Zacisnęła mocno powieki i udawała, że Caramon jest tu. Leżała obok niego, przyciśnięta do jego szerokiej piersi i słyszała jego oddech, bicie jego serca, czuła jego ciepło, była bezpieczna... Caramon poklepywał ją po ramieniu, mamrocąc sennie: - To tylko zły sen, Tiko... do rana wszystko się rozwieje...

Łup, łup, łubudu.

Tika otworzyła szeroko oczy. To jej się nie śniło! Ten dźwięk - cokolwiek to było - dochodził znad jej głowy! Coś, albo ktoś, był tam na górze - na drzewie vallen!

Odrzuciwszy kołdrę i poruszając się cicho i ukradkiem, czego nauczyła się podczas wojennych przygód, Tika wzięła szlafrok leżący u nóg łóżka, ubrała się weń z trudem (myląc rękawy ze zdenerwowania) i wymknęła się z sypialni.

Łup, łup, łup.

Zacisnęła mocno wargi. Ktoś tam jest na górze, w jej nowym domu. Domu, który Caramon budował dla niej na drzewie vallen. Co oni tam robią? Kradną? Tam są narzędzia Caramona...

Tika omal nie wybuchnęła śmiechem, lecz zamiast tego z jej ust wyrwał się szloch. Narzędzia Caramona - ten młotek z chwiejącym się obuszkim, który odpadał za każdym

razem, gdy trafiał w gwóźdź, piła z tyłoma brakującymi zębami, wyglądająca jak uśmiechnięty krasnolud żlebowy i hebel, którym nie można było wygładzić nawet masła. Niemniej dla Tiki były cenne. Zostawiła je tam, gdzie on je zostawił.

Łup, łup, łup.

Zakradłszy się do saloniku swego małego domu, Tika położyła dłoń na klamce od drzwi i wtedy zatrzymała się. - Broń - mruknęła. Rozejrzała się prędko i chwyciła pierwszą rzecz, na jaką padł jej wzrok - swoją ciężką, żeliwną patelnię. Trzymając ją mocno za uchwyt, Tika ostrożnie otworzyła frontowe drzwi, a potem wymknęła się na zewnątrz.

Promienie słońca właśnie oświetlały szczyty gór, obrysowując złotem ich śnieżne czapy na tle czystego, bezchmurnego błękitu nieba. Rosa błyszczała na trawie jak małe klejnociki, a poranne powietrze było rześkie, słodkie i czyste. Nowe, jaskrawozielone liście vallenów szeleściły i śmiały się, gdy słońce budziło je swym muśnięciem. Tak świeży, pogodny i błyszczący był ten poranek, że mógłby być pierwszym porankiem pierwszego dnia, kiedy bogowie spojrzeli na swe dzieło z wysokości i uśmiechnęli się.

Tika jednakże nie myślała o bogach ani o porankach, ani rosie, która ziębiła jej nagie stopy. Ścisnęła patelnię w rękę, trzymając ją schowaną za plecami i ukradkiem wspinała się po szczeblach drabiny wiodącej do nie dokończzonego domu, który wznosił się wśród konarów drzewa vallen. Kiedy była już prawie na samej górze, zatrzymała się i zajrzała przez krawędź domu.

Aha! Ktoś tam jest! Ledwo dostrzegła postać przykucniętą w ciemnym kącie. Wgramoliła się przez krawędź, cały czas nie wydając dźwięku i podreptała cicho po drewnianej podłodze, trzymając mocno patelnię w dłoni.

Kiedy jednakże skradała się po podłodze do intruza, wydawało jej się, że słyszy stłumiony chichot.

Zawahała się, a potem stanowczo ruszyła dalej. To tylko moja wyobraźnia, powiedziała do siebie, zbliżając się do osoby w pelerynie. Teraz już ją widziała wyraźnie. Był to mężczyzna rasy ludzkiej, a sądząc po krzepkich ramionach i muskularnych barkach, był to jeden z największych mężczyzn, jakich Tika kiedykolwiek widziała! Klęczał, podpierając się rękoma, a szerokimi plecami był odwrócony do niej. Zobaczyła, że podnosi rękę.

Trzymał w niej młotek Caramona!

Jak on śmie dotykać rzeczy Caramona! Cóż, duży chłop, czy nie - wszyscy oni są tych samych rozmiarów, gdy już leżą na podłodze.

Tika uniosła patelnię... - Caramonie! Uważaj! - zapiszczał przenikliwy głos.

Olbrzymi mężczyzna wstał i odwrócił się.

Patelnia spadła na podłogę z dźwięcznym łoskotem. Tak samo młotek i garść gwoździ.

Szlochając radośnie, Tika chwyciła swego męża w objęcia.

- Czy to nie cudowne, Tiko? Założę się, że byłaś zaskoczona, prawda? Byłaś zaskoczona, Tiko? I powiedz, rąbnęłabyś naprawdę Caramona w głowę, gdybym cię nie powstrzymał? To mógłby być interesujący widok, choć nie sądzę, aby to wyszło Caramonowi na zdrowie. Hej, pamiętasz, kiedy uderzyłaś tego smokowca patelnią w głowę - tego, który chciał pobić Gilthanasa? Tiko?... Caramonie?

Tas patrzył na swoich przyjaciół. Nie odzywali się ani słowem. Nie słyszeli ani słowa. Stali po prostu, trzymając się w ramionach. Kender poczuł podejrzaną wilgoć, która ukradkiem pojawiła mu się w oczach.

- Ano - powiedział, wzdychając i uśmiechając się zejdę sobie na dół i poczekam na was w salonie.

Zsunąwszy się po drabinie, Tas wszedł do małego, schludnego domku, który stał pod osłoną drzew vallen. Kiedy już znalazł się wewnątrz, wyjął chusteczkę, wydmuchał nos i zaczął wesoło oglądać sprzęty.

- Sądząc z pozorów - powiedział do siebie, tak bardzo podziwiając nowiutki słoć na ciasteczka, że w roztargnieniu wepchnął go sobie do sakwy (razem z ciasteczkami), cały czas święcie przekonany, że odstawił go na półkę Tika i Caramon zostaną na górze dość długo, może nawet przez resztę poranka. Może to dobra pora na przejrzenie moich rzeczy.

Usadowiwszy się ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, kender błogo odwrócił swe sakwy do góry dnem i wysypał ich zawartość na dywan. Kiedy Tas w roztargnieniu chrupał garść ciasteczek, jego dumne spojrzenie padło na cały rulon nowych map, jakie podarował mu Tanis. Rozwinął je jedną po drugiej i rysował na nich palcem trasy do wszystkich cudownych miejsc, jakie odwiedził podczas swych licznych przygód.

- To były miłe podróże - oświadczył po chwili ale jeszcze milej jest wrócić do domu. Zostanę tu z Tiką i Caramonem. Będziemy rodziną. Caramon powiedział, że mogę mieć pokój w nowym domu i... Ojej, a co to takiego?

- Przyjrzał się mapie uważniej. - Merilon? Nigdy nie słyszałem o mieście, które nazywa się Merilon. Ciekawe, jak tam jest...

- Nie! - odparł Tas. - Skończyłeś z podróżami, Burrfoot. Masz już wystarczająco wiele historii do opowiadania Flintowi. Osiądziesz gdzieś i zostaniesz szanowanym członkiem społeczeństwa. Może nawet zostaniesz głównym szeryfem.

Zwinął mapę (snując w myślach miłe marzenia o kandydowaniu na głównego szeryfa)

i umieścił ją ponownie w pokrowcu (rzuciwszy wpiern na nią tęsknym okiem). Potem odwrócił się do niej plecami i zaczął przeglądać swe skarby.

- Białe kurze piórko, szmaragd, zdechły szczur... fuj, skąd ja go wzięłem? Pierścionek grawerowany tak, by przypominał liście bluszczu, malutki złoty smok... to zabawne, nie przypominam sobie, żebym wkładał go do torby. Obtłuczony kawałek błękitnego kryształu, smoczy kiel, płatki białych róż, wytarty, pluszowy króliczek jakiegoś dziecka i... och, spójrz tylko. Tu są plany Gnimsha, jak zbudować mechaniczną windę i... a to co? Książka? Techniki iluzjonistyczne, które mają zdumiewać i cieszyć! Czyż to nie ciekawe? Jestem pewny, że to rzeczywiście się przyda i, och, nie... poirytowany Tas zmarszczył brwi - znowu ta bransoleta Tanisa. Ciekawe, jak jemu udaje się nie gubić wszystkiego, kiedy w pobliżu nie ma mnie do zbierania po nim rzeczy. Jest ogromnie niedbały. Dziwię się, że Laurana się z tym godzi.

Zajrzał do mieszka. - To już chyba wszystko. - Westchnął. - Cóż, było rzeczywiście ciekawie. Przez większość czasu - doprawdy cudownie. Spotkałem kilka smoków. Latałem cytadelą. Zmieniłem siebie w mysz. Potłukłem smoczą kulę. Zostaliśmy z Paladinem bliskimi, serdecznymi przyjaciółmi.

Były też smutne chwile - powiedział do siebie cicho - ale teraz nawet nie wydają mi się smutne. Tylko troszeczkę boli mnie tak dziwnie, o tutaj. - Przycisnął dłoń do serca. - Bardzo będzie mi brakowało szukania przygód. Teraz jednak nie ma już z kim ich szukać. Wszyscy się ustatkowali, a ich życie jest promienne i przyjemne. Jego mała dłoń badała gładkie dno ostatniego worka. - Czas już, żebym i ja się ustatkował, jak już mówiłem, i wydaje mi się, że zawód głównego szeryfa byłby niezwykle fascynującym zajęciem i...

Zaczekaj... a co to takiego? Na samym dnie... - Wyciągnął mały przedmiot, który niemal by przeoczył, gdyż był wciśnięty w róg jednej z sakiewek. Trzymając go w dłoni i przyglądając mu się ze zdumieniem, Tas westchnął głęboko.

- Jak Caramon to zgubił? Tak bardzo uważał na nie. No, ale ostatnio miał bardzo wiele na głowie. Zaraz pójde mu je oddać. Na pewno okropnie się martwi, że gdzieś je zgubił. W końcu co by powiedział Par-Salian...

Przyglądając się zwyczajnemu, nie rzucającemu się w oczy wisiorowi w swej dłoni, Tas nawet nie spostrzegł, że jego druga ręka - najwyraźniej działająca z własnej woli, skoro on skończył z poszukiwaniem przygód - zaczęła macać z tyłu i natknęła się na mapnik.

- Jak się nazywało to miejsce? Merilon?

To musiała powiedzieć ta ręka. Z całą pewnością nie Tas, który zrezygnował z szukania przygód.

Mapnik powędrował do torby razem z pozostałymi skarbami Tasa. Ręka pośpiesznie

zgarnęła je i zapakowała.

Ręka również zebrała wszystkie sakiewki Tasa i zarzuciła mu je na ramiona, zawiesiła u paska i wcisnęła jedną do kieszeni jego nowiutkich, jaskrawoczerwonych, obcisłych spodni.

Ręka zaczęła skrzętnie zmieniać pospolity, zwykły wisiołek w berło, które wyglądało doprawdy przepięknie całe było pokryte drogimi kamieniami - i wyglądało bardzo magicznie.

- Kiedy już skończysz - Tas oznajmił surowo swojej ręce - zaniemiemy je prosto na górę i oddamy Caramonowi...

- Gdzie jest Tas? - szepnęła Tika, przytulona do ciepłych, wygodnych i wielkich ramion Caramona.

Caramon, który opierał policzek o jej głowę, ucałował jej rude kędziory i przycisnął ją mocniej. - Nie wiem. Sądzę, że zszedł na dół, do domu.

- Zdajesz sobie sprawę - powiedziała Tika - że nie zostanie nam ani jedna łyżeczka.

Caramon uśmiechnął się. Wziął ją pod brodę, uniósł jej głowę i pocałował w usta...

Godzinę później spacerowali we dwoje po podłodze nie dokończonego domu, a Caramon pokazywał poprawki i zmiany, jakich zamierzał dokonać. - Pokój dla dzidziusia będzie tutaj - mówił - obok naszej sypialni, a to będzie pokój dla starszych dzieci. Nie, myślę, że dwa pokoje, jeden dla chłopców, a drugi dla dziewczynek. - Udawał, że nie widzi, jak Tika się rumieni. - I kuchnia, i pokój dla Tasa, i pokój gościnny - Tanis i Laurana będą nas odwiedzać - i... - Caramon zamilkł.

Doszedł do jedynej izby w domu, którą rzeczywiście skończył - pokoju ze znakiem czarodzieja, wrytym na tabliczce zawieszzonej nad drzwiami.

Tika spojrzała na niego i jej roześmiana twarz nagle zbladła i spoważniała.

Caramon uniósł ręce i powoli zdjął tabliczkę. Przyglądał jej się w milczeniu przez dłuższy czas, a następnie podał ją z uśmiechem Tice.

- Przechowaj ją dla mnie, dobrze, skarbie? - poprosił cicho i łagodnie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, drżącymi palcami wodząc po gładkich krawędziach tabliczki, obrysowując tajemny znak, który był na niej wypisany.

- Opowiesz mi, co się stało? - spytała.

- Któregoś dnia - rzekł, biorąc ją w ramiona i obejmując mocno. - Któregoś dnia - powtórzył. Potem ucałował jej rude loki i spojrzał na miasto, przyglądając się, jak budzi się i ożywa.

Przez osłonę liści vallenu widział stromy dach gospody. Słyszał już głosy, zaspane, roześmiane, karcące. Czuł zapach dymu z kuchennych palenisk, który wznosił się wysoko w niebo, wypełniając zieloną dolinę delikatną mgiełką.

Trzymał żonę w objęciach i czuł jej miłość, widział swą miłość do niej, która wiecznie błyszczała przed nim, płonęła czysto i biało jak światło Solinari... lub blask bijący z kryształu na czubku magicznej laski...

Caramon westchnął zadowolony. - To już nie jest ważne. Jestem w domu.

Pieśń weselna

(Powtórzenie)

*Lecz ty i ja, przez płonące równiny,
przez ciemność mogiły,
potwierdzamy ten świat i jego ludy,
i niebiosą, które ich zrodziły,
oddechu tchnienie między nami,
ten nowy dom, co łączy dusze bliźnie,
i wszystko to, co większymi uczyniła
przysięga kobiety dana mężczyźnie.*

Podziękowania

Pragnęlibyśmy zaznaczyć udział oryginalnych członków zespołu tworzącego historię DRAGONLANCE, do których należą: Tracy Hickman, Harold Johnson, Jeff Grubb, Michael Williams, Gali Sanchez, Gary Spiegle i Carl Smith.

Chcielibyśmy podziękować tym, którzy dołączyli do nas na Krynnie, a są to: Doug Niles, Laura Hickman, Michael Dobson, Bruce Nesmith, Bruce Heard, Michael Breault i Roger E. Moore.

Pragnęlibyśmy podziękować naszej redaktorce, Jean Blashfield Black, która była przy nas w doli i niedoli.

I wreszcie chcielibyśmy wyrazić serdeczne podziękowania tym wszystkim, którzy dodawali nam otuchy i udzielali wsparcia, a są to: David „Zeb” Cook, Larry Elmore, Keith Parkinson, Clyde Caldwell, Jeff Easley, Ruth Hoyer, Carolyn Yanderbilt, Patrick L. Price, Bili Larson, Steve Sullivan, Denis Beauvais, Yalerie Valusek, Dezra i Terry Phillips, Janet i Gary Pack, nasze rodziny i wreszcie wy wszyscy, którzy do nas pisaliście. I choć wymieniamy was na końcu, jesteście nie mniej ważni.

Postowie

I tak oto nasze podróże po Krynnie dobiegły końca.

Wiemy, że to rozczaruje wielu z was, którzy mieli nadzieję, że przygody w tej cudownej krainie będą trwały wiecznie. Niemniej, jak mogłaby powiedzieć mama Tasslehoffa: „Nadchodzi taka chwila, gdy trzeba wyrzucić kota, zamknąć drzwi, schować klucz pod wycieraczkę i wyruszyć w drogę”.

Oczywiście, klucz zawsze będzie pod wycieraczką (pod warunkiem, że żaden inny kender nie wprowadzi się do miasteczka), a my nie wykluczamy możliwości, że pewnego dnia udamy się w podróż na poszukiwanie owego klucza. Teraz jednak Tasowe magiczne urządzenie do podróży w czasie znajduje się w naszych sakwach (na szczęście dla Krynnu!). Istnieją też inne światy, które bardzo chcemy zbadać, zanim wrócimy do tego.

Kiedy rozpoczynaliśmy projekt DRAGONLANCE, nie mieliśmy pojęcia, że odniesie taki sukces. Jest wiele powodów ku temu, ale myślę, że głównym jest fakt, iż pracował nad nim doprawdy wspaniały zespół. Od pisarzy i plastyków po projektantów gier i redaktorów - wszyscy w zespole DRAGONLANCE dbali o to, co robią i czynili znacznie więcej, niż od nich wymagano, by uczynić sukces pewnym. Trący mówi, że - gdzieś tam - Krynn naprawdę istnieje i wszyscy tam byliśmy. Wiemy, że to prawda, ponieważ tak trudno się rozstać.

Skoro już mówimy o rozstaniach, po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie po otrzymaniu lawiny listów dotyczących śmierci Sturma, jaką głębią uczuć czytelnicy darzą naszych bohaterów i świat, który stworzyliśmy.

„Ja wiem, że Sturm nic dla was nie znaczył” - napisała pewna zrozpaczona czytelniczka. - „W końcu był tylko wytworem waszej wyobraźni”.

Oczywiście był dla nas kimś dużo więcej. Ponieważ spędzamy tak wiele czasu z naszymi postaciami, dla nas również stają się bardzo prawdziwe. Triumfujemy z nimi, smucimy się z nimi i opłakujemy ich. Nie „zabiliśmy” Sturm ot tak sobie. Ten szlachetny rycerz solamnijski od samego początku koncepcji miał być bohaterem tragicznym. Śmierć jest częścią życia, z którą wszyscy się zetkniemy i z którą musimy się nauczyć sobie radzić - nawet nasz niefrasobliwy kender.

Śmierć Sturm zapowiada w pierwszej księdze Pani Lasu, która patrzy prosto na rycerza, mówiąc: „Nie opłakujemy tych, którzy umarli, wypełniając swe przeznaczenie”.

Bohaterskie poświęcenie Sturm zmusza rycerzy do ponownego przyjrzenia się swym wartościom i ostatecznie umożliwia im zjednoczenie. Sturm zginął, tak jak żył - dzielnie, z

honorem, w służbie innym. Pamięć o nim jest żywa dla tych, którzy go kochali, tak samo, jak światło gwiazdowego klejnotu płonie w ciemności. Wielokroć gdy jego przyjaciele są zmartwieni lub stają w obliczu niebezpieczeństwa, przypominają sobie o rycerzu i to wspomnienie dodaje im sił oraz odwagi.

Wiedzieliśmy, że śmierć Flinta wywrze smutny wpływ na Tassehoffa i naprawdę, więcej płakaliśmy nad Tasem, kiedy Flint umarł, niż nad sędziwym krasnoludem, który przeżył bogate, pełne życie. Coś jednakże zmieniło się na zawsze w Tasie (i to na lepsze), kiedy stracił swego gderliwego, lecz obdarzonego czułym sercem przyjaciela. To również była konieczna zmiana (Tanis dodałby zapewne w tym miejscu, że pewne rzeczy się nie zmieniają a kenderzy wśród nich!). Wiedzieliśmy jednak, że Tasa będzie czekała wyboista droga w drugiej trylogii. Wiedzieliśmy, że będzie potrzebował sił, a przede wszystkim współczucia, żeby ją przebyć.

Zawsze żywiliśmy nadzieję, że będziemy mieli okazję opowiedzieć historię Caramona i Raistlina, nawet wtedy, gdy jeszcze pracowaliśmy nad pierwszą trylogią. Pisząc opowiadanie „Próba bliźniaków”, mieliśmy już w głowach zarysy tego, co w końcu stało się drugą trylogią. LEGENDY rozrosły się pod względem długości i głębi jeszcze podczas pisania KRONIK, więc bardzo łatwo przyszło nam po prostu ruszyć w dalszą drogę z tymi naszymi postaciami, które wciąż nas potrzebowały.

Ważną dla nas sprawą było pokazanie w LEGENDACH wyprawy, której celem było nie tyle zbawienie świata, co (jak mówi Par-Salian) zbawienie duszy. Wszyscy uważali, że mieliśmy na myśli duszę Raistlina, lecz oczywiście chodziło tu o duszę jego bliźniaka. Arcymag już skazał się na zgubę. Jediną rzeczą, jaka w końcu go ratuje, jest miłość jego brata i ta drobna iskierka czułości w jego sercu, której nie może zupełnie zagasić nawet jego wewnętrzna ciemność.

Ta droga jednakże doprowadziła nas wreszcie do rozstajów, jak wszystkie drogi kiedyś muszą to uczynić. My, autorzy, poszliśmy w jedną stronę, a nasi bohaterowie w drugą. Jesteśmy przekonani, że możemy ich teraz zostawić. Nie potrzebują nas już dłużej. Caramon odnalazł wewnętrzną siłę, która jest mu potrzebna, by radzić sobie z życiem. On i Tika będą mieli wiele synów i córek i bylibyśmy zaskoczeni, gdyby choć jeden z nich nie został magiem.

Bez wątplenia dzieci Caramona wyruszą wspólnie z jedynym synem Tanisa (cichym, zamkniętym w sobie młodzieńcem) i złotowłosymi bliźniakami Riverwinda i Goldmoon na jakąś wyprawę w poszukiwaniu przygód. Może spróbują dowiedzieć się, co się stało z Gilthanasem i Silvarą. Może udadzą się w podróż do zjednoczonego królestwa elfów,

połączonego wreszcie przez Alhanę i Porthiosa, którzy - mimo wszystko - kiedyś pokochają się głęboką i trwałą miłością. Może spotkają dzieci Bupu (wyszła za mąż za Najwyższego Bulpa w chwili jego nieuwagi), a może nawet przez jakiś czas będą wędrować z „dziadziem” Tasslehoffem.

Astinus oczywiście opisze te przygody, nawet jeśli nie uczynimy tego my. A wy, którzy gracze w fabularne gry DRAGONLANCE, zapewne poznacie dalsze przygody lepiej od nas. W każdym razie żywimy nadzieję, że nadal będziecie się wspaniale bawić w tym zaczarowanym świecie. My jednakże musimy ruszyć w swoją stronę.

Ściskamy dłoń Tasowi (który znów chlipie) i żegnamy się z nim (sprawdzając wpiery własne sakwy i uwalniając Tasa od licznych osobistych drobiazgów, które w sposób niewyjaśniony „upuściliśmy”). Potem przyglądamy się oddalającemu się w podskokach kenderowi z powiewającą kitką i wydaje nam się, że widzimy, jak - w oddali - spotyka pewnego starego, zamrozonego czarodzieja, który wędruje w poszukiwaniu swego kapelusza - mając go na głowie.

A potem znikają nam z oczu. Odwracamy się z westchnieniem i ruszamy nową drogą, której widok nas wabi i gna przed siebie.